

SPIS TREŚCI

DR ANDRZEJ ANUSZ	
Antykomunizm skuteczny - dyskusja.	5
KRZYSZTOF LANCMAN	
Znaczki pocztowe KPN	46
ANDRZEJ BISKUPSKI	
„Grzebią nas...” (rzecz o Tragedii Smoleńskiej)	53
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Kultura, czyli racja stanu	93
MAREK CHLEBUŚ	
Miejsce Polski w świecie	100
DR MAREK ALBINIAK	
Rola Obrony Terytorialnej w systemie obronnym RP	115
DR BOHDAN URBANKOWSKI	
Etyka jest jedna. Jak Niepodległość	125
DR ANDRZEJ ZAPĄŁOWSKI	
Bezpieczeństwo Polski zależy od szybkich decyzji w sprawie Donbasu	145
PIOTR CIOMPA	
Drugi Obieg na Uchodźstwie	151
ADAM OSTOJA-OWSIANY	
Wspomnienia z Kresów (Larissa)	158
POLECAMY...	
Stefan Melak – Księżę Pamięci Narodowej	266

Paradoks historii sprawił, że pierwszymi całkowicie wolnymi wyborami po odzyskaniu niepodległości były wybory samorządowe 1990 roku – wybory do organów przedstawicielskich tego szczebla władzy publicznej, który zawiaduje najpowszedniejszymi sprawami dotyczącymi codzienności Polaków. Dopiero później przyszedł czas na wybór Prezydenta RP w głosowaniu powszechnym, który umożliwił przekazanie insygniów władzy Polski Niepodległej dla symbolicznego zachowania sukcesji państwowej. Jeszcze później wybrano parlament w wolnych wyborach.

Od tamtego momentu mija właśnie ćwierćwiecze i znowu jesteśmy świadkami i uczestnikami Zmiany, może nie tak zasadniczej, jak ta sprzed 25 lat, ale z pewnością istotnej, jeśli chodzi o samoświadomość Wspólnoty – Zmiany dotyczącej gruntownego sprzeciwu wobec zacementowanej, skostniałej władzy, władzy wyalienowanej ze wspólnoty narodowej, ode-

rwanej od polskiej rzeczywistości, od polskich spraw, polskich problemów, władzy butnie samozadowolonej.

W 6 numerze OPINII wątki bieżące krzyżują się zatem z historycznymi, sięgając spraw dla Wspólnoty Narodowej fundamentalnych. Andrzej Biskupski w eseju „Grzebią nas...” ukazuje Wspólnotę, która budzi się wobec narodowej tragedii. Bohdan Urbankowski pisze o etyce jako fundamencie działania wspólnotowego. Andrzej Anusz przywołuje ciekawy materiał historyczny – dyskusję na temat skuteczności działań obozu antykomunistycznego. Krzysztof Lancman przypomina historię poczty KPN. Zamieszczamy też rozmowę Piotra Ciompy z ostatnim premierem Rządu RP na Uchodźstwie. Na koniec – unikalny materiał wspomnieniowy (I część), którego autorem jest rtm. Adam Ostoja-Owsiany, Ojciec naszego Patrona.

Marek J. Albinia

HISTORIA NN

DR ANDRZEJ ANUSZ

ANTYKOMUNIZM SKUTECZNY – DYSKUSJA
[URBAŃSKI, LITYŃSKI, ARKUSZEWSKI, JANKOWSKI,
GWIŹDŹ, SANDAUER, TOMASZEWSKI, SZCZYGIEŁ,
ANDRZEJEWSKI, JANIAK, WIELOWIEYSKI, MARKIEWICZ]

W grudniu 1999 roku w sali warszawskiej „Zachęty” odbyła się promocja książki mojego autorstwa pt. *Scenariusze polityczne. Antykomunizm skuteczny*. Dyskusja, która się wtedy odbyła, stała się okazją do podsumowania 10-lecia odzyskanej Niepodległości i próby zarysowania perspektyw dla rządzącej wówczas koalicji Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności. Po latach pozwałam sobie przedstawić zapis tamtej debaty. Za pomoc w opracowaniu i redakcji tekstu dziękuję mojej córce Marcie Anusz.

Andrzej Urbański: Dzień dobry Państwu! Serdecznie witam wszystkich zgromadzonych, jednocześnie bardzo przepraszam za opóźnienie, ale z powodu pogody, jak sądzę, wszyscy Państwo mieliście kłopoty z dotarciem. Staraliśmy się czekać na jeszcze jednego uczestnika, panelu na, pana premiera Jana Olszewskiego, może jeszcze dojedzie i stąd to opóźnienie, ale mimo wszystko ogromnie, jeszcze raz serdecznie witam wszystkich.

Proszę Państwa, zgromadziła nas dziś podwójna okazja. Jedną jest dys-

kusja nad takim skromnym problemem z centroprawicą w Polsce, czy odniosła historyczne zwycięstwo, a nie byłoby tej dyskusji, gdyby nie książka Andrzeja Anusza, który tę śmiałą tezę, w tej książce opublikował. Dlaczego śmiałą tezę, to ja myślę, że się wyjaśni w dalszym ciągu naszego spotkania.

Chciałbym zapoznać państwa z regułami gry na najbliższy czas. Od razu powiem, że to spotkanie ma dwie części: część taką słowną, kiedy będziemy tutaj dyskutowali, mam nadzieję, że srodcie będziemy z autorem pole-

mizowali i drugą część bardziej taką zabawową, gdzie nadal można będzie kontynuować dyskusję, czyli w drugiej części serdecznie wszystkich zapraszamy na skromny bankiet. Wróć teraz do tej pierwszej części. Otóż referat wprowadzający wygłosi Andrzej Anusz. Potem zabiorą głos paneliści. Potem będziemy prosili państwa o udział w rozmowie, a potem na koniec jeszcze krótkie repliki. Mam nadzieję, że w ten sposób sprawnie nam pójdzie ta debata. Ta debata jest pierwszą z kilku, które zaplanowaliśmy myśląc o tym, że sytuacja centroprawicy w Polsce jest taka jaka jest. O tym będziemy rozmawiali i być może w związku z tym warto o tym częściej głośno i donośnie rozmawiać. Bardzo proszę, Andrzej Anusz.

Andrzej Anusz: Dzień dobry, dobry wieczór. Dziękuję bardzo wszystkim za przybycie. Tak jak już to spotkanie nasze dzisiejsze miało się odbyć, w pewnym momencie się zastanawialiśmy czy nie będzie dwóch takich dużych utrudnień, bo dzisiaj taka dramatyczna debata podatkowa i zwłaszcza parlamentarzyści się zastanawiali, czy wszyscy dotrzemy na czas. Udało się, podatki zostały uchwalone, my też jesteśmy, no w zasadzie na czas i druga sprawa to atak zimy także

zima dzisiaj przyszła, także na pewno wszyscy mieliśmy pewne kłopoty i tym bardziej dziękuję wszystkim że przybyli, zaszczycili dzisiejsze spotkanie, dzisiejszą dyskusję. W udziale przypadł mi głos wprowadzający do dzisiejszego panelu i to wprowadzenie wynika z podstawowej tezy którą zawarłem w książce „Scenariusze polityczne. Antykomunizm skuteczny”, jakże wiele przez te dwadzieścia parę lat wydarzyło się w Polsce. Był to czas tworzenia się opozycji demokratycznej wobec PRL, wyboru kardynała Karola Wojtyły na papieża, powstania „Solidarności”, wprowadzenia stanu wojennego, fenomenu niezależnego społeczeństwa obywatelskiego, mediacyjnej roli Kościoła katolickiego zmiany pokoleniowej w opozycji wiodącej do sukcesu Solidarności. Był to okres trudnego kompromisu okrągłego stołu zwycięstwa komitetów obywatelskich w 1989 roku, ale i czas wojny na górze, obalenia rządu Jan Olszewskiego i powrotu postkomunistów do władzy, była to wreszcie przegrana Lecha Wałęsy w wyborach prezydenckich, ale i czas udanej konsolidacji polskiej centro-prawicy i powstania Akcji Wyborczej Solidarność, i jej wyborczego zwycięstwa. Większość uczestników tych zdarzeń żyje

i nadal ma decydujący wpływ na naszą politykę myślę, że przysłowie „obyś żył w ciekawych czasach” doskonale do nich pasuje. W naszej historii to powiedzenie najczęściej związane było z tragicznymi wydarzeniami. Teraz jest inaczej – Polska znajduje się w bezpiecznym położeniu międzynarodowymi. Ma dobre perspektywy rozwoju na przyszłość w polityce wewnętrznej. Przez te lata zmieniły się sposoby uprawiania polityki związane jest to przede wszystkim z rolą i siłą nowych technologii. Moje pokolenie, które określiłbym jako dzieci drugiego obiegu coraz częściej współpracuje z młodszym pokoleniem dziećmi Internetu. Dawniej w polityce dominoowało słowo pisane i mówione, obecnie przeważa obraz oraz przetworzona przez nowoczesne technologie informacja. Uprawianie działalności politycznej uległo zdecydowanemu przyspieszeniu, ilość informacji pobieranych i wysyłanych jest już tak duża, że ich odpowiednie przetworzenie stało się koniecznością jednak wierzę, że przyszłość polityki to połączenie tradycji z nowoczesnością. Tak przynajmniej widzę przyszłość obozu polskiej centro-prawicy. Z przeszłości naszego obozu możemy być dumni. Zrealizowaliśmy nasze historyczne cele. Po

pierwsze: pokonanie komunizmu i likwidacja totalitaryzmu w Polsce, po drugie odzyskanie pełnej niepodległości, po trzecie budowa demokracji, i normalnego rynku, po czwarte członkostwo Polski w światowym systemie bezpieczeństwa NATO, po piąte: bliska perspektywa integracji z Unią Europejską, po szóste stworzenie mechanizmu dekomunizacji PRL, myślę tu o ustawie lustracyjnej o powołaniu Instytutu Pamięi Narodowej, po siódme wolny rynek mediów, i system praw obywatelskich, po ósme warunki dla rozwoju polskiej klasy średniej, po dziewiąte konsekwentne wprowadzenie mechanizmów gospodarki zrównoważonego wzrostu ekonomicznego, i wreszcie po dziesiąte narzucenie przeciwnikom języka, i zasad demokracji oraz wolnego rynku. Antykomunizm, więc w Polsce zwyciężył, ale nie oznacza to, że postawa antykomunistyczna straciła rację bytu. W nowej rzeczywistości politycznej naszego kraju. Istnieje potrzeba zaktualizowania i nowego zdefiniowania pojęcia antykomunizmu. Antykomunizm w swej klasycznej formie już nie istnieje w świadomości Polaków. Jeśli dziś mówimy, że komunizm upadł, to nie oznacza to że w naszym życiu nie ma już elementów komuni-

stycznego porządku, wręcz przeciwnie – siła komunizmu w Polsce jest wręcz ogromna. Dlatego ma sens mówienie o tym w odniesieniu do sfery polityki w stosunku do Sojuszu Lewicy Demokratycznej, partii politycznej, która uznaje, że jest organizacją, która kontynuuje działalność Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zarówno w sensie organizacyjnym i programowym jak też w sensie personalnym, bo dzisiejsi liderzy SLD to przecież w dużym stopniu dawni przywódcy PZPR. Tradycja polityczna SLD to spuścizna m.in. żeby za daleko nie sięgać cofnijmy się do czasów II wojny światowej, Polskiej Partii Robotniczej, Krajowej Rady Narodowej, Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego i Armii Ludowej, struktur w dużym stopniu zależnych i podległych ówczesnej centrali komunistycznej w Moskwie. Jeśli SLD odwołuje się do tej tradycji politycznej to musi sobie zdawać sprawę z politycznych konsekwencji takiego wyboru w dzisiejszej Polsce. Z kolei Akcja Wyborcza Solidarność, organizacja o antykomunistycznym rodowodzie, która jest w zasadniczym sporze politycznym z SLD odwołuje się do spuścizny z okresu okupacji m.in. rządu emigracyjnego, Państwa Podziemnego i Armii Krajowej, instytucji

niezależnych i walczących o niepodległość Polski. W swej tradycji politycznej AWS uważa się za kontynuatorkę tradycji opozycji demokratycznej, a zwłaszcza spuścizny Solidarności. Postawa antykomunistyczna oznaczała przede wszystkim niezgodę na brak suwerenności państwa polskiego, tak więc antykomunizm w Polsce zwyciężył wtedy kiedy Polska odzyskała niepodległość. Jednak nie oznacza to całkowitego zwycięstwa antykomunizmu, nastąpi ono wtedy kiedy spuścizna komunizmu w Polsce odejdzie do lamusa historii. Dziś na straży wielu elementów z tej tradycji stoi SLD. Jakie zachowania, jaką aktywność można uważać za nową formę antykomunizmu lub następstwo uprzedniej postawy antykomunistycznej. Można, nie uświadamiając sobie tego, być skutecznym antykomunistą nie należąc do żadnego ugrupowania politycznego i nie prowadząc tzw. działalności politycznej. Antykomunizm uprawiają bowiem w Polsce wszyscy, którzy rozumieją znaczenie procesu ciągłego tworzenia demokracji, posiadają i propagują wiedzę o świecie oraz sposobach rządzenia, i administrowania państwami, śledzą, i wnikliwie analizują małe, i duże zdarzenia ekonomiczne, biorą udział w życiu go-

spodarczym wolnego rynku jako pracobiorcy, i pracodawcy, szanują każdą własność a przede wszystkim prawo wolnego państwa. Najskuteczniejszy zbiorowy antykomunizm uprawia nie dyskutując nie rozmyślając na ten temat większość polskiego społeczeństwa, które tak aktywnie i sprawnie włączyło się w ekonomiczną i organizacyjną przebudowę państwa. Polacy narzekają i protestują, czasami są niecierpliwi i agresywni, ale tak właśnie korzystają z demokracji i tak właśnie w paradoksalny sposób propagują jej skuteczność. Krytyczne i aktywne społeczeństwo pomaga demokratycznie ustanowionej władzy rządowej i samorządowej w twórczym korygowaniu sposobów reformowania państwa. Tak więc dziś skuteczny antykomunizm w Polsce to dalsza przebudowa i reforma państwa. W tym zakresie rząd koalicji Akcji Wyborczej Solidarność i Unii Wolności jest najbardziej antykomunistycznym rządem po odzyskaniu przez nasz kraj niepodległości w 1989 roku. Aby odnosić kolejne sukcesy polityczne niezbędna jest dalsza reforma Akcji Wyborczej Solidarność. Dotychczasowa struktura AWS jako koalicji politycznej, pomimo ostatnio przeprowadzanych zmian idących w kierunku większej konsoli-

dacji i sprawniejszego sposobu podejmowania decyzji oraz lepszego, bieżącego kierowania Akcją jest niewystarczająca. Obecna struktura nadal podatna jest na zewnętrzne wstrząsy i jest w obecnym czasie już archaiczna. Niezbędne jest jak najszybsze przekształcenie AWS z koalicji wyborczej w jedną partię polityczną, z jednolitym kierownictwem i strukturami terenowymi. Powinna to być szeroka formacja, w której zmieszczą się wszystkie nurty programowe obecnej Akcji. Najlepszym momentem do zrealizowania tego planu są zbliżające się wybory prezydenckie. Byłby to czas wypracowania wspólnego programu nowej partii, ujednolicenia struktur. Kulminacyjnym momentem byłby zjazd zjednoczeniowy, który poparłby na kandydata prezydenta. Kiedy antykomunizm w Polsce będzie antykomunizmem skutecznym? Będzie tak kiedy obroni demokrację i odbuduje nadzieję. Ludzie biedni pozbawieni nadziei w swej rozpaczce będą atakować i lekceważyć demokratyczne państwo. Proces ten już się rozpoczął. Obecnie rządzący nie mogą zapominać, że za bezkrwawą rewolucję solidarnościową wielu ludzi zapłaciło za wysoką cenę. Wielu poniosło jedynie straty. Jest to przykre, ale realne. Opo-

zycja natomiast nie powinna oceniać bieżącej sytuacji w państwie jedynie w kontekście gry politycznej, gramy bowiem poważnie. Stawką jest demokracja. Dziękuję

Andrzej Urbański: Proszę państwa oczekujemy polemik. Poseł Jan Lityński, bardzo proszę.

Jan Lityński: Dziękuję bardzo. Pytanie dosyć trudne, dlatego że ja rozumiem, że szczególnie to ostatnie wypowiedzi Andrzeja dotyczyły wewnętrznej sytuacji AWS-u. A ja jak wiadomo co prawda jestem sympatykiem AWS-u i jestem zwolennikiem koalicji z AWS, uważam że jest to koalicja, która ma jeszcze do wykonania bardzo wiele rzeczy i uważam że jest to koalicja ciągle jeszcze przyszłościowa. Niemniej nie mnie sądzić o wewnętrznej strukturze AWS-u jak ona ma się przekształcać w jednolitą partię. Wydaje mi się, że Andrzej trochę uprościł sobie zadanie dlatego, że Andrzej sformułował taką tezę, że mamy do czynienia z historycznym zwycięstwem centroprawicy otóż ja mam pewne wątpliwości, dlatego że ja uważam, ja bym zdefiniował kto odniósł historyczne zwycięstwo, to raczej bym powiedział, że jest to historyczne zwy-

cięstwo Solidarności. Solidarności pojmowanej bardzo szeroko, właściwie nie jako ugrupowanie, które przybiera pewną barwę polityczną ale Solidarności jako rodzaju, ja odwołam się tu do późniejszego porównania Jana Marii Rokity, jako pospolitego ruszenia narodu, pospolitego ruszenia społeczeństwa, Solidarności jako pewnego sposobu zorganizowania się społeczeństwa, jako takiego sposobu zorganizowania się społeczeństwa, które rezygnuje właśnie z bycia antykomunistyczne, a propaguje coś zupełnie odmiennego od komunizmu, które spróbowało, rozumie, nie organizowało się pod hasłem: walczymy, jesteśmy antykomunistami tylko jesteśmy tymi kim jesteśmy. Tutaj powiem, czym była Solidarność w moim pojęciu. Otóż odwołałbym się do takiego pojęcia, które przez wiele lat funkcjonowało przez PRL. Właściwie było stale obecne pojęcie, które potem używała w swojej świetnej książce pani Torańska – *Oni*. Otóż w PRL bez przerwy mieliśmy onych, w ten sposób określaliśmy władzę wskazując na jej obcość, na jej inność jako coś zależne z niezależnym niezależnie od nas tylko, że charakterystyczne przez bardzo wiele lat obok onych, w momencie oni było pojęcie innych. Były

poszczególne jednostki, niekiedy buntujące się grupy społeczne. Natomiast nie było społeczeństwa, nie było narodu, jako świadomego podmiotu działań. Oni byli narzuceni, ale jednocześnie w taki sposób akceptowani. Bo byli akceptowani jako coś nieuchronnego na istnienie którego nie ma się żadnego wpływu. Próbowala to zmienić opozycja demokratyczna w latach 70-tych zakładając własne instytucje. Instytucje, które były zakładane przez opozycję, przez nas, ale przełomu dokonała dopiero pielgrzymka papieska, która zdefiniowała poprzez swą jakby papież poprzez szczególnie bierzmowanie na krakowskich Błoniach zdefiniował naród jako dojrzały podmiot, naród jako my. W ten sposób jak gdyby powstały warunki do stworzenia Solidarności. Solidarność była naturalną konsekwencją tych działań. My określiło się poprzez Solidarność, My określiło się jako naród który żądał należnych mu się praw. To w dalszym ciągu okazało się skuteczne. Polska i Polacy zyskali wolność, stąd też można powiedzieć że zwycięstwo historyczne jest. Naród się zorganizował, który się określił jako podmiot jako podmiot dzielny i niezależnie od tego, że potem nastąpił stan wojenny to ta definicja zdecy-

dowała o historycznym zwycięstwie Solidarności. Historycznym zwycięstwem narodu. Historycznym zwycięstwem społeczeństwa. Niezależnie od tego jaki ma się stosunek do okrągłego stołu ja rozumiem, że tutaj jesteśmy na tej sali podzieleni mamy różny stosunek do okrągłego stołu to niewątpliwie jedno trzeba powiedzieć, że niezależnie od tego czy się i jak się ocenia przywódców Solidarności przy okrągłym stole to przy okrągłym stole solidarność miała rację. Te dwie strony tutaj jest ta historyczna dyskusja z tymi którzy twierdzą że przy okrągłym stole zasiadły dwie, równe strony. nie nieprawda przy okrągłym stole zasiadły dwie strony z których jedna miała historyczną rację. Jedna miała i to rację narzuciła to drugiej stronie i w ten sposób Solidarność odniosła zwycięstwo jak gdybym powiedział w tym sensie to podwójnie. nie tylko poprzez to że rzuciła drugiej stronie pewien swój punkt widzenia ale także poprzez to że umiała to narzucić w tej postaci jakiej sobie założyła, w postaci ruchu który nie używa przemocy który unika przemocy. Tu możemy się odwołać oczywiście do całej wizji którą tworzył kapłan Solidarności Jerzy Popiełuszko i następnie, co możemy powiedzieć, nastąpiło wielkie zwycię-

stwo Solidarności w wyborach, aczkolwiek o czym musimy pamiętać, że te wybory wprowadziły w to wielkie zwycięstwo bardzo wyraźną nutę, który był elementem ostrzegającym. W tych wyborach przy całym entuzjazmie powiedziałbym, że przez cały czas Solidarności nawet u tych ludzi, którzy byli sceptycznie nastawieni do okrągłego stołu przy udziale Solidarności, przy całym tym entuzjazmie tych wyborów okazywało się, że w tych wyborach wzięło udział 60% uprawnionych do głosowania. Było to pewnego typu bardzo istotne ostrzeżenie, które mówiło o tym, że nie wszyscy Polacy stają się aktywną częścią społeczeństwa, czują się gotowi do wzięcia aktywnego udziału w życiu społecznym. To zwycięstwo w jakiś sposób zostało skonsumowane. Okazało się, że wbrew wszystkim obawom, że kartka wyborcza w momencie gdy ona staje się rzeczywistą kartką wyborczą ma ogromną siłę, że mimo że przy okrągłym stole skonstruowano konstrukcję sejmową, senacką, skonstruowano z której miałyby wynikać równowaga, „Tej równowagi nie było dlatego, że Solidarność odniosła druzgocące zwycięstwo w związku z tym Solidarność dyktowała warunki. Możemy się zastanowić dlaczego

wówczas komuniści czy PZPR zrezygnowała z walki o władzę, ale wydaje mi się, że w tej chwili ta dyskusja niczego tu nie wniesie. Natomiast niewątpliwie ta kartka wyborcza okazała się być silna i tu się zgadzam z Andrzejem. Demokrację, rynek tylko, że ja nie uważam za specyficzne cechy centro-prawicy, no jest to po prostu jedynie jest to dążenie każdego społeczeństwa do tego aby mieć demokrację. Wolny rynek przy wszystkich ograniczeniach tych dwóch pojęć, ale oczywiście jest to dla nas ewidentne, że bez tych pojęć nie stworzymy wolnego społeczeństwa. Tylko, że zwyciężając jednocześnie mieliśmy takie poczucie i wydaje mi się że to poczucie było u wszystkich ludzi związanych z szeroko pojętym obozem solidarnościowym, czy nawet rozszerzając obozem wolnościowym dlatego, że Solidarność to nie jest cały obóz wolnościowy, aczkolwiek znakomita jego część ogromna, jego najbardziej skuteczna część wówczas, że te 10% które zdobył Włodzimierz Cimoszewicz w wyborach prezydenckich, że to jest jakby całość co postkomuniści mogą osiągnąć. Wydawało nam się powiedziałbym że do tego dogodnego momentu poczucie słuszne że my jesteśmy rodzącą się polską demokracją że

tworzymy jakby wszystkie odłamy, wszystkie barwy polityczne, z którego polskie społeczeństwo chciałoby wybierać. I to przekonanie okazało się zgubne dlatego, że jeżeli sobie przypomnimy że wojna na górze, że jeżeli przypomnimy sobie to, że najostrzejsza krytyka na tworzący się system demokratyczny, na tworzący się system rynkowy wyszły właśnie z szeroko pojętego obozu wolnościowego z rozszerzonego obozu Solidarności i że tak jakby one zadały największy cios największy z drugiej części tego obozu powodując to m.in. to że w pierwszych wyborach prezydenckich bardzo spektakularną klęskę poniósł pierwszy premier tego obozu na rzecz człowieka który obiecywał taki socjalistyczny kapitalizm powołując się na to że jest przybyszem z zewnątrz ale prosząc odwołując się dokładnie do socjalistycznego myślenia do tego co From nazwał ucieczką od wolności. także tutaj mieliśmy do czynienia z walką i ta walka okazała się być walką która wykiełkowała niejako post PZPR pod jakąkolwiek nazwą się by nie ukazała i związku z tym ta walka spowodowała w dużej mierze to że Solidarność nie była i jej jednocześnie sukcesy właśnie Tymińskiego i Cimoszewicza spowodowały to, że Solidar-

ność nie była w stanie wykształcić własnej lewicy. Nie była w stanie wykształcić własnej lewicy Unia Pracy była eksperymentem mało udanym już Unia Pracy nie mogła się budować na bazie Solidarności, musiała się odwołać do uczciwych PZPRowców, którzy zrywają ze swoją tradycją. W związku z tym Unia Pracy musiała zostać zjedzona, została zjedzona od wewnątrz, poprzez swoich dawnych członków PZPR. od wewnątrz została zjedzona przez siłę SLD, ale tak naprawdę to Unia Pracy dostała niemożność stworzenia lewicy, wynikała moim zdaniem głównie z tego, że cały obóz solidarnościowy poświęcił się w dużej mierze walce między sobą, uważając że sprawa postkomunizmu w Polsce sprawa partii postkomunistycznej jest w zasadzie załatwiona że w zasadzie jest to partia bardziej 10–12%. Otóż powstanie rządu Unii Wolności a przedtem próba odbudowy tego nieudana próba przez rząd Hanny Suchockiej o której wiadomo jak się zakończyła, zakończyła się spektakularnym obaleniem tego rządu poprzez połączenie siły postkomunistów post satelitów komunistycznych plus radykalne antykomunistyczne siły obozu Solidarności zapewniło 4 lata władzy 2 partiom postkomunistycznym. Po-

wstanie rządu jako koalicji Unii Wolności i AWS było wyciągnięciem wniosków z tej historycznej porażki. czym się różniła w zasadzie ta koalicja różniła się chęcią do zmian. Koalicja AWS i Unii Wolności zadeklarowała, że można zaryzykować swoje sukcesy wyborcze można poświęcić dużo sukcesów wyborczych na rzecz zmian, na rzecz modernizacji kraju, na rzecz niezbędnych zmian po 4 latach zastoju poprzedniej koalicji. Powiedziałbym tak że część z tych zmian zostały dokonane natomiast jeżeli patrzymy się na to, co się dzieje obecnie w tej koalicji to w tej chwili mamy do czynienia z utratą tego politycznego kapitału, który zdobyliśmy w wyborach roku 97 ale co więcej mamy do czynienia w wielu przypadkach z powtarzaniem pewnych mechanizmów, które charakteryzowały koalicje SLD, PSL i co więcej które jak gdyby są mechanizmami nieodłącznymi od dziedzictwa, od postkomunistycznego dziedzictwa Polski. Stąd też, jeżeli Andrzej już mówił, tak aktualizował to ja mając przed oczyma wyniki badań opinii publicznej w różnych ośrodkach, gdzie nagle się okazuje że partia która jest partią ja tu się zgadzam z Andrzejem – która jest partią, która kontynuuje w pewnej personalnej,

PZPR-owskie tradycje, która od tych PZPR-owskich tradycji nigdy się nie odcięła, cały czas walcząc o PZPR-owską własność ta partia nagle się okazuje być partią która w badaniach opinii publicznej przekracza 40%. moim zdaniem jest to moment dzwonnka alarmowego i być może to spotkanie jest jednym ze spotkań które będzie dzwonnikiem alarmowym. ono oznacza, że koalicja AWS – Unia Wolności musi zmienić swój sposób prowadzenia polityki, musi zastanowić, musi jak gdyby stanąć w miejscu wziąć oddech i zastanowić się co dalej. Mamy półtora roku czasu jeżeli tego półtora roku tego czasu nie wykorzystamy to wówczas oddajemy, musimy mieć tą pełną świadomość. Oddajemy to historyczne zwycięstwo które ja nazwałbym historycznym zwycięstwem Solidarności, a Andrzej nazwał historycznym zwycięstwem centro-prawicy to zwycięstwo oddajemy na kilkanaście lat w ręce partii postkomunistycznych. Dlatego też jeżeli możemy o czymkolwiek dzisiaj myśleć to zastanówmy się nad tym, w jaki sposób mamy przez najbliższe półtora roku prowadzić politykę co nas czeka przez najbliższe półtora roku co musimy zrobić, aby do tego nie dopuścić. dziękuję bardzo.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo, bardzo proszę. Przypominam, że z panelistami też można polemizować. Bardzo proszę pana ministra Wojciecha Arkuszewskiego

Wojciech Arkuszewski: Ja oczywiście usłyszałem te tezy Andrzeja Anusza i to jest katalog sukcesów Jan Lityński przedstawił tu trochę inną wersję, ale też taką bardzo optymistyczną. Umiał to zakończyć to znaczy to, co mnie interesuje to jeżeli jest tak dobrze to dlaczego jest tak źle i dlaczego nie jesteśmy tak bardzo kochani przez ludzi. i ja proszę państwa, myślę, że chciałem to powiedzieć w trzech częściach. Po pierwsze: przedstawić pewien katalog pytań dotyczących tego o czym w tej chwili mówimy to są tezy dotyczące centro-prawicy, pojęcie centro-prawicy sformułował kiedyś Jarosław Kaczyński i je upowszechnił. Ono się upowszechniło w środowiskach polityków, ale gdyby państwo zrobili ankietę wśród wyborców na ulicę, co to jest centro-prawica to podejrzewam, że nikt by nie wiedział nadal. Po co on to zrobił uważał, że pojęcie prawica jest zbyt radykalne i trzeba przedstawić takie pojęcie czegoś umiarkowanego, rozsądnej prawicy tyle tylko, że ona krąży tak trochę bez konkretów.

gdybyśmy mieli zdefiniować kogo ona dotyczy i co to oznacza to byłoby nam trudno powiedzieć. Druga sprawa: tu została przedstawiona wydarzenia ostatnich 20 lat w Polsce. W obu tych wersjach, że jedna strona ma moralną rację, a druga strona jej nie ma, czy dotyczyło to okrągłego stołu u kresu komunizmu czy tego, co się stało po. to jest prawda. Ja się akurat z tym zgadzam, ale problem polega na tym, że druga strona się z tym nie zgadza. i to co na przykład różni nas od innych krajów polega na tym, że o ile aparat władzy w takim kraju jak Czechosłowacja został kompletnie skompromitowany i ludzie się wstydzieli przyznać że byli w partii, to ten spór, który tocymy z drugą stroną postkomunistyczną polega na tym, że ta druga strona uważa, że jej bycie w partii miało pewien sens. i my się z tym nie zgadzamy ale oni nie widzieli powodu, żeby się wstydzić swojej przeszłości. i to różni od byłych członków partii komunistycznej w Czechosłowacji, którzy się tego wstydzieli i to w dużym stopniu określiło różnicę sceny politycznej między Polską a Czechosłowacją. Druga sprawa: dysydenci na tej sali są i byli dysydenci, działacze Solidarności sprzed '89 roku mają poczucie sukcesu a tak naprawdę to jest zwy-

cięstwo za grobem. Gdyby państwo sporządzili listę członków Komisji Krajowej Solidarności z roku '81 i sprawdzili, kto z nich przetrwał w polskim życiu politycznym. Jakby państwo sporządzili listę TKK z roku '89 i zadali sobie pytanie, kto z nich przetrwał w polskim życiu politycznym jakby państwo zadali sobie pytanie o posłów OKP i spytali kto z nich przetrwał, to by się okazało że 99% wymiotło. Jeżeli to był sukces to dla czego ten sukces skończył się, że tak powiem, śmiercią tych, którzy ten sukces odnieśli. Głosy poprzednie były bardzo optymistyczne. wreszcie powiem dwie rzeczy bardziej optymistyczne, żeby państwo nie mówili, że jestem Kasandrą. mnie rzeczywiście fascynuje SLD, uważam Aleksandra Kwaśniewskiego, Leszka Millera i Józefa Oleksego za bardzo dobrych polityków i zawsze zastanawiałem się nad tym, jak to się dzieje że w badaniach opinii publicznej mają opinie bardzo kompetentnych polityków. Nie mogę sobie przypomnieć żeby cokolwiek zrobili poza oddaniem władzy w '89 roku. Otóż można się pocieszać, że nic nie zrobili konkretnego, ale można się martwić tym, że udało się zyskać opinię w opinii publicznej, opinię najbardziej kompetentnej partii, prawdę po-

wiedziawszy bez żadnej podstawy i ta opinia trwa i się poprawia. I to jest proszę państwa nasz kolejny problem. Jak ja się patrzę na nas i zastanawiam, na czym polegają nasze problemy to ja myślę że prawica w Polsce nie nauczyła się nigdy mówić do ludzi z pozycji władzy. Ma poczucie, że była w opozycji i umiała się zachować będąc w opozycji, ale z pozycji sprawowania władzy należy się zachowywać inaczej i prawdę powiedziawszy często w klubie trzeba było przypominać różnym posłom, że są teraz w obozie władzy i nie mogą zaczynać od krytyki własnego rządu. To świadczy o pewnej mentalności. ja myślę że wiele osób przyjemnością przeszłaby do opozycji by się dużo, lepiej w niej czuć niż będąc zapleczem takiego czy innego rządu. I jeżeli ludzie są w koalicji rządzącej i chcą być w niej nadal to powinni uczyć się zachowywać się jak część ludzi sprawujących władzę a to nie jest takie oczywiste. ale proszę państwa, to ja mówiłem o tym o naszym zachowaniu natomiast ja bym chciał powiedzieć tak, jak to jest naprawdę z sukcesem, bo tu zostały już wyliczone różne elementy tego sukcesu one w życiu są prawdziwe tylko, że to nie wszystko. bo tej prawdy, która polega na tym, że po pierwsze ten ustrój państwa jest ko-

ślawy i ja mam poczucie nawet że robi się bardziej koślawy niż kiedyś. Założono pewien system równowagi władzy po roku '89 i co my obserwujemy, ja powiem rzeczy same kontrowersyjne, za co przepraszam, niezależnie od sądownictwa ja uważam, że sądy są skompromitowane w Polsce, ich zachowanie. Sprawdzono urząd prezydenta któremu z jednej strony dość skutecznie ograniczano władzę równocześnie zwiększając jego podstawy prawne działania, bo prezydent jest wybierany w powszechnych wyborach i w oczach opinii publicznej jest źródłem władzy w całym państwie równocześnie był systematycznie tej władzy pozbawiany. Jak ja się spytałem kiedyś gdzie tak jest na świecie to pan profesor odpowiedział mi „tak jest w Austrii, gdzie w powszechnych wyborach wybrany prezydent jest bez władzy” ale to jest, nie należy opierać się na wyjątkach. Wprowadzono Senat po czym dość systematycznie ogranicza się uprawnienia Senatu. Senat od '89 roku każda kolejna zmiana konstytucji oznaczała ograniczenie uprawnień Senatu. Senat był pewną szansą ale Senat może stać się śmieszny. nie wiem, czy już się nie staje, za co bardzo przepraszam, jeśli są jacyś senatorzy na sali. Obok bieżącej polityki

musieliśmy się nauczyć w Polsce kultury demokratycznej uważam, że się jej nauczyliśmy w większym stopniu niż myślimy, trwa pewne porządkowanie sceny politycznej, ilość ugrupowań się zmniejsza. Trwa proces stabilizowania się rządu ale proszę państwa jest tak że Jerzy Buzek jest najdłużej urzędującym premierem w Polsce po '89 roku a jeżeli dotrwa do maja to może być najdłużej urzędującym demokratycznie wybranym premierem w historii Polski, bo przed wojną rekord należał do Władysława Grabskiego dwa i pół roku, ja mówię przed zamachem majowym. otóż to jest problem, bo w takim kraju jak Niemcy kancle-rze zmieniają się co 10 lat czy w Czechach czy na Węgrzech rządy się zmieniają od wyborów do wyborów a dla nas jest strasznym problemem gdyby rząd przetrwał 2 lata. Otóż to w moim przekonaniu świadczy o tym, że stabilizacja władzy w Polsce jest cały czas problemem, porządkowanie sceny politycznej jest cały czas problemem, bo jedność AWS-u jest cały czas problemem, nie jest czymś oczywistym i to jest jeden wymiar. O różnych innych sprawach mówiłem i ja zakończę żeby tego nie przedłużać bardzo i państwa nie zanudzić tym, że ja mam takie cały czas poczucie że jesteście blisko sukce-

su ale równocześnie nie udało się nam nigdy osiągnąć takiego poziomu jaki powinniśmy osiągnąć pewnego przyzwoitego minimum. ale towarzyszy temu, że w Polsce się dzieje dużo i wiele, wiele innych rzeczy niż w innych krajach i w moim przekonaniu przydałaby się lekcja skromności że bardzo dużo sukcesów w Polsce nie wynika z tego, że mamy bardzo dobre rządy czy bardzo dobrą klasę polityczną ale z tego powodu że w Polsce jest jedna rzecz, która w moim przekonaniu zdarzyła się tylko w Polsce coś co nazwałbym „polską dynamiką” tylko w Polsce rzeczywiście po wyborze Wojtyły na papieża nastąpiły pewne masowe pielgrzymki, które nauczyły ludzi zbiorowego uczestnictwa i religii w kulturze. Ludzie, którzy nauczyli się uczestniczyć w pewnej wspólnotcie tylko w Polsce, masy przeszły doświadczenie społecznego działania w Solidarności, w żadnym innym kraju komunistycznym się to nie zdarzyło, ale także tylko w Polsce przynajmniej do końca lat 80. parę milionów ludzi uprawiając „handel walizkowy” nauczyło się osobiście, poznało doświadczenie kapitalizmu. To było bardzo ważne. Ja mogę państwo dać jeszcze trzy kolejne rzeczy nie wiem czy dzisiaj zwrócili na to uwagę, że tylko

w Polsce powstał ruch prywatnych uczelni i prywatnych szkół. W Czechach dopiero w tym roku dokonano zmiany w prawie które tu umożliwiają w taki sposób że faktycznie jest to nadal nie możliwe a na Węgrzech możliwość tworzenia prywatnych uczelni istniała od paru lat tylko one nie chciały się rozwijać i w Polsce nastąpiła taka eksplozja, że ludzie zaczęli się uczyć. wielu z nas przeszło przez prasę podziemną, to była świetną szkołą gdzie trzeba było wiedzieć co jest ważne i wiedzieć jak to napisać, wiedzieć jak to wydrukować, wiedzieć jak to rozkolportować trzeba było jeszcze znaleźć czytelników do tego i ludzie się tego uczyli. Jeden z moich kolegów zwrócił mi uwagę, że tylko w Polsce byli eksperci, którzy funkcjonowali poza systemem komunistycznym, że w takim kraju jak Czechosłowacja do końca '89 roku nie było żadnego ekonomisty, który by się zajmował ekonomią poza państwowymi instytutami naukowymi i wszyscy się zajmowali socjalizmem, z wyjątkiem jednego człowieka, który w socjalistycznym instytucie akademii nauk zajmował się kapitalizmem, ten człowiek nazywał się Václav Klaus i potem zrobił karierę, bo był jedynym facetem, który zajmował się kapitalizmem. To dotyczy tak-

że różnych innych dziedzin, nie tylko ekonomii. Ja już kończę bo Andrzej mnie pogania. otóż proszę państwa, ja myślę że w Polsce ludzie byli bardziej mobilni, bardziej aktywni, łatwiej podejmowali działania i coś takiego się działo, że masa rzeczy się udawała, niezależnie od tego jak funkcjonowało nasze przywództwo i nasze elity i w szczególności jedna rzecz, że jeżeli byśmy przejechali samochodem, a ja przejechałem w tym roku, w lecie przez Czechy, Węgry i Słowację i porównali małe miasta w tych trzech krajach z małymi miasteczkami w Polsce to się okaże, że w małych miasteczkach w Polsce jest więcej prywatnych firm, jest więcej domów, które są zbudowane, widać, że coś się dzieje. a tam się wydaje, że przez ostatnie 10 lat się nic nie stało i w moim przekonaniu to jest ta zasadnicza dynamika, która się jakoś w Polsce wydarzyła i od tego czy my będziemy umieli pomóc się rozwinąć w przyszłości to zadecyduje o naszej przyszłości, natomiast jestem dość sceptyczny do tego na ile, jak dużo mogą zrobić politycy. Dziękuję

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo za pesymistyczno-optimistyczny głos. witając wszystkich, którzy przybyli witam jeszcze spóźnionego panelistę

pana posła Macieja Jankowskiego. bardzo proszę, Maćku

Maciej Jankowski: Już wszedłem niedawno, ale już sporo usłyszałem. nie mogę się z panem ministrem zgodzić przynajmniej w dwóch tezach na początku: komuniści się nie wstydzą – ani w Czechach, ani gdzie indziej. Prezydent Kwaśniewski przepraszał też i się wstydził. Komuniści tak jak to było dawniej wiedzą, za co i jak długo tam żadnej tezy o tym, że zawstydzeni czescy komuniści, prawda, czy jacyś bułgarscy czy inni, to jest bajka, nie ma tego. to jest rachunek, a nie kwestia etyki czy sumienia u nich. już długo dużo eliminującego się. Nie mogę się zgodzić bo w polityce to nie długość, ale jakoś świadczy o powodzeniu. nie tylko w polityce jest to ważne. Natomiast jest faktem, że my wielu rzeczy wstydzić się nie musimy i to co zrobiła prawica to są rzeczy ważne, bo jak się jeszcze przypomni, niektórzy za racji wieku nie pamiętają, niektórzy mają taką specjalność – nie pamiętają, że myśmy startowali ze świata totalitarnego. Nikt inny, nawet my żeśmy nie przewidywali, że tak pójdzie. no, a potem poszło, bo była dobra jakość materiału. przejście z totalitaryzmu, ze stanu wojennego w sys-

tem demokratyczny, to tylko niektórym z nas się wydaje że nam było wolno – to było cholernie szybko. To jest sukces i tych sukcesów można wymieniać dużo: NATO, wolny rynek, wolność prasy – dziesiątki są sukcesów. Jak się jeździ po Polsce, panie ministrze, bo nie tylko za granicę, po Polsce też warto to oglądać, to widać jak się Polska zmieniła. i widać, jak się rozmawia z ludźmi to nawet niektórzy narzekają, którzy podadzą dziesiątki przykładów niekompetencji władzy, korupcji, nepotyzmu, dziesiątki innych rzeczy, to jak się ich dokładnie pyta: a jak ty żyjesz?, porównując siebie kim, czasami przed rokiem ,89: nie no wiesz, Maciek, daję sobie radę – drugi dom buduję. Akurat to był rybak, gdzie ja ciągle w prasie i w telewizji słyszę jak to rybacy prawie zdechną z głodu za chwilę, bo rybek nie będzie. W porcie, byłem na statku i widziałem i tak jest w wielu, wielu miejscach w kraju. z centro-prawicą, z prawicą i z rządem naszym i z nami. Jest jeden poważny bardzo kłopot i to taki nam związkowcom dały. jak się rozmawia z kolegami czy jest się w zakładzie pracy oni wyciągają, prawda, certyfikaty różne ISO 9014 tamto i mówimy, to zobacz – mamy towar o świetnej jakości znacz-

nie tańszy niż niemiecki a bankrutujemy. Powód jest prosty – nikt nie wie, że oni ten towar mają. moim zdaniem to jest największa wina dzisiejszego aparatu władzy, że 90% społeczeństwa nie wie że mają dobry towar. We fragmentach – tak. charakterystyczne jest to chyba, Janusz tu siedzący może to potwierdzić taka rzecz – Polska uważana jest za kraj szalenie niebezpieczny. 70% ludzi mówi o tym, że żyje w kraju niebezpiecznym, ale 20-parę do 30% mówi, że czuje się niebezpiecznie u siebie na osiedlu, w pracy, tam gdzie żyje, czyli 40% mówi w ogóle tylko na podstawie wiadomości prasowych a nie rzeczywistego zagrożenia. a to jest dla oceny i funkcjonowania kraju kompletne co innego, 30, 40 a 70 prawda. to samo jest w wielu innych dziedzinach: w służbie zdrowia, potem mi ludzie mówią z miast, tam gdzie są normalni, normalnie funkcjonujący ludzie, to się dzieje coraz lepiej. Tam, gdzie jest to stary system ludzi, którzy żyją w państwowych szpitalach prywatnie uprzywilejowanych, którzy nie umiają zarządzać nie umiają się zorganizować – to jest fatalnie. Ja jak byłem w szpitalu na badaniach i po dwóch dniach uciekłem, dlatego że to wyglądało jak PGR sprzed 25 lat i to kiep-

ski PGR. To szpital, daj Boże, akademii medycznej. ale obok, np. ktoś umarł w szpitalu w Ostrołęce bo tam pojechał i mówi, że nie było, że w ogóle, ale my tego sprzedać nie umiemy. To jest problem. myślę, że w tej dyskusji nie należy za dużo mówić. To jeszcze dla mnie bardzo ważną rzeczą, oprócz tych sukcesów i oprócz kłopotu z umiejętnością sprzedaży to jest dekomunizacja. to może wielu z was nie przyjmie tego dobrze ale ja mówię, że bolszewizm to został w nas. z prostej przyczyny – że straciliśmy takie pojęcie władzy, jakie się w nas ukształtowało w okresie podziemia, gdzie wszyscy żeśmy mówili że władza to służba. kto o tym teraz pamięta. To jest nasz problem, najpoważniejsze, ja myślę że to że mimo dużych sukcesów naprawdę dużych przegrywamy w opinii społecznej to już jest tak że przeciętny człowiek nie odróżnia w tej chwili solidarucha od komucha. jak tamten zrobił to dobrze to tamten też robi to dobrze. Po prostu bardzo wielu z nas weszło nie zniszczyło te 96 systemu ale weszło w niego. Ja pamiętam rozmowę jeszcze zarządu regionu jak jest sprawa gospodarcza, prawda, i występuje jeden z ważnych takich młodych biznesmenów komunistycznych i kolega bardzo antykomuni-

styczny uczestniczy we wszystkich, najbardziej drastycznych demonstracjach i mówi do mnie: „ty załatw to do mnie! dlaczego?; no bo wiesz, jest mi to potrzebne dla fabryki; zgoda; ale jakby przecież ty tak straszliwie klniesz na komuchów a przecież jest to komuch; a on mówi: a mój komuch. no to później to szybko idzie, prawda, coraz bardziej mój, to moi ludzie, ale sposób myślenia zaczyna być inny, dogadywanie zaczyna być inne i wcale nie należy się dziwić, że postrzeganie przez ludzi jest podobne. Ja myślę, że centroprawica może osiągnąć w Polsce sukcesy, bo jest potrzebna ale wtedy kiedy będzie się wyraźnie różnić, nie krzykiem, a zachowaniem. jeżeli będzie pokazywać, że jest skuteczna. Zauważcie że nasza skuteczność bardzo często się rozmywa przez partykularny interes. Teraz proszę zobaczyć skarb państwa, gospodarkę. jeżeli myśmy mówili o tym, że utopia to jest osiąganie sprawiedliwości społecznej mówi, że ktoś jest sprawiedliwy to była racja. ale żeśmy mówili, że do pewnego systemu racjonalności to będziemy dążyć. a zobaczcie co się dzieje z płacami w przedsiębiorstwach państwowych z udziałem skarbu państwa. Był okrzyk o samorządach – to w porównaniu z docho-

dami przedsiębiorstwa jest pryszcz. W Warszawie prezes państwowego przedsiębiorstwa bankrutującego powoli od 2 lat zarabia znacznie więcej niż prezydent Warszawy. tylko nie 2 mln ludzi tylko 200 osób niecałe i żyje, utrzymywany przez naszych ludzi naszej władzy. Tego są dziesiątki przykładów. Ludzie bardzo nam zaufali, kiedy wiedzą że urzędnicy tego państwa występują przeciwko związkom zawodowym, w tym też Solidarności, łamiąc prawo i nic. także ja myślę, że Polsce jest potrzebna centroprawica. politycznie wszystkim ugrupowaniom wchodzących w skład AWS-u, przecież to potwierdzały badania – nie mają żadnych szans osobno, żadnych. według ostatnich badań to po za RS AWS nikt nie przekroczy 5% no ale, czy dla RS AWS będzie zaszczyt jak będzie miał 5,6? albo 4,9 co już się zdarzało kiedyś w naszej historii, prawda? Czyli trzeba, po prostu, realizować co do siebie mówili, dlatego że zjednoczenie prawicy w koalicji było zjednoczeniem doraźnym. Myśmy przecież planowali w całym programie działania AWS-u, że koalicja wyborcza jest formą przejściową, że szybko przejdzie do federacji, później do normalnego ugrupowania i to jest, wynika to z rachunku ale nie tylko.

Zauważcie jedną sprawę, że w dzisiejszych partiach politycznych z racji ich skromności bardzo też i etatowej następuje selekcja negatywna. nie ma pozytywnej selekcji, bo nie ma na to miejsca. ludzie zajmują różne stanowiska, bo na przykład takiej partii przypadło na nikogo innego tylko to musi być kolejka. to ludzie widzą widzą właśnie jakość. z drugiej strony Wojtek powiedział prawda, że myśmy wchodzili mieli dużą ilość ekspertów. mieliśmy. a gdzie oni są? oni odparli świadomie, ja rozmawiałem z premierem Buzkiem czyli on ze mną, zaraz po wyborach czy byś mógł porozmawiać z ludźmi z ośrodków naukowych z centrum Smitha, Czy byście mogli przygotować listę potrzebnych ludzi? nie na stanowiska. ludzi, którzy rzeczywiście będą służyć, wiedzą, że większość dobrych to całkiem zawodowo dobrze sobie radzi. Większość prawników dobrych to może poradzić, ale nie pójdzie na etat państwowy, bo on zarabia 4 razy więcej. i oni mu odpowiedzieli: no dobra, jak dzieci odchowam, skończą studia, no to wtedy mogą publicznie zadziałać wtedy, bo to trudno moja emerytura mniej więcej, to mogą, prawda. ale proszę przykład daj – 60 po 2 miesiącach oni nie dali odpowiedzi, po 2 od miesiącach spotka-

nia. W sumie było tak, że nam dali listę a to może ona gdzieś zginęła, no tam drugi raz. następnie po 3 miesiącach ani jednej odpowiedzi. a jasne jest, że żadna poważna formacja polityczna, chcąc sprawować władzę bez sięgnięcia do ludzi mądrych, niezależnych niebojących się mówić, nieuwikłanych w interesy bezpośrednio swoje nie przeżyje i nie będzie długo funkcjonować. Dziękuję.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. Ja też pozwolę dorzucić krótki głos, a ponieważ jestem jedyną osobą bezpartyjną tutaj to ja myślę, że niestety przebiję w pesymizmie moich przedmówców. Otóż po pierwsze zgadzam się oczywiście, co powiedział Andrzej Anusz o historycznym zwycięstwie centroprawicy, nie definiując tej centroprawicy w tym sensie zgadzając się z Janem Lityńskiemu, że jest to przede wszystkim zwycięstwo narodu, Solidarności i później ugrupowań, które potrafiły to zwycięstwo jakby sformułować zanim zostało osiągnięte. ale jest jednak druga prawda. obok wielkiego jeszcze 12 lat temu niewyobrażonego zwycięstwa jest to co jest dzisiejszym problemem o którym tutaj już mówiono, czyli to co ludzie centroprawicy sami sądzą o sobie,

a sądzą źle i to co sądzi o nich społeczeństwo a sądzi jeszcze gorzej. Badania i opinie badanych są bezwzględne – centroprawica jest postrzegana jako formacja klęski i chaosu, nieustającej kłótni i braku profesjonalizmu. Mimo tych 10 prawdziwych punktów które wymienił Andrzej Anusz, że to zwycięstwo jest w dużej mierze dzięki niej. ludzie na pytanie, jaka partia jest najbardziej politycznie sprawna. To są konkretne badania, odpowiadają: SLD. jaka partia jest uczciwa? SLD. jaka jest fachowa? SLD. Jaka dba o rozwój samorządności, chociaż nie chciała reformy samorządowej? SLD. Kto dąży do poprawy zwykłych losów zwykłych ludzi? SLD. a kto dobrze dba o pozycję Polski w świecie? też, proszę państwa, SLD i to są dwukrotne przewagi w stosunku do Unii, AWS-u, nie mówiąc już o pozostałych. W tej wyliczance AWS przewodzi tylko w jednej pozycji: jako ugrupowanie o chlubnej przeszłości – muzeum. te wyniki są katastrofalne, jeżeli chodzi o polityczną praktykę, choć jednocześnie z wielu innych badań wynika, że Polacy cenią doceniają Solidarność i centroprawicę i Unię Wolności za to że obaliły w Polsce komunizm – to było 10 lat temu. a także cenią za wszystkie reformy,

w których wyniku Polska wraca do rodziny państw normalnych, demokratycznych, wolnorynkowych i bezpiecznych. Mamy, więc do czynienia z zadziwiającym paradoksem – Polacy nie cenią sobie centroprawicowych rządów, chociaż bardzo oni wszyscy cenią sobie reformy, które po 1989 roku w zasadzie tylko te rządy przeprowadzały. Jeżeli politycy i intelektualiści związani z centroprawicą nie będą potrafili zdiagnozować dobrze tego paradoksu, najbliższa polityczna przyszłość nie będzie najciekawsza. Najłatwiejsza wypowiedź brzmi, że reformy bołą szczególnie kiedy się je wprowadza w życie i że bardziej się lubi tych, którzy nic nie zmieniają, niż tych, którzy zmieniając burzą święty spokój. Jest to jednak odpowiedź nie zawsze prawdziwa, bo kiedy porównać dwie kadencje Ronalda Reagana i prawie trzy kadencje Margaret Thatcher to się okaże, że skuteczne reformy nie muszą oznaczać politycznej klęski. Odpowiedź druga, musi w moim przekonaniu uwzględniać pewne karygodne zaniedbania obecne we wszystkich kolejnych ekipach rządowych. Brak społecznej debaty nad sensem i celem zmian, nad koniecznością przekonywania ludzi, że te wysiłki są właśnie dla nich, a nie dla ta-

kiego czy innego widzi mi się. SLD to zaniedbanie w ogóle nie przeszkadza, bo ludzie po spadkobiercach PZPR takiej debaty nie oczekują. zupełnie inaczej czują i reagują ludzie wielkiej, posierpniowej Solidarności – dla nas debata była przez całe lata, szczególnie w stanie wojennym i później jedynym sposobem komunikowania się z społeczeństwem i jeżeli rządy centroprawicy unikają tej debaty to tak naprawdę zrażają swoich, własnych zwolenników. Trzecia odpowiedź powinna uwzględniać inną ważną sprawę – wytłumaczenia się przez politycznych spadkobierców Solidarności ze złych skutków polskich reform, złych skutków tego dziesięciolecia. doskonale wiemy, że dla wielu ludzi, którzy przyzwyczaili się do warunków PRL w nowej rzeczywistości pojawiło się wiele bardzo poważnych, a wcześniej nie znanych zagrożeń. wielu z tych ludzi tworzyło 10-milionową Solidarność – teraz nie tylko są zrażeni do polityki, ale często wierzą tym, którzy wykorzystują zaniechania centroprawicy w tej sprawie. Przyczyn, dlaczego jest tak źle, chociaż jest tak dobrze jest zapewne więcej, dlatego też ów paradoks jest, w moim przekonaniu silny, bo przecież jak powiedział Andrzej Anusz – „antyko-

munizm uprawiają w Polsce wszyscy, ale ci sami antykomuniści głosują na SLD i Aleksandra Kwaśniewskiego”. dziękuję państwu i zapraszam do dyskusji. pan poseł Gwiżdż.

Jerzy Gwiżdż: Ja chciałem bardzo państwa przeprosić, że ja krótko ale będę mówił jednak jak, poseł poprzedniej koalicji rządowej, to znaczy który ma tekst a tekstu nie zna i o tym tekście będzie mówił. ja jestem z Andrzejem Anuszem w tym samym klubie parlamentarnym, ale tak się złożyło że Andrzej Anusz prowadził kampanię wyborczą Hanny Gronkiewicz-Waltz, a ja – Lecha Wałęsy, stąd proszę się nie dziwić że jak coś powiem to powiem w takim tonie, że jestem za tym co Andrzej Anusz mówi, ale nawet przeciwko temu co Andrzej Anusz, czasem, mówi. otóż w szczególności jestem przeciwko temu co w niektórych tezach wygłasza Andrzej Anusz i pisze też w tej książce, bo jednak dwa fragmenty udało mi się przeczytać na temat tego jaka jest rola Lecha Wałęsy na dzisiejszej scenie politycznej a także jaka była w przeszłości. Otóż nie będę oczywiście mówił, dziś już nie ma sensu to trzeba było pewnie jakieś duże spotkanie dyskusyjne temu poświęcić na temat roli Lecha Wałęsy w pol-

skim życiu politycznym i w przemianach, które nastąpiły – one są zasługi oczywiste są też pewne uchybienia, są niedoskonałości, które tylko przypisuje się często Lechowi Wałęsie a od Lecha Wałęsy były niezależne albo tylko współzależne. ale są też takie okoliczności z którymi zgodzić się nie mogę przywołane w tej książce. tak to jest że dzisiaj nasza klasa polityczna często wycofuje się z tego co kiedyś powiedziała to ja też chce się wycofać z tego jednego zdania, które Andrzej Anusz tutaj przytoczył w tej książce, że Hanna Gronkiewicz-Waltz mogła wygrać wybory prezydenckie w '95 roku. Moim zdaniem, kiedyś tak powiedziałem, ale nie w tym kontekście który jest przytoczony w książce – Hanna Gronkiewicz-Waltz i nikt inny oprócz Lecha Wałęsy nie mógł wygrać w roku '95 wyborów prezydenckich, dlatego że mamy tego doskonały dowód w wyniku – to jest wynik 48–52 a nawet troszkę na rzecz Kwaśniewskiego i nikt nie byłby w stanie osiągnąć takiego wyniku bez mobilizacji zaplecza politycznego i pewnej tradycji na polskiej scenie politycznej, istnienia od dłuższego czasu. Przykro mi to powiedzieć wobec niektórych tutaj ludzi ale muszę to powiedzieć, że Lech Wałęsa nie przegrał dlatego, że

sztab źle pracował i że zawaliły debaty, które prowadził Wiesław Walendziak. nie – Lech Wałęsa przegrał dlatego, że bardzo pomogli mu niektórzy którzy powinni być sojusznikami. Trzeba jasno powiedzieć – po tylu latach i przed następnymi wyborami można to powiedzieć. na Lecha Wałęsę ani na nikogo innego z prawicy nikt nie pracował przez 4 lata. Na Aleksandra Kwaśniewskiego pracowano przez 4 lata, na Lecha Wałęsę przez 3 ostatnie miesiące kampanii pracowało bardzo niewielu ludzi, dlatego kiedy było potrzeba poparcia jednego człowieka tak naprawdę przed ostatnią rozgrywką – rozchorował się a okazało się, że poparcie samej partii nie wystarczyło. taka jest prawda. Mielśmy te wybory wygrane. ale mieliśmy te wybory przegrane także z głupoty. spotykam jedną panią, 2 dni po wyborach i ona płacze i ona mówi: „wie pan, przeze mnie nawet Kwaśniewski wygrał, bo się z mężem pokłóciłam byłam pewna że Wałęsa wygra 2. turę i na złość mężowi głosowałam przeciwko”. Babskie zachowanie? Nie tylko, jak sądzę. to jest pierwsza sprawa, o której chciałem powiedzieć, z którą się nie zgadzam. druga sprawa dotycząca obecnej sytuacji Lecha Wałęsy na polskiej scenie politycznej. no panowie.

to pytanie także do Andrzeja Anusza: dlaczego Lech Wałęsa jest po za AWS-em? dlaczego Lech Wałęsa nie został wysłuchany w tym co mówił na początku a teraz się sprawdza? I pytanie na które nie odpowiem: a czy rząd ten był, który ma jednak niskie notowania bo 15 punktów poparcia, przy rządach, zachowanych rządach prawicy rzeczywiście przy władzy gdyby prezydent Lech Wałęsa był dzisiaj? Nie, rozwiązałby parlament albo zmienił rząd, na inny prawicowy. ale chcę powiedzieć o tym co jest w koalicji na koniec tylko jednym jakby zdaniem, mianowicie takim oto że dzisiaj się mówi o tym, że chcielibyśmy mieć sukces a sukcesu nie mamy. bo to jest chyba tak z tym dążeniem przez koalicję AWS do sukcesu przy wszystkich zasługach które zostały wymienione i ich nie chcę deprecjować jak ze mną będzie za 2-3 lata albo za 10, bo ja jestem nie za młody albo z warszawską defiladą – to jest takie dążenie do sukcesu: wola jest, ale ochota przeszła. Dziękuję.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. ale jeszcze raz przypominam że tematem naszej dyskusji jest zwycięstwo centroprawicy, a nie książka Andrzeja Anusza, bardzo proszę o kolejne głosy.

pan poseł Wielowieyski, widziałem, notował wytrwale. bardzo proszę! proszę bardzo! pan Andrzej Jankowski

Andrzej Jankowski: Ja chciałem krótko Andrzejowi podziękować za słowo skuteczne przy książce a powiedzieć już o centroprawicy padło wiele słów na temat dlaczego, prawda dlaczego jest tak, że jest tak dobrze są argumenty dlaczego społeczeństwo o tym nie wie. no to ja powiem jak człowiek, który właśnie nie chciałby mówić o polityce a mówić właśnie o gospodarce, tam się już to wszystko wolnorynkowo profesjonalizowało, tam się mówi o marketingu tam się mówi o tym że jak jest sok, który się nie sprzedaje to trzeba go wypróbować. tam się mniej mówi a panowie bardzo dużo uczciwie o tym mówicie co poprawić we własnym działaniu, żeby się sprzedawało. Moim zdaniem po prostu polega na profesjonalizowaniu prostej rzeczy opakowania tego wszystkiego. czyli mniej emocji wkładamy w tę dyskusję wewnętrzną jak ten mechanizm powinien działać a więcej jak dotrzeć do tych ludzi, jakimi kanałami dystrybucji, w jaki sposób to zrobić. nie ma co szukać trzeciej drogi, ta trzecia droga tu w Polsce i eksperci od tego są tylko oni właśnie się zajmują sokami. Dziękuję.

Andrzej Urbański: Bardzo proszę, serdecznie zapraszam – pan Adam Sandauer

Adam Sandauer: Jeżeli mam tu mikrofon to może stąd. proszę państwa, to że antykomunizm jest skuteczny jest to dość oczywiste. Ja myślę, że nie było okresu, w którym nasze polskie społeczeństwo życzyło sobie tego systemu. nie było go nigdy i w naszym państwie były takie dwa przełomowe momenty: rok '20 – postawienie tamy przed bolszewizmem, który szedł na całą Europę. ja myślę, że jeżeli patrzeć się z historii na tamte czasy to trzeba powiedzieć, że to co stało się nad Wisłą było przełomem ponieważ załamała się koncepcja rewolucji światowej wtedy i to zrobiła polska armia i to co stało się u nas w naszym kraju w roku '90 to że mamy dzisiaj wolną Polskę. natomiast nie jest tak że my wszyscy będący spadkobiercami ruchu Solidarności nie jest tak, że my wszyscy powinniśmy się definiować jako po prostu wrogowie systemu który był niechciany, bo trudno robić definicję jakiegoś ruchu społecznego dzisiaj na zasadzie wobec przeszłości. Ja myślę, proszę państwa, że jeżeli mówimy o komunizmie, jeżeli chcemy się definiować jako odnosząc się

do tamtego czasu to trzeba zdać sobie sprawę z tego co to za maszkara jedna w tamtych czasach była. bo niewiele to miało wspólnego z zapisami Marksa, czy Engelsa czy klasyków komunizmu tylko to było po prostu coś co było nawrotem do systemu feudalnego azjatyckiego feudalizmu w Rosji, przywleczonego na bagnety Armii Czerwonej do naszego państwa. i chyba jeżeli mówimy o skutecznym antykomunizmie to po prostu mówimy o tym, że dzisiaj wszyscy będący na tej sali jesteśmy zwolennikami wolnego państwa obywatelskiego i to chyba jest i to do czego zmierzamy. dziękuję bardzo.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo.

Jan Lityński: Za głosem Adama, który standardowo można jakoś polemizować dlatego że czy to co robił Lenin ma wspólnego z Marksem, a moim zdaniem dyskusja ma dużo wspólnego moim zdaniem dyskusja jest bardziej akademicka, natomiast poprzednie dwa głosy zabrzmiały moim zdaniem dosyć niebezpiecznie dlatego że polityka to nie jest sok, tu nie chodzi o opakowanie właśnie chodzi o wnętrze i jeżeli my te dwa głosy dwóch pokoleń bardzo mnie

zaniepokoiły, dlatego że naprawdę opakowanie w polityce jest oczywiście ważne, jest istotne. Ci technicy sprzedaży polityki są istotni. W polityce najważniejsza jest treść, to co się ofiaruje to co się daje to co władza ma do powiedzenia i jak władza z tych obietnic z tego co ma do powiedzenia jak się z tego wywiązuje. problem załamania się naszego rządu właśnie wynikał z tego że nasz rząd zbyt, powiedziałbym, zawierzył reklamie, że pamiętamy przed niecałym rokiem mieliśmy takie nawet przed kilkoma miesiącami mieliśmy takie ogromne plakaty – 4 wielkie reformy społeczne. Były to doskonałe z doskonale zrobioną – uśmiechnięci ludzie i w ogóle we wszystkich broszurach rządowych występowali – uśmiechnięci, szczęśliwi ludzie. Tymczasem nasz rząd nie powiedział że reformy będą trudne że będą coś kosztowały że dlatego SLD rząd SLD i PSL się nie lubią bo one są trudne, nie dlatego że im intelektu nie starczało i tych opakowań, oni – SLD i PSL mieli dostatecznie – i intelekt i opakowanie. nie mieli dostatecznie odwagi. Natomiast myśmy pokazali, myśmy tej odwagi nie pokazali, myśmy zamiast tego pokazali blichtr pokazali blask, zamiast mówienia o tym, czy rzeczywiście będą reformy i czym

one się skończą. trzeba powiedzieć, jaki jest scenariusz tych reform i dlaczego my je robimy. I tutaj myśmy przegrali, co więcej myśmy przegrali nie dlatego że nie mieliśmy odpowiednich techników od reklamy, tylko dlatego że to co obiecywaliśmy, nie wykonaliśmy tego. Przypomnijmy sobie – premier Buzek obiecywał: „mój rząd będzie się różnił od poprzednich rządów stosunkiem do wartości”. otóż tego, po pierwsze: nie pokazaliśmy, nawet jeżeli się różnimy, a po drugie sam mam wątpliwości czy się tym różnimy.

Andrzej Jankowski: Ja króciutko tutaj wracam, nie będę przeciągał tematu ja właśnie dlatego chciałem powiedzieć w polityce głównie się zajmuje wnętrzem a mniej właśnie tym jak to sprzedać jakby ten głos to potwierdza – ja nie powiedziałem, że technika jest ważniejsza od polityki. Broń Boże, nie siedziałbym pewnie na tej sali przy promocji tej książki i zgadzam się z panem posłem absolutnie, że ten rdzeń jest najważniejszy. Ważne jest tylko żeby wiedzieć jak to sprzedać, jeżeli jest 10 punktów pozytywnych a jednak społeczeństwo o tym nie wie, no to jest jednak problem techniki a nie polityki. Dziękuję.

Andrzej Urbański: Bardzo proszę, pan wicepremier Janusz Tomaszewski.

Janusz Tomaszewski: Ja po wystąpieniu Maćka Jankowskiego chciałbym powiedzieć że akurat ja mogę spokojnie zabrać głos bo już nikomu bardziej podpaść nie mogę więc chyba że żonie, jakby już jest spokojnie do tego chciałbym podejść. Na pewno przez te wszystkie wypowiedzi, które państwo słyszeli i przebija jedna rzecz, że jest możliwe żeby w kraju w demokratyczny sposób można było realizować swój program polityczny, program centrowpawicy, program polskiej chadecji. A więc wiele tych bardzo ważnych założeń. jest tylko potrzeba chyba tego czego nam brakło w '93 roku, pewnej zgody po tych latach kiedy tak naprawdę Polska nie była państwem demokratycznym, kiedy brakowało tych partii politycznych i to że mieliśmy ich w pewnym momencie 386 chyba się nie mylę w tych wszystkich rejestrach to był taki naturalny odruch bo ludzie chcieli zacząć sami decydować, sami mówić, sami się organizować. Skończyliśmy z jedną słuszną linią jedną słuszną partią i dlatego mieliśmy tak bardzo bogaty może pejzaż polityczny w naszym kraju. po '93 roku kiedy no nie tylko partie polityczne ale i związki

zawodowe startowały do parlamentu i to się dla nas wielu raczej gorzką pigułką skończyło, bo pamiętam tę noc wyborczą, kiedy zamiast przewidywanych 15% dla Solidarności było tylko 4,9 i razem z Tomkiem Wójcikiem siedzieliśmy, nie wiedzieliśmy co naprawdę odpowiedzieć w tej telewizji. Przy zadawanych pytaniach i jupiterach to była taka lekcja, że pomimo tych zmian które nastąpiły w 90. latach. Można przypominać słusznych idei, słusznych celów, akceptowanych przez większość przegrać po prostu wybory parlamentarne. Tym że jesteśmy podzieleni, czasami pokłóceni, czasami o bardzo proste i błahe sprawy i myślę, że w tej książce przynajmniej przerzucając że tak na pierwszy, jest parę rzeczy które powinny być takim abecedem dla partii które chcą istnieć na scenie politycznej chcą tworzyć własną rzeczywistość, a więc tym żeby być partiami skutecznymi. No tutaj Andrzej ujął to co chyba łączy ludzi wszystkich na tej sali – antykomunizm skuteczny. i tutaj w '96, '97 później w wyborach udało się to pokazać że możemy być jako również to ugrupowanie centroprawicowe, chadeckie to co właśnie przed chwilą niektórzy mówili że jesteśmy takim obrazem skłóconym ugrupowań czym

się najbardziej charakteryzujemy że potrafimy to przełamać i potrafimy iść razem pokazać pewien spójny całościowy program. Ten program również myślę, że dobrze opakowany w tych wyborach potrafił przekonać ludzi, że są potrzebne reformy są potrzebne zmiany żeby się inaczej żyło żeby to inaczej funkcjonowało. no my zaczęliśmy od dwudziestu paru. Później było czterdzieści parę ugrupowań w tym AWS. Myślę że w tym AWS-ie nastąpił pewien proces no jest praktycznie 4 ugrupowania polityczne, a więc to już jest ogromny sukces na tej skali. Tylko wydaje mi się że tak jak to zawsze z Polakami bywało, z oficerami z ich honorem i wszystkim, że potrafili wspaniale walczyć, przelewać krew wygrywać doprowadzać do wolności ojczyznę a później w dziecinny sposób jakoś to wszystko przegrywać, chociaż mieli we wszystkim rację postępowali słusznie i sprawiedliwie. I tak się obawiam i to jest chyba takie pytanie wynikające z przerzucenia tej książki – czy my potrafimy dziś jako ugrupowanie które ma władzę koalicyjną doprowadzić do tego żeby to nie było tak jak do tej pory – że potrafiliśmy wygrać poprawić zmienić a kto inny będzie spijał po prostu ten sukces. I wydaje mi się że brakuje jakby

w tym wszystkim, w tych słusznych działaniach wspaniałych ideach chyba jednego – tego że jeszcze nie nauczyliśmy się, jako liderzy tych najróżniejszych ugrupowań, nie nauczyliśmy się jednego, przygotowywać pewnej strategii politycznej działań, nie na dzisiaj nie na jutro ale na rok, dwa, pięć lat, dziesięć lat aby wiedzieć jak osiągnąć i co osiągnąć, bo ten rząd którego byłem również członkiem rzeczywiście przełamał pewne bariery bojaźni przed opinią społeczną, polityczną ale koalicja powinna to wziąć pod uwagę. Powinna wziąć pod uwagę że przyjdzie moment kiedy albo zdecydujemy się udowodnić społeczeństwu że to my jedyni mamy słuszną rację albo wyciągniemy wnioski z opinii społecznej które płyną i będziemy chcieli dalej realizować nie tylko przez pierwsze 4 lata ale przez kolejne 4 lata skutecznie swoją politykę. Myślę, że takim przykładem może być chociażby sąsiad zza Zachodu, który przez 16 lat realizował własną politykę i nie zawsze pokazując to że jego koncepcje jego rozwiązania są jedyne i słuszne, ale potrafił wziąć pod uwagę krytyczne oceny potrafił zmieniać swoją politykę w zależności od potrzeb jednocześnie nie odchodząc od celów które sobie postawił na samym początku,

bo przecież kiedy usiedliśmy wtedy w dwadzieścia kilka tych ugrupowań na początku. To każdy, miał postawił jeden najważniejszy problem, który powinien być problemem numer jeden dla całego AWS-u. i gdybyśmy nie przyjęli takiego rozwiązania że zaczynamy budować program od tego wszystkiego co nas łączy i nie dzieli, to zdaję mi się, że skończyło go się tak jak wcześniejsze próby budowania skutecznych koalicji i na 3 tygodniach może 2 miesiącach i byśmy się rozeszli w kolejnym kontekście budowania kolejnych propozycji formowania jakiś struktur. Na pewno stoimy teraz przed takimi bardzo ważnymi decyzjami które powinny zapaść – czy chcemy rzeczywiście zafunkcjonować przez 4 lata zrobić ogromne zmiany i mieć w historii złotą kartkę, może w kolejnej książce? czy chcemy realnie i możliwie skutecznie przez wiele lat zrealizować te cele które były dla nas ważne może nie przez ostatnie 2 lata ale przez ostatnich 10, 20 i 30 lat i jeszcze dalej. dziękuję

Andrzej Urbański: Bardzo proszę pan posel Mieczysław Szczygiel

Mieczysław Szczygiel: Szanowni państwo, Andrzej chyba użył dwóch

spraw, o których mówimy. jakby napisał tylko „Scenariusze polityczne” prawdopodobnie nie byłoby to o czym myślimy. Napisał antykomunizm skuteczny; wszyscy i wszystkim wam się zdaje że bierzemy w tym udział. i ja ten udział porównam do tego co mówił Maciek i do tego co mówił poseł Lityński. że Maciek Jankowski mówi że opakowanie jest ważne. poseł Lityński mówi że w środku to co jest ważne, że trzeba to połączyć to proszę sobie przypomnieć takie dwie rzeczy: skok Kozakiewicza i bieg Bronka Malinowskiego. Wyobraźcie sobie w tamtym czasie takie dwa wydarzenia i wyobraźmy sobie dalej jadąc, dalej jadąc tym tropem czy udałoby się udałoby się bez mediów? Bez połączenia tego i mówienia prawdy. Dlatego ja dzisiaj martwię się tymi wynikami, ale mam prawo tak mówić, że jeżeli przy normalnych rozwiniętych i prawdziwych przekazach, nasz wynik z tamtej akcji z '93 roku i później z ostatniej byłby na pewno inny. I na dzisiaj porównywanie tego bez opakowania i bez tego wnętrza nie ma żadnej racji, żadnej racji. Racja jest jedna – musi to pójść razem, musi to pójść razem bo jeżeli nie pójdzie razem to będziemy tak jak dzisiaj jesteśmy postrzegani, nacpujemy się będziemy robić i co? co

tydzień co nowego co trudniejszego co tydzień notowania lecą. i nie lecą przez to że naprawdę jest tak źle. To co mówił Maciek: pojedźmy po Polsce, popatrzmy może nie mamy tych chwytów medialnych. nie mamy tego wszystkiego, ale mamy jeszcze jedną rzecz o która, trzeba walczyć. nie mamy dobrej prasy, dobrej telewizji za sobą i nie będę mówił dlaczego nie będę mówił dlaczego. Jestem przekonany że większość tych stwierdzeń, które są tu w tej książce zawarte i w samym sensie tego polega na tym też że dwie rzeczy muszą iść razem: to co robimy musi być opakowane musi być szczere i jeszcze musi się ktoś znaleźć żeby chciał to uczciwie sprzedać, ale ktoś musi kupić, panie posle. bardzo proszę pan poseł Andrzejewski

Roman Andrzejewski: Proszę państwa, ja chciałem się podzielić pewną refleksją. wydaje mi się że na to co dzieje się u nas w kraju trzeba chyba spojrzeć od innej strony trochę. mianowicie, można byłoby wszystko to o czym mówimy wytłumaczyć sobie bardzo zresztą klarownie całą naszą historią i tym co przeszliśmy. Dla mnie jest to zupełnie oczywiste że tak musi się kształtować demokracja, oczywiście można w jakiś sposób przyspie-

szać te procesy, można je przez pewne nierozsądne postępowanie opóźnić, ale to chyba jest normalne, że tak to przebiega. Bo jeżeli spojrzymy na przykład na obóz centroprawicowy to proszę zwrócić uwagę on się rodził w wielkich bólach po prostu dlatego że tutaj nie było polityków w tym obozie, oni po prostu pojawiali się oni się uczyli w sposób bardzo stopniowy. Było bardzo mało osób na samym początku którzy się zajmowali polityką. w tej chwili mamy na przykład okres zupełnie nowy w centroprawicy. Mamy zjawisko jak gdyby powszechnego udziałów w polityce w życiu politycznym. To oczywiście powoduje określone konsekwencje bo styl uprawiania polityki bardzo na tym ucierpiał ale z drugiej strony mamy powszechne zainteresowanie polityką, czego nie było jeszcze na przykład w czasie pierwszych wyborów parlamentarnych to są te różnice. I to wszystko chyba można byłoby klarownie wytłumaczyć. ale ja chciałem właściwie powiedzieć o czymś innym, mianowicie co było specyfiką tych przemian u nas w naszym kraju. Oczywiście tą specyfiką była Solidarność, bo tylko w Polsce była Solidarność, ale czym była Solidarność? Moim zdaniem tutaj trzeba na to spoj-

rzeć z dwóch stron, z różnych stron. Solidarność jako to pospolite ruszenie jako taki wielki ruch sprzeciwu, jako pewna idea bardzo mocno rozwinięta w naszym kraju – to jest to wszystko o czym zresztą mówił Janek Lityński – to była ta jedna Solidarność, o której mówimy i to oczywiście jest coś wspianego co zostało dostrzeżone przez wszystkich chyba na świecie. I Solidarność ma tą swoją drugą stronę medalu. Mianowicie Solidarność od samego początku była pewnym instrumentem świadomie skonstruowanym instrumentem służącym różnym celom w różnych okresach. Przecież Solidarność jako niezależny samorządny związek zawodowy powstał po to żeby w tamtych warunkach można było prowadzić skutecznie walkę z tamtym systemem, bo tylko w takiej formie można było skonstruować tę organizację. i proszę państwa, jeżeli tak spojrzeć to właściwie jedyny okres kiedy ta strona organizacyjna Solidarności była spójna z tą pewną ideą i z tą działalnością którą prowadziła to chyba był tylko i wyłącznie ten okres niejawni nielegalnej działalności Solidarności w latach 80., bo zaraz potem Solidarność znowu stała się instrumentem w różny sposób wykorzystywany, bo przecież po '89

roku to nie NSZZ Solidarność była tym podmiotem politycznym, to był komitet obywatelski potem ruch komitetów obywatelskich w wyborach samorządowych, a Solidarność właściwie była tym instrumentem wykorzystywanym w różny sposób bądź to do organizacji wyborów bądź też do konstruowania pewnych innych organizacji. Ona była wykorzystywana przez klasę polityczną zawsze ja zresztą nie mówię tego w sensie jakimś negatywnym, bo po prostu być może w tym sensie Solidarność odegrała swoją historyczną rolę. I sądzę że tak patrząc na Solidarność, a były próby aby ta Solidarność jako związek, jako organizacja odegrała inną rolę. Mam tu na myśli pierwsze wybory parlamentarne gdzie Solidarność występowała w tych wyborach, te drugie o których tutaj już była mowa, gdzie uzyskaliśmy te 4,9% głosów. I pierwsze i drugie były porażką Solidarności w tym względzie bo oczywiście oczekiwania były zupełnie inne. I to była nieudana próba. I teraz proszę państwa przy konstrukcji Akcji Wyborczej Solidarność przecież Solidarność odegrała rolę instrumentu bo tak naprawdę członków Solidarności może to w tym sensie interesowało, budziło pewną nadzieję ale nawet zaangażowanie członków

Solidarności w samo tworzenie Akcji Wyborczej Solidarność było stosunkowo niewielkie tym się zajmowali powiedzmy wąskie grona działaczy. Ja sądzę, że do tej pory ta, oczywiście, ta pierwsza Solidarność jako ten wielki ruch społeczny ona się skończyła już chyba po '89 roku. Ten nurt Solidarności jak gdyby stracił to znaczenie, które odgrywał w przeszłości. Natomiast ta druga rola Solidarności tego powiedzmy instrumentu w konstrukcji jak w różnych konstrukcjach politycznych u nas, ona do tej pory chyba jeszcze funkcjonuje. Sądzę że patrząc w przeszłość porządkowanie tej sceny politycznej tworzenie tej sensowne centroprawicy, tworzenie tej jednej partii o szerokim programie z czym ja się oczywiście zgadzam że tak powinno być to wymaga również rozstrzygnięcia tych problemów właśnie z pomiędzy tą Solidarnością która jest wykorzystywana a tymi ludźmi z Solidarności, którzy chcą to wykorzystywać. Wydaje mi się, że to jest jedna z kluczowych spraw, zresztą to zostało dostrzeżone po to powstał Ruch Społeczny AWS aby ten etap zakończyć. Natomiast jest to proces który się ciągnie i chyba on będzie w dużym stopniu decydował o przyszłości centroprawicy.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. bardzo proszę pan poseł Kazimierz Janiak.

Kazimierz Janiak: Proszę państwa. przysłuchując się najpierw wypowiedzi osób siedzących za stołem jak i również tych którzy biorą udział w dyskusji. mówimy o polskiej centroprawicy mówimy o jej sukcesach mówimy o jej porażkach nie po to żeby siebie przygnębiać ale po to by z naszych działań wyciągać te wnioski po to by budować polską prawicę i ją wzmacniać. Bardzo często przejawia się w wielu dyskusjach nurt zrzucania winy nie na siebie tylko na kogoś innego. i w moim przekonaniu choć dziś tu był poruszony problem polityki informacji, drodzy państwo, ja powiem że polska centroprawica patrząc przez okres 10 lat nigdy nie potrafiła i nie umiała prowadzić w sposób właściwy tej polityki informacyjnej i dzisiaj z przykrością to mówię również jej nie ma i rząd jak i nie ma jej klub parlamentarny Akcji Wyborczej Solidarność. i to jest nasz ból bo gdybyśmy my tą politykę informacyjną we właściwy sposób prowadzili to te media, które mówimy że nie są w naszych rękach czy by chciały czy nie musiałyby przekaz medialny, w sensie informacji

społeczeństwu prowadząc swoją działalność przekazywać – i to jest jedna kwestia i to jest myślę ten element nad którym polska centroprawica jeśli chce funkcjonować. W świadomości społecznej, chce docierać nie tylko do swojego elektoratu który w pewnym sensie jest żelazny ale zdobywać i poszerzać ten elektorat musi jak najszybciej zmienić. Obraz polskiej centroprawicy również musimy zmieniać poprzez swoje zachowanie. Proszę państwa, w moim przekonaniu my nie potrafimy siebie nawzajem słuchać. Nie potrafimy dochodzić do tych racji które przedkłada nam nasz kolega z którym wspólnie tworzymy centroprawicę. Chcemy pozostać przy swoim myśleniu i przy swojej racji która niejednokrotnie była racją właściwą. Zobaczcie państwo w jaki sposób przez te ostatnie 10 lat kiedy będąc podzieleni zostawialiśmy przy swoich racjach traciliśmy poparcie społeczne. dla polskiej centroprawicy. W moim przekonaniu najważniejszą rzeczą jest określenie wartości i celów do których powinniśmy zmierzać. W moim przekonaniu taką wartością dla nas wszystkich jest Akcja Wyborcza Solidarność, podmioty ją tworzące ale nie po to by ją rozbijać. Nie po to by promować tylko swoje skrzydła

czy ewentualnie swoje partie, ale po to by poprzez działania konsolidacyjne zmierzać do jedności i jednolitej struktury i pokazywać te struktury społeczeństwu w działaniu skutecznym, nie tylko na arenie politycznej ale również i informacyjnej. Myślę jednej rzeczy również nam brakuje, nam jako Polakom: wszędzie gdzie udajemy się na Zachód, gdzie spotykamy się z ludźmi wszyscy są pełni podziwu dla naszych przemian. Nikt na świecie tej drogi nie przechodził. Nikt nie zrobił tyle ile myśmy zrobili przez 10 lat. bo po prostu w społeczeństwie zatraciliśmy i radość a przez tą utratę radości tracimy motywy do dalszego działania i dalszych nadziei. i myślę że jeśli nie braknie nam wzajemnej solidarności jeśli nie braknie nam wizji wspólnego celu i wytrwałości w działaniu to o los polskiej centroprawicy możemy być spokojni. Dziękuję bardzo.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. Bardzo proszę a jednak pan poseł Wielowieyski.

Andrzej Wielowieyski: Dziękuję bardzo. wszystkim jestem bardzo wdzięczny Andrzejowi Anuszowi i za książkę i za tę okazję spotkania i wam

wszystkim panelistom, dlatego że bardzo dużo zyskałem na tym co mówił Janek i Wojtek i Maciek, to były rzeczy bardzo poważne, czasami może kontrowersyjne ale one przedstawiały nam ten obraz Polski, w której tkwimy i te wyzwania możemy jeszcze tu przypomnieć. Artykuł posła Jankowskiego sprzed kilku tygodni kiedy wysuwał wyzwania przed nami. Ja powiem bardzo niewiele bo nie jestem taki prawie jak Gombrowicz taki, nie wiem, szalony czy zarozumiały żeby coś za bardzo mniemać tutaj. Ale jedną rzecz domniemam, myślę że istotnej rzeczy na pewno nie u wszystkich ale u bardzo wielu tkwi poza tą spuścizną poprzednich ustrojów poprzednich rzeczywiście ustrojów bo to już nie pamiętajmy, że 2 miesiące przed wyborami to tych jakoś zorientowanych, tych co chcieli to było może 30 może 40% na a później to się trochę przekreśliło, ale na początku było wychodziliśmy z takiego stanu jaki był, prawda, społeczeństwo było bardzo słabe, zdemoralizowane i przestraszone. Otóż to jest istota rzeczy – żyjemy w lęku. Przepraszam, to właśnie może nie do nas – żyjemy w społeczeństwie które jest bardzo wystraszone i na tym wystraszeniu w określony sposób gra „Radio Ma-

ryja” czy powiedzmy inne ugrupowania skrajno-radykalno-prawicowe czy w każdym razie nie tradycyjno-lewicowe i na tym bardzo sprytnie, bardzo mądrze gra doświadczone SLD na tych lękach. Dlatego że oni oczywiście przyjmują i są częściowo zainteresowani i w reformach w wolnym rynku i tych reformach które świetnie rozumieją których się bali to Janek mówił bardzo trafnie i oczywiście przyjmują NATO i przyjmują Unię Europejską ale wszystko robią na zasadzie że trochę inaczej ostrożnie prawda jak jej nie zapłacimy tyle tamtej unii prawda i te reformy to właśnie wolniej albo inaczej i zawsze inaczej i zawsze jakoś na przeciw tym lękom. Tym lękom, bo rzeczywiście ludziom jest ciężko i te rzeczy im nie wychodzą, to jest ta pierwsza chłostająca odpowiedź na to jakby się śniło i wspomniano tutaj, pan Sandauer nawet słusznie chociaż to tak troszkę było jakby na boku tej dyskusji ale to było dobrze powiedziane prawda bo warto wspomnieć tutaj Hitlera czy czasy Stalina w obydwu przypadkach, ta duża część młodzieży właśnie za nimi poszła za Stalinem też. na tej zasadzie to w kabarecie w tym filmie „Kabaret” było dobrze powiedziane po angielsku to brzmiało prawda „The future belong

to me.” – nasza jest przyszłość, na tej zasadzie szły te ustroje, a my nie jesteśmy w stanie wykrztusić tego że ta przyszłość jest nasza i ta przyszłość jest wasza tak jak my wam proponujemy prawda, tak jak my idziemy w tym kierunku nawet jeżeli część z was się boi. no to co było tutaj mówione ten brak nadziei to jest ten brak umiejętności sformułowania tutaj te wszystkie rzeczy o opakowaniach są oczywiście aktualne że ta przyszłość należy do nas i związku z tym ja strasznie przepraszam dzisiaj najbardziej dynamicznych i dzielnych polityków bo to może zupełnie nie moja sprawa ale ta dzisiejsza młodzież oczywiście za 6, 8, 10 lat to ona podejmie to najprawdopodobniej jeszcze z większym dynamizmem te że tak powiem osiągnięcia polskiej dynamiki o której tutaj była mowa te powiedzmy jakieś wartości kapitału polskiego prawda w naszym dorobku – one mogą być podjęte prawdopodobnie przez młode pokolenie za te kilka lat w sposób niewspółmiernie silniejszy, ale gdybym się nam udało dzisiaj sformułować w sposób już szczegółowy i politycznie rozwinięty to że przyszłość należy do nas i do was i żeby przy tym wszystkim te „my” o którym też była mowa było bardziej rozwinięte.

Kończę trzecią uwagą że największą przeszkodą w tworzeniu się tej świadomości, że ta przyszłość jest nasza tutaj, już mi ktoś powiedział trochę o potrzebie radości jakiej przy tym nawet bardzo nieśmiało i ukrytej to jest żeby to zrobić jest jedna wielka przeszkoda, znaczy jest jeden brak i jedno zagrożenie – tym brakiem jest niedostateczna tożsamość niedostateczna tożsamość AWS-u. bo ja nie wiem jak to osiągnięcie jest to wasza sprawa AWS-u i moja sprawa i nasza wspólna sprawa i solidarnościowców i tych którzy by chcieli to się tam nazywa jakoś dziwacznie pewną centroprawicą ale którzy chcieliby to popychać. my musimy, znaczy AWS musi mieć tożsamość chciałbym żeby się umiało pięknie nazwać. Niełatwa to sprawa i my razem musimy mieć elementy własnej tożsamości. Poczuję to jak podstawowe wyzwanie dla Unii Wolności także żebyśmy mieli tożsamość minimum żebyśmy mieli tożsamość wspólną z wami i żeby to głośno mówić i żeby się do tego dorabiać, oczywiście bywają kłopoty na tym tle jeden z moich wybitnych kolegów, prawda miał organizacyjne kłopoty jak coś tam próbował podkreślać że to się będzie robić razem ja nawet rozumie te sytuacje z pewnego punktu

widzenia i te reakcje ale wielkie wyzwanie polega na tym że wy potrzebujecie tożsamości innej i my też z wami potrzebujemy wspólnej tożsamości. natomiast z tymi co z boku jest czymś co bardzo przeszkadza w tworzeniu tej tożsamości i co najmocniej umacnia w lękach w każdym razie nie pomaga w budzeniu nadziei to są nasze spory i kłótnie. Na to nie ma rady, przepraszam że wyważanie drzwi otwartych rzecz w ogóle śmieszna, Jankowski wszystko już o tym też napisał prawda, ale to jest to co – jeżeli Millerowi się udaje przy na pewno jak kto tam ktoś mówi tych nie wiem tam z chwytności się za gardło pod dywanem, prawda tam się wszystko kotłuje u nich też, prawda ale tego nie widać tego się nie czuje jest tylko spokojny uśmiechnięty dobrotliwy Miller który coś tam mówi. Względnie pocieszającego do narodu. Na tym tle nawet najsympatyczniej i jak najbardziej po ludzku wyglądający Buzek obok tego co się dzieje między naszymi ugrupowaniami w środku naszych ugrupowań to nie mamy szans. Nie mamy szans jeżeli nie potrafimy nawet walcząc o jakieś własne racje czy o jakiś stołek czy o jakieś wpływy i istnienie prawda to nie dałyby temu rady. Kończąc wydaje mi się że jedyną szansą czy ratun-

kiem zwłaszcza w konfrontacji najbliższych wyborów jest jakieś pobudzenie i rozbudowa naszego instynktu samozachowawczego, bo to nie tylko mniejsze ugrupowania w AWS-ie także i nas to dotyczy prawda. W próbie instynktu samozachowawczego żeby ta nasza utrzymywalność statusu społecznego, wpływów politycznych, wpływów w koalicji, prawda zasadniczo ograniczyć dlatego że jeżeli nie przydusimy prawda ujawniania tych naszych problemów wewnętrznych to nie mamy żadnej szansy ograniczenia tamtych rynków i wzbudzenia czyjejkolwiek nadziei.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. pan poseł Marek Markiewicz.

Marek Markiewicz: Bardzo dziękuję, szanowni państwo nie miałem zamiaru mówić czegokolwiek ale po apelu pod adresem AWS-u o zachowaniu tożsamości to ja muszę jednak słowo powiedzieć, bo to jest główny wątek tej całej debaty dzisiaj która prześledźmy tak jak ona przebiegała. bronię pana, panie Andrzeju zakończył pan że centroprawica wygrała po czym owszem wygrała ale coś takiego jak naród upostaciowiony w Solidarności a potem wygrało coś takiego jak

dynamika typowa dla Polski nietypowa dla innych krajów. pytanie z kim wygrało i dlaczego wygrało zniknęło czy w 10 czy w 15 minucie naszej debaty. Tu jest pytanie o tożsamość, które pan marszałek postawił na które ja starałbym się odpowiadać nie definiując centroprawicę bo ona się sama definiuje i tu jest jej wielkie nieszczęście od 10 lat co męczy wszystkich ale pytanie co definicję lewicę o której tu ani słowa nie było. Lewica to jest to o czym powiedział pan poseł Lityński że to jest lewicą, dlatego że Solidarność swojej nie wytworzyła a Unii Pracy się nie udało. To tak mniej więcej nikt tego wątku nie podchwycił. Tymczasem mamy do czynienia z sytuacją dość interesującą otóż w Polsce lewica przybiera terminologię ideologiczną od dawna nie będąc formacją ideologiczną. podczas gdy my wpędzamy się w sferę wartości z roku na rok. Jesteśmy krajem w którym dokonał się fenomen rewolucji w której twórcy dawnego systemu po raz pierwszy chyba w historii nie poszli pod ścianę a zostali legitymizowani. Nie jestem zwolennikiem stawiania nikogo pod ścianę. ale nagle się okazało że lewica w Polsce nie charakteryzuje się wartościami ideowymi bo właśnie ta zmiana pokazała że to

jest pole najbardziej odsuwane przez nią na bok, potrafiła się przekształcić z lewicy komunistycznej w socjaldemokratyczną co dla każdego kto czytał dzieła klasyków marksizmu było by do nie wyobrażenia na przykładzie renegata Kautskyego nie za bardzo to przeszkadzało tymczasem jednak byli ciągle lewicą, czy różnili się w modelu gospodarki? Czyli akcentowali walkę klas oraz antagonizmy wynikające ze sfery podziału – nie, w ogóle ta sprawa została odsunięta na bok, wreszcie czy szukali swojej tożsamości w sferze wartości? tak można odpowiedzieć ale dokładnie niedefiniowanych publicznie. Otóż rozpoczęli gdyby każdy parlamentarzysta sobie to przypomniał koledzy z lewicy walkę ze sferą wartości opartą o jedną tylko instytucję czyli o Kościół, najsilniejsza walka jaka się toczyła w ostatnich latach w Polsce dotyczyła nauki religii w szkole oraz sprytny był to zabieg zastąpienia potocznego terminu „skrobanka” aborcją co dawało bardzo proste i naukowe znaczenie sięgając do łatwych dosyć wzorów społeczeństwa. W tym sensie mówię nie jako obrońca Kościoła tutaj tylko chce pokazać gdzie się toczyła walka rzeczywiście ideologiczna. Wreszcie trzecia sfera to jest odwoływanie się do resentyment-

tów typowych dla Polski rzeczywiście specyficznych gdzie Polacy są ludźmi wierzącymi a w istocie antyklerykalnymi, i ten resentyment został wykorzystany w ciągu ostatnich 10 lat. Za każdym razem to co było technologią działania lewicy budziło pewną niechęć w dużej części społeczeństwa do prawicy która tę część wartości ideologicznej akcentowała bądź akcentowała nadmiernie, i teraz w tej dyskusji pojawiło się pytanie – czy szukać starcia na polu ideowym? To ja pytam z kim? Wartości ideowe drugiej strony w zasadzie się same wyprały albo zostały pragmatycznie wyprane, czy też stosować technologię sprzedaży soków, odwołując się do przekonania że oni są sprawniejsi w przekazywaniu informacji w sprawowaniu władzy to my tak samo powinniśmy być sprawni. Teraz to pytanie które pan marszałek postawił tożsamość. Jeżeli pan Andrzej zaczął od tego że wygrała centroprawica to ja powiadam że wygrała z tą formacją która nią nie była, nie mówię że z lewicą z tym obozem który do tej pory sprawował władzę. Wygrała z określonych powodów. Przegrywa przez to, że nie umie tego zaprezentować, odwołując się do głębszych wartości zniszczonych przez wiele lat, ale trwa także że defi-

niując sama siebie nie umie wyraźnie powiedzieć gdzie pragmatyzm łączyć się musi z wartościami. To jest pytanie duże szersze, za kilka lat wejdziemy do jednego wielkiego obozu pragmatycznych konsumentów, Internetu i komputerów i wtedy ta różnica się zatrze. i być może te scenariusze polityczne w tej chwili podsumowywane muszą w tej debacie wyraźnie znaleźć odpowiedź: czy szukamy polityków jako dobrze opakowanych sprzedawców soków czy szukamy polityków o jawnie jaskrawe zdefiniowanych wartościach? Ja powiem że w Polsce nie ma opozycji między prawicą a lewicą bo lewicy w istocie ideowo nie ma najwięcej jest jej po naszej stronie i to wcale nie jest złe. ale jeżeli to sobie uświadomimy to wtedy łatwiej szukać własnej tożsamości.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. bardzo proszę o odpowiedź ministra Wojciecha Arkuszewskiego. krótkie podsumowanie

Wojciech Arkuszewski: Ja nie bardzo wiem na co odpowiadać. powiem że bardzo dziękuję organizatorom za to że mnie zaprosili bo uważam że brakuje nam debaty i dyskusji i miałem takie poczucie że nie można nigdzie

z nikim porozmawiać to po raz pierwszy od dawna wreszcie widzę jakąś grupę która chce między sobą porozmawiać ale ja bym powiedział w ten sposób że to co tu powiedziano mnie nie zadawała, znaczy w moim przekonaniu trzeba kontynuować dyskusję i to jest właściwy moment powiedzmy 2 lata po wyborach i 2 lata przed wyborami. Jeżeli osiągniemy zgodę tego co trzeba dalej robić to możemy prawie wszystko ale możemy także prawie wszystko zmarnować. dziękuję

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. pan poseł Jan Lityński

Jan Lityński: To co mówił pan poseł Markiewicz było niesłychanie interesujące, ale chciałbym zwrócić uwagę że prawdziwy triumf na razie na szczęście na razie i tylko w badaniach opinii publicznej lewicy był wtedy kiedy lewica utożsami się poprzez to co pan poseł opisywał to następnie zrezygnowała z antyklerykalizmu. Lewica w tej chwili od 2 lat i w ogóle te akcenty antyklerykalne są tylko po to by podtrzymać pamięć ale właściwie nic więcej, lewica zrezygnowała z tego całkowicie. Natomiast mnie się wydaje, że jest coś takiego – z Solidarności z roku ,81 wcale te spory nie przeszkadzały.

Myśmy się bardzo kłócili o przyszłość Solidarności, byliśmy wiecznie skłóceni. nic nam nie przeszkadzało. Dlaczego? dlatego że wiedzieliśmy do czego dąży przy wszystkich różnicach i przy wszystkich anonsach między sobą kiedy dochodzących do które prowadziły do bardzo ostrych sporów wręcz do bitwy. Moim zdaniem nam też teraz nie spory szkodzą, tylko nam szkodzi nieumiejętność współdziałania a nie sporu, nieumiejętność wyciągania z tych sporów wniosków. otóż no nic charakterystyczne że na tej sali w zasadzie jak się tak spojrzy może się myśle, ale wydaje mi się że jest jeden jedyny członek rządu i to jest członek rządu który w tym rządzie stał się w porpoczty, do rozmów z parlamentem. Jest to Wojtek Arkuszewski. Nie ma żadnego innego członka rządu. otóż nie ma mediacji. Otóż jeżeli się porówna rządy lewicy rządy SLD to rządy SLD cały czas prowadziły rząd cały czas prowadził mediacje z własnym klubem parlamentarnym który był znacznie bardziej jednolity niż jest nasza koalicja cały czas wszystkie pomysły były sprawdzane w parlamencie najpierw w klubie parlamentarnym. W wyniku tej mediacji wywodził się pewien kształt polityki który był akceptowany całkowicie przez klub

SLD. U nas się dzieje zupełnie odwrotnie, ja mogę pokazać przykłady, nie będę tych przykładów pokazywał, ale mogę powiedzieć coś innego – kiedy ja się zajmuję polityką społeczną kiedy ja zostawałem w takim biegu z Ewą Tomaszewską zostawałem zwięźcą do funkcji przewodniczącego i zostałem przewodniczącym to Ewa straszliwie narzekała że liberał zostaje przewodniczącym jak komisja będzie prowadziła politykę społeczną. Otóż obecnie kiedy przychodzą pomysły rządowe do komisji polityki społecznej to my z Ewą mniej więcej podobnie reagujemy z wyjątkiem być może rzeczy marginalnych. Mamy poczucie, że jesteśmy dodatkiem do pewnej polityki którą rząd nam narzuca i cały czas nasze kluby mają takie właśnie poczucie. Jeżeli nie ma tej mediacji pomiędzy rządzącymi a tymi którzy mają tą wolę rządzenia wykonywać, jeżeli nie wyłonić tego kształtu sensownej polityki a jest rząd który narzuca rozwiązania które są jedynie słuszne i które w parlamencie padają. Myśmy zrobili ostatnio pewien numer – rząd nam zgłosił do parlamentu projekt aby emerytom którzy są poniżej wieku emerytalnego zakazać pracy. I co? Przestraszyliśmy wszystkich tych emerytów, wepchnęliśmy ich dokład-

nie do obozu SLD, są to przypominać policjanci wojskowi, nauczyciele, górnicy i wiele innych zawodów i dokładnie do obozu SLD po czym rząd na skutek tego oporu musiał się cofnąć. Jeżeli tak się będzie uprawiać politykę, jeżeli nawet sensowne pomysły rządu będą w ten sposób narzucone parlamentowi to wówczas niewątpliwie ten wynik który obecnie mamy, powiedziałbym, ten sposób rządzenia znacznie mniej szkodził jej wolności, chociaż też szkodził jej wolności szkodzi wizerunkowi znacznie bardziej AWS, który znacznie bardziej czuł stał się bardziej czuły na te sprawy. Ja mam wrażenie w ogóle że dzieje się coś takiego – ten sposób rządzenia wyciska elektorat społeczny AWS-u i przenosi go ponad głowami Unii Wolności do SLD. Ja nie mam badań na ten temat, ale jeżeli tego nie zmienimy, jeżeli w dalszym ciągu kierownictwa klubów będą pasami transmisyjnymi do mas, a posłowie mają być maszynami do głosowania, to niewątpliwie poniesiemy klęskę. Niewątpliwie to co mam do powiedzenia i to co mamy do zrobienia jeszcze jest rzeczą na tyle ważną i atrakcyjną że możemy to zrobić i możemy zyskać poparcie społeczne.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo, pan poseł. rozumiem, że posłowie głównie klaskali, pan poseł Maciej Jankowski

Maciej Jankowski: Janek diagnozę wysunął dobrą ale przykłady dobrał nie najlepsze. ale diagnoza prawidłowa. natomiast gdyby tylko te najważniejsze rzeczy wyciągnąć. Marek Markiewicz w końcówce nie miał racji nie w wywodzie tylko w samej końcówce – wcale nie musimy wybierać, czy polityk ma tworzyć dobre jądro i dobre centrum czy zajmować się opakowaniem. w tym właśnie tkwi nasza choroba – polityk ma dbać o treść o środek ale opakowaniem to się zajmą profesjonaliści, tylko trzeba z nimi współpracować. to jest jedno wyjście. i żeby też nie przedłużać, to jedna rzecz która w najbliższym czasie nam może grozić bo bardzo dobrze jak mówimy o przekształceniu AWS-u w jednolitą formację bo innej drogi specjalnie nie ma, co potwierdzają wszystkie możliwe fakty prawda i wszystkie możliwe badania. natomiast trzeba jeszcze myśleć jak to zrobić. Nasz problem, prawda, z SKL, RS, czy z innymi partiami politycznymi już może się okazać małym problemem. Jeżeli ja słyszę dzisiaj w dzisiejszych czasach

w takiej sytuacji jakie dzisiaj, z takimi ludźmi jakie jest dzisiaj, że politycy może mniejszość, ale to słycać w kularach Sejmu mówią o tym że NSZZ Solidarność swoje zrobił i może iść do domu to niech się zastanowi co będzie jak NSZZ Solidarność w grudniu na swoim zjeździe zwinie manatki i pójdzie do domu. Żadne zjednoczenie nie pomoże.

Andrzej Urbański: Dziękuję bardzo. Oddajmy głos autorowi

Andrzej Anusz: Ja takie krótkie polemiczne dwie tezy znaczy kto był autorem zwycięstwa, no to była ta jakby podstawowa teza centroprawica była autorem zwycięstwa czy tak Jan Lityński powiedział, że Solidarność. Znaczy tak bo Solidarność była jakby ruchem narodowo-wyzwoleńczym w tym sensie w '80 roku tak ją należy definiować ale nie jest przypadkiem i tu jestem patriotą AWS-u i była tutaj rozmowa właśnie o tożsamości AWS-u że jest ciągłość związku zawodowego Solidarność od '80 roku i tej ciągłości myślę że nikt nie neguje i ten związek zawodowy był jakby tym kręgosłupem stworzenia Akcji Wyborczej Solidarność. Ja myślę że ta ciągłość w sposób natu-

ralny jest i ona myślę może być tym takim kręgosłupem na którym będzie budowana tożsamość czyli też tradycja i pewna historia polskiej centroprawicy w naszym polskim wydaniu, to jest właśnie specyficzna rola Solidarności dlatego że Solidarności nie wyszły partie lewicowe? No właśnie dlatego że tutaj coś było że przeważający element to był ten element silnie związany z Kościołem katolickim i z wartościami jednak prawicowymi i centroprawicowymi i tutaj nie było właśnie też za bardzo chętnych. druga teza dotycząca właśnie tego samego punktu Wojciech Arkuszewski powiedział, że to jest takie polskie społeczeństwo taka dynamika z polskiego społeczeństwa to spowodowało. no ja myślę też nie przypadkowo bo to społeczeństwo ta dynamika wynikała też z pewnych wartości i z pewnego podejścia do rzeczywistości i to było podejście powiedzmy też generalnie związane z wartościami prawicowymi, centroprawicowymi i w tym momencie przede wszystkim antykomunistycznymi bo to był ten główny wyróżnik, także tutaj jednak myślę że ta dynamika która nam przyniosła to zwycięstwo w jakimś tam stopniu też jest związana z pojęciem antykomunizmu. Chciałbym wszystkim przede

wszystkim gorąco podziękować za udział w dyskusji, też ta książka jakoś tam sprowokowała myślę pewną dyskusję i ja myślę że przede wszystkim my na te następne lata musimy znów ze sobą zacząć rozmawiać bo to jest tak rzeczywiście tak jak tu koledzy mówili, że myśmy pewne programy zdefiniowali i tak w '97 roku przynajmniej mam takie wrażenie skoczyliśmy w te mundurki reform no i tak żeśmy pojechali mamy za mało czasu żeby ze sobą rozmawiać bo się cały czas ścigamy ja myślę że generalnie już żeśmy naprawdę dużo tych okrążeń zrobili tylko żebyśmy się w tym wszystkim nie zagubili, bo tu licznik nam się będzie zaciął, powinniśmy trochę zahamować zacząć ze sobą rozmawiać. Jeśli zaczniemy ze sobą rozmawiać to ja myślę że za 2 lata na pewno wygramy. To jest przykład że w '95 roku od '95 roku ja myślę że jak tutaj pewnie

większość z nas część z nas pamięta były konferencje centroprawicy w Krakowie organizowane, tutaj siedzi z nami poseł Kazimierz Barczyk który był taką duszą tych konferencji. Ja chcę przypomnieć, że tam między innymi się żeśmy zbierali jakby po tych różnych pogromach, ale zbieraliśmy się dlatego żeśmy zaczęli ze sobą rozmawiać. Ja myślę że teraz do tego następnego etapu po prostu musimy się zebrać poprzez rozmowę. Rozmowa, dialog, dyskusja jest najlepszym elementem, żeby po prostu też być skutecznym żeby uprawiać antykomunizm skuteczny. Dziękuję

Andrzej Urbański: Ja rozumiem to jako apel żeby zebrać się i rozmawiać, zanim nastąpi pogrom.

PS. Dwa lata później pogrom nastąpił.

ZNACZKI POCZTOWE KPN

Historia znaczka pocztowego zaczyna się w Anglii 6 maja 1840 roku gdzie po raz pierwszy wprowadzono do obiegu papierowy, drukowany w arkuszach, nalepiany na przesyłkę znak (stąd pierwotna nazwa znaczka – marka) stanowiący dowód uiszczenia opłaty za przesyłkę pocztową. Stanowiło to znaczne udogodnienie nie tylko w zakresie poboru opłat pocztowych, ale również było przesłanką do upowszechnienia się usług pocztowych dzięki przeniesieniu opłaty na nadawcę i jej standaryzacji, która oznaczała realny spadek kosztów. Jednak emisja pierwszego znaczka miała nie tylko znaczenie praktyczne, zmieniające w sposób rewolucyjny system usług pocztowych. Skutkowała ona bowiem nieuchronnym powstaniem społeczności hobbistycznej, kolekcjonerskiej, pasjonatów całej sfery zainteresowań związanej pocztą i jej materialnymi atrybutami – filatelistyką.

Wyraźnym symptomem rodzącej się pasji były znaczki okolicznościowe. Pierwszy znaczek okolicznościowy został wydany w 1871 roku w Peru z okazji otwarcia linii kolejowej. Dalej już się potoczyło, na coraz większą skalę, angażując wielkie emocje i wielkie pieniądze kolekcjonerów-filatelistów.

W Polsce pierwszy znaczek wprowadzono do obiegu (początkowo jedynie na użytek przesyłek krajowych) 1 stycznia 1860 roku, tuż przed Powstaniem Styczniowym. Po upadku Powstania polskie znaczki były stopniowo wycofywane z obiegu, a z dniem 1 kwietnia 1865 roku, wraz z włączeniem Dyrekcji Generalnej Pocht Królestwa Polskiego do rosyjskiego Głównego Zarządu Poczтового, zostały całkowicie wycofane.

Po odzyskaniu niepodległości Państwo Polskie podejmując tytaniczne wyzwanie scalenia ziem polskich od-

zyskanych po zaborach, za ważne zadanie uznano obok budowy polskich instytucji – obrazowanie polskich symboli w przestrzeni publicznej. Ważnym elementem tej polityki były polskie znaczki pocztowe. Co więcej, zanim został zorganizowany system emisji znaczków narodowych, polskie instytucje pocztowe wprowadzały regionalne, a później centralne systemy oznaczeń poboru opłaty za doręczenie przesyłki pocztowej poprzez stemplowanie lub nadrukowywanie polskich oznaczeń na znaczkach (arkuszach znaczków) przejętych po zaborcach.

W okresie II Wojny Światowej Poczta Polska prowadziła usługi pocztowe w zakresie ograniczonym do polskich statków i okrętów, będących suwerennym terytorium Rzeczypospolitej. W Kraju natomiast znaleziono inne zastosowanie dla znaczków pocztowych – jako oręż w prowadzonej z okupantem wojnie psychologicznej, zarówno poprzez naklejanie polskich oznaczeń pocztowych na przesyłki kierowane do władz niemieckich, jak i jako źródło pozyskiwania środków na działalność polskich instytucji podziemnych (m.in. jako forma opłaty za przekazywane pisma podziemne, wydawane przez polskie organizacje polityczne w konspiracji).

Wydaje się, że takie zastosowanie dla znaczka pocztowego miało charakter prekursorski, innowacyjny.

Do tradycji polskiego konspiracyjnego znaczka pocztowego nawiązały polskie antykomunistyczne struktury podziemne po wprowadzeniu stanu wojennego. Pierwsze znaczki pocztowe podziemnej Solidarności oraz innych organizacji niepodległościowych, w tym KPN datują się na lata 1982–1983. Ich emisje zakończono z dniem 4 czerwca 1989 roku z dniem tak zwanych „wolnych wyborów”.

W sensie ścisłym nie stworzono sieci podziemnej poczty, która przejęłaby zadania rządowej Poczty Polskiej, ponieważ narażałoby to kurierów na zbyt duże ryzyko. Należy pamiętać, że nawet naklejanie znaczka i wysyłanie go do adresata mogło narazić tego ostatniego co najmniej szykany komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, a zarazem dekonspirowało istniejące struktury podziemne. Za samo bowiem posiadanie tych znaczków groziły dotkliwe konsekwencje. Przykładem niech będzie wyrok Wojewódzkiego Sądu Okręgowego we Wrocławiu, który 27 września 1985 roku skazał dwóch sierżantów sztabowych LWP i jednego cywila za posiadanie znaczków Poczty Solidarności (oraz

niewielkiej ilości „bibuły”) na 4 i pół roku więzienia.

Pierwsze znaczki i kartki podziemne powstawały w obozach internowania rozmieszczonych na terenie całego kraju. Od Darłówka przez Białogłękę po Uherce i Nowy Łupków znaczki w postaci stempli na kopertach lub jako tzw. znaczki cięte a nawet perforowane były wynoszone z ośrodków internowania przez księży, członków rodzin, a nieraz i tzw. klawiszy.

Znaczki pocztowe spełniały zarówno rolę propagandową, edukacyjną, ale również finansową. Były cegiełkami, których zakup wspierał materialnie działania opozycji. Stały się swoistego rodzaju „walorami filatelistycznymi”. Szczególna wartość tych znaczków wynika z faktu, że były one drukowane nielegalnie, w konspiracji, przez niezależne od władzy drukarnie, a za ich posiadanie i rozpowszechnianie groziły sztykany a nawet więzienie.

KPN dość szybko, choć nie bez trudu, stworzyła w 1983 roku w Łodzi Wydawnictwo Polskie, które – jak się wydaje – jako pierwsze wyemitowało nasze znaczki. Nosiły one tytuł „40 lat sowieckiej niewoli” i były w całości dziełem Pawła Wielechowskiego i Wiesława Żyżniewskiego. Tworzące się regionalne struktury KPN szybko

nawiązały współpracę z „Łodzią” i tam zlecały wydawanie swoich pierwszych pozycji, jak choćby „Warszawa” za sprawą Michała Janiszewskiego, który dostrzegał w znaczku i przenoszonej przezeń prosty przekaz idei niepodległościowej.

Znaczki zawsze pełniły ważną rolę w walce z reżimem komunistycznym. Oprócz wartości poznawczych i artystycznych, były dla ludzi symbolem braku uległości wobec władzy. Dochód ze sprzedaży znaczków przeznaczony był na utrzymanie podziemnych struktur KPN. Pieniądze otrzymane z ich sprzedaży pokrywały koszty papieru i innych materiałów poligraficznych.

Z czasem we wszystkich Obszarach KPN na terenie kraju rodziła się podziemna poligrafia. Jakość jej druku zależała od ich możliwości technicznych jak i jakości materiałów, papieru i farby jaką dysponowały drukarnie. Znaczki często są jednobarwne na słabym papierze i z nierówno obciętymi brzegami. Z czasem jakość się poprawiała i powstały prawdziwe perełki. Wspaniale opracowane graficznie, precyzyjnie wydrukowane w druku wielobarwnym z bardzo precyzyjnie wykonanym ząbkowaniem. Niektóre z nich w niczym nie ustępowały

znaczkom wydawanym oficjalnie. Dużą rolę odegrali w tworzeniu tych znaczków zawodowi kolekcjonerzy filateliści, graficy i oczywiście drukarze. Bez kunsztu i umiejętności tych ludzi nie byłoby tych wszystkich dokonań. Przytoczę tu nazwiska naszych przyjaciół z Warszawy:

- Andrzej Znojkiwicz, z zawodu architekt, z zamiłowania filatelista, projektant sztandaru Konfederacji Polski Niepodległej oraz wielu naszych znaczków i okładek książek wydawanych przez Wydawnictwo Polskie. To on na początku lat 90-tych skatalogował nasze KPN-owskie dokonania tworząc „Katalog Znaczków Poczтовых Konfederacji Polskiej Niepodległej 1984–1990” tom I. Jaka szkoda, że na tym tomie zakończył.
- Jerzy Dobrowolski, który w małym mieszkaniu i jeszcze mniejszej łazience dokonywał nocami cudów poligraficznych na sicie.
- Mieczysław Kunicki i Marek Gogacz, pracujący jako poligrafowie w warszawskim ratuszu i innych instytucjach ówczesnych władz Warszawy, pod ich nosem i na ich maszynach wykonywali dru-

ki cieszące oko podziemnych filatelistów.

Znaczki, koperty ze znaczkami i okolicznościowymi kasownikami wydawano w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie. Tematyka KPN-owskich znaczków podziemnych jest różnorodna. Dominowała problematyka historyczna: polskie powstania narodowe, postać Józefa Piłsudskiego, czasy i dokonania II Rzeczypospolitej, II Wojna Światowa, polska konspiracja zbrojna, zrywy wolnościowe po 1945 roku, jak i reakcje na bieżące wydarzenia w kraju i zagranicą. Znaczny udział stanowią znaczki o tematyce religijnej, gdzie dominują znaczki poświęcone Janowi Pawłowi II. Bogato reprezentowany jest również humor w filatelistyce, gdzie w sposób karykaturalny przedstawia się znienawidzone przez Polaków osoby z aparatu władzy komunistycznej, choćby Jaruzelskiego i Urbana. Tematy przedstawione na znaczkach poczty podziemnej KPN to zwierciadło tamtych lat, niewyczerpane źródło informacji i niekiedy zabawnych anegdot.

Perłą wydawniczą wydaje się być znaczek wydany w roku 1989 przez Poczta Polską przedstawiający nieistniejący już pomnik „Poległym w służbie i obronie Polski Ludowej”,

na który został naniesiony druk o treści. „Pomnik morderców 200 tysięcy Polaków pomordowanych w PRL i ZSRR w latach 1944–1956”. Pomysłodawcy tego zdarzenia filatelistycznego, Michał Janiszewski i niżej podpisany, wzorowali się na akcjach Podziemnej Poczty Polskiej z lat 1940–44, która podczas okupacji dokonywała druków w języku polskim na znaczkach niemieckich emitowanych przez okupanta.

Choć za kres działalności poczt podziemnych przyjmuje się rok 1989, kiedy to odbyły się częściowo wolne wybory parlamentarne, a organiza-

cje polityczne dotychczas działające nielegalnie, w tym KPN, zostały zalegalizowane, to poczta KPN nadal emitowała znaczki jeszcze w latach 1990-91.

Znaczki wszystkich poczt podziemnych, w tym poczty KPN są kolekcjonowane i prezentowane na wystawach i pokazach, opisywane i katalogowane zarówno w kraju jak i zagranicą, m.in. w Paubaix we Francji i Rapperswil w Szwajcarii oraz w polskich katalogach znaczków podziemnych.

Posiadaczką znacznej kolekcji filatelistycznej jest Królowa Angielska Elżbieta II.

IDEA NIEPODLEGŁOŚCIOWA

„GRZEBIĄ NAS...”
(RZECZ O TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ)

Poezja, której chcemy w szkicu tym poświęcić uwagę – poezja TRAGEDII SMOLEŃSKIEJ – to głównie poezja „internetowa” (oczywiście określenie to nie zawiera kwalifikacji „gatunkowych”, ale jest wskazaniem na rodzaj nowego typu „publikatora”, który stwarza też nową sytuację dla społecznego komunikowania). To właśnie tu, na stronach i w portalach internetowych, a nie w szacownych periodykach czy na łamach wysokonakładowej prasy, znalazła ona miejsce swej wolnej prezentacji publicznej (nieliczne wyjątki – żeby wymienić np. „Gazetę Polską” czy „Arcana”, „Gościa Niedzielnego” czy „Rzeczpospolitą” – tylko podkreślają regułę i samo to zjawisko). Powstała też internetowa „antologia polskiej poezji inspirowanej tragedią 10 kwietnia” – *Wiersze o Smoleńsku*, przygotowana przez Wojciecha Wencla¹; w nocy otwierającej antologię autor jej opracowania pisze: „Rankiem 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem wydarzyła się jedna z największych tragedii w historii Polski. W katastrofie lotniczej zginęło 96 osób tworzących polityczną elitę narodu, w tym prezydent RP Lech Kaczyński z Małżonką, prezydent Ryszard Kaczorowski, Anna Walentynowicz, parlamentarzyści, dowódcy wojska, liderzy środowisk patriotycznych. Polscy poeci nie pozostali głusi na tę tragedię. [...] zdecydowałem się zebrać te utwory w jednym miejscu jako świadectwo wspólnego bólu, ale też siły i nadziei”.

Do wierszy zgromadzonych w tej antologii będziemy w szkicu niniejszym niejednokrotnie sięgać. Przypadek, jaki pragnęlibyśmy opisać na początku, in-

¹ Adres internetowy: <http://wierszeosmolensku.blogspot.com/>. [Dostęp internetowy:] 2011-05-15.

interesujący być może również z punktu widzenia socjologii kultury życia publicznego ostatnich lat, związany jest z utworem poetyckim powstałym jako jeden spośród najwcześniejszych prób poetyckich wiążących się z doniesieniami o tragicznym wydarzeniu narodowym, którego przyczyn, jak sądzę, będziemy długo jeszcze poszukiwać, a skutki wciąż na nowo rozpamiętywać, aby móc się rozpoznać – jako naród – i uznać w swoim dramatycznym jestestwie.

...KTÓREJ NIE MA

Na stronie internetowej *Hej-kto-Polak!* (*Bibuła Multimedialna*) pod datą 12 marca 2011 roku opublikowany został następujący czterowiersz autorstwa Tomasza Wasilczuka:

W katyńskim lesie puste krzesła krzyczą
I krzyk ich niemy całą Polskę rani.
Panie Prezydencie,
Twój naród w bólu głosuje zniczami.²

Opublikowano go wraz z komentarzem jego „odkrywcę”, podpisującego się pseudonimem *yuhma* [Janusz Uhma], i rozmową przeprowadzoną z autorem czterowiersza, z której wynikało, że całości tego doniesienia można było nadać tytuł *Ten wiersz mi się przysnił*. Poeta zwierza się, mówiąc o genezie utworu: „Zapewne jak na wszystkich wstrząsające wrażenie zrobił na mnie widok tych pustych krzeseł na miejscu uroczystości. Najpierw to była taka pustka naturalna – miejsca są puste, bo czekamy na delegację, ale zaraz się zapełnią. Potem było to narastające napięcie i sprzeczne komunikaty. [...] Aż po tę straszliwą wiadomość... I wtedy te puste krzesła, pamiętam, że przykryte parasolkami, zaczęły wręcz... boleć... krzyczeć... Jakby amputowano nam kawałek ciała... [...] Zaraz po transmisji, jak wszyscy, poszedłem pod Pałac. Chodziłem wśród ludzi, patrzyłem na płonące znicze, a wciąż czułem tę pustkę. Nie myślałem o żadnym wierszu. Snutem się po Krakowskim Przedmieściu do późnego wieczora. Po powrocie od razu poszedłem spać, a w nocy przysnił mi się ten wiersz. To znaczy obudziłem się w środku nocy i go miałem. [...] Pamiętam, że bałem się, że go zapomnę do rana, więc wziąłem kartkę i go zapisałem”.

² Adres internetowy: <http://hej-kto-polak.pl/?p=6285>. [Dostęp internetowy:] 2012-01-15.

Metaforyczną czy może alegoryczną wymowę utworu Tomasza Wasilczuka widzę jako wyraz dezaprobaty dla wyroku sądu skorupkowego, jakiego dokonano na osobie Prezydenta Rzeczypospolitej. I dlatego też zwielokrotniony, w tysiące i dziesiątki tysięcy, jasny płomień zapalanych zniczy, w tym dniu i następnych dniach, byłby w przywołanym kontekście nie tylko wyrazem szacunku dla pamięci o Pierwszym Obywatelu RP i zarazem zmanifestowaniem potrzeby połączenia się w dojmującym smutku, ale przede wszystkim wymownym, choć milczącym, protestem przeciwko dokonanej na oczach świata śmierci – czy jak kto woli: przeciwko wykonanemu niesprawiedliwie wyrokowi.

Geneza wiersza nie wyjaśnia wszystkiego, toteż jego puenta wymagałaby dopowiedzenia: *oto n a r ó d g ł o s u j e n i e t y l e z n i c z a m i, a l e j a k n i e g d y ś – w G r e c j i a n t y c z n e j – g d y o b y w a t e l e, z g r o m a d z e n i n a a g o r z e, g ł o s o w a l i w p ł o m i e n n y m z a a n g a ż o w a n i u w s p r a w a c h, g d z i e w a ż y ł y s i ę l o s y w s p ó ł n o t y*. Poeta w swych jakże prostych słowach czterowiersza („dlatego że w prostocie serca największej poetyckiej prawdy i szczeroty” – jak twierdził Maurycy Mochnacki³, kreśląc ideę tego, czego chcieli romantycy polscy), w słowach zatem oddających sens i atmosferę gestu gromadzących się pod Pałacem Prezydenckim Polaków, chcąc nie chcąc, spontanicznie, *w y ś n i ł d l a n i c h P o l s k ę, k t ó r e j j e s z c z e n i e m a – n i c z y m G r e c j ę a n t y c z n ą n a j a w i e*. I może jest w tym, i może jest to dla nas, żywych, znak i ostrzeżenie, że oto, być może, jesteśmy razem z nim, i z nimi, pośród tych niewielu jeszcze obywateli ducha i idei dawnej polis?... Ale myślę też po tej uwadze, że i Stanisław Wyspiański zapewne nie myliłby się, gdyby powtórnie wznosił w myślach swe polskie Akropolis nie gdzie indziej, jak właśnie tutaj⁴.

³ Zob. M. Mochnacki: *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym*. Oprac. i przedmową poprzedził Z. Skibiński. Łódź 1985, s. 108.

⁴ W didaskaliach rozpoczynających dramat dziejący się „na Wawelu w Noc Wielką Zmarłychwstania” – „czytane są Słowa wyroku” (akt I, w. 12-16):

Jako rzeczono przed tysiącem laty,
tej nocy ma się duch przetworzyć;
przybyć ma ten, co zbawiać wyrzekł światy
i powstać z martwych, i ożyć.

(S. Wyspiański: *Akropolis*. Oprac. E. Miodońska-Brookes. Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1985, s. 2, 3).

We wprowadzeniu do publikacji czterowiersza *yuhma* zapytuje: „Czy ktoś z osób, które od 10 kwietnia przychodziły pod Pałac Prezydencki, lub tych, którzy kilka dni koczowali w Krakowie w oczekiwaniu na pogrzeb, nie zna tego wiersza?” I odpowiadając informuje: „Towarzyszył nam na słupach ulicznych, tablicach tworzonych ad hoc, w końcu wprost na ulicy, pod zniczami. Rozdawany przez nieznaną ludzi, rozsyłany sms-ami, stał się głosem Żałoby”. I dodaje: „Gazety drukowały utwory Jarosława Marka Rymkiewicza, Marcina Wolskiego, Leszka Długosza. [...] Niektórzy sięgali po dzieła wieszczów i pomniejszych poetów, inni po pieśni patriotyczne i religijne. Ale to wiersz **W katyńskim lesie** zawładnął sercami Polaków. Dlaczego? Można odpowiedzieć: niezbadane są wyroki społeczne. Ale można też w tym krótkim czterowierszu dostrzec słowa wypowiedziane w imieniu narodu. Wypowiedziane w tym sensie, że ich autor najpełniej i najlepiej wyczuł emocje, które w tych dniach przepełniały nasze dusze”.

„DEMON WSCHODU” CZY „DEMON POŁUDNIA”

Tadeusz Zieliński, zastanawiając się nad rozwojem estetycznym tzw. „duszy nowożytnej” człowieka, wskazywał na nieprzemijającą aktualność problemów artystycznych antyku, pisząc m.in., że „antyk powinien być dla nas nie normą, lecz nasieniem”. Dodawał przy tym, objaśniając, jak rozumieć mamy ową metaforę „zasiewu”: „Nie normą, to znaczy, nie wzorem do naśladowania; nasieniem, to znaczy środkiem zapładniającym nasze umysły, jako ludzi nowoczesnych, celem wydania owoców, odpowiadających wymaganiom naszych czasów”⁵. Taką współczesną próbą połączenia „czynnika wiecznego z czynnikiem przejściowym” mogłoby być – jak się wydaje – sięgnięcie po „zapładniającą pomoc” antyku przy „opisie” dramatu smoleńskiego, który – jak wskazują na to opinie wielu obserwatorów – przekroczył ramy zwyczajnego tragicznego wydarzenia komunikacyjnego, stając się wydarzeniem doniosłym w swej wymowie w skali cywilizacyjnej. Właśnie taką próbę podjął Wojciech Wencel sięgając po Ikarowy mit upadku i stawiając pytanie o przyczynę tej tragedii – ze świadomością, że

⁵ Zob. rozważania *O wiecznej aktualności problemów artystycznych antyku*, w: T. Zieliński: *Po co Homer? Świat antyczny a my*. Wybór i posłowie A. Biernacki. Kraków 1970, s. 399.

jest to pytanie, które trudno rozstrzygać w zwykłym porządku mowy. Albowiem – jak napisze w swym wierszu *Ikar*⁶:

gdyby nie pióra na wodzie można by pomyśleć
 że nic się tu nie stało (Codziennosc zawsze zwycięża,
 jest trwalsza od wszelkich tragedii)
 lecz my czuliśmy grozę patrząc na ten pejzaż
 bo się nie zabiłżniła jeszcze rana świata
 i powietrze drgało jak ciało skazańca
 pytanie: szpony bestii czy sztylety słońca
 w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia
 bowiem ciemna istota jest zawsze ta sama
 sprowadzić z wysokości i unurzać w błocie

– bo, powiedzielibyśmy, przeczuwamy jeszcze po dziś dzień i wyobrażamy sobie – myśląc i o tamtej zaprzeszłej tragedii lotu i zarazem o tej współczesnej – jak może działać nieubłagany mechanizm –

spoza ram obrazu przyglądał się nam uważnie
 sprawca: demon wschodu lub demon południa

Owo „niezdecydowanie” w nazwaniu końcowym utworu (owo „lub” w ostatnim wersie *Ikara*) wskazywać może na dramatyczność udręki, jakiej doświadczamy poszukując przyczyn „sprawiedliwych” dla zdarzeń „niezwykłych” – traumatycznych w skali wykraczającej poza jednostkowy los. Ale spójrzmy jeszcze na inny wymiar tego rozwiązania. Mianowicie w nawiązaniu do tego, co można wyczytać z prezentacji kultury antycznej, jakiej dokonał swego czasu Tadeusz Zieliński. Otóż w tym kontekście niech wolno nam będzie stwierdzić, że *Ikar* Wojciecha Wencła prowadzi do istotnej, ze współczesnego punktu widzenia, przemiany znanego mitu: jego Ikar – rozważany już nie jako mit, lecz w aspekcie symbolicznym – staje się „podmiotem zbiorowym”, który to, właśnie jako „podmiot zbiorowy”, ulega tragedii unicestwienia. I w tym sensie

⁶ W. Wencel: *Ikar*, w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia polskiej poezji inspirowanej tragedią 10 kwietnia 2010 roku*. Redakcja antologii i administracja strony: W. Wencel (adres internetowy – zob. przypis 1). Wiersz datowany: „10 kwietnia 2011” – w rocznicę katastrofy smoleńskiej; pierwotny druk: teologiapolityczna.pl.

byłby tego mitu „upadkiem” – na rzecz narodzin symbolu; poeta oznajmi to już na samym początku utworu, podkreślając, że:

Jego mityczny upadek nie został zauważony
w mieście wciąż handlowano złotem i bawełną
pług brnął przez czarną ziemię okręty płynęły
a pasterz przeliczywszy setkę pańskich owiec
stał odwrócony do morza barczystymi plecami
i marzył o niebieskich migdałach

I w konsekwencji – w ten sposób – mit o upadku Ikara został „uzupełniony” o „aspekt wschodni”; chociaż

pytanie: szpony bestii czy sztylety słońca
w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia

– to jednakowoż pytanie to wypowie poeta jakby wbrew uwadze wybitnego hellenisty, kiedy ten zdecydowanie podkreśla zasadniczą różnicę występującą między wyobraźnią awiacyjną charakterystyczną dla mitu greckiego a przeciwstawioną jej wyobraźnią „baśni wschodniej”. W szkicu *Nauka czysta i nauka stosowana w świecie starożytnym* Zieliński pisze: „Mit grecki miał charakter wieszczy, przepowiadając rozwój nauk stosowanych na całe tysiąclecia i jednocześnie trzymając się najrealniejszej rzeczywistości – w tym właśnie tkwi różnica między nim a baśnią wschodnią. Ta zadawała się jakimś cudownym kobiercem, przenoszącym bohatera szlakiem powietrznym z miejsca na miejsce, i wcale nie starała się o uzasadnienie tej siły czarodziejskiej – Grecja przyczepiła swemu Dedalowi skrzydła ptasie i przez to pchnęła wyobraźnię człowieczą na tory »awiacji«: ptak jest cięższy od powietrza, a jednak unosi się w nim [...]. I nie tylko samą awiację przepowiedziała, ale i jej katastrofy: Ikar pierwszy zginął »śmiercią lotnika«. Iluż takich Ikarów mieliśmy w tych ostatnich dziesięcioleciach – wie o tym, niestety, aż nadto dobrze i nasza Polska”⁷. Po tych słowach: „Iluż takich Ikarów mieliśmy...” – chciałoby się dodać: łącznie z tymi – z 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem...

I dopiero uzupełnienie narracji o upadku Ikara o człon wskazujący na „ciemną istotę” („*demoną wschodu*”), przeciwstawiony „sztyletom” gorącej jasności „słońca”, powołuje pojemniejszą strukturę opisu – w postaci symbolu.

⁷ T. Zieliński: *Po co Homer?...*, op. cit., s. 376.

Może trzeba wyraźniej powiedzieć: Symbolu Polski dramatycznie żeglującej – jak o tym świadczą jej doświadczenia dziejowe – pośród żywiołów Historii. Oryginalne w ujęciu Wojciecha Wencła mitu o Ikarze jest to, że wizję tego mitu uzupełnił właśnie o „składową wschodnią”, tj. o ten element, który w ujęciu Tadeusza Zielińskiego był ostro przeciwstawiany ujęciu greckiemu – przeciwstawiany tedy mitowi kultury zachodniej. Dzięki temu wszakże w tak rozumianą strukturę poszerzoną (z owym „*lub*” Wencła) możliwe staje się „wpisanie” w nią specyficznych cech doświadczeń historycznych Polaków: Polska-Ikar staje się symbolem koniecznej żywotności – mimo grożących jej stale niebezpieczeństw.

To w tym niezwykłym rzucie wizji poetyckiego projektu kultura antyczna, wraz z jej „instrumentarium”, miała nie tylko wydarzenie „uszlachetnić”, poprzez artystyczny wyraz jego ujęcia, ale nade wszystko podnieść do „uniwersalnego” to, „*co się dniowo kreśli*” – w zgodzie ze wskazówką innego wielkiego wielbiciela antyku – Cypriana Norwida⁸, wskazówką tak istotną dla jego poetyckiej antropologii. Ale jeśli już odwołujemy się do Norwida, to trzeba też pamiętać o drugim skrzydle tej antropologii – żywej tradycji chrześcijańskiej. To z kolei z tej perspektywy pomieszczone zostały w *In hora mortis*⁹ Wojciecha Wencła sformułowania świadczące o potrzebie podkreślenia głębokiego zakorzenienia polskości w wartościach ze sfery *sacrum* – w symbolice biblijnej i przesłaniu o Dobrej Nowinie. Czytając *Psalm wigilii* Norwida natrafiamy na podobne jak u autora *In hora mortis* – tak w tonacji emocjonalnej, jak i w treściach, jakie z sobą niosą – *słowa nadziei*; w perspektywie, zdawałoby się, skrajnej beznadziei – widziane w eschatologii cierpienia:

O! dzięki Tobie, Ojcie ludów – Boże,

Że ziemię wolną dałeś nam i naga;

⁸ Zob. C. Norwid: *Do mego brata Ludwika*, w: C. Norwid: *Pisma wszystkie*. Zebrał, tekst ustalił, wstępem i uwagami krytycznymi opatrzył J. W. Gomułicki. T. 1: *Wiersze*. Warszawa 1971, s. 68.

⁹ W. Wencel: *In hora mortis*, w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...* Wiersz datowany: „10 kwietnia 2010”; pierwodruk: „Gość Niedzielny” 2010, nr 15 (15 IV), s. 2 oraz w: <http://wojciechwencel.blogspot.com/2010/04in-hora-mortis.html> (wpis z datą: „czwartek, 15 kwietnia 2010; Autor: wencel o 02:04” oraz notą: „W nowym numerze »Gościa Niedzielnego«, który dzisiaj [15 IV] trafia do sprzedaży, znajduje się mój wiersz napisany w nocy z 10 na 11 kwietnia”).

Ani oprawną w nieprzebyte morze,
Ni przeciążoną gór dzikich powagą,
Lecz jako piersi otworzoną Boże...
Więc na arenie tej się nie ostoi
Przeciwnik żaden, jeno mąż bezpieczny
I ten, co za się nierad szuka zbroi,
Ale zupełny, wcale obosieczny,
Który jak gwiazda w niebie czystym stoi.
[...]
Do Ciebie Ojczy-Ojczyzn się podnosim
W tym to ubóstwie naszym bardzo sławnym
I w tej nadziei, co po skrzydeł osiem
Przybiera co dzień, i w płaczu ustawnym,
I w bólach, które tak mdło jeszcze znosim.
O! dzięki Tobie za P a n s t w o-boleści,
I za męczeńskich-k o r o n rozmnożenie,
I za wylaną czarę s z l a c h e t n o ś c i
Na lud, któremu imię jest – cierpienie –
I za otwarcie bram... n i e s k o n i c z o n o ś c i!¹⁰

Toteż jednocześnie nie od rzeczy byłoby tutaj przypomnienie, że wiersz o Ikarze formułował poeta dopiero rok po tragicznym wydarzeniu smoleńskim – pisał go zatem z dystansem niezbędnego namysłu – podczas gdy wcześniej reagował niemalże natychmiastowo, spontanicznie, w dniu katastrofy, pisząc ku czci poległych swoją modlitwę „w godzinę ich śmierci” jako swoiste i ważne, i warte podkreślenia przy-p o m n i e n i e w zdaniach o wyraźnym wskazaniu na narodową eschatologię, która od tej chwili łączona będzie również z tym nowym tragicznym wydarzeniem:

Jeszcze Polska nie zginęła póki my giniemy
póki nasi starsi bracia wędrują do ziemi
tam tajemne biją źródła tryskają strumienie
tam śmierć pada na kolana przed wiecznym istnieniem

¹⁰ C. Norwid: *Psalm wigilii*, w: *Pisma wszystkie*, loc. cit., s. 90-92.

tam zabici w ciemnym lesie modlą się za nami
 tam powstańcy do Śródziemia idą kanałami
 ścieżka wiedzie przez grób Pański – nie ma innej drogi
 trzeba się owinąć w całun biały i czerwony
 gdy przestaną nas hartować strzałem w potylicę
 samoloty będą spadać za lub przed lotniskiem
 mroźny wiatr ze wschodnich kresów wciąż nam wieje w plecy
 gnie się trzcina nadłamana tli się płomyk świecy
 a im bardziej bezsensowny twój zgon się wydaje
 tym gorętsze składaj dzięki że jesteś Polakiem
 naród tylko ten zwycięża razem ze swym Bogiem
 który pocałunkiem śmierci ma znaczoną głowę

(*In hora mortis*)

Ale w modlitwie tej – bo to jest modlitwa: modlitwa-psalm – są dwa jaskrawe w swej wymowie momenty, których nie ma, biorąc pod uwagę ich dosłowność jako wydarzeń, w *Psalmie wigilii*, bo ich tam po prostu być nie mogło – tu zawarte w następujących kadencjach zdań:

gdy przestaną nas hartować strzałem w potylicę
 samoloty będą spadać za lub przed lotniskiem
 [...]

 naród tylko ten zwycięża razem ze swym Bogiem
 który pocałunkiem śmierci ma znaczoną głowę

Obydwa wskazują na to, że – poprzez Smoleńsk – Katyń wciąż trwa... i że Smoleńsk – widziany poprzez zbrodnię katyńską – był niejako już wpisany w tamte wydarzenia...

*

Niezależnie po Ikarowy mit sięgnął też Jacek Trznadel, pisząc swych *Stratosferycznych*¹¹:

oni wracają choć bardzo zmienieni
 bez rąk i nóg i bez twarzy

¹¹ J. Trznadel: *Stratosferyczni*. [Adres internetowy:] <http://jacektrznadel.pl/index.php>; zob. też w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...* – tu utwór ten wpisany: „niedziela, 30 stycznia 2011”.

na okrutnej smoleńskiej ziemi
leżą strąceni Ikarzy
stratosferyczni po niebieskiej toni
do ojców lecieli Ikarzy spaleni śmiertelną bronią
już nic złego im się nie zdarzy

Jednak tu mitologiczne „strącenie” nie jest „upadkiem”, a jest tylko konsekwencją świetlistą „wysokiego żeglowania” – sięgania zawsze po wysoki pułap wartości. Przenikliwie o podobnej sytuacji „żeglowania wzwyż” – wskazując przy tym na porywającą świetlistość piękna – mówi autor *Filozofii dramatu*: „Piękno porywa człowieka i unosi w górę po niewidzialnych stopniach hierarchii wartości. Wzlecieć w górę znaczy nie tylko widzieć szerzej i głębiej, ale przede wszystkim to, co najważniejsze. Wzlot w górę daje udział w mądrości, która zna miejsce zjawisk. Niestety, wzlot ten jest związany z niebezpieczeństwem. Ktokolwiek zbliży się do słońca, temu spłoną skrzydła. Symbolika światła zawiera symbolikę ofiary. Aby zobaczyć prawdziwy ład rzeczy, trzeba mieć udział w świetle, lecz by mieć udział w świetle, trzeba coś z siebie poświęcić”¹².

Powiedzieliśmy przed chwilą: to „strącenie” jest konsekwencją sięgania zawsze po wysoki pułap wartości; a w przypadku omawianej przez nas poetyckiej kreacji chodziłoby o wartości, jakie nakłada na „podniebnych żeglarzy” Ta-Która-Nigdy-Nie-Ginie – „tylko my giniemy” („choć na baczność leżą na trawie / jeszcze ustami ruszają choć niemi / wierni aż do końca sprawie / nie zginęła tylko my giniemy” – czytamy w strofie szóstej *Stratosferycznych*). I staje się tak; staje się tak, gdy patrzymy na ich los przedstawiony w wizji poetyckiej – mimo widmowemu obrazowi i na przekór katastroficznemu wizerunkowi tego obrazu: bezgłowych, bezrękich, beznogich, potrzaskanych postaci – że mimo to widzimy ich jako przecierających stamtąd szlaki ku nam i niosących z sobą bezmowne *katharsis*, które ma wyzwolić z dosłowności tragicznego wydarzenia jego ciągle nieodgadniony fatalizm „okrutnej smoleńskiej ziemi”, z niebem nad nią świecącym rozlewającymi się po nim na Kosmos Cały wiecznie żywymi znakami b i e l i – i – c z e r w i e n i (znakami owych – jak określi to poeta – „we krwi upranych obłoków”). B i e l i nie obłoków przecież, ale

¹² J. Tischner: *Filozofia dramatu. Wprowadzenie*, Kraków 1999, s. 122-123.

pustki p o N i c h; za t o k r w i j a k o c z e r w i e n i - k r w i – więc razem: chciałoby się dopowiedzieć – b i e l i i c z e r w i e n i w e f l a g o w y m „k o r a b i u w y s o k i m”:

spojrzyj w górę rozpatrz się po niebie
 płyną we krwi uprane obłoki
 stratosferyczne wszystkie obok siebie
 wiecznie żywe w korabiu wysokim

– kończy tymi podniosłymi słowami swój wiersz Jacek Trznadel.

Ale być może obraz ten należałoby rozumieć jeszcze inaczej – poszukując mianowicie jego sensów poprzez te słowa wzięte z Ewangelii według św. Marka, w których Jezus, stając przed swoimi sędziami i zapytywany o to, czy jest Mesjaszem, oznajmia: „*Ja jestem. Ujrzyście Syna Człowieczego, siedzącego po prawicy Wszechmocnego i nadchodzącego z obłokami niebieskimi*»” (Mk 14, 62)¹³. Toż w takim oświeceniu – czy „*Mesjaszem*” nie zdawaliby się być sami „*Stratosferyczni*”, brani jako J e d n o w swej Wielości Ofiary; a „*korabiem wysokim*” – kto wie – może wizjonerska zapowiedź przyszłej Arki Nowego Przymierza?...

I jeszcze następująca uwaga, by powrócić do tytułowego, wyjściowego pytania tego rozdziału. Pytanie to traktujemy jako fundamentalne; i choć w oparciu o sam tekst *Stratosferycznych* trudno byłoby rozstrzygać, czy sprawcą katastrofy był „*demon wschodu*”, czy może „*demon południa*” – bo jest to pytanie, które trudno byłoby na gruncie tego utworu uznać za „metodologicznie” dobrze postawione – to jednak „*Stratosferyczni*” upoważniają nas, aby je postawić, a nawet do tego zobowiązują; albowiem – jak powie poeta:

rozerwani jeszcze o coś proszą
 machają odrąbanymi rękami
 choć jak bagaż wstydlivi się noszą
 idąc z oderwanymi głowami
 po kolei znakiem tajemnym
 ręką przyłożoną do serca

¹³ Cytujemy wg *Biblii Tysiąclecia* (wyd. trzecie poprawione: Poznań-Warszawa 1980); we wszystkich dalej cytowanych przypadkach teksty *Pisma świętego Starego i Nowego Testamentu* podajemy według tego wydania.

przenikają w nas wiedzą podziemną
znają twarz straszego mordercy

(*Stratosferyczni*; strofy: 4 i 5)

Toteż trzeba bezwarunkowo zadać to bezlitosne pytanie: Czyja to twarz? Kim on może być – ów morderca – i w jaki sposób mógł tego morderstwa dokonać?

Milcząco podobne pytanie stawia Jacek Trznadel jako autor sugestywnego eseju *Może gdzie indziej ale na pewno*¹⁴, przedstawiając w nim, jak wyobraża sobie „hipotetyczny” przebieg wydarzeń prowadzących do masakry. Według niego smoleńska hekatomba wcale nie musiała nastąpić na podsmoleńskim lotnisku Siewiernyj. *„Miejsce lądowania i egzekucji mogło się znajdować nawet w promieniu kilkudziesięciu kilometrów”* – pisze. *„Wyobrażam to sobie różnie, czasem tak: zmuszono lub zachęcono samolot do wylądowania na innym lotnisku czy awaryjnie, na płaskim, chronionym terenie (»zaprzecinana zona«)”. „Tam wybuch w samolocie mógłby być całkowicie kontrolowany. Ocaleni nie mogliby nawet próbować ucieczki z miejsca »wypadku«. A taką wersję wprowadza właśnie film 1,24 min. Ta możliwa fałszywka ocierająca się niby prawie o oskarżenie (ale proszę to udowodnić!...) miałaby na celu potwierdzenie Siewiernego jako miejsca rozbicia się maszyny. Strzały, niby dobijanie, trudno to udowodnić, łatwo zanegować. Im więcej niepełnych dowodów na katastrofę tuż przed pasem na Siewiernym – podkreśla Trznadel – tym bardziej stanowiłyby one »maskirowkę«! Pozory zbrodni, na podstawie których jednak nie da się nic udowodnić! [...] Jednocześnie, prócz wątpliwych dowodów poszlakowych zbrodni na Siewiernym, nie ma ani jednego dowodu materialnego na inne, może rzeczywiste miejsce egzekucji”*.

Esej zwieńcza puenta: *„Napisać dla porządku tego tekstu, że ja pierwszy zabrałem głos jeszcze w kwietniu 2010 roku, postulując powołanie międzynarodowej komisji dla zbadania smoleńskiej tragedii. Nie zrobiono tego. Więc przypominę jeszcze, że sprawstwo zbrodni katyńskiej udowodnili w Smoleńsku Niemcy w kwietniu roku 1943, powołując międzynarodową komisję lekarzy patologów do zbadania zwłok w katyńskich mogiłach. Dodam, że w ogłoszonym wkrótce urzędo-*

¹⁴ Zob. J. Trznadel: *Może gdzie indziej ale na pewno*. [Adres internetowy:] http://www.jacektrznadel.pl/index.php?option=com_content&task=view&cid=79&Itemid=1. [Dostęp:] 2012-02-19.

wym dokumencie niemieckim na temat orzeczeń tej komisji – nie było ani jednego kłamstwa! Natomiast ogłoszony później rosyjski komunikat o Katyniu, podpisany przez samego akademika Burdenkę, zawierał same kłamstwa... Ale Niemcy nie powołali międzynarodowej komisji do zbadania warunków panujących w Konzentrationslager Auschwitz.

Starożytni Rzymianie mówili, że od historii można się wiele nauczyć: Historia magistra Vita!"

Zwróćmy jeszcze uwagę na tę część tytułu cytowanego eseju, w której wpisane zostały zarazem przekonanie, przesłanie i odpowiedź: „**Może gdzie indziej ale na pewno**” – którym, jak przypuszczamy, długo nie będzie końca: przekonaniu-przesłaniu i przesłaniu-odpowiedzi. Mającym objąć razem, w jedną całość, ofiary i nas samych.

„DRUGI KATYŃ”

W rocznicę katastrofy smoleńskiej Wojciech Wencel pisze swojego *Ikara*; w rok po katastrofie publicysta katolicki i filozof Tomasz P. Terlikowski próbuje odczytywać „znaki czasu” wpisane w to tragiczne wydarzenie, wskazując na nieprzypadkowość zdarzeń, jakich doświadczamy będąc ludźmi wierzącymi. Jego zdaniem nie jest przypadkiem „fakt, że do największej tragedii w powojennych dziejach naszego państwa dochodzi akurat w wigilię niedzieli Miłosierdzia Bożego”. „10 kwietnia 2010 r. – pisze on – nie miałem wątpliwości. [...] I tak właśnie tamte wydarzenia odczytywałem – jako mocne, bolesne przypomnienie nam Polakom, że nie będziemy zwyczajnym, normalnym narodem, że cierpienie jest jakoś w nas wpisane, ale także, że jesteśmy wezwani do czegoś więcej niż do »polityki ciepłej wody w kranie«”¹⁵.

Na ten moment tragicznego wydarzenia – związany z „wigilią niedzieli Miłosierdzia Bożego” – wskazywała też autorka wiersza *Kłątwa Katynia*, napisanego w dniu samej katastrofy; ale czyniła to bez przywołania perspektywy, o jakiej mówią słowa cytowanego publicysty: „że Bóg chce wykorzystać Polskę do swoich zadań”, pośród których treść odczytywanego wezwania wskazywała wy-

¹⁵ T.P. Terlikowski: *Czytając znaki czasu rok później*. [W cyklu:] *Walka o dusze*. „Gazeta Polska” 2011, nr 15 (13 kwietnia), s. 41.

rażnie na „zakorzenie tragedii smoleńskiej w symbolice Miłosierdzia Bożego”. Poetka pyta w swym wierszu może nazbyt naiwnie („Boże dlaczego tak...”), ale poprzez podobny zabieg samo to pytanie stawiało się jeszcze bardziej dojmujące, stając się skargą i zarazem prośbą; trudno wszakże zaprzeczyć, że formułując je jako pytanie pełne troski, nie pozbawione przy tym – jak powiedzieliśmy – tonu skargi, skargi kierowanej ku Najwyższej Instancji, z wpisanym w nią niedowierzaniem w zawsze zbawienną moc Miłosierdzia Bożego, w i e r z y ł a – zarazem głęboko w to, że klątwa tego miejsca nie powinna trwać wiecznie:

Boże dlaczego tak...

za co ten drugi cios straszliwy

w tym samym lesie tej samej nieludzkiej ziemi

Boże dlaczego tak

po raz kolejny pozwalasz zwyciężać szatanowi

w przeddzień Miłosierdzia

Boże dlaczego tak

długo transporty śmierci do Katynia trwają

Boże dlaczego milczysz

[...]

prerażone ptaki odleciały stamtąd lat temu siedemdziesiąt

a klątwa Katynia trwa...¹⁶

Poetyckie sugestie o tym, że tragedia smoleńska jest „*Drugim Katyniem*”, pojawiły się niemal natychmiast po katastrofie i to dość powszechnie. Dowodzi tego również cytowany wiersz Teresy Kaczorowskiej, a i podobnie ma się rzecz z przytaczanym wcześniej wierszem *In hora mortis* Wojciecha Wencła. Teraz ich listę chcielibyśmy rozszerzyć.

Gwoli dopełnienia i ścisłości powinniśmy odnotować – wobec już wcześniej dwukrotnie przywoływanego motywu związanego z Ikarem – jeszcze jedno poetyckie odwołanie do tego mitu (bodaj najwcześniejsze z już wskazanych), to mianowicie, które spotykamy w wierszu Mateusza Stachowskiego, poświęconym pamięci – jak podkreśla tytuł – „*wszystkich tragicznie zmarłych*”

¹⁶ T. Kaczorowska: *Kłątwa Katynia*. „Gazeta Polska” 2010, nr 23 (9 czerwca), s. 22. Wiersz datowany: „Sobota, 10 kwietnia 2010”.

*w katastrofie samolotu w lasach smoleńskich*¹⁷; chociaż, dodajmy, nie to odwołanie jest tutaj najważniejsze. Poeta, i zarazem duszpasterz franciszkanin, zapytuje – zatroskany o pośmiertny los ofiar katastrofy, pozostając pełen związanego z tym niepokoju:

Po czym Ty ich poznasz, dobry Panie Boże,
Kiedy czas już nadejdzie stawić się przed Tobą?
Płomienie dokładnie zlizają ich twarze,
Nową lasy smoleńskie nękając żałobą.
Znów będą świadczyć guziki miedziane,
Że dla Ojczyzny oddali swe tchnienie
I w proch się obrócili, jak zapowiedziane
Każdemu z żyjących, nim przyjdzie zbawienie.
Jak więc ich rozpoznasz, dobry Ojczy w niebie,
Kiedy w dół runęli na skrzydłach Ikara,
Zostawiając pustkę, w której widzieć Ciebie,
To ufność prawdziwa i prawdziwa wiara?

Pytania te można by co prawda uznać za pytania retoryczne, gdyby nie to, że poeta pragnie nie tyle poznać „Boską-odповідź” na nie, ile że sam chciałby podjąć się odpowiedzi – i tak właśnie uczyni; odpowiedzi formułowanych we własnym imieniu, przywołując w nich ważne zespoły wartości o charakterze imponderabiliów, wśród których wartością naczelną staje się miłość Ojczyzny i wszystko, co związane jest ze służbą podporządkowaną Jej sprawie. I w tym sensie ich postawienie jest dla niego istotne – tak jak równie istotne i doniosłe w swej treści staną się, „wygenerowane” przez te pytania, odpowiedzi; odpowiedzi istotne i dlatego jeszcze, że są fundamentalne dla określenia tożsamości wspólnoty, która może się poczuć zagrożona w każdym momencie swego obfitującego w niebezpieczeństwa bytu:

Poznasz ich po odwadze, poznasz po nadziei,
Które jaśniały w ich duszach jak pochodnia,

¹⁷ Pełny tytuł utworu brzmi: *Pamięci Prezydenta Lecha Kaczyńskiego i wszystkich tragicznie zmarłych w katastrofie samolotu w lasach smoleńskich*. Tekst wiersza cytujemy wg: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...* Wiersz datowany: „10 kwietnia 2010 r. po 15.00 Gniezno”; pierwodruk: franciszkanie.gdansk.pl.

A teraz w nieodgadnionej losu kolei
Wiodą nas jak na pustyni wiódł ongiś słup ognia.
Rozpoznasz ich po sercu, które nie umarło,
Bo w piersiach Ojczyzny nieprzerwanie bije.
Chociaż nas samych i czasy nasze czarną
Zasłoną smutek śmiertelny spowije.
Poznasz ich, Panie, choć płomień stał twarz,
A śmierć ich zatrzymała, niweczając czas przyszły.
I my zapamiętamy w cierpienia pożarze;
Zachowa ich Historia i język ojczysty.

Dodajmy, że omawiany wiersz zaopatrzony został w wymowne motto pochodzące z wiersza Zbigniewa Herberta *Guziki*; brzmi ono następująco:

są aby świadczyć Bóg policzy
i ulituje się nad nimi
lecz jak zmartwychwstać mają ciałem
kiedy są lepką cząstką ziemi

– i przypomnijmy, że autor *Guzików* dedykował swój wiersz „*Pamięci kapitana Edwarda Herberta*” – polskiego oficera, który zginął śmiercią męczeńską w Katyniu. Nie bezpodstawnie zatem również „*guziki*” z wiersza Mateusza Stachowskiego, z drugiej jego strofy, mają świadczyć, że i bohaterów tragedii smoleńskiej, którzy „dla Ojczyzny oddali swe tchnienie”, winniśmy wpisać w męczeńską figurę Katynia – „*Drugiego Katynia*”.

Ale powróćmy jeszcze na chwilę do pierwszej z sekwencji odpowiedzi, jaką proponuje Stachowski – kto wie, czy nie najbardziej wyrazistej w swej wymowie w planie eschatologicznym utworu – czyli do jego strofy czwartej, z jej bogatą symboliką, odwołującą się do *Biblii*. Otóż ów ogień odwagi i nadziei, który jaśniał „*w ich duszach jak pochodnia*”, ma być dla nas – w intencji poety – tak ważny, jak był ongiś na pustyni „*słup ognia*” wskazujący ludowi wybranemu drogę wyjścia z domu niewoli. W *Księdze Wyjścia* czytamy: „*A Pan szedł przed nimi podczas dnia jako słup obłoku, by ich prowadzić drogą, podczas nocy zaś jako słup ognia, aby im świecić, żeby mogli iść we dnie i w nocy*” (Wj 13, 21). Dodatkowej wymowy przywołanemu przez poetę symbolowi ognia dostarczyć może opinia Klemensa Aleksandryjskiego, jaką przypomina Man-

fred Lurker: „Według Klemensa Aleksandryjskiego słupy ogniste oraz krzak płonący to obrazy prawdziwego ognia Bożego, który bucha z drzewa krzyżowego, aby oczyścić z grzechów całą ludzkość”¹⁸. A stąd już tylko krok do „przebóstwienia ofiary” wydarzenia współczesnego, a w konsekwencji do jego wymowy ujmowanej w kategoriach „mesjańskiej ofiary”, z jaką mielibyśmy do czynienia w przypadku tragedii smoleńskiej. Poeta tego kroku nie dokonuje – zatrzymując się na p o r ó w n a n i u, w naturalny sposób zdającym się dystansować od sugestii możliwego potencjalnie utożsamienia „porównywanych” sytuacji: „*Wiodą nas j a k na pustyni w i ó d ł o n g i ś s ł u p o g n i a*” – powie.

Odnotujemy jeszcze jedno odesłanie do utworu Herberta (odesłanie istotne i ważne w kontekście tragedii smoleńskiej ze względu na związaną z tym aksjologię); jest nim *Piosenka o guzikach* Przemysława Dakowicza:

ach papierki po cukierkach
 ach torebki lakierki
 w lepkim błocie dzwoniące porzucone komórki
 ciche książki bez oczu i apaszki od szyi
 oderwane podmuchem i od koszul guziki
 moje białe guziczki ach guziki guziki
 w ciemną ziemię schodzące kiedy milkną ich krzyki
 pod całunem popiołu guzik gada z guzikiem
 sokiem ziemi przeżarty mosiądz szepce z plastikiem
 lecz co mówią nie słyszę miłość tak krzyczy durna
 gdy o drzewa smoleńskie czarna tłucze się trumna
 w trumnie ciało spalone twarz jak jabłko obita
 i ta jedna na światło odemknięte powieka
 czy na pewno to brat nasz ten sam co się po świetle
 wczoraj z nami kołatał czy to on poznać
 może matka to nasza choć jej rysy zmiażdżone
 w kupę gnoju śmieć i żelastwa rzucone
 powiedz matko co robić kto ja jestem twarz czyja

¹⁸ M. Lurker: *Słownik obrazów i symboli biblijnych*. Przeł. bp K. Romaniuk. Poznań 1989, s. 150; hasło: *Ogień*.

patrzy z lustra i o jaką się prawdę dobija
szczątki twe tkwiące w błocie ciało poćwiartowane
członki precz odrzucone niechaj jątrzą tę ranę
ona czoło mi pali z tyłu czaszki uwiera
mgła nadciąga mrok spada śmiechu dół się otwiera
w który lecą papierki i guziki guziki
w ciemną ziemię schodzące kiedy milkną ich krzyki
pod całunem popiołu guzik gada z guzikiem
sokiem ziemi przeżarty mosiądz szepce z plastikiem¹⁹

Prześmiewczo ironiczna „piosenkowość” utworu pozwala autorowi na tym jaskrawsze – poprzez kontrast dykcji – uwydatnienie potrzeby upomnienia się o istotę ważnej wartości – a byłoby nią pytanie o tożsamość; tak o tożsamość ofiar tragedii, co i towarzyszących im „świadków zbrodni”: owych „guzików” – „znaków”, ważnych w strukturze społecznej pamięci zbiorowej (jej dwa bieguny – przypomnijmy – to: „*nie oddamy nawet guzika od munduru*” – „*tylko guziki nieugięte [...] jedyny pomnik na ich grobie*”). Struktura wypowiedzi, jaką zastosował poeta, może stanowić przykład przekornie formułowanej „ironii bolesnej”, pragnącej przeciwstawić się – jak to ujmuje za Pallante’em Piotr Łaguna²⁰ – „*odczuciu klęski*” i oddać sens „*potrzeby zapanowania nad nią*”.

*

Według Romana Misiewicza „Drugi Katyń” (w oryginalnym zapisie autor-skim: *Katyń II*²¹) rozegrał się jako ciąg dalszy Katynia tamtego – sprzed siedemdziesięciu lat:

¹⁹ P. Dakowicz: *Piosenka o guzikach* – w antologii: *Wiersze o Smoleńsku...* Utwór datowany: „26 kwietnia 2010”; pierwodruk: dakowicz.blogspot.com, „Topos” 2010 nr 2-3.

²⁰ Zob. P. Łaguna: *Ironia jako postawa i jako wyraz (z zagadnień teoretycznych ironii)*. Kraków-Wrocław 1984, s. 45.

²¹ Zob. R. Misiewicz: *Katyń II*. „Gazeta Polska” 2010, nr 27 (7 lipca), s. 24. Wiersz datowany: „21.04.2010”; dedykowany: „Janowi Pospieszalskiemu”. Zob. też przedruk wiersza – w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...*, gdzie autor antologii odsyła do pierwodruków wszystkich wierszy Misiewicza, w niej zawartych, podając źródło w postaci: Polis. Miasto Pana Cogito oraz dobre-nowiny.pl, a także poleca lekturę jego utworów w słowach: „czytaj cały tom o Smoleńsku na blogu autora”.

litery wykute z kamienia
 wygładzone
 miękką powieką deszczu
 piją wodę
 od ust
 odrywa się ostatni strzép powietrza
 krzyk
 i cisza
 dalekie strzały
 dochodzące
 jak spod tafli jeziora
 obce słowa
 unoszące się wolno
 w gęstniejącym powietrzu
 przed nimi wysoka ściana deszczu
 ściana płaczu
 kiedy dosięgną ich pojedyncze krople
 usłyszą jak ze zgrzytem otwiera się
 stalowy tunel
 oko ucieka w głąb
 czaszki
 w poszukiwaniu światła
 [...]

litery zmieniają się w piasek
 łkają w klepsydrach
 z pnia brzozy
 ze zwęglonej kości
 wyłania się
 powoli
 niezmacony sens

– powie poeta rozpoczynając – jak powyżej – swoją wizję Katynia w podwójnej perspektywie tego samego czasu i kończąc ją tym trudno „*wyłaniającym się powoli*” „*niezmaconym sensem*” – o niemal niemożliwym do wysłowienia

„*zbiegu okoliczności*” dla wydarzeń nieporównywalnych w swym tragicznym dramatyzmie, jak i wyjątkowo podobnych w sferze ich symbolicznej wymowy.

Podobnie i dla Wojciecha Banacha, dla którego „Drugi Katyń” stanie się niezbędnym, bo koniecznym „*uzupełnieniem*” („*Anekssem*” – jak go nazwie tytułując tak swój utwór) do długiej listy ofiar obejmującej obydwie wydarzenia:

Trudno
zamknąć tę listę
i wyjść z lasu
za ołtarzem
tysiące krzyży
przed ołtarzem
96 pustych krzeseł
znowu mgła
i znów trzeba powiedzieć
prawdę²².

Ta mgła – powodująca, że „*znów trzeba [będzie] powiedzieć prawdę*”, a więc nie tyle rozumiana jako zjawisko meteorologiczne nie sprzyjające widzeniu i samym awiacyjnym wydarzeniom, do których mogło m.in. doprowadzić, jak to sugerowały już pierwsze doniesienia o katastrofie, czy też jako trochę już literacko wyeksploatowany rekwizyt, ale przede wszystkim jako symbol skrywania „istoty rzeczy” – ta mgła będzie się pojawiała na wiele sposobów także i u innych autorów. I tak – u Romana Misiewicza²³ będzie ona „*spływającym*” „*całunem*”, okrywającym ofiary oraz miejsce, w którym nastąpiła niespotykana tragedia, w finezyjnie przez poetę uformowanym obrazie „*stanu krajobrazu*”, oglądanym – jakby po Platońsku – „*oczami duszy*” kogoś, z kim poeta utożsamiał się jako z jedną z ofiar:

nad moimi stopami
skrzypi więźba nieba

²² W. Banach: *Aneks*. Cyt. wg przedruku – w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...*, gdzie zawarta jest też informacja o pierwodruku wiersza w książce tegoż autora *Mężczyzna z sąsiedniej klatki* (Bydgoszcz 2010).

²³ Zob. jego wiersz, datowany na „10.04.2010”, pt. *nad moimi stopami*, publikowany w przywoływanej już parokrotnie antologii *Wiersze o Smoleńsku*.

uwięziony w
 stalowym kokonie
 przez szczeliny
 patrzę na odwrócony krajobraz
 przed oczami
 trzepocze się gałązka sosny
 za nią miga
 zwęglony las
 z którego sterczą
 czarne żebra
 mgła
 spływa jak całun

Zadziwiające może być to tak zwięzłe nazwanie „mgły” – „całunem”; bo nie jest ono, to nazwanie – jakby można było zrazu przypuszczać – jakąś niewinną, niezobowiązującą w swych sensach, wyłącznie poetycką grą słów, lecz jest, może nawet najpierw bezwiedną, ale później brzemienną w znaczenia zapowiedzią kolejnego przekazu – który mógł pojawić się, jak oświadczy sam poeta poprzez nadany kolejnemu utworowi tytuł o brzmieniu „*kiedy opadła groza pogasty reflektory*”, w momencie zatem wymownego – jeśli nie niemalże symbolicznego – nastania ciemności, niejako w analogii do sytuacji nastania ciemności w tym momencie, o jakim mówią Ewangelie (Łk 23, 44-46; Mt 27, 45-50), kiedy to Jezus konał, cierpiąc na krzyżu, i wkrótce miał wyzionąć ducha – oraz z drugiej strony w momencie „niewidoczności”: tj. w momencie ustąpienia widoku grozy towarzyszącej dramatowi tragicznego wydarzenia. Jest tedy jakby z a p o w i e d z i ą znaku, ale i w końcu samym brzemiennym w znaczenia z n a k i e m.

Bo oto biorąc pod uwagę, że „całun” to „*tkanina służąca do przykrywania zwłok*”²⁴, a zarazem „*ubiór*” (w sensie: szaty) jako „*ubiór bez szwu*”, mający symbolizować „*boskość, czystość; mękę Chrystusa*”²⁵ – znaleźliśmy się, jako czy-

²⁴ Zob. W. Kopaliński: *Słownik mitów i tradycji kultury*. Warszawa 1985, s. 133; hasło: *Całun*.

²⁵ Zob. tegoż: *Słownik symboli*. Wyd. II: Warszawa 1990, s. 265; hasło: *Odzież*, ustęp: *Ubiór*.

telnicy znaków, nie tylko jako czytelnicy poezji, ale i również jako czytelnicy poezji, w sytuacji osobliwej, o jakiej wiemy ze słów zawartych w Ewangelii, że wydarzyła się jeden jedyny raz przed dwoma tysiącami lat, i jakby powtórnie teraz – w roku 2010 – w „relacji” z wydarzenia, jaką formułuje poeta. W Ewangelii wg św. Jana czytamy albowiem: *„Żołnierze zaś, gdy ukrzyżowali Jezusa, wzięli Jego szaty i podzielili na cztery części, dla każdego żołnierza po części; wzięli także tunikę. Tunika zaś nie była szyta, ale cała tkana od góry do dołu. Mówili więc między sobą: »Nie rozdzierajmy jej, ale rzućmy o nią losy, do kogo ma należeć«. Tak miały się wypełnić słowa Pisma: Podzielili między siebie szaty, a los rzucili o moją suknię. To właśnie uczynili żołnierze”* (J 19, 23-24)²⁶. A z wizji poetyckiej dowiadujemy się – w wierszu, którego tytuł, już zresztą wyżej przez nas wskazywany, stanowiący zarazem początek „poetyckiej relacji” – że

kiedy opadła groza pogasły reflektory
pozostało
leśne wysypisko
ludzie utrwaleni
w bardzo dziwnych pozach
rozbite fotele
zmordowane ciała
pod białą-czerwoną szachownicą
grają w kości
o strzępy czerwonego sukna
powiewającego gdzieniegdzie
na gałęziach
z blaszanego kubka
wypadają zęby
kawałki blachy
poszarpane taśmy
chowają je do łopoczących

²⁶ Cyt. wg *Biblii Tysiąclecia*; słowa podane kursywą wydawcy Biblii komentują jako pochodzące z *Księgi Psalmów* (Ps 22 [21], 19).

rękawów moskiewscy archiwiści
 sprzątają
 selekcjonują dowody
 przekonują nas
tak nada była sdielat'
 wszyscy spokojnie czekamy
 na przybycie
 buldożerów²⁷

Dopełniałyby całości tego, co nazwalibyśmy „biblijną atmosferą” wydarzenia, takie jeszcze elementy poetyckiej narracji, jak „*plonący krzew*” oraz „*wizerunki*” dwóch krzyży: „*przekrzywionego krzyża w omszałym lesie*” (krzyża – jako symbolu odwołującego się do tradycji związanej z Męką Pańską) oraz „*stalowego krzyża oszronionego popiołem*”, którym okazuje się być „*statecznik samolotu wbity w ziemię*” – obydwu wpisanych w panoramę przestrzeni symbolicznie zamykającej się w tym samym kręgu zdarzeń, stanowiąc dla nich klamrę spinającą je w nową całość²⁸.

W podobnym duchu wypowiedane zabrzmiałyby teraz dla nas następujące słowa modlitwy ***Nad mogiłą pomordowanych w Katyniu i we wszystkich zakątkach świata***, jaką podniósł ku Panu ks. prałat Zdzisław Peszkowski podczas Mszy Świętej odprawianej na grobach katyńskich w przeddzień uroczystości Wszystkich Świętych 30 X 1988 roku – prosząc, jako strażnik pamięci pomordowanych, „*Królową Polski, Jasnogórską Panią*” o orędownictwo i pomoc: „*Maryjo, Królowo Polski, Jasnogórska Pani, jestem przy Tobie, pamiętam, czuвам! [...] Dziś jako kapłan więcej niż zawsze stawam przed Twoim Jasnogórskim Obliczem i składam na ołtarzu Twojego Syna grudy ziemi pełnej ziaren, które obumarły, a zroszone są ich krwią własną. [...] Wierzę, Matko Najmiłociwsza, Matko Boża Kozielska, że staną po prawicy, a ich przestrzelone czaszki*

²⁷ R. Misiewicz: *kiedy opadła groza pogasty reflektory* – tekst wg: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...* Wiersz datowany: „28.07.2010”; następnie utwór ten wszedł, w niezmienionej postaci, do poematu zatytułowanego *Katyni II (fragmenty)* jako fragment [3] tego poematu (zob. „Gazeta Polska” 2011, nr 17, s. 27).

²⁸ Zob. wiersz Misiewicza *panorama*, zamieszczony w rzeczonyj antologii oraz powtórzony również w poemacie *Katyni II (fragmenty)* jako jego fragment [2] – [inc.:] *przekrzywiony krzyż...*; wiersz ten w antologii *Wiersze o Smoleńsku* występuje z datą „10.08.2010”.

będą oskarżeniem szatana i jego współników, a świadectwem przynależności do ubiczowanego, oplwanego, z przebitym Sercem Boga-Człowieka”²⁹.

Rzecz jasna mówimy tu – powracając do wymowy wierszy Romana Miśiewicz – wyłącznie o „analogiach”, poruszamy się zatem w zakresie, na jaki pozwala symbolika ofiary, ale trudno byłoby zaprzeczać, że Miśiewiczowi bliska jest idea „mesjańskości ofiary”, jaką złożyli, poprzez swoją śmierć, uczestnicy tragedii smoleńskiej. W świetle zaś figury *pars pro toto* należałoby dodać, że w omawiane tu jego teksty poetyckie wpisana została, jako przekonanie, idea „mesjańskości” narodu polskiego, tj. idea, jaką duch polski przechowywał w sobie w milczeniu przez te wszystkie lata od czasu towiańszczyzny oraz paryskich i szwajcarskich rekolencji Adama Mickiewicza.

Zdecydowanie natomiast przeciwko idei tak rozumianej „mesjańskości” wypowiada się Wojciech Wencel, kiedy w swym wierszu *Czterdzieści i cztery*³⁰, nawiązującym do tajemniczych sformułowań z III części *Dziadów*: „Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy. / A imię jego będzie czterdzieści i cztery” – kategorycznie stwierdza:

Polsko w ciemnościach porodu

nie jesteś Chrystusem narodów

– choć jednocześnie „wypełnia” w ten sposób zaistniałą „lukę” symbolem, jego zdaniem, bliższym dzisiejszej „realności” i zarazem nie kłamiącym „dziejom”:

²⁹ Zob. tekst w antologii: *Matka Boska Kozielska*. Zebrał i oprac. A. Podsiad. Rys historyczny W. Kozłowskiego. Warszawa 1990, s. 65 oraz (nota) s. 98. Przypomnijmy – Zdzisław Peszkowski (1918 – 2007) jako dowódca plutonu 20 Pułku Ułanów został wzięty do niewoli sowieckiej, stając się jeńcem obozu w Kozielsku, skąd – niemalże cudem ocalony wraz z 250 osobami wyznaczonymi do ostatniego transportu przed wysłką do Katynia – trafił do obozu w Gрязowcu i tu doczekał się utworzenia polskiej armii pod dowództwem generała Andersa, do której wstąpił i dowodził – awansowany do stopnia porucznika, a następnie rotmistrza – kompanią 1 Pułku Ułanów Krechowieckich, przechodząc cały szlak wojenny armii (dane te przytaczam za *Wikipedią* – adres: http://pl.wikipedia.org/wiki/Zdzis%C5%82aw_Peszkowski). Ale ks. prałat mógłby być realnie kimś – a nie tylko symbolem, gdyby dożył tego momentu – kimś, kto nie zdążył za życia „zabrać się” w tragiczną podróż do „Drugiego Katynia”. Bo podróż ta – jak widzimy – została mu oszczędzona; i jest w tym Boży znak.

³⁰ Zob. W. Wencel: *Czterdzieści i cztery*, w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...* Wiersz datowany: „13 kwietnia 2010”; pierwodruk: „Rzeczpospolita” („Plus Minus”) z 24-25 kwietnia 2010.

jesteś Jonaszem w brzuchu wielkiej ryby
pójdź ach pójdź do swojej Niniwy.

Wolno się bowiem domyślać, że sens przywołanej przez poetę figury dałoby się w przybliżeniu sprowadzić do następującej kwestii – ważnej dla niego i doniosłej aksjologicznie: Otóż Polska nie jest Mesjaszem, który miał nadejść – nie jest „Chrystusem Narodów”, ale będąc Jonaszem, jak chce ją widzieć poeta, nie powróciła też jeszcze – wbrew pozorom – do „swojej [grzesznej] Niniwy”, nie spełniwszy, przebywając nadal „w brzuchu wielkiej ryby”, swojej misji, przed którą stoi, a do której wezwał ją Bóg.

Czy trzeba dodawać, jakie treści mieści tu w sobie „Niniwa” – jako nazwa, którą dobrze znamy?... Ale – dopowiemy: jest nią Europa – do której zawsze należeliśmy i do której, jak powiadają, znowu wstępowaliśmy... I jesteśmy w niej – a jakby nas tam wcale nie było. A jakie treści – w tym rozumieniu – należałoby wiązać z „Wielką Rybą”?... Tego – rzecz oczywista – dopowiadać nie musimy.

*

Także głęboko biblijne zakorzenienie wizji poetyckiej związanej z wydarzeniem katastrofy smoleńskiej spotykamy w strofach Szymona Babuchowskiego. *Tren* tego poety – w którym dosłuchujemy się i spodziewamy oplakiwania ofiar dramatycznej katastrofy – jest, w zgodzie zresztą ze swym tytułem, „*trenem smoleńskim*”³¹; chociaż las, który przywołuje się w tym utworze, jest równie „smoleński”, jak i „katyński”. Jest on „*lasem smoleńskim*” (patrz – strofa druga *Trenu*), kiedy „*w prześwicie widać łąkę i czerwone maki*” oraz także „*Polskę o której śnili*” ci, którzy odbywali lot owego tragicznego poranka, aby dać wyraz naszej nieustępliwej pamięci o ofiarach skrytobójczej zbrodni sprzed siedemdziesięciu lat.

Ale ten las – jak się rzekło – jest też „*lasem katyńskim*”, z którego, zdawałoby się, nie ma żadnego realnego wyjścia, by się z niego wydostać, jak tylko to jedno „*realnie-nierealne*” albo może – kto wie – to jedno „*nierealnie-realne*”

³¹ Zob. Sz. Babuchowski: *Tren smoleński*. Tekst wg: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...* Wiersz datowany: „11-13 kwietnia 2010”; pierwodruk: free.art.pl/babuchowski,44.org.pl.

(tj. to, które „*nierealnie-realne*”, ale jednak „*możliwe*”). Albowiem – jak określi to poeta, który powie w strofie rozpoczynającej tren, przewrotnie i przekornie, ale i pełen wiary nie tylko poetyckiej, że:

jest przejście w tamtym lesie – uchylone okno
przez które wyfruwali z piwnicy na światło
jakby ostry świst kuli zmieniał ich w aniołów
jakby im rosły skrzydła od jednego strzału

Tym „*przejdziem*” „*w tamtym lesie*” – „*prześwitem*” – jest jedno „*ziarnko wiary*”, które „*wrzucone tu przez okno kiedyś wyda owoc*” – wspólny owoc: Polskę. Polskę, o której snili (jak wiemy już ze strofy drugiej) ci „*smoleńscy*”, ale i przecież też tamci – „*katyńscy*”, którzy w owo „*nierealnie-realne*” przejście „*wpadli teraz*”:

w to przejście wpadli teraz jak żywe pochodnie
i płoną razem z nimi na wspólnym pogrzebie
– połączeni i zjednoczeni w tym samym lesie.

Należałoby właściwie zacytować od razu c a ł a ostatnią strofę *Trenu smoleńskiego* (a nie tylko – jak przed chwilą – jej początek, jej połowę), żeby uwidocznic to, co jest w nim najistotniejsze jako poetyckie, i nie tylko poetyckie, przesłanie – pokazując, że jego wymowa nie kończy się na opłakiwaniu ofiar, ale że wskazuje też na potrzebę i perspektywę nadziei:

jest przeciąg w tamtym lesie – wywiewa przez okno
samolot nawleczony na ucho igielne

– tymi słowami kończy poeta swoją żałobną pieśń. Ale przede wszystkim ta jego nadrealna w wyrazie, śmiała w swym poetyckim ujęciu figura „*wywiewanego przez okno samolotu*”, „*nawleczonego na ucho igielne*”, zdaje się być ostatecznie ważnym symbolem – zważywszy na aluzję do biblijnej przypowieści o wielbłądzie, któremu „*łatwiej będzie przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa Bożego*” (por. Łk 18, 25; Mt 19, 24) – symbolem przeto drogi zdążania do tego Nowego Jeruzalem, o jakim dowiadujemy się od św. Pawła w *Liście do Hebrajczyków*, że dopiero ma przyjść, przygotowane przez Boga, bo „*nie mamy tutaj trwałego miasta, ale szukamy tego, które ma przyjść*” (Hbr 13, 14). To „*Nowe Jeruzalem*” – w ujęciu poetyckim – widziane było zrazu w po-

staci ojczyzny doczesnej – której jednak ostateczny duchowy kształt odnajdzie swe oblicze w wizerunku Ojczyzny Wiecznej:

w prześwicie widać łąkę i czerwone maki

Polskę o której snili której ani oko

ani ucho nie pozna – [...]

(porównaj, co mówią słowa św. Pawła z *I Listu do Koryntian*, w którym czytamy: *„A jednak głosimy mądrość między doskonałymi, ale nie mądrość tego świata ani władców tego świata, zresztą przemijających. Lecz głosimy tajemnicę mądrości Bożej, mądrość ukrytą, tę, którą Bóg przed wiekami przeznaczył ku chwale naszej, tę, której nie pojął żaden z władców tego świata; gdyby ją bowiem pojęli, nie ukrzyżowaliby Pana chwały; lecz właśnie głosimy, jak zostało napisane to, czego ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć, jak wielkie rzeczy przygotował Bóg tym, którzy go miłują”* – 1 Kor 2, 6-9).

Za sprawą „samolotu nawleczonemu na ucho igielne” stajemy się świadkami – należałoby powiedzieć – niezwyklego misterium: oto powstałe ze zbiorowej mogiły ofiary mordu katyńskiego wspólnie z ofiarami tragedii smoleńskiej wkraczają na drogę prowadzącą do Nowej Jerozolimy. I nie jest przy tym bez znaczenia to, że w tej śmiałej kreacji obrazu poetyckiego, zamykającej *Tren smoleński*, wpisany został wizerunek zarówno „zdruzgotanego”, jak i „ocalałego” samolotu, który z czasem – w tej swojej dwoistości znaczeń – miałby moc stania się, być może, również znakiem przypomnienia – na wzór Bożej przestrogi – znakiem skierowanym do tych, co „ogłuchli” na wołanie „*Nie zabijaj*”.

Powtórzmy, co zostało powiedziane powyżej – i co jest charakterystyczne dla opisanego misterium. W samolocie „*nawleczonym na ucho igielne*” (a domyślnie jest nim „*zdruzgotany*”-„*ocalały*” samolot Tu-154M o numerze bocznym 101) udają się we wspólną eschatologiczną podróż „*zmarłych powstałe*” z dołów ofiary mordu katyńskiego razem z ofiarami katastrofy smoleńskiej – „*Drugiego Katynia*”.

Pod pewnym względem sytuacja ta przypominać może „*drogę na Wawel*”, jaką odbyli pośmiertnie razem z poległym prezydentem Lechem Kaczyńskim tamci „*zdradzeni o świecie*” polscy oficerowie – uczestnicząc teraz, w wizji poetyckiej, w symbolicznym, ale i równie eschatologicznym, w wymiarze escha-

tologii narodowej, wielkim powrocie do Ojczyzny – przywołani przez Henryka Krzyżanowskiego w jego „*smutnej piosence*”:

Dźwięczy requiem pod dzwonu kloszem,
Salonowcy – skończcie tę wrzawę.
O czas smutnej zadumy proszę,
gdy Prezydent idzie na Wawel.
Kogo wiedzie w żałobnej gali?
Jakieś cienie, mundury krwawe,
ci w Katyniu z dołów powstałi,
z Prezydentem idą na Wawel.
Idą wolno, lecz równym krokiem,
bo im marsza rozbrzmiewa grave.
Niezbadanym Boga wyrokiem
z Prezydentem ciągną na Wawel.
Gdy próg przejdą królewskich pokoi,
krótki apel – czas z misji zdać sprawę,
potem spać – pierwsza noc już wśród swoich
z Prezydentem, co wwiódł ich na Wawel.
Ciiiiiiicho! śpią... Ale może obudzi
ich los w nas to, co czyste i prawe?
Niech pojedna – i partie i ludzi,
dzień, gdy oni dotarli na Wawel.³²

Uogólniając – można by posłużyć się następującą metaforą: Tutaj Niebem, przygotowanym dla Nich „*niezbadanym Boga wyrokiem*”, stało się Niebo-Ojczyzny; albo krótko – Niebem staje się dla Nich Ojczyzna.

³² H. Krzyżanowski: *Prezydent idzie na Wawel – smutna piosenka*. Wiersz datowany: „14 kwietnia 2010”. Tekst wg: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...*; pierwodruk: Blog Henryka Krzyżanowskiego na fronda.pl.

PAN JEZUS OFIAROWUJE NAM POLSKĘ

Spróbujmy odnotować kolejne odniesienia biblijne towarzyszące poetyckim opisom tragedii smoleńskiej.

W wierszu pt. *Skończone (10 kwietnia 2010)* Marek Baterowicz³³ przywołuje starotestamentowe wydarzenie z opowieści o pierwszym zabójcy, Kainie, w relacji do wydarzeń związanych z tragedią smoleńską, pośrednio wskazując tym samym, w domyśle, na postać Abła jako na ofiarę, w tym przypadku ofiarę zbiorową, tychże wydarzeń:

Pod kawałkami kadłuba
ich zwęglone i rozszarpane
ciała
odcisnęły ślady
których nie zetrze
ręka Kaina.

Jednocześnie jego tytułowe „*Skończone*” można by rozumieć jako nazwanie paralelne do nowotestamentowego „*Wykonało się*” – do słów Jezusa, które wypowiedział jako ostatnie, zanim skonał (zob. J 19, 30). Wszelako – żeby „rzecz poetycką”, tu przywoływaną, doprecyzować i ukazać jej bogactwo treściowych skojarzeń, tkwiące w arcyzwięzłej postaci słownej zaproponowanej przez poetę – zwróćmy uwagę na to, że owo „*Skończone*” jako „*Wykonało się*” (czy może też „*Dokonało*”) oznaczać mogłoby w równej mierze „sprawozdanie” (albo „meldunek”) z wykonania rozkazu, jak i „*dokonanie się*” tego, co było proroczo, z góry, zapowiedziane. Zauważmy także, iż Abel w tradycji chrześcijańskiej uznawany jest za „*typ Chrystusa*”³⁴ – ale z równoczesnym podkreśleniem, że „*Jego los jest symbolem ofiary, która istnieje po to, aby ulec zniszczeniu*”³⁵.

Mówiąc skrótowo i poniekąd metaforycznie – poetyckie wyznanie Marka Baterowicza wskazywałoby, iż oto poprzez zbiorową ofiarę z 10 kwietnia 2010 ro-

³³ Zob. M. Baterowicz: *Skończone (10 kwietnia 2010)*. „Gazeta Polska” 2011, nr 15 (13 kwietnia), s. 37.

³⁴ Por. P. Calvocoressi: *Kto jest kim w Biblii*. Przekład i przypisy J. Jarniewicz. Łódź 1992, s. 39 (w przypisie); hasło: *Abel*. Podobnie hasło *Abel*, w: M. Bocian (współpraca: U. Kraut, I. Lenz): *Leksykon postaci biblijnych*. Przeł. J. Zychowicz. Kraków 1996, s. 17: „*Dla Ireneusza z Lyonu (III/III w.) ofiara Abła jest »praobrazem« ofiary Chrystusa*”.

³⁵ P. Calvocoressi: *Op. cit.*, s. 39.

ku staliśmy się Ablem, którego zabija jego brat Kain; i że „skończone” – „dokonane” sprzed dwu tysięcy lat – powtórzone teraz – dopada nas w czasie nowym – nadchodzącym i pełnym niewysłowionej jeszcze grozy.

*

Marcin Wolski nazywa Golgotą – w wierszu pod tym właśnie tytułem³⁶, opublikowanym w tygodniu poprzedzającym pierwszą rocznicę tragedii smoleńskiej – nie tyle samo miejsce tragedii, ile drogę, jaką musi odbyć „z *niehumanitarnej* ziemi”, podążając ku nam, „ostatnia polska święta – Prawda”:

Z niehumanitarnej ziemi, tam, gdzie grób
pod nowym grobem się ugina,
gdzie złomu kłęb i trupi smród –
idzie od roku – jak dziewczyna...
idzie półnaga, całkiem bosa
przez drogi nienawistne.

I choć na tej nieprzychylniej drodze – nieprzychylniej dla jej świętości i dla nadziei na osiągnięcie prawdy – „szydzą z niej w nocie oraz dnie / zawzięte hordy wrogów krzyża” – to jednak:

Bez trwogi wciąż wytrwale prze,
mimo że tylu jej ubliża
[...]
Zagłusza ją medialny gwar,
nie pokazują jej dzienniki,
czasem odbitą ujrzyysz twarz
w chusteczce świętej Weroniki.

Współczesność przeplata się tu z odesłaniem do wydarzeń biblijnych, co uwidocznione zostało z jednej strony w przywołaniu środków masowego przekazu, nieprzychylnych dla „drogi i prawdy”, z drugiej natomiast w sięgnięciu do tradycji wiary i związanych z nią symboli religijnych. To ostatnie najdobitniej w obrazie „korony cierniowej”, zwieńczającej głowę „polskiej świętej”, oraz

³⁶ Zob. M. Wolski: *Golgota*. „Gazeta Polska” 2011, nr 14 (6 kwietnia), s. 2; też – przedruk w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...*

w wymownym przywołaniu „*drogi krzyżowej*”, jakiej święta ta nieustannie doświadcza:

Koronę z cierni ma we włosach
dziewięćdziesięciu sześciu istnień.
[...]
Lecz gdy upada, milion rąk
unosi ją nad zapomnienie,
silniejszą każdą polską łzą
i każdym polskim serca drgnieniem.
Nie daje się zdeptać wrogom,
że wygra – wie od dawna,
więc idzie tak krzyżową drogą
ostatnia polska święta – Prawda.

Tak zatem owa „*polska święta*”, mozolnie dźwigająca swój los jako Ndzieję Prawdy – poprzez przywołaną symbolikę odwołującą się do Golgoty – przypominać może „*córkę Boga*” i „*siostrę Ukrzyżowanego*”, o jakiej poetycko snił Juliusz Słowacki w *Beniowskim*, kiedy mówiąc zwraca się do sobie współczesnej Polski w poniższych oktawach *Pieśni pierwszej poematu* (w. 225-240):

O P o l s k o! jeśli ty masz zostać m ł o d ą
I taką jak ta być, co dzisiaj żyje,
I być ochrzczona tą przeklętą wodą,
Której pies nie chce, wąż nawet nie pije;
Jeśli masz z twoją rycerską urodą
Iść między ludy jak wąż, co się wije;
Jeśli masz zrównać się z podstępny Włochem;
Zostań, czym jesteś – ludzi wielkich prochem!
Ale to próżna dla ciebie przestroga!
Ciebie anieli niebiescy ostrzegą
O każdej czarze – czy to w niej przez wroga,
Czyli przez węża i pajaka swego
Wlane są jady. – Jesteś córką Boga

I siostrą jesteś Ukrzyżowanego,
Ciebie się żadna trucizna nie imie;

Krzyż twym papieżem jest – twa zguba w Rzymie!³⁷

Trzeba tylko inaczej – w myśli i w rzeczywistości – „zlokalizować” dwie występujące tu nazwy – teraz nie związane ani z Rzymem, ani z Włochem.

Myślę, że powyższa supozycja nie pozostaje w sprzeczności z postawą ideową autora **Golgoty** – a właściwie tylko dookreśla jego postawę jako poety – skoro formułując swoją niezgodę na treści zawarte w artykule Piotra Skwiecińskiego, który jego zdaniem przyprawia „polskiemu romantyzmowi cierpiętniczą maskę”, zarazem podkreśla: „*Nasz romantyzm, powracający przez dwa wieki w rozlicznych sytuacjach, bywał z natury swej optymistyczny, dumny, skierowany ku przyszłości, odważny, ale i rozważny, nawet gdy wzywał: »łam, czego rozum nie złamie«.*”

Mickiewiczowski pomysł »Chrystusa Narodów« brał się z traumy, z ogromu beznadziei, poszukiwania racjonalności dziejów. Wieszczył ten leciał »formować legion, wojsko«, zaś Słowacki w tymże romantycznym zacządkowaniu wysnił nam słowiańskiego papieża. I słowo stało się ciałem.

Nie wytrzymał zatem rzetelnej krytyki imputowanie naszemu narodowi instynktów samobójczych, objawiających się co jakiś czas eksplozjami irracjonalizmu. [...] Również »najnowszy grzech polskiego romantyzmu« – postępowanie »ludu smoleńskiego« – jest całkowicie racjonalny. A co mają robić ludzie, widząc ogrom zaniechań, arogancję władzy, piętzące się kłamstwa?»³⁸

*

Gdy myślimy o rzeczywistości obozowej lat II wojny światowej, termin „*transport*” ma wymowę szczególnie złowieszczą. Przypomniała atmosferę tej złowieszczej grozy Maria Dorota Pieńkowska, decydując się na określenie wydarzeń związanych z tragedią smoleńską jako „ostatniego transportu” na miejsce

³⁷ Cyt. wg wydania: J. Słowacki: *Wiersze i poematy. (Wybór)*. Warszawa 1971, s. 281-282.

³⁸ M. Wolski: *Porywać się na rzeczy wielkie*. „Uważam Rze” 2012, nr 19 (7-13 maja), s. 59; jest to odpowiedź na artykuł publicystyczny Piotra Skwiecińskiego *Ofiary pana Leona* („Uważam Rze” 2012, nr 17/18 – dodatek specjalny „Literatura i polityka”, s. XI-XIII).

kaźni do Katynia³⁹; wiersz Pieńkowskiej tak właśnie zatytułowany – jako *Ostatni transport*⁴⁰ – rozpoczyna się stwierdzeniem:

Wtedy w każdym wagonie było prawie stu

Teraz też tylu zabiera w ostatni lot

„*Ostatni lot*” w ujęciu poetki – lot delegacji na uroczystości poświęcone pamięci ofiar zbrodni ludobójstwa katyńskiego, z Prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Lechem Kaczyńskim oraz osobami Mu towarzyszącymi, w tym z ostatnim Prezydentem RP na Wychodźstwie Ryszardem Kaczorowskim – okazuje się, ku naszemu w pierwszej chwili zaskoczeniu, jeszcze jednym, nie zrealizowanym do tamtej chwili, „*transportem katyńskim*”. Nie dziwi przeto, że Matka Boska, towarzysząca temu lotowi i jego, jeszcze nic o tym nie wiedzącym, ofiarom – ofiarom tragedii smoleńskiej – „*leci z nimi*” jako Matka Boska Katyńska:

Gdy nieludzki ład żąda ofiary

Jej najlepszych dzieci

Matka Boska Katyńska

Leci z nimi i staje w smoleńskiej mgle

Pod krzyżem

Płacze [...]

Płacze – jak każda matka, Matka-Boleściwa:

Płacze, choć widzi przez łzy

Jak wstaje z kolan naród

I słyszy w ciszy śmierci

Odległy dzwon Zmartwychwstania

³⁹ Wcześniej – więc i zapewne niezależnie – na wciąż trwające „transporty śmierci”, kierowane do Katynia, wskazała Teresa Kaczorowska w jednym ze swych pytań „*dlaczego tak...*” – składających się na jej *Kłtwę Katynia*, już w szkicu tym cytowaną; w podobnym toku przywołuje jej później w wierszu *Katyni 2010* Marta Berowska, zwracając się do poległych pasażerów „ostatniego lotu” w słowach: „*Ten las tak płytko przeorany / a pod tym lasem kości i guziki / krwawe jezioro wśród martwych / korzeni [...]* // *Ale i wy / i wy się tam zmieścicie / pośród tysięcy tych co już zginęli / i jeszcze będą ginąć...* // [...] *Weźmie was / weźmie płytki skrawek ziemi / w ostatnią podróż / w smugę cienia*” („Gazeta Polska” 2011, nr 15 – z 13 kwietnia, s. 37).

⁴⁰ Zob. M.D. Pieńkowska: *Ostatni transport*. „Gazeta Polska” 2010, nr 24 (16 czerwca), s. 23.

Lecz zanim ta eschatologiczna wizja będzie mogła nastąpić – w oczekiwaniu na właściwy czas – czeka ich stęskniony powrót do Ojczyzny niczym do Ziemi Obiecanej; tymczasem – tkwimy albowiem w „*czasie marnym*” naszego czasu tragedii – Matka Boska

Wieniec zwycięstwa wyjmuje ocalały
Z poszarpanych trzewi maszyny
I szepcze do śpiących tak długo rycerzy:
Skończył się zły sen
Oto Król przybywa
By wyrwać Was z tej ziemi
I zabrać ze sobą
Na Wawel

Trzeba tu koniecznie dodać, że „*ostatni transport*” to nie tylko ten „*zabierający*” pasażerów w „*ostatni lot*”, ale jest to też „*transport*” rozumiany jako ostatni etap uciemnionej wędrówki do miejsca kaźni – wszystkich ofiar Katynia, łącznie z ofiarami tragedii smoleńskiej, które też są jego ofiarami.

Trzeba też do powyższych uwag dodać jeszcze i taką, że nie jest wykluczone, iż użyty przez poetkę termin określający Królem poległego w „*ostatnim locie*” Prezydenta – i to szczególnie w sytuacji, gdy mówi się, puentując, o „*wyrwaniu Ich*” „*z tej [morderczej] ziemi*” – może oznaczać Jego pośmiertną apoteozę; dodajmy – symboliczną apoteozę jego Osoby, nadając Jej jednak szczególną moc rządu nad Ich, tych wszystkich ofiar, zbiorowym duchem. Gdyż – po pierwsze – praworzec dla poetyckiego sformułowania „*wyrwać Was z tej ziemi*” można by widzieć w biblijnym określeniu o „*wyprowadzeniu*” ludu wybranego „*z ziemi egipskiej, z domu niewoli*” (zob.: Pwt 5, 6; Wj 20, 2); a po drugie – dodatkowo do podobnej konstatacji ośmielać mogą następujące spostrzeżenia Manfreda Lurkera zaczerpnięte z jego **Słownika obrazów i symboli biblijnych**: „*Czasami król wydawał się być – pisze on – widzialnym bogiem, synem bożym albo bardzo szczególnym przedstawicielem boga*”⁴¹; i dalej – pod tym samym hasłem: „*W czasach rzymskich nawet Chrystusa ukrzyżowanego pokazywano jako władcę z koroną królewską (a nie cierniową!) na głowie. U cesarzy epoki bizantyjskiej znów*

⁴¹ M. Lurker: *Op. cit.*, s. 97; (hasło: *Król*).

pojawia się starowschodnia łaskawość Boga. Także na Zachodzie oraz w Europie Środkowej król jest uważany za przedstawiciela samego Chrystusa⁴². A jeśli by wskazać jeszcze na to, co pisze Lurker pod hasłem *Królestwo*, że: „Proces sublimacji pojęcia króla w sensie Dawidowym w kierunku osadzonego przez Jahwe na Syjonie władcy, panującego nad całym światem (Ps 2, 6nn), wprowadza do pojęcia królestwa idee mesjańskie”⁴³ – **Ostatni transport** nabrałby zapewne zarysu idei „mesjańskości zbiorowej ofiary”, jaką można by wiązać świadomościowo z fenomenem społecznego jawienia się nieustającej hekatomby Katynia. Oczywiście, że w omawianym przypadku chodziłoby o tak rozumianą transcendencję, której imieniem jest idea Ojczyzny – usymbolizowana tu jako Wawel.

Może zatem uprawnione byłoby wypowiedzieć o Królu-nie-Królu Lechu Kaczyńskim te same słowa, jakie wypowiedział ongiś Leopold Staff o Stefanie Żeromskim:

Królował, choć nie władał szczerbcem,
Panował duchom, choć bez tronu.⁴⁴

*

W wizji poetyckiej, na jaką wskazuje tekst **Ostatniego transportu**, Matka Boska towarzysząca „ostatniemu lotowi” została przywołana poprzez Jej nazwanie Matką Boską Katyńską. W ujęciu tym nie napotykamy ściśle określonego Jej wizerunku, poza jednym stwierdzeniem, że oto Matka Boska płacze, gdy „staje w smoleńskiej mgłę pod krzyżem”; ten „płacz” pozwalał na określenie Jej jako Matki-Boleściwej. Matkę-Boleściwą widzimy też w wizerunku Matki Bożej z wiersza **Matka Boska Katyńska** Bohdana Urbankowskiego, który zdecydował się przypomnieć ten swój utwór z 1968 roku, poświęcony ofiarom zbrodni katyńskiej, w kontekście wydarzeń związanych z tragedią smoleńską⁴⁵. Ale

⁴² *Ibid.*, s. 98.

⁴³ *Ibid.*, s. 99.

⁴⁴ L. Staff: S.Ż. (ze zbioru *Ucho igielne*); cyt. wg wyd.: L. Staff: *Wiersze zebrane*. T. IV. Warszawa 1955, s. 325.

⁴⁵ Zob. kolumnę poetycką, którą zamyka *Matka Boska Katyńska* Bohdana Urbankowskiego, opublikowaną w „Gazecie Polskiej” (2011, nr 15, s. 37) wraz z wierszami: Marty Berowskiej *Katyni 2010*, Alicji Patey-Grabowskiej *Ziemia smoleńska*, Bohdana Wrocławskiego *Smoleńska mgła* i Marka Baterowicza *Skończone* (10 kwietnia 2010).

przywołana przez niego Matka Boska jest zarazem Matką-Boleściwą i Madonną, chociaż nie tą Madonną wielokrotnie oglądaną na obrazach – Madonną z Dzieciątkiem o imieniu Jezus:

W popękany, żyłastym
marmurze
Matka Boska
z oficerem zabitym w Katyniu
jak z niemowlęciem na kolanach
gładzi policzek, podtrzymuje
głowę z otworem w potylicy, płacze
jakby wiedziała
jakby wiedziała, że tam
gdzie on się ocknie po śmierci
tam także śmierć
śmierć i obóz
Jako w niebie
Tak i na ziemi

I dlatego powróciła tu – i podobnie jak poeta słyszy zapewne, niczym złowrogie echo, tamte dawno wypowiedziane w rozpacz i trwodze słowa, które nigdy dotąd jeszcze nie umilkły:

Dlatego powróciła.
Teraz – któryż to raz –
głaszcze twarz umarłego
– wypogadza się jak twarz
dziecka...
Panie, Panie czemuś mnie opuścił
Nie ona szepce te słowa
Nie wiatr w pokrwawionych
gałęziach
Te słowa nigdy nie umilkły

Można by zatem sądzić, że tamto konanie „Syna Człowieczego” wciąż trwa... a „Chrystusem” zdają się być wszyscy „krzyżowani” każdego dnia od tamtego czasu...

Ale gdyby tak miało być, jak to próbowaliśmy wyczytać z przesłania wyra-
stającego z powyższej wizji poetyckiej, nakreślonej w *Matce Boskiej Katyń-
skiej* Urbankowskiego, przekonuje nas o tym dopiero doświadczenie wynie-
sione z hekatombi ciągle dla nas, Polaków, trwającego Katynia; doświadczenie
zatem, które – w wykładni poety – trzeba rozumieć jako doświadczenie dziejo-
we, ważne w kategoriach uniwersalnego doświadczenia ludzkości.

Ale ważny byłby jeszcze drugi aspekt związany z dziejowością doświadcze-
nia katyńskiego, na który warto zwrócić uwagę.

Jest w antologii kozielskiej – już wcześniej przez nas cytowanej – strona
poświęcona Matce Boskiej „Wędrującej” – peregrynującej po drogach polskiej
martyrologii, jej stacjach krzyżowych. Autorem wiersza, w którym Ją spotyka-
my, jest ksiądz Jan Twardowski:

jest taka Matka Boska
co nie ma kaplicy
na jednym miejscu pozostać nie umie
przeszła przez Katyń
chodzi po rozpaczy
spotyka niewierzących
nie płacze
rozumie⁴⁶

Zauważmy, że wraz z wizerunkiem, jaki niesie przytoczony wiersz, dotych-
czasowy wizerunek Matki Boskiej, Matki Bożej-Boleściwej z wizerunków za-
wartych w *Ostatnim locie* Pieńkowskiej i *Matce Boskiej Katyńskiej* Urban-
kowskiego, został u z u p e ł n i o n y o r y s r o z u m i e n i a: Matka
Boska bez Kaplicy „nie płacze” – „rozumie”. Rozumie być może to, czego my
nie potrafimy: że to, co się stało, m u s i a ł o s i ę s t a ć.

⁴⁶ J. Twardowski: *Bez kaplicy*, w: *Matka Boska Kozielska*. Op. cit., s. 61 (tam również repro-
dukowane facsimile utworu z datowaniem: „W-wa 23.IV.85”).

Pod tym względem inaczej „wizerunkowo” konstruuje „sytuację smoleńską” i to, co się z nią wiąże, Roman Misiewicz – także samo przecież nawiązujący w wierszu *Matka Boska Smoleńska* do ikonografii kozielsko-katyńskich wizerunków Matek Bożych – stawiając w tym momencie nieubłagane w swej udręce pytanie:

gdzie jest ta Matka która tuli
głowę otwartą kroplą stali
woskową bryłę zgąsłej świecy
z krwawym otworem w potylicy
Matka Boska Smoleńska
z polichromii i drewna
linorytniczej kreski
z trumiennej głuchej deski
[...]
gdzie światło pod tym krwawym kloszem
i czemu budzić ma nadzieję
otwór na palec jej serdeczny
w tej nagiej głowie pełnej śmierci⁴⁷

– i stawiając je tak, jakby Matka Boża, którą chciałby zobaczyć jako „Matkę Smoleńską”, w to nowe miejsce polskiej tragedii nie przybyła na czas...

Jednakowoż – jak to określił Jan Twardowski – Matka Boska z jego wiersza *Bez kaplicy* „przeszła przez Katyń”; zaakcentujmy to: „*p r z e s z ł a p r z e z K a t y Ń*”. „Przeszła przez Katyń” – i była tak samo rozstrzeliwana strzałem w potylicę, jak polscy oficerowie, którzy tam ginęli; albo była przy każdym z nich w tamtych tragicznych dniach; albo była, być może, w każdym z nich, gdy ginęli. Ale możliwe też, że „przeszła przez Katyń” – ocalawszy; jak ci nieliczni spośród tamtych skazanych, którzy uszli z życiem przed masową egzekucją, która również im miała być zgotowana...

⁴⁷ R. Misiewicz: *Matka Boska Smoleńska*; cyt. za publikacją: *Na święto Matki Boskiej Gromnicznej. „Gdzie jest ta Matka, która tuli głowę otwartą kroplą stali”* – w portalu *wPolityce.pl* (publikacja z 2 II 2012). [Adres internetowy:] <http://wpolityce.pl/dzienniki/dobre-nowiny-romana-misiewicza/22527-na-swieto-mat...>; dostęp: 2012-10-03. Wiersz datowany: „07.12.2010”.

Możliwości rozumienia tego sformułowania wydają się być wielorakie – wraz z taką oto jego „teologiczną” wymową, która by wskazywała, że „boskości” nie da się „uśmiercić”; i że „boskość” towarzyszy potrzebującym aż do ostatka, będąc zarazem zapowiedzią i rękojmią przyszłej nagrody w porządku eschatologicznym.

O takiej n i e-zwyczajnej i ostatecznej nagrodzie – rozumianej nie tylko w kategoriach wyłącznie osobowych – marzy narrator wiersza Aleksandra Rybickiego *Prezydent Lech Kaczyński wraca do nieba*:

doborowym dowodził oddziałem i wszyscy idą wyprostowani
niebieską aleją jakby manewr „odchodzimy” powiódł się
i nie było wybuchu który miał zmienić ciało Polski w proch
a ich rozszarpać na kawałki by nie było ani śladu ani nadziei
[...]
lecz statek ich powietrzny rzucony na złom na deszcz na rdzę
w Feniksa się zamienił by w górę serca unosić niepokorne
a Oni wracają teraz do nieba: dwaj Prezydenci generał
Błasiak Anna Solidarność Janusz Kurtyka kapitan Protasiuk
admiral Karweta i pozostali zrównani w szarży bohaterstwem śmierci
wniebowzięci w blaski ideałów bo tylko wiara w nie czyni cuda
gotowi przykleknąć i pochylić głowy przed potęgą ofiary najwyższej
odznaczonej dziurą w nagiej oblepionej katyńską ziemią czaszce
witają ich w milczeniu oddziały powstańców
podchorążowie Wysockiego zwycięska kawaleria
polegli w potyczkach i dobici bagnietami
kto służył ojczyźnie odnajdzie ją w niebie
nie widzą już smoleńskiej mgły
ani plugawego spektaklu umywania rąk
odznaczania zdrajców i stawiania pomników najeźdźcom
uginania karków i powszechnej hańby milczenia
wracają teraz do nieba i śpiewają im aniołowie
[...]
i wita ich Chrystus
przejmuje stery i

ofiarowuje im
Polskę⁴⁸

I narrator ów wierzy głęboko, że się Ona, jako Nagroda, spełni. I odtąd będzie już z Nimi (-Nami) aż po czasów kres. I niech tak się stanie... – Amen.

Bo jest to Wielkie Pocieszenie, nie mające sobie równego, płynące z Daru Łaski. Łaski nie dającej się porównać – w tym naszym wspólnie doświadczanym „czasie marnym” – z niczym innym. A w innej wykładni – mniej konfesyjnej – moglibyśmy w rozwiązaniu zaproponowanym przez poetę ujrzyć Wielką Metaforę polskiego losu w ogóle, z wizerunkiem bytu Polski jako zawsze Cudownego Daru.

* * *

Na koniec pragnę podzielić się z Czytelnikiem następującą uwagą. Pierwszy człon tytułu tego eseju domaga się uzupełnienia – i powinien ostatecznie przybrać brzmienie, jakie towarzyszyło mu milcząco od początku: „*G r z e b i q n a s ... a b y ś m y z m a r t w y c h w s t a w a l i*”; a zgromadzone w nim świadectwa poetyckie miały temu p r z y ś w i a d c z a ć.

I – X 2012

⁴⁸ A. Rybczyński: *Prezydent Lech Kaczyński wkracza do nieba*, w: *Wiersze o Smoleńsku. Antologia...* Pierwodruk: „Arcana” 2011, nr 1.

DR BOHDAN URBANKOWSKI

20 kwietnia odbyło się w Warszawie spotkanie środowisk twórczych z kandydatem na prezydenta Rzeczypospolitej, dr Andrzejem Dudą. Dyskutowano o stanie polskiej kultury i o mecenacie państwa. Głos zabierał m. in. dr Bohdan Urbankowski – pisarz, filozof, kierownik działu kultury „Gazety Polskiej”. Poniżej zamieszczamy rozbudowany do formy artykułu, nadesłany przez Autora, tekst zawierający główne tezy jego wystąpienia.

KULTURA, CZYLI RACJA STANU

Panie, Panowie.

Będę mówił krótko pozostawiając sobie możliwość rozwinięcia pewnych tez w tekście, który przedstawię organizatorom – o ile będą naszymi postulatami zainteresowani.

Zacznę od gratulacji. Nasze spotkanie, bez względu na przyszłość i na wyniki wyborów, już zakończyło się sukcesem. Bo za sukces organizatorów uważam, iż znaleźli się tu przedstawiciele różnych środowisk, *widzimy ludzi z rywalizujących wydawnictw, z redakcji, które się podgryzają i artystów, którzy – mówiąc najdelikatniej – za sobą nie przepadają. A jednak coś ich tu przygnało, jakaś wspólna troska* – i to jest sukces, ale... Takie zgromadzenie socjologia nazywa tłumem. Tłum łączy się na chwilę pod wpływem

emocji i rozchodzi, chyba, że zostanie zorganizowany i spojony, na przykład wspólną pracą. Czy z tego tłumu powstanie jakaś organizacja, jakieś ciało które zdziała coś pozytywnego w kulturze, do tego wspólnie – nie wiem, to będzie kolejny test sprawności organizatorów.

KULTURA STANU WOJENNEGO.

DWA ZAGROŻENIA.

Mówimy o stanie kultury, używamy słów patriotyzm, nacjonalizm, mecenat państwa. Myślę, że warto przystanąć i zrobić rozpoznanie sytuacji, uporządkować pojęcia.

Przed wszystkim musimy sobie zdać sprawę, że polska kultura jest kulturą stanu wojennego a państwo polskie jest w stanie podwójnego za-

grożenia. Pierwsze to zagrożenie zewnętrzne. Nasze państwo jest nie tyle w stanie niepodległości, co w trwającym już lata stanie wojny; wybija się na niepodległość i co chwila staje się przedmiotem agresji – politycznej, ekonomicznej, propagandowej. *Rok 1612* i raport Anodiny; embargo na owoce, likwidacja stoczni i operacja Jedwabne; *Unsere Mütter, Unsere Väter* i *polnische Häuser des Todes* (*Polish death camps*), *Zimni Legiomarš*, wyprawianie pieniędzy przez obce banki i nagrody dla „Idy” – to tylko kilka operacji tej kampanii.

Walka z polskością ma charakter hybrydowy, odbywa się w sposób jawny i w sposób zamaskowany – podstęp, zaskoczenie, maskowanie to także elementy sztuki wojennej. Wróg osłabia motywację obrony i paraliżuje wolę ataku. Ośmieszana jest tradycja, niszczone wzorce patriotycznych i bohaterskich zachowań, plugawiona sfera sacrum – w to miejsce podstawiane są wartości niższe, promuje się egoizm, kult pieniądza, karierowiczostwo za wszelką cenę, także za cenę wolności, także za cenę zdrady. Wszystkie te antywartości podawane są w atrakcyjnym, najczęściej „europejskim” przebraniu. W niszczenie naszej kultury zaangażowane są ekipy

najwyższej klasy dywersantów. W kulturze także działają nieznani sprawcy i mordercy na zlecenie; po wydawnictwach, redakcjach i teatrach krąży seryjny samobójca. Trzeba rozpoznać wrogów polskiej kultury, ustalić skąd następują ataki, gdzie szukać sojuszników a gdzie działa piąta kolumna, przypomnieć sobie zapomniane arsenały, przywołać dawnych bohaterów, sięgnąć po doświadczenie kombatanów a przede wszystkim złączyć siły i skoordynować kontrakcję – pospolite ruszenie tych, którym leży jeszcze na sercu dobro wspólne. Pamiętać przy tym należy, że najlepszą formą obrony bywa atak, a ugodowość jest zachętą do agresji.

Straty jakie ostatnio ponieśliśmy wskutek propagandowych napaści sąsiadów i dywersji wewnętrznego lobby powinny nam uświadomić, że mecenat państwowy jest w naszej sytuacji koniecznością, inaczej grozi nam walka partyzancka, chowanie się po lasach i czekanie, aż nas kolejno dobiją, w najlepszym razie potraktują paralizatorami. Małe szanse, że będą wonne.

Drugie zagrożenie ma charakter wewnętrzny, organiczny, z tym, że mówimy o psującym się organizmie. Polska to państwo w stanie rozpadu,

powiedzmy dokładniej: powstawania i rozpadania się. Państwo jest wyobcowane i traktowane jako obce, uległo wyalienowaniu. To największy sukces przeciwników polskości. Nie tu miejsce na analizę przyczyn, złożyła się na to historia zaborów i komunizmu, państwo było „ich” a nie „nasze”. Dodatkowo bardziej zacietrzewieni niż myślący politycy, kłócili się o słowa, przeciwstawiali patriotyzm nacjonalizmowi, rzekomą troskę o naród rzekomej trosce o państwo. To wszystko nieporozumienia¹ – głupie, lecz paraliżujące działalność. A kryje się za nimi prywatna i partyjniactwo.

W tej chwili rzadko kto utożsamia się z polską wspólnotą jako całością, z narodem, który po to zorganizował państwo by rozwiązać problemy prze-

rastające siły mniejszych wspólnot. Szczytem wspólnotowego myślenia jest myślenie partyjne: co da się zagarnąć dla swoich, z jakich posad wyrzucić konkurentów; partyjność jest motorem dezintegracji kultury, a to znaczy rozbicia narodu i upadku ojczyzny. Polska zmienia się w śmietnik Europy, Polacy – w jego coraz smutniejszych mieszkańców.

W tej sytuacji mecenat państwa jest prawie niemożliwy, a przecież – jak mówiłem – jest konieczny. Pojęcie racji stanu dotyczy przede wszystkim kultury. Kultura jest zawłaszczana przez struktury partyjne, korporacyjne, handlowe i wszelkie inne, niszczące wspólną, z trudem wypracowaną całość. Partyjność jest czymś pozytywnym, gdy reprezentując różne myśli o Polsce staje się – poprzez rywalizację, poprzez zmuszanie do twórczego wysiłku – napędem rozwoju; partyjność staje się przekleństwem, gdy ulega alienacji i zamiast inspirować twórczość dąży do niszczenia innych opcji, rozbija naród, staje się załącznikiem zdrady, walk bratobójczych, klęski. Nie wiem czy to Polska przyznając dotacje partiom finansuje dobrotliwie swych grabarzy, czy oni sami rozkradają majątek umierającej, wyciągają spod niej pościel, krad-

¹ Na prawach dopełnienia i zarazem roboczego zdefiniowania pojęć. Naród to podmiot zbiorowy – społeczność zamieszkująca i kultuwująca jakiś obszar zwany ojczyzną. Definiowany jest – za wyjątkiem koncepcji rasistowskich – przez system wspólnych wartości kulturowych. Państwo jest sposobem samoorganizacji narodu. W zależności od tego, czy koncentrujemy się na narodzie, ojczyźnie czy państwie mówimy o nacjonalizmie, patriotyzmie i etatyzmie. Konflikty między nacjonalizmem a patriotyzmem to skutki braku logiki. Na ogół w takich sporach mamy do czynienia z konfliktem między „dobrym” (kulturowym, tolerancyjnym) a „złym” (rasistowskim) nacjonalizmem.

nią świeczki, wiem tylko, że jedynie państwo *jest w stanie przeciwstawić się zarówno pojedynczym złodziejom, jak i większym gangom i – często finansowanym z zewnątrz – instytucjom wpływającym na kształt naszej kultury*; tylko państwo jest w stanie z nimi wygrać. Dotyczy to zarówno banków i megasamów, jak wydawnictw i stacji telewizyjnych. Zwłaszcza, że owe rywalizujące ze sobą banki czy koncerny prasowe potrafią uzgodnić działania, gdy idzie o wykończenie polskiego banku czy wydawnictwa.

Tylko państwowy mecenat może ochronić kulturę, to znaczy naród. Lub inaczej: naród może się obronić tylko przez kulturę tę zaś może obronić najskuteczniej używając narzędzia jakim jest państwo. Dlatego państwo i wszystkie wspólnotowe struktury wyższego rzędu, działające na terenie całej ojczyzny są i będą obiektami ataków. Widziany w tej perspektywie mecenat państwa to troska narodu o własne zdrowie psychiczne i fizyczne, bo biologiczne istnienie nie wystarczy aby być sobą, nie wystarczy, aby być narodem.

UZBROJENIE KULTURY

Trzeba dodać kilka uwag technicznych. Mówimy o kulturze i o tożsa-

mości, to prawie synonimy. Padały tu ważne słowa o roli zabytków, bibliotek, muzeów – to wszystko nośniki tradycji². Edukacja to nic innego jak przekazywanie kultury. Konieczne jest wychowywanie nie tylko twórców ale także odbiorców i fachowców, którzy umieją kulturę obsługiwać i chronić. Kultura jest złożona z wielu ogniw każde narażone jest na atak. Czasem zostanie zlikwidowana uczelnia, czasem starczy zablokować dotacje, czasem zamiast likwidować muzeum wystarczy dofinansować na tym samym terenie inne, jednym twórcom przyznać stypendia – innych pozbawić pracy. Konieczne jest zarówno uzbrojenie kultury w narzędzia emitujące i zwielokrotniające wartości, jak opancerzenie kultury instytucjami – inaczej rozproszy się jak emocje przypadkowych zbiegowisk. Urzędnicy państwowi muszą umieć być strażnikami kultury – trzeba ich przeszkolić lub wyrzucić.

Mówi się czasem o likwidacji mi-

² Kultura jest systemem wartości i ich materialnych nośników, wymaga twórców, odbiorców (interpretatorów) i – jak wszystkie układy – zasilania. Niszczenie kultury może polegać niszczeniu materialnych nośników, odcinaniu zasilania, eliminacji aktualnych i potencjalnych (młodzież) twórców kultury, destrukcji przekazywanych sensów etc

nisterstwa kultury. Jeśli można poma-
rzyć, a myślę, że większość siedzących
na sali to marzyciele – należałoby
postąpić odwrotnie, należałoby pod-
nieść rangę kultury w strukturach
państwowych do poziomu wice-
premiera. Bo jak mówiłem: troska
o kulturę to troska o bezpieczeństwo
i zdrowie, także o zdrowie psychiczne
narodu, także o jego istnienie. Kul-
tura musi być wolna od partyjnic-
twa, od koniunkturalnych wypaczeń
i mód. Dotyczy to zwłaszcza systemu
oświaty, w którym ofiarą koniunktur
padają literatura i historia a filozofia
narodowa i sztuka – już padły. Fran-
cuzi dbają o swoją filozofię, wykładają
ją w szkołach średnich, Niemcy dbają
o filozofię niemiecką – my działamy
podobnie – też dbamy o filozofię ...
niemiecką i francuską.

Konieczne jest stworzenie kanonu
dzieł i wzorców, mówiąc patetyczniej
Plutarch Polski i Biblia Polska – anto-
logie najważniejszych dzieł, która zna-
lazłaby się w każdym domu i szkole,
a w których byłyby przechowywane
wzorce istotne dla naszej tożsamości.
Wzorce z Sèvres, tylko nie z platy-
ny a z etyki, mądrości i wytrwałości.
Niezależne od podziałów partyjnych
i międzynarodowych układów. Myślę,
że *Dziady* i *Pan Tadeusz*, *Trylogia* czy

Promethidion to kruszec równie szla-
chetny, a dla Polaków ważniejszy.

Racją stanu jest tworzenie silnych,
a to znaczy państwowych, ogólnona-
rodowych, struktur niezbędnych do
przetrwania w wyścigu kultur. Racją
stanu są potężne wydawnictwa pań-
stwowe, państwowe teatry i wytwór-
nie filmów, państwowe stypendia dla
zasłużonych twórców i dla zapowia-
dających się talentów. Istnieją reprezen-
tujące interes całości królewskie teatry
w Anglii, istnieje system dożywotnich
stypendiów dla twórców w krajach
Skandynawii – w Polsce panuje klien-
telizm, twórczość dla Polski jest wciąż
akcją charytatywną – jednostek dla
wspólnoty.

Dla stymulowania postaw twór-
czych i patriotycznych warto sięgnąć
po takie wzorce jak przedwojenny In-
stytut Propagandy Państwowo-Twór-
czej, warto odnowić Akademię Lite-
ratury czy stworzyć Akademię Sztuk
– obejmującą także sztuki, których
nośnikami jest współczesna technolo-
gia. Bo jedną z najważniejszych prze-
strzeni rywalizacji, by nie powiedzieć
nowoczesnej wojny staje się „czwarty
wymiar” – wirtualna przestrzeń kre-
owana w telewizorach, komputerach,
komórkach i coraz to nowszych no-
śnikach informacji.

TRADYCJA I ADDYCJA

Cały czas mówimy o tradycji – w myśl zasady, iż przyszłość jest wyselekcjonowaną przeszłością, że naród jest wspólnotą żywych i umarłych. Ale nie tylko. Prócz tradycji uwzględnić należy to, co Norwid nazywał addycją, wartości dodawane przez nasze pokolenia, cele, które czasami wabią a czasami brutalnie ciągną nas w przyszłość. Bez celów wiadomo skąd przychodzimy, nie wiadomo dokąd idziemy, ani po co. Projekt zwany Pierwszą Rzeczpospolitą realizował model zwany potem sarmatyzmem, oparty na kodeksie rycerskim, demokracji szlacheckiej (z wybieralnym monarchą), łacińskiej kulturze renesansu i baroku, religii katolickiej – z tolerancją dla protestantyzmu, greko katolicyzmu a nawet mozaizmu. Polska była awangardą łacińskiej cywilizacji, stanowiła swego rodzaju *antemurale christianitatis*, to czyniło z niej indywidualność. Mieliśmy swój cel, swoją misję, która nie odbierając wolności nadawała narodowi sens i godność. Taki ustrój synchronizował oddolne obywatelskie inicjatywy z projektami elit władzy, uwzględniał sacrum religijne i państwowe, harmonizował wpływy obce z tradycją, bunt z kontynuacją, przyszłość z przeszłością. Było

to prawie niemożliwe – jednak przez kilka wieków się udawało – póki tej Polski nie rozbili sąsiedzi.

W wyniku I wojny odzyskalismy niepodległość – klęska mocarstw była warunkiem koniecznym, lecz nie wystarczającym. Niezbędny był wysiłek własny, najpierw krew, potem praca Polaków. Byli zdolni do tego poświęcenia – bo wychowani zostali w wartościach narodowych i niepodległościowych, stawiali wspólne dobro wyżej niż własne korzyści, czasem wyżej niż życie. Piłsudski mówił, że po wyścigu żelaza i krwi czeka nas wyścig pracy, także pracy w kulturze. W tym wyścigu braliśmy udział z powodzeniem. Celem wewnętrznym Polski było jednoczenie trzech zaborów, budowanie demokracji i zarazem silnych struktur państwowych a nadto budowa państwowego sacrum w miejsce sakralności, którą wcześniej ofiarowywała monarchia. Celem polityki zewnętrznej – cywilizacja i obrona Kresów przed barbarzyństwem – z perspektywą Federacji na horyzoncie. Ten projekt również zniszczyli nasi sąsiedzi.

W tej chwili nie jesteśmy w stanie wykrzesać z siebie żadnych projektów, żadnej wizji przyszłości. Nie wiemy, czy chcemy organizować Międzymorze, czy być przedmurzem liberalnej

Europy, *antemurale lupanarum et paradisi paedaorum mundi*, może pomóc do Rosji – może przyczółkiem chińszczyzny. Czasy komunizmu pozbawiły nas nie tylko odwagi i pracowitości lecz także wyobraźni. Jej odtworzenie jest również racją stanu. Pozbawieni tożsamości stajemy się narodem–plagiatem, mówiąc obrazowo: narodem dzieci Frankenstein.

Mówiłem, że to, co nazywamy mecenatem państwa w kulturze, to

wymóg racji stanu, troska o własne bezpieczeństwo. Kończąc powtórzę to nieco dobitniej – mecenat państwa, to w istocie troska narodu, normalna troska nas samych o swoje własne zdrowie, więcej: o swoje istnienie, nie biologiczne, zwierzęce, tylko wolne, godne i twórcze. Ludzkie. Brak tego mecenatu jest symptomem nienormalności – choroby.

MIEJSCE POLSKI W ŚWIECIE¹

Miejsce Polski w świecie systematycznie spada i w najbliższych dziesięcioleciach powinno spadać nadal, przynajmniej w rozumieniu podstawowych, ustalanych długoterminowo miar. Tylko częściowo tłumaczą to procesy zewnętrzne i powszechne, marginalizujące większość mniejszych państw. Ważniejsze i nawet kluczowe wydają się niematerialne czynniki wewnętrzne, pozornie łatwe do poprawy, a mimo to zadziwiająco stabilne: niedostatek refleksji nad procesami historycznymi, nieświadomość stanu państwa oraz brak lub infantyizm wizji jego rozwoju.

DIAGNOZA

W pracy *Polska 40 lat później* [1] pokazałem stabilną tendencję spadku pozycji Polski w świecie, nie znaj-

dując przyczyn, dla których trend ten miałby ulec, w przewidywalnej przyszłości, zmianie. Już samo zdiagnozowanie spadku miejsca Polski wywołało zdziwienie i niedowierzanie czytelników, zderzając się poznawczo z autorytatywnymi, publicznymi zapewnieniami o stałym, imponującym i niewątpliwym postępie, którego przecież szczęśliwie doświadczamy.

Kontestować taki postępek jest nadzwyczaj trudno, bo magicznie scala on różne sprzeczności, gdy ma być równocześnie stały i bezprecedensowy, oczywisty, ale też wyjątkowy, normalny, ale i nadzwyczajny. Każdy niedowiarek musi prędzej czy później się w tym poplątać: zakwestionuje stałość, to jakby się zgadzał z wyjątkowością, zwątpi w wyjątkowość, powinien uznać normalność, wyprze się tej normalności, to sam potwierdza nadzwyczajność. W ten sposób, każda krytyka staje się niepoważna.

¹ Marek Chlebuś, *Miejsce Polski w świecie, Przyszłość. Świat – Europa – Polska* Nr 1/29, Komitet Prognoz PAN, Warszawa 2014

Omijając te pełne pułapek refleksje nad postępowaniem, można jednak bezpiecznie zgodzić się co do tego, że cokolwiek jest obliczane i publikowane dla wszystkich krajów świata, wolno to porównywać. Z pewnością różna jest w różnych państwach kultura uprawiania statystyki, mamy jednak w miarę jednolite standardy międzynarodowe oraz obiektywizowane i ujednolicane zestawienia, sporządzane przez organizacje globalne, takie jak ONZ. Mamy też w Polsce Główny Urząd Statystyczny, który te zestawienia współtworzy oraz upowszechnia.

Główna przeglądowa tabela międzynarodowa GUS, publikowana co trzy lata w *Rocznikach statystyki międzynarodowej*, jako *Tablica 2*, nosi tytuł *Udział i miejsce Polski w świecie*. Zawiera ona dane o tym, jaki procent różnorodnego światowego potencjału przypada na Polskę i które to nam daje miejsce wśród krajów świata. Zestaw wskaźników, uwzględnianych w tej tabeli jest w kolejnych wydaniach dość stabilny i obejmuje:

Państwo: powierzchnia, ludność.

Gospodarka: produkcja energii elektrycznej, import, eksport, PKB ogółem, PKB na mieszkańca.

Produkcja roślinna: zbiory: pszenicy, żyta, jęczmienia, ziemniaków, buraków cukrowych; pozyskanie drewna.

Produkcja zwierzęca: pogłowie: bydła, trzody chlewnej; produkcja: mięsa z uboju, mleka krowiego, jaj kurzych; połowy morskie i słodkowodne.

Produkcja surowcowa: produkcja: surowców energetycznych, węgla kamiennego, węgla brunatnego, cukru surowego, cementu, stali surowej, miedzi rafinowanej.

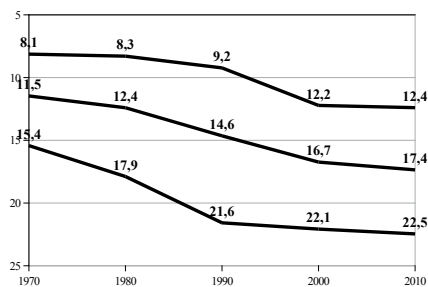
Sporadycznie, we wcześniejszych *Rocznikach statystyki międzynarodowej*, *Tablicę 2* uzupełniano o specyficzne wielkości, które kiedyś uważano za ważne, z kolei inne wielkości, ustalane dzisiaj, czasem pomijano, jednak wymieniony wyżej zestaw wskaźników stanowi względnie stały trzon kilku ostatnich wydań.

Taki zbiór danych obejmuje z konieczności to, co jest policzalne i mierzalne. Poza jego perspektywą pozostaje wiele czynników niematerialnych, niewymiernych lub niejednoznacznych. Znaczący jest też oczywiście dobór podawanych rankingów. W warunkach polskich, jak najbardziej zrozumiałe jest zainteresowanie zbiorami ziemniaków czy żyta, podobnie też nie wymaga uzasadnienia pomijanie zbiorów

rów bananów czy ryżu. Trzeba jednak pamiętać o skutkach takiego wyboru: koncentrując się na tych dziedzinach, w których Polska się specjalizuje, relatywnie zawyżamy pozycję naszego kraju.

Dlatego, badając agregaty pozycji Polski, trzeba analizować raczej zmiany czasowe niż ich bezwzględne wartości. Ważne i znaczące będą przy tym tylko tendencje ogólne, wszelkie szczegóły mogą okazać się artefaktami zastosowanej metodologii. Dla tak szerokiego zbioru danych, trudno znaleźć lepszy agregat niż średnia, ale i to nie jest jednoznaczne, bo można zastosować różne średnie: harmoniczną, geometryczną lub arytmetyczną. Żadna z nich nie jest lepszym od innych narzędziem syntezy. W praktyce, najczęściej używana bywa średnia arytmetyczna, która przyjmuje wartości największe. Średnia geometryczna jest zawsze niższa, średnia harmoniczna jeszcze niższa.

Poniższy rysunek pokazuje miejsce Polski w świecie w latach 1970-2010, jako średnie z określonego wyżej pełnego zestawu wskaźników GUS. Dane źródłowe specyfikuje Tabela 2, zamieszczona w Załączniku na końcu tej pracy.



Rysunek 1. Miejsce Polski w świecie, obliczone jako średnie z kolumn Tabeli 2 na końcu artykułu. Średnie: górna – harmoniczna, środkowa – geometryczna, dolna – arytmetyczna. (Zwrot osi pionowej odwrócony).

Każda średnia wnosi do obrazu miejsca Polski własną specyfikę. Według jednej, miejsce to spada dość równomiernie (wykres środkowy), według innych spadek spowalnia: bądź od roku 1990 (wykres dolny), bądź od roku 2000 (wykres górny). To jednak tylko artefakty. Istotne i znaczące, wspólne dla wszystkich średnich, jest jedno: **miejsce Polski w świecie stale spada.**

W tej pracy, jako najbardziej rozpowszechniona i zrozumiała, a przy tym, wyznaczająca Polsce miejsce w trzeciej dziesiątce państw świata – takie, z jakim osławiają nas media, koncentrując się na PKB – będzie używana tylko średnia arytmetyczna,

na wykresie dolna. Zgodnie z nią, miejsce Polski spadło z 15-16 w roku 1970 do 22-23 w roku 2010.

Istnieją oczywiście takie wskaźniki, według których miejsce Polski w świecie poprawia się. Można je znaleźć także wśród cytowanych danych GUS. Na przykład, w ostatnim dwudziestolecu byłoby ich pięć: pozyskanie drewna, eksport, import oraz PKB ogółem i PKB *per capita*. Średnia z tych miejsc poprawia się z miejsca 50 w 1990 r. na 29 w 2010 r. Ale też można wybrać inną piątkę liczb, ani lepiej, ani gorzej uzasadnioną, według której obraz byłby diametralnie inny. Rozważmy na przykład powierzchnię, ludność, zbiory buraków, połowy ryb i produkcję surowców energetycznych. Tutaj, w tym samym czasie,

średnia pogarsza się z 32 w 1990 r. do 46 w 2010 r.

Każdy autorski wybór wskaźników będzie dyskusyjny. Uwzględnianie po prostu całej tabeli GUS, choć można by mu zarzucić bezrefleksyjność i mechaniczność, ma jednak tę wyjątkową zaletę, że pozostaje maksymalnie bezstronne. Kto chciałby kontestować taki, a nie inny zestaw danych, ten musi się zderzyć z autorytetem polskiej statystyki publicznej – najlepszej, jaką mamy.

PROGNOZA

Poniższa tabela podaje obliczone, na podstawie danych GUS, szczegółowo przedstawionych w Tabeli 2 Załącznika, historyczne miejsce Polski w świecie, a także przedłuża w przyszłość dotychczasowe trendy.

Tabela 1. Prognoza miejsca Polski w świecie.

	1970	1980	1990	2000	2010	2020	2030	2040	2050
Dane rzeczywiste	15,42	17,88	21,58	22,08	22,46				
Prognoza (trend 20-letni, górny)						22,9	23,3	23,8	24,2
Prognoza (trend środkowy)						23,56	24,66	25,76	26,86
Prognoza (trendu 40-letni, dolny)						24,2	26,0	27,7	29,5

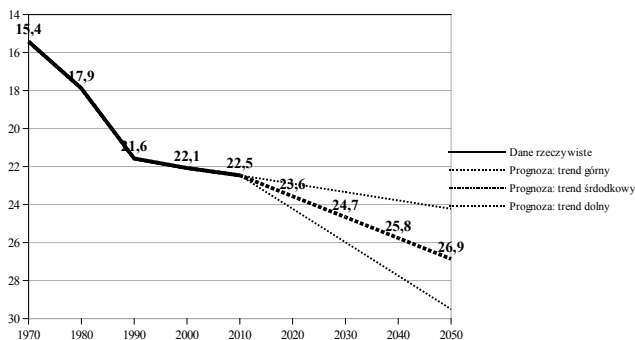
Dane rzeczywiste obliczono jako średnie liczb z kolumn Tabeli 2. Prognozy są liniowym przedłużeniem następujących trendów:

czterdziestoletni: trend lat 1970-2010, najdłuższy, dla którego dostępne są jednorodne dane, średnia zmiana dziesięciolecia 1,76 punktu,

dwudziestoletni: trend lat 1990-2010, najdłuższy w ramach nowego usytuowania geopolitycznego Polski, średnia zmiana dziesięcioletnia 0,44 punktu,

środkowy: trend prognostycznie optymalny, pośredni między dwoma powyższymi, średnia zmiana dziesięcioletnia 1,1 punktu.

Ilustrację Tabeli 1 stanowi poniższy rysunek:



Rysunek 2. Miejsce Polski w świecie. Prognoza. (Zwrot osi pionowej odwrócony).

Uzyskane liczby niewiele się różnią od tych z poprzedniej pracy [1]. Co do danych historycznych, skorygowanych ostatnio przez GUS, rozbieżność między średnimi starszymi a nowszymi nie przekracza 0,23 punktu. Co do liczb prognozowanych, czterdziestoletnia różnica między starszą a obecną pracą wynosi niecały punkt.

Aparatura badawcza poprzedniej pracy była bogatsza, a jej wyniki bardziej złożone, choć też bardziej hipotetyczne, z racji mniejszej liczby danych. W obecnej pracy, dysponując nowszymi, poprawionymi i uzupełnionymi danymi, stosując prostszą, choć nie gorzej uzasadnioną metodologię, możemy podtrzymać poprzednią prognozę: określone jako średnia z odpowiedniej tabeli GUS, **miejsce**

Polski w świecie będzie nadal spadać i w perspektywie roku 2050 powinno się obniżyć o około 4 punkty. Możliwy, choć mniej prawdopodobny, wydaje się słabszy spadek,

o niecałe dwa punkty. Za także możliwe, choć również mniej prawdopodobne, trzeba uznać spadek większy, o około 7 punktów. **Poprawa, a nawet utrzymanie obecnego miejsca, wydają się nieprawdopodobne.**

KOMENTARZ

Rzadko zdarza się taki rok, w którym władze ogłaszałyby pesymistyczne diagnozy, a tym bardziej prognozy. Pewien krytycyzm, choć nie zawsze obiekty-

wizm, wykazują czasem władze nowe, po większej politycznej zmianie, ale to im zwykle szybko mija. Zresztą, wpływ władz na rzeczywiste procesy jest i niepewny, i ryzykowny. Łatwiej, niż rzeczywistość, można zmieniać wskaźniki statystyczne, a przynajmniej sposób ich ustalania lub prezentacji. Nawet jeśli władze same się tego nie domagają, zawsze znajdzie się ktoś uczynny, kto to chętnie ku ich satysfakcji zrobi.

Bardzo trudno jest znaleźć takie wielkości, które byłyby przez dłuższy czas ustalane w ten sam sposób i bezpośrednio porównywalne między różnymi okresami. Nawet te liczby, których pomiar wydaje się nieskomplikowany i trudny do zafałszowania, jak powierzchnia, ludność, zadłużenie czy wykształcenie, też podlegają zmianom metodologicznym, jeśli nie co do sposobu mierzenia, to przynajmniej co do interpretacji.

Matematyka to bezmyślna służka. Liczby, nawet te ustalane z dużą precyzją, wciąż mogą oszukiwać i zwodzić. Regularnie, od dłuższego czasu, podawane są nam jednobrzmiące, optymistyczne komunikaty o polskim PKB, który z roku na rok ma być coraz większy, a my przez to powinniśmy czuć się coraz bogatsi i coraz szczęśliwsi.

Pomijając zmienny w czasie sposób ustalania PKB i jego ograniczoną porównywalność z roku na rok, a tym samym nieprecyzyjność samego pojęcia wzrostu, pomijając też niejednoznaczną interpretację PKB, którego wzrost nie zawsze musiałby cieszyć, a spadek martwić, można wątpić nawet w sam arytmetyczny wzrost PKB.

Dość łatwo są dostępne, choć nie zbyt nagłaśniane, wiarygodne dane, które pokazują, że polskie PKB jednak ostatnio spadało. Na przykład, Bank Światowy podaje następujące wielkości PKB [2]:

PKB Polski [mld \$]	
2009 . . .	430,9
2010 . . .	469,7
2011 . . .	515,7
2012 . . .	489,8 . . . (–5 %)

które wyraźnie wskazują na 5% spadek PKB Polski w 2012 r. w stosunku do roku 2011.

Są to rzadko rozpowszechniane wielkości, wyrażone w dolarach amerykańskich (tzw. current US\$). Władze chętniej publikują PKB według parytetu siły nabywczej, oznaczające niby to samo, ale wyrażone w fikcyjnym pieniądzu, w tak zwanym dolarze międzynarodowym (\$I), którego

kurs jest co roku dyskretnie ustalany przez statystyków. Chociaż trudno za taką walutę cokolwiek kupić, to jednak ma ona tę użyteczność, że może poprawiać nastrój, bo używając jej, odnotowujemy, zamiast 5% spadku, 5% wzrost PKB [3]:

PKB Polski [mld \$]
2009 ... 689,9
2010 ... 733,9
2011 ... 778,4
2012 ... 816,0 ... (+5%)

Co to jednak znaczy? Co nam rośnie, a co spada? Podzielmy PKB wyrażone w dolarach międzynarodowych przez to wyrażone w dolarach amerykańskich. Ustalimy w ten sposób takie oto wzajemne relacje tych walut, fikcyjnej i rzeczywistej:

Relacja \$I/\$
2009 ... 1,60
2010 ... 1,56
2011 ... 1,51
2012 ... 1,67 ... (+10%)

Widzimy teraz, że w 2012 r., 5% roczny spadek nominalnego PKB Polski (w dolarach) został zawiązką skompensowany 10% wzrostem kursu statystycznej waluty (dolara

międzynarodowego), dzięki czemu możemy się cieszyć 5% wzrostem... ale czego? No właśnie.

Po bliższym przyjrzeniu się dostępnym danym, można stwierdzić, że dolar międzynarodowy zmieniał się w rozważanych latach w stosunku do dolara amerykańskiego dokładnie tak samo, jak polski złoty. Poniższa tabela pokazuje średnioroczny kurs dolara USA w złotych, wyznaczony jako średnia (arytmetyczna) z wszystkich dziennych notowań NBP [4]:

Relacja PLN/\$
2009 ... 3,12
2010 ... 3,02
2011 ... 2,96
2012 ... 3,26 ... (+10%)

Kurs ten wynosi zawsze, z dokładnością do 0,5%, 1,95 kursu z poprzedniego zestawienia (SI/\$). Waluta fikcyjna okazuje się więc ściśle powiązana z walutą rzeczywistą, a przez to łatwiejsza do interpretacji. Wzrost PKB w dolarach międzynarodowych jest, a przynajmniej w rozważanych latach był, tożsamy ze wzrostem tegoż PKB w złotych, który, na równi ze wzrostem gospodarczym, wyraża na przykład inflację. Tak skalowane PKB może nie spadać nawet w cza-

sach gospodarczej zapaści. **Statystyka to przemysłna służka.**

Ten przydługi wtręt nie miał podważać zaufania do statystyki w ogóle, lecz raczej usprawiedliwiać stosowanie w pracy [1], oraz tutaj, najprostszych miar, które mogą się wydawać dość staromodne, takich jak pogłównia, zbiory czy produkcje. Są to wielkości relatywnie najpewniejsze, przynajmniej w tym sensie, że jednoznacznie powiązane z rzeczywistością. Już nawet tak pozornie ściśle „nowoczesne” miary, jak scholaryzacja czy telefonizacja, mogą być co najmniej mylące, bo *per capita*, absolwentów wyższych uczelni więcej od Polski ma Ukraina, a telefonów komórkowych Bułgaria [7], a raczej nie są to kraje, które uważalibyśmy za bardziej od nas rozwinięte.

Zestawienie *Udział i miejsce Polski w świecie* jest przez GUS konsekwentnie prowadzone od wielu dziesięcioleci i stanowi wyjątkowe źródło niezłe porównywalnych danych o dużej czasowej rozciągłości. Być może należałoby dzisiaj z niektórych danych w tej tabeli zrezygnować, a jakieś inne do niej dodać, ale wtedy tracilibyśmy porównywalność. Dlatego w pracy [1] oraz tutaj, tabela GUS jest stosowana praktycznie bez korekt i bez interpre-

tacji. Wynikający z niej obraz jest jednoznaczny: miejsce Polski w świecie stale spada.

Nie musi to znaczyć, że w Polsce dzieje się coraz gorzej. Zawsze można znaleźć jakieś pocieszające miary, ale też zawsze można je różnie interpretować. Można się cieszyć, że rośnie długość życia, ale też trzeba się tym samym martwić o system emerytalny. Można się szczycić lepszym stanem środowiska naturalnego, ale też trzeba go wiązać z nieodpowiedzialną deindustrializacją. Można się cieszyć postępem w kulturze materialnej, ale też należy się martwić załamaniem kultury duchowej. Można się szczycić upowszechnieniem wyższego wykształcenia, ale też trzeba się smucić jego jakością.

Mimo wszystko, jest bezdyskusyjne, że pod względem wielu podstawowych miar, Polska awansuje, będąc infrastrukturalnie, gospodarczo i cywilizacyjnie przyciągana do Unii Europejskiej, a to na razie, w różnych mierzalnych aspektach, oznacza postęp. Towarzyszy jednak temu proces jednoznacznie negatywny, z którym też trudno dyskutować. To emigracja Polaków. Oznacza ona, że Polakom jest w Polsce źle, a przynajmniej gorzej niż w obcych krajach. Tego nie da

się ani przykryć żadną interpretacją, ani niczym usprawiedliwić [9].

Co musi jednoznacznie martwić, to stan świadomości, a raczej nieświadomość stanu (rzeczy). Ponieważ nic się tutaj ostatnio nie zmieniło, w konkluzji po prostu powtórzę słowa pracy sprzed kilku lat [1]:

„Niestety, potencjał umysłowy Polski zdaje się maleć jeszcze szybciej niż ten ludnościowy. Jednym z najbardziejniejszych tego przejawów jest samozadowolenie elit, upojonych własnymi komplementami, opromienionych samouwielbieniem, poczuciem potęgi, przyznających sobie za to coraz liczniejsze ordery, nagrody, tytuły honorowe, których liczba rośnie chyba jeszcze szybciej i optymistyczniej od wskaźników skolaryzacji, europeizacji, cywilizacji, uzasadniając tym samym wiarę w opiekuńczą, niewidzialną rękę dziejów, która zawsze sprawi, że świat zadba o nas lepiej niż my sami... To raczej nie sprzyja budowaniu planów.

(...)

Istnieje wielka przestrzeń między patetyczną mocarstwowością a planktonicznym fatalizmem. Aby w niej nawigować, potrzeba jednak jakiejś myśli państwowej. Choćby i kulawej. Dziś, jak się zdaje, nie mamy żadnej.”

ZAŁĄCZNIK

We wcześniejszej pracy, *Polska 40 lat później* [1], podałem w Tabeli 1, w oparciu o *Roczniki statystyki międzynarodowej* GUS [5] i [6], szczegółowe dane o miejscu Polski w świecie w latach 1960-2007. Ostatnie dane dotyczyły roku 2007, statystycznie odmiennego, nie zamykającego pełnego dziesięciolecia, co wynikało z niedostępności, w chwili publikacji, porównywalnych danych za 2010 rok. W roku 2013, GUS opublikował kolejną edycję *Rocznika statystyki międzynarodowej* [7]. Dało to możliwość uzupełnienia danych i doprowadzenia ich do bardziej ujednoliconej postaci.

Przy okazji, można usunąć pewną niekonsekwencję pracy [1], która co prawda rzetelnie ustalała ogólne miejsce Polski w świecie, jako średnią arytmetyczną, wziętą z wszystkich podanych przez GUS miejsc dziedziny, ale w poszukiwaniu tendencji długoterminowych, objęła tą metodologią także rok 1960, chyba jednak nie w pełni statystycznie kompatybilny z latami późniejszymi. Otóż, nie były i nie są wprost dostępne dla tego roku dane o imporcie, PKB ogółem i PKB na 1 mieszkańca. Ich ustalenie byłoby wprowadzić możliwe pośrednio, ale porównywalność z później-

szymi latami pozostawałaby wątpliwa. Brak tych danych ma znaczny wpływ na średnie miejsce Polski dla 1960 r. Obliczona bez nich średnia wyniosła 14,04 i miała stosunkowo małą wielkość, zapewne zaniżoną, z powodu nieuwzględnienia w niej dużych liczb, raczej od tej średniej większych, wynoszących dla 1970 r. 16, 17 i 48 (odpowiednio import, PKB i PKB per capita).

Gdyby, zakładając dziesięcioletnią stałość tych wartości, włączyć te późniejsze liczby wprost do średniego miejsca Polski za 1960, miejsce to wzrosłoby do 15,69. Gdyby inaczej, założyć stałość nie wartości, ale zmian, czyli przyjąć, że wskaźniki te zmieniły się w 1970 r. w stosunku do 1960 r. tak samo, jak potem w roku 1980 w stosunku do roku 1970, uzyskalibyśmy dla 1960 r. liczby 13, 4 i 27, arytmetycznie podobnie uzasadnione, lecz gospodarczo już mniej prawdopodobne, które dałyby średnią 14,12. W każdym wypadku, poda-

na uprzednio średnia dla roku 1960 wydaje się zaniżona: o 0,08 lub 1,65 punktu. Pierwsza różnica byłaby niewielka, druga jest już istotna liczbowo i nawet znacząca jakościowo, bo zmieniająca obraz dziesięciolecia lat 60-tych ze spadkowego na wzrostowy. Celowe wydaje się zatem, przy okazji weryfikacji danych i wyników, zrezygnowanie z rozciągania syntetycznych wskaźników dalej niż na rok 1970.

Poniższa tabela zawiera liczby zmodyfikowane i zweryfikowane w stosunku do pracy wcześniejszej [1], bez ustalania wartości za rok 1960, za to z podaniem ich za rok 2010. Wytłuszczono te liczby, które w ostatnim wydaniu *Rocznika Statystyki Międzynarodowej* [7], zostały zweryfikowane w stosunku do wydania poprzedniego [6]. Kursywą w przedostatniej kolumnie, dotyczącej roku 2010, zaznaczono te liczby, które w 2010 r. uległy zmianie w stosunku do wartości ustalonych poprzednio dla roku 2007. Wielkość tych zmian pokazuje ostatnia kolumna.

Tabela 2. Miejsce Polski w świecie w latach 1970-2010. Dane za GUS [5], [6] i [7].

	1970	1980	1990	2000	2010	10 – 07
Powierzchnia	60	61	61	69	68	
Ludność	20	24	24	30	34	+1
Zbiory pszenicy	13	20	13	15	16	
Zbiory żyta	2	2	2	3	2	

	1970	1980	1990	2000	2010	10 – 07
Zbiory jęczmienia	15	12	11	13	11	
Zbiory ziemniaków	2	2	2	4	7	+1
Zbiory buraków cukrowych	5	6	5	7	7	+1
Pogłowie bydła	22	20	26	39	45	
Pogłowie trzody chlewnej	6	6	6	8	7	+2
Produkcja mięsa z uboju	13	11	14	16	15	+1
Produkcja mleka krowiego	5	5	6	11	12	+2
Produkcja jaj kurzych	10	14	15	21	19	+1
Połowy morskie i słodkowodne	26	21	31	52	49	-16
Pozyskanie drewna	24	24	32	27	20	-3
Surowce energetyczne (produkcja)	12	11	19	24	33	+3
Węgiel kamienny (produkcja)	5	4	7	7	9	+1
Węgiel brunatny (produkcja)	5	6	6	7	8	+1
Cukier surowy (produkcja)	11	16	14	15	22	+6
Cement (produkcja)	11	10	22	21	26	+1
Stal surowa (produkcja)	10	8	13	19	21	-1
Miedź rafinowana (produkcja)	16	9	9	8	10	+1
Energia elektryczna (produkcja)	11	11	16	19	21	
Import	20	27	46	25	21	+3
Eksport	16	34	38	32	24	
PKB ogółem	17	30	34	24	20	-2
PKB na 1 mieszkańca	48	69	88	58	57*	+2*
Średnie miejsce Polski w świecie	15,42	17,88	21,58	22,08	22,46	-0,19
Średnie miejsce poprzednio**	15,42	17,85	21,58	21,85	22,72***	

Uwagi:

* liczba określona na podstawie danych zewnętrznych (UN, WB, IMF, CIA) – komentarz poniżej,

** liczby pochodzące bezpośrednio z pracy [1],

*** oszacowanie na podstawie liczb z pracy [1]: średnia z 2007 r. 22,27, średnioroczna zmiana 0,15, trzyletnia zmiana 0,45, wartość spodziewana dla 2010 r. 22,72.

Komentarz do *:

W najnowszych rocznikach statystycznych, GUS przestał podawać

miejsce Polski w świecie w klasyfikacji według PKB na jednego mieszkańca. Miejsce to zostało w tabeli powyżej

oszacowane na podstawie danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Banku Światowego, Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz Centralnej Agencji Wywiadowczej USA, dostępnych w roku 2013, przyjętych za [8], wynoszących odpowiednio: 55, 57, 58, 58, co daje średnią 57. Miarodajność tych wskaźników, a zwłaszcza ich porównywalność z tymi publikowanymi wcześniej przez GUS, jest niepełna. Obliczane są one na podstawie danych źródłowych z różnych lat, zazwyczaj 2012, ale często wcześniejszych o 1, 2 lub 3 lata, a sporadycznie jeszcze starszych. Również nie w pełni byłaby adekwatna ostatnia dostępna dana GUS, dotycząca roku 2007, określająca miejsce Polski w świecie pod względem PKB per capita, jako 55. Zważywszy na to, że liczba ta dotyczy okresu sprzed wieloletniego światowego kryzysu, można ją uznać nawet za mniej miarodajną od danych nowszych, co uzasadnia przyjęcie w tej pracy liczby 57. Odnotujemy przy tym, że gdyby stosować dla ustalenia wskaźników liczbę 55, zamiast 57, wynikowe średnie miejsce Polski zmieniłoby się bardzo nieznacznie: o 0,08 punktu, z 22,46 na 22,38, i wciąż kontynuowałoby wieloletni spadek.

LITERATURA

(Wszystkie odczyty z internetu z dnia 27.12.2013.)

1. Marek Chlebuś, Polska 40 lat później, w: *Wizja przyszłości Polski. Studia i analizy*. Tom II s 153, Komitet Prognoz PAN, Warszawa 2011, <http://chlebus.eco.pl/ECOSOC/PL-2050.pdf>
2. <http://data.worldbank.org/indicator/NY.GDP.MKTP.CD/countries>
3. <http://data.worldbank.org/indicator/NY.GNP.MKTP.PP.CD/countries>
4. <http://nbp.pl/home.aspx?c=/ascx/archa.ascx>
5. Rocznik statystyki międzynarodowej, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2003
6. Rocznik statystyki międzynarodowej, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2009
7. Rocznik statystyki międzynarodowej, Główny Urząd Statystyczny, Warszawa 2013
8. http://en.wikipedia.org/wiki/List_of_countries_by_GDP_%28nominal%29_per_capita
9. Leszek Kuźnicki, Marek Chlebuś, Polska w perspektywie 2050, w: *Wizja przyszłości Polski*. Tom III. Ekspertyzy. s 7, Komitet Prognoz PAN, Warszawa 2012, http://sprawynauki.edu.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=2089:polska-w-perspektywie-2050&catid=306&Itemid=30

POLSKA WSPÓŁCZESNA

ROLA OBRONY TERYTORIALNEJ W SYSTEMIE OBRONNYM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

We współczesnym świecie siła militarna odgrywa nie mniejszą rolę niż w wiekach minionych. W wielu miejscach toczą się konflikty zbrojne, w których krzyżują się interesy światowych potęg i mniejszych, ale nie mniej zdeterminowanych graczy regionalnych, walczących często o przetrwanie lub realizację celów narodowych ograniczonych przestrzennie do najbliższego otoczenia.

W zachodzących procesach politycznych, których te konflikty są zewnętrznym przejawem, wielką rolę odgrywają systemy obronne poszczególnych graczy. Decydują one często o skuteczności prowadzonej przez państwa polityki nie tylko w zakresie bezpieczeństwa narodowego, ale również obrony i realizacji żywotnych interesów narodowych.

Zarówno duże państwa o aspiracjach ponadregionalnych, jak i te mniejsze, ograniczające swoje cele

i interesy polityczne do najbliższego otoczenia, czy nawet polityczne organizacje parapaństwowe, utwierdzają się w znaczeniu siły militarnej nie tylko dla bezpieczeństwa, ale i dla zwiększenia swobody działania politycznego w przestrzeni międzynarodowej.

Siły zbrojne stanowią zatem swoiste narzędzie polityki państwa, w szczególności polityki obronnej. To sprawia, że rośnie świadomość konieczności dostosowania posiadanych narzędzi do założeń tejże polityki, ich adekwatnej do stawianych celów modernizacji i przekształcenia.

ODMIENNE CELE – ODMIENNE NARZĘDZIA

Zróżnicowane cele polityczne i odmiennie założenia przyjmowane w różnych państwach skutkują odpowiednio odmiennymi rozwiązaniami w dziedzinie obronności.

Stany Zjednoczone, będące obecnie głównym mocarstwem światowym, dysponując nadal gigantycznym potencjałem militarnym, opierają swoją politykę obronną¹ na – z jednej strony – współdziałaniu politycznym grupy państw, której rdzeniem jest NATO, a – z drugiej strony – na **czynniku przewagi strategicznej**, jakim jest rozbudowana na całym świecie infrastruktura wojskowa (bazy oraz zespoły floty) umożliwiające w dowolnym momencie, w dowolnym miejscu, na przeprowadzenie operacji połączonej (z udziałem wydzielonych sił powietrznych, morskich, specjalnych oraz – w razie konieczności – również lądowych). W przypadku Stanów Zjednoczonych czynnikiem przewagi strategicznej jest zatem czynnik ofensywny, wpisany w doktrynę obronną o charakterze ofensywno-prewencyjnym (działania na terytorium przeciwnika, wyprzedzające).

Federacja Rosyjska opiera swoją politykę na dwóch elementach. Po pierwsze są to strategiczne siły jądrowe²,

mające charakter pasywny³, neutralizujący fakt słabości potencjałowej Sił Zbrojnych FR (w kontekście celów stawianych w ramach aspiracji do odzyskania pozycji mocarstwa ponadregionalnego). Po drugie – na czynniku przewagi strategicznej, jakim są rozbudowane siły specjalne wsparte innymi rodzajami sił zbrojnych. W tym przypadku czynnik przewagi strategicznej (ofensywny) wpisany jest w rosyjską imperialną doktrynę obronną zakładającą stopniowe poszerzanie prze-

² Czyli przede wszystkim *Wojska Rakietowe Strategicznego Przeznaczenia* (Ракетные войска стратегического назначения), ale również niektóre komponenty *Marynarki Wojennej* (Военно-Морской Флот) oraz *Sił Powietrznych* (Военно-Воздушные Силы) wyposażonych w broń jądrową.

³ Przyjęte w rosyjskiej doktrynie elementy zagrożenia użyciem broni jądrowej (w istocie – terrorystycznym) wobec państw nie posiadających i nie stosujących broni jądrowej, w sytuacji subiektywnego zagrożenia dla integralności terytorialnej Rosji, czy też jej niektórych ważnych interesów narodowych, mają raczej charakter szantażu prewencyjnego, niż realnego zagrożenia. W dodatku, ze względu na negatywną reakcję państw zachodnich, wyczulonych na wszelkie formy szantażu użyciem broni masowego rażenia, chybiony rosyjski bluff wraz z wyczerpującym gospodarczo i militarnie zaangażowaniem w wojnę na wschodzie Ukrainy, może przyczynić się do trwałego osłabienia wiarygodności Rosji jako partnera dla działań stabilizacyjnych w Azji i na Bliskim Wschodzie.

¹ Wyrazem formalnym polityki obronnej państwa jest doktryna obronna sformułowana zazwyczaj wprost w odpowiednich zwartych dokumentach państwowych (np. Strategia Bezpieczeństwa Narodowego etc).

strzenne państwa rosyjskiego przez włączanie kolejnych ziem dawnego imperium z wykorzystaniem roszczeń związanych z obecnością na tamtych terenach niewielkich mniejszości rosyjskich lub grup rosyjskojęzycznej o nieugruntowanej tożsamości polityczno-narodowej.

Czynnik przewagi strategicznej w przypadku dużych państw, w szczególności prowadzących politykę imperialną (opartą na podbojach przestrzennych) albo mocarstwową, narzucającą lub utrwalającą pewien istniejący porządek w skali regionalnej lub ponadregionalnej, ma zazwyczaj charakter ofensywny, związany z możliwością zadania w wybranym czasie i miejscu ciosu temu, kto zostanie uznany za przeciwnika.

W przypadku państw mniejszych, dążących przede wszystkim do ochrony status quo, do zapewnienia bezpieczeństwa narodowego i przez pryzmat tego bezpieczeństwa traktujących porządek regionalny oraz ponadregionalny, ewentualny czynnik przewagi strategicznej będzie miał przede wszystkim charakter defensywny, umożliwiający odparcie ataku lub uczynienie go nieefektywnym.

WOBEC RUSSKOWO MIRA

W Europie Środkowo Wschodniej, w miarę ujawnianych neoimperialnych celów politycznych Federacji Rosyjskiej wraz z obserwowanym wzrostem liczby i natężenia wywoływanych przez nią napięć i konfliktów zbrojnych, rośnie cena stabilizacji przestrzeni geopolitycznej, w szczególności – rośnie znaczenie efektywnych i adekwatnych rozwiązań systemowych polityki obronnej. Istotna i nadal wiodąca rola NATO w zapewnieniu stabilności polityczno-militarnej regionu oraz bezpieczeństwa państw tu położonych nie budzi obecnie wątpliwości, jednak pojawia się coraz więcej pytań o skuteczność, gotowość i szybkość reagowania narzędzi będących w gestii Sojuszu, co skłania poszczególne państwa regionu do dokonywania przeglądu własnych możliwości obronnych i wzmacniania narodowych systemów bezpieczeństwa – tym bardziej, że o sile NATO decyduje suma zagregowanych potencjałów narodowych państw-członków Sojuszu.

Najważniejsze są wnioski wypływające z rzeczywistych, niedawnych doświadczeń. Takie doświadczenie jest, rodzi się na naszych oczach w ogniu wojny rosyjsko-ukraińskiej na wschodzie Ukrainy, ale też w co-

dziennych napiętych relacjach państw graniczących z Rosją, w tym państw NATO. Wnioski zasadnicze płyną trzy: po pierwsze konieczne jest wzmacnianie obecności militarnej NATO na obszarach styczości, po drugie – w miarę możliwości – poszerzanie i umocnienie strefy bezpieczeństwa (przedpoła) pomiędzy państwami NATO a Rosją, po trzecie wzmocnienie narodowych systemów obronnych, w szczególności tych elementów, które mogą stanowić czynnik przewagi strategicznej.

WOJNY TRZEBA WYGRYWAĆ

Przez długi czas, wskutek niedorzecznego triumfalizmu wynikającego z niezrozumienia przyczyn zwycięstwa w Zimnej Wojnie, na Zachodzie popularne były skrajnie pacyfistyczne poglądy o *końcu historii* i wnikające stąd przypuszczenie o niemożliwości wybuchu wojny w cywilizowanym świecie współczesnym⁴. Obecnie ten niewczesny entuzjazm zdaje się wygasać, ustępując klasycznemu rozsąd-

kowi. Już znowu wiadomo, że wojny wybuchają nie dlatego, że tak sobie postanowiły hipotetyczne *wysokie umawiające się strony*, zatem pokój nie jest czymś, co można zwyczajnie zadekretować odpowiednimi aktami prawa międzynarodowego⁵. A skoro tak, skoro żadne umowy nie ochronią przed wybuchem wojny, to z wojną trzeba się liczyć, do wojny trzeba być przygotowanym, a co najważniejsze – wojnę, gdy już wybuchnie, trzeba wygrać w imię własnych narodowych interesów, których fundamentem jest trwanie i rozwój narodu oraz niepodległego państwa.

Doświadczenie i to historyczne i to współczesne wskazuje, że mimo zmieniających się realiów i skali oraz charakteru zagrożeń, zwycięstwo w wojnie jest sytuacją, w której zrealizowane są cele wojny, podczas gdy przeciwnik swoich celów nie jest w stanie zrealizować. To zatem stopień realizacji celów a nie sam przebieg wojny (w tym:

⁴ Jak to zwykle bywa prowadzone przecież przez cały ten czas operacje wojskowe w ramach toczonych konfliktów zbrojnych nazywano różnymi eufemistycznymi określeniami (biada faktom, które przeczą wyznawanej ideologii!), odmieniając przy tym słowo pokój na wszelkie możliwe sposoby.

⁵ Co więcej, należy podkreślić, że o ile papierowe ustalenia nie stanowią żadnego realnego zabezpieczenia przed zewnętrzną agresją zbrojną, to takim zabezpieczeniem, osłabiającym determinację agresora, jest posiadanie przez potencjalnego przeciwnika narzędzi pozwalających na odparcie agresji lub uczynienie jej nieopłacalną. Takim narzędziem może być odpowiedni czynnik przewagi strategicznej.

poniesione i zadane straty) jest miarą zwycięstwa.

Wypływa stąd oczywisty wniosek – o możliwości zwycięstwa w wojnie z konkretnym przeciwnikiem zdecydowanie adekwatny czynnik przewagi strategicznej.

OBRONNOŚĆ

PAŃSTWA NARODOWEGO

Podstawowym narzędziem wykonawczym systemu obronnego są konwencjonalne siły zbrojne. W zależności od przyjętego modelu siły zbrojne obejmują, w różnych proporcjach, komponent operacyjny (zawodowy lub zawodowo-poborowy) oraz komponent terytorialny (ochotniczy lub poborowy).

Komponent operacyjny to siły niewielkie liczebnie, kosztowne, o wysokiej gotowości do działań bojowych, dysponujące nowoczesnym sprzętem ciężkim, relatywnie dużą siłą i zasięgiem rażenia, o dużej mobilności operacyjnej, a zarazem wrażliwości na długotrwałe działania i ześrodkowane uderzenia w miejsca koncentracji i bazowania w pierwszej fazie konfliktu. Koszty utrzymania komponentu operacyjnego sił zbrojnych z zasady ograniczają możliwości jego użycia do jednego-dwóch kierunków ope-

racyjnych, w ramach intensywnych działań bojowych z użyciem współczesnego uzbrojenia konwencjonalnego, przez okres czasu liczony w dniach⁶. Takie siły mogą zatem rozegrać jedną-dwie bitwy, czy to w ramach operacji obronnej, czy to w ramach operacji wtargnięcia, jednak w wyniku spodziewanych strat i zużycia zasobów materialnych wymagają wówczas wycofania poza rejon walk, uzupełnień, być może również przeformowania. W tym sensie są to wojska „jednorazowego użytku”, które mogą przyjąć i odeprzeć (lub wymierzyć) pierwsze uderzenie przeciwnika, ale następnie wymagają zastąpienia, w całości lub elementami, w celu odtworzenia zdolności bojowej.

W sytuacji prowadzenia pojedynczej, separowanej operacji w ograniczonej czasowo i przestrzennie skali komponent operacyjny może wystarczyć do realizacji wybranych celów politycznych (polityki obronnej), jednak z pewnością nie jest wystarczający w przypadku wystąpienia konfliktu o szerszej skali, konfrontacji z państwem dysponującym znaczną prze-

⁶ O tym mówili np. gen. Skrzypczak oceniając zdolność obronną polskich sił zbrojnych na 3 dni oraz minister Szeremietiew wskazując na możliwość pokrycia siłami wojsk operacyjnych od 0,5% do 2% terytorium Polski.

wagę militarną lub konfliktu przewlekłego o charakterze tzw. wojny hybrydowej. Co więcej, komponent operacyjny, ze względu na posiadane siły i środki, może być wykorzystany do odparcia ataku lub przełamania obrony wojsk przeciwnika, ale ma małe zastosowanie podczas prowadzenia rozległych przestrzennie działań związanych z utrzymaniem i zabezpieczeniem terytorium kraju.

Można zauważyć, że system obrony państwa ufundowany wyłącznie na wojskach operacyjnych jest systemem z założenia nieefektywnym, bo pozbawionym możliwości realizacji zasadniczych celów polityki obronnej, systemem „dziurawym”; co więcej, pozbawionym jakiegokolwiek **czynnika przewagi strategicznej**. Dopełnieniem systemu obronnego musi być zatem komponent terytorialny, obejmujący całe terytorium państwa, formowany w oparciu o zasoby miejscowe, a więc o dużej samowystarczalności i łatwości zapewnienia logistycznego zaopatrzenia, rozśrodkowany, a więc mało wrażliwy na uderzenia przeciwnika w pierwszej fazie konfliktu.

WOJSKA

OBRONY TERYTORIALNEJ

Komponent terytorialny – nowocze-

sne, ochotnicze, formowane w oparciu o świadomych obywateli Wojska Obrony Terytorialnej uzupełniają w zasadzie wszystkie słabości komponentu operacyjnego sił zbrojnych.

WOT są tanie w organizacji i utrzymaniu w porównaniu do wojsk operacyjnych (szacowany koszt utworzenia WOT sięga kwoty rzędu 1 mld zł, wobec 33 mld złotych budżetu MON przeznaczonych obecnie w zasadzie w całości na wojska operacyjne i ich otoczenie systemowe).

WOT mogą zapewnić swobodę operacyjną działaniom wojsk operacyjnych przez utrzymanie (obronę) istotnych punktów terenowych wobec dywersji i działań bojowych o mniejszej intensywności oraz przez wsparcie lub samodzielne prowadzenie działań na kierunkach i w rejonach o mniejszym zaangażowaniu sił i środków przeciwnika.

WOT mogą odciążyć siły komponentu operacyjnego prowadząc działania przeciwdesantowe i przeciwdywersyjne na głębokim zapleczu własnym.

WOT mogą prowadzić działania nieregularne na terenach zajętych przez przeciwnika, angażując jego siły i środki i ograniczając jego swobodę operacyjną.

Dysponując nowoczesną bronią oraz rozbudowaną w terenie strukturą (pododdziały i oddziały OT przypisane do rejonów odpowiedzialności) WOT są w stanie uniemożliwić przeciwnikowi zajęcie terytorium oraz skutecznie nawiązać walkę z siłami zbrojnymi przeciwnika wszędzie, poza głównym kierunkiem operacyjnym⁷, gdzie mogą realizować jedynie zadania pomocnicze.

CZYNNIK PRZEWAGI STRATEGICZNEJ

Komponent terytorialny, mimo swojej ograniczonej efektywności (miłośników techniki militarnej z pewnością zasmuci planowy brak ciężkiego sprzętu, tych wszystkich masywnych czołgów, smukłych armat, kształtnych samolotów, czy pięknych okrętów), może w systemie obronnym

spełnić rolę, której nie będą w stanie odegrać wojska operacyjne odmienne przeznaczenie i ograniczenia ilościowe. Mianowicie – może stanowić zasadniczy (wyłączny) czynnik przewagi strategicznej, na jaki Polska będzie mogła liczyć w przypadku konfliktu zbrojnego wywołanego przez imperium *ruskowo mira* w naszej części Europy. Czynnik ten, o ile powstanie na czas i w oczekiwanym kształcie, poprzez utrzymanie terytorium oraz skuteczne przeciwdziałanie ewentualnym działaniom o charakterze tzw. wojny hybrydowej, pozwoli naszemu państwu na realizację celów strategicznych polityki obronnej, mimo spodziewanej w pierwszej fazie konfliktu przewagi przeciwnika wynikającej z wyboru czasu i miejsca uderzenia oraz, być może, przewagi ilościowej użytych sił.

⁷ Z uwagi na rażącą dysproporcję sił i środków efektywne użycie WOT na głównym kierunku operacyjnym jest niemożliwe (sprzeczne z istotą WOT).

POLSKA W ŚWIECIE

ETYKA JEST JEDNA. JAK NIEPODLEGŁOŚĆ

*Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie,
Zapomnij o mnie.*

Więc próbujemy pamiętać – choć pamięć to straszna, niezborna i często niesprawiedliwa. Nasza historia przypomina koszmar senny.

I. RACHUNEK KRZYWD

1. Czechosłowacja. Wymordowani jeńcy ze Stonawy.

Południe kraju, mała, beskidzka miejscowość Stonawa. Dziś tuż poza granicami Polski. Historycznie należała przez wieki do Księstwa Cieszyńskiego, geograficznie – do krainy zwanej Zaolziem. Do wieku XVII ziemią tą rządili Piastowie, którzy zostali lennikami Czech, po ich wygaśnięciu – Księstwo przejęli królowie Czech, w końcu – cesarze Austrii jako królowie Czech. Według austriackiego spisu w roku 1900 po polsku mówiło w Stonawie 3081 osób (98, 3%), po czesku 4 osoby (0,1%). 19 stycznia 1919 roku na Śląsk Cieszyński napadli „legioniści” płk. Josefa Šnejdárka. Zajęli Karwinę,

Frysztat, Jabłonków, nawet Cieszyn i Ustroń, mordowali żołnierzy i cywilów. 26 stycznia, w Stonawie zabili 20 jeńców z 12 Wadowickiego Pułku Piechoty. Podobnych zbrodni popełnili więcej – wiele – zidentyfikowano ponad 40 ofiar. Ciała pokłute bagnetami, zmasakrowane kolbami pozostawiano „na postrach” nie pozwalając grzebać. Jako odpowiedzialny za śmierć kilku tysięcy Polaków Šnejdárek zasługuje na miano zbrodniarza wojennego.

Agresję czeską powstrzymał pod Skoczowem płk Franciszek Latinik. 26 stycznia to także data końca tamtej wojny. Miał odbyć się plebiscyt – ostatecznie jednak ludności nie pozwolono się wypowiedzieć. Alianci obdarzyli agresorów większością zajętych ziem. Za Olzą pozostało 130 tysięcy Polaków, tysiące zmuszone zostały do emigracji. Jednak nadal był to kraj polski. W październiku 1938 na krótko – wrócił do Macierzy.

Wkroczenie grupy gen. Bortnowskiego „Śląsk” uratowało tę ziemię przed włączeniem do Rzeszy, dało Polakom prawie rok wolności.

Sprawy te były i pozostały bolesne – atak czeski nastąpił bowiem wtedy, gdy Polska walczyła o istnienie. Stąd pełna żalu wypowiedź Piłsudskiego:

Dając wiarę deklaracjom Masaryka i wyraźnym zapewnieniom rządu praskiego, który wielokrotnie przyznawał nasze prawa do kwestionowanych obszarów, pozostawiłem na tych terenach jedynie drobne jednostki wojskowe. Uważam tę niespodziewaną napaść za nieopisaną zdradę ze strony Czechów.

W roku 2012 na Górze Południa członkowie kombatanckiej organizacji ČSOL⁸ wystawili obelisk ku czci Šnejdárka, pod pomnikiem zaczęły się odbywać szowinistyczne spotkania i „pokazy” grup rekonstrukcyjnych utrwalających w pamięci Czechów „bohaterską Wojnę Siedmiodniową” – czyli po prostu napad na walczącą z Rosjanami Polskę. Od roku 2014 odbywa się Zimowy Marsz Legionowy (*Zimní Legiomař*) z Bystrzycy na Górę Południa dla uczczenia walk z Polakami.

⁸ *Československá obec legionářská* Czechośłowacka Wspólnota Legionowa 3500 tys. członków, wydaje „Legionářský směr”.).

2. Litwa. Wzgórza Ponarskie krwawią.

Ze Wzgórz Ponarskich koło Wilna spływa kilka strumieni. Podobno jeszcze po wojnie zabarwiały się krwią.

Niemcy mordowali tu jeńców sowieckich, także Żydów, także Polaków. Szacunkowo mówi się o 100 tysiącach ofiar – cmentarzysko porównywalne ze Smoleńskim Lasem. Ale nie tylko Niemcy mordowali. Także Litwini.

O Litwie i Litwinach chciałoby się mówić słowami Mickiewicza, chciałoby się wspominać tylko o Unii i o walkach ze wspólnym wrogiem. Ale pamięć podpowiada Święciany, Gliniszki i najbardziej potworne słowo: Ponary.

Zbrodnia w Święcianach. 19 – 20 maja 1942 rozstrzelano 400 Polaków. Mordowano ich głównie na cmentarzu żydowskim, który w ten sposób stał się także cmentarzem polskim. Prócz Niemców – zabijali Polaków policjanci litewscy – ze Święcian, Łyntup i Wilna. Akcją kierował litewski major Jonas Maciulevičius.

Zbrodnia w Gliniszkach. 20 czerwca 1944 roku oddział policji litewskiej zastrzelił co najmniej 38 Polaków – pracowników majątku w Gliniszkach. Większość ofiar sta-

nowiły kobiety i dzieci – mężczyźni wyszli do prac.

Zbrodnia w Ponarach to wielomiesięczny krwawy spektakl.

27 września 1941 rozstrzelano tu 320 Polaków z centralnego więzienia na Łukiszkach. W dniach 9–17 maja następnych 300 – w tym 80 uczniów z gimnazjum Mickiewicza i Słowackiego. Likwidacja odbywała się z podziwu godną sprawnością. Na przywożonych w „budach” skazańców czekały wykopane doły, nad każdym czekało 10 strzelców, rozwalali po 10 osób. Do lata 1943 zabito około 20 tysięcy Polaków, wraz z nimi kilkadziesiąt tysięcy Żydów, Cyganów i Rosjan. Egzekucje wykonywał litewski oddział specjalny – Ypatingas Buryś, którego członkowie rekrutowali się przeważnie z paramilitarnej organizacji „szaulisów” (Lietuvos Šaulių Sajunga – Związek Strzelców Litewskich). Zwano ich potem „strzelcami ponarskimi”. Dowódcą był porucznik wojska litewskiego Balys Norvosza, zastępcą – Balys Lukoszius. Masowość egzekucji spowodowała zagrożenie sanitarne, od grudnia 1943 zaczęto opróżniać doły, trupy palić. Do wiosny 1944 wydobyto i spalono blisko 70 tysięcy ciał. Zajmowało się tym 80 – osobowe komando – Żydzi i jeńcy

rosyjscy. Potem Wielńszczyzna stała się obszarem „wyzwalanym” – mordowaniem mieszkańców – sprawiedliwie Polaków i Litwinów – zajęła się Armia Czerwona; opróżnione mogiły były jak znalazł. Znowu je zapełniono.

Związek Strzelców Litewskich, został reaktywowany w 1991 roku. Liczy ponad 7 tysięcy członków, przyznaje odznaczenia (Gwiazdę Szaulisów), organizuje marsze – oczywiście ze sztandarami i pochodniami. Najczęściej wykrzykiwanym hasłem jest slogan „Litwa dla Litwinów”.

3. Ukraina. Krwawe święta.

O zbrodniach popełnianych przez Ukraińców na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej zaczęto mówić po długim milczeniu. Zbyt długim – dlatego nawet nie jesteśmy w stanie ustalić liczby ofiar. 50 do 100 tysięcy zamordowanych na Wołyniu, 25–70 tysięcy ofiar ludobójstwa w Małopolsce – te szacunkowe dane to obelgi dla umarłych.

Zamiast cyfr – pamięć podsuwa obrazy najstraszniejszych zbrodni.

Zaczęły się wraz z wojną.

1 września, w **Smerdyniu** (pow. Łuck) Ukraińcy zabili polskiego nauczyciela. Wiadomo o nim tylko, że miał 30 lat. Zabito także jego 15-let-

niego brata i ich gościa – Ukraińca. Jako zdrajcę. Dwa dni później zarżnięto i zarąbano 7 ułanów śpiących w stodole w Kniahinku. 10 września rozpoczęła się akcja OUN w **Mikołajowie** i kilku wsiach nad Dniestrem. Najwięcej zbrodni popełniono nocą z 11 na 12 września – we wsiach Małopolski Wschodniej m. in. w **Stawyzanach** i **Oborzynie**. Ukraińcy zamordowali wtedy 500 polskich żołnierzy. Dowódcą jednej z bojówek był dawny oficer Petlury i powojenny historyk – Lew Szańkowski.

Kolejna fala zbrodni napłynęła na Kresy wraz z sowieckim atakiem.

Już 17 września, w **Sasowie** Ukraińcy schwytali ponad 20 polskich żołnierzy, oddali ich w ręce wkraczających Rosjan, którzy ich rozstrzelali.

Nocą 17/18 września w **Sławenzynie** koło Podhajec Ukraińcy zamordowali 90 Polaków, ich domy podpálili. Odtąd noże i pokrwawione siekiery stały się symbolem tych ziem. Przy ich pomocy mordowano Polaków w **Brzeżanach**, w **Romanówce**, w **Szumlanach** i dziesiątkach innych miejscowości.

W **Brzeżanach** zamordowano i spalono wraz z domami kilkadziesiąt polskich rodzin.

W **Romanówce** Ukraińcy pozdzie-

rali z pojmanych żołnierzy mundury, powiązali ich wraz z rannymi, rzucili na wozy drabiniaste, i powieźli nad Stochód – po drodze kłując bagneta-mi. Utopili co najmniej 50 żołnierzy, potem paradowali w ich mundurach i butach.

Mord w **Szumlanach** rozpoczął się od sprofanowania kościoła. Ukraińcy wynieśli obrazy, chorągwie, szaty liturgiczne, rozszarpali pomiędzy sobą to, co mogło się przydać w domach, nawet szaty i chorągwie na odzież. Kilku mołojców przebrało się szaty liturgiczne i poprowadziło uliczkami miejscowości istic karnawałowy pochód. Po drodze rozrzucono komunikanty i bito napotkanych Polaków. Orgia trwała trzy dni – 18–20 września 1939. Wszyscy Polacy zostali wymordowani. Około 50 osób. 5 osobową rodzinę dyrektora szkoły spalono żywcem.

Rzeź Wołyńska to kolejny akt zbrodni.

Zaczęła się 9 lutego 1943 w miejscowości **Parośla**. Oddział UPA „Dobieszki-Korobki” (Hryhorija Perehijniaka) zamordował tam 173 Polaków, w tym kobiety i niemowlęta. Napastnicy najpierw wiazali mieszkańców, następnie wykańczali przy pomocy noży i siekier.

To były początki.

Nocą 26 na 27 marca oddział „Dubowego” (Iwana Ławyńczuka) zamordował 179 osób, w **Lipnikach**, 23 kwietnia, ten sam dowódca dokonał masakry Janowej Doliny zabijając około 600 osób.

Punktem kulminacyjnym rzeki była Krwawa Niedziela – 11 lipca 1943. Około 3 rano Oddziały UPA dokonały ataku jednocześnie na 99 miejscowości. Pracowano tradycyjnie przy pomocy siekier, kos, pił noży, młotków i broni palnej. Schemat też był wszędzie podobny: po wymordowaniu ludności do wsi wjeżdżali na furmankach Ukraińcy z sąsiednich wsi i zabierali mienie zamordowanych, następnie zabudowania palono. Do 16 lipca 1943 wymordowano 17 tysięcy ludzi i zniszczono 530 polskich wsi i osad. Swoisty rekord pobili Ukraińcy w **Porycku** – po wejściu do kościoła zabito w ciągu trzydziestu minut setkę osób, potem „bojowcy” rozbiegli się po całej miejscowości i wyrznęli resztę Polaków⁹...

Za symbol zbrodni ukraińskich na Podolu uznać trzeba „krwawe zapusty” w **Berezowicy Małej**. Upowcy

zaczęli od wymordowania leżącego kilometr od wsi przysiółka. Zabijano cicho – bez strzału. Piotra Szewczuka przerabano siekierami na trzy części. Wdowę Katarzynę Tomków i jej siedmioro dzieci zakłuto bagnetami.

Janowi Nowakowskiemu cięciem siekiery w usta przerabano głowę. Śmierć poniosła także nieomal cała rodzina Kurylczyków, która zebrała się, by pochować zmarłą w połogu żonę Władysława Kurylczyka. Jego trzyletniego synka Ukraińcy nabili na bagnety i wijącego się z bólu unieśli do góry, a gdy dziecko machało rękoma, śmiali się, że to polski orzeł

Potem ruszono do Berezowicy. Zamordowali m. in. Antoniego Kwaśnickiego. Ukraińcy rozbili podwójne i zaryglowane od wewnątrz drzwi. Sześciuosobową rodzinę po zamordowaniu obłożyli słomą i podpaliли. Podobny los spotkał 30 osób, które schroniły się w murowanej oborze Mikołaja Sesiuka. Ukraińcy najpierw wyprowadzili z niej inwentarz, a potem rozstrzelali z karabinu maszynowego posadzonych pod ścianą ludzi.¹⁰

Największa zbrodnia tamtego

⁹ Dane na podstawie prac Stanisław Żurka, Władysława i Ewy Siemaszków i inn.

¹⁰ Zbrodnie te opisał Władysław Kubów (który ocalał z banderowskiego pogromu), w pracy „Polacy i Ukraińcy w Berezowicy Małej koła Zbaraża”. (1992, II wyd. 1994).

okresu została popełniona 28 lutego 1944 r. w powiecie Brody, w miejscowości Huta Pieniacka. Polska wieś została doszczętnie spalona przez oddziały SS „Galizien” i sotnię UPA, wspomagane przez okolicznych Ukraińców. Ofiarą padło tam od 800 do 1200 Polaków – mieszkańców jak i uciekinierów z Wołynia.

Przerwijmy tę krwawą listę.

Zarówno Polakom, jak Ukraińcom winni ludobójstwa są znani. Dowódcą UPA (Ukraińskiej Powstańczej Armii) był Roman Szuchewicz, inicjatorem rzezi wołyńskiej – „Kłym Sawur” (Dmytro Kłaczkiwski). Oskarża go wydana przez niego w czerwcu 1943 tajna dyrektywa:

... powinniśmy przeprowadzić wielką akcję likwidacji polskiego elementu. Przy odejściu wojsk niemieckich należy wykorzystać ten dogodny moment dla zlikwidowania całej ludności męskiej w wieku od 16 do 60 lat /.../ Tej walki nie możemy przegrać /.../ Leśne wsie oraz wioski położone obok leśnych masywów powinny zniknąć z powierzchni ziemi.

W 1995 władze ukraińskie wystawiły Kłaczkiwskiemu pomnik w Zbarażu, w roku 2002 – w Równem. Jego imię otrzymało wiele ulic w miastach Zachodniej Ukrainy. Parlament

Ukrainy uczcił też dowódcę UPA Romana Szuchewycza – jako narodowego bohatera i ofiarę NKWD¹¹.

Ten antyrosyjski (a nie antypolski kontekst) należy zapamiętać i zrozumieć.

Dla sprawiedliwości dodajmy, że nie tylko Ukraińcy mordowali na tamtych ziemiach. W latach 1939–1941 na Wołyniu Rosjanie zamordowali, deportowali i uwięzili około 50 tysięcy Polaków. Liczba ofiar rosyjskich represji na Podolu była zbliżona.

4. Niemieckie stodoły śmierci

Historia podsuwała nam różne symbole relacji polsko niemieckich. Biegunowo przeciwstawnymi były Legnica i Grunwald. W XX wieku naszą pamięć przytłoczyły zbrodnie związane z Wrześniem 1939 roku. Nalot Luftwaffe na bezbronny Wieluń, napad na Poczta Polską w Gdańsku, który rozpoczął się równocześnie z ostrzałem Westerplatte. Obrona Westerplatte trwała tydzień, przeszła do narodowych legend, obrona

¹¹ Szuchewycz był jednym z organizatorów zamachu na Hołówkę, zastępcą dowódcy batalionu Nachtigall. Próbował walczyć do 1950 roku, zginął w obławie NKWD, w Białohirszczach koło Lwowa. Rosjanie spalili jego zwłoki, prochy wysypali do Zbrucza. rodzinę zesłali do łagru.

Poczty została złamana po dniu walk, skończyła się rozstrzelaniem na Zaspie 38 obrońców.

Były to wydarzenia potworne – ale w tej potworności incydentalne. W każdej wojnie są okrutne bitwy, zdarzają się zbrodnie wojenne, terror oznacza mordowanie wszystkich, także cywili – dla zastraszenia podbijanego kraju. W tej wojnie było jednak coś, co powtarzało się jak koszmarny rytuał: płonąca stodoła. Niemal każdego dnia słychać było krzyk palonych żywcem ludzi. Zwykle, wiejskie stodoły, w których palono jeńców i ludność cywilną to symbol tamtej wojny...

W kronikach 1939 roku można znaleźć opisy kilkudziesięciu takich zbrodni. Ograniczmy się do najgłośniejszych.

13 września w **Cecylówce Głowaczowskiej**. r. Niemcy zagonili do stodoły i spalili w niej żywcem co najmniej 54 Polaków (mówi się także o 68 osobach, w tym 18 żydowskiego pochodzenia). Dzień wcześniej prowadzące działania osłonowe oddziały polskie zadały tu dotkliwe straty Wehrmachtowi. Masakrę ludności cywilnej usprawiedliwia się czasem jako zemstę.

Również 13 września 1939 r.

Niemcy dokonali mordu na około 50 rannych żołnierzach w **Jasieńcu (gm. Rybno)**. Polski szpital polowy mieścił się tu w stodole oznakowanej flagami czerwonego krzyża. Została ona otoczona przez 16 niemieckich czołgów, które podpaliły ją pociskami zapalającymi. Zeznania świadków mówiły o rozjeżdżaniu gąsienicami próbujących się ratować rannych.

18 września w **Śladowie** zamordowano na wałach wiślanych 252 jeńców, w tym rannych, oraz 106 osób cywilnych. Opierając się o wały, broniła się tu z powodzeniem grupa polskich żołnierzy. Wehrmachtowcy, nie mogąc ich pokonać w boju, przygnali z pobliskich wsi cywilów, także dzieci, i popędzili przed sobą jako żywe tarcze. Polacy przerwali ogień i podnieśli ręce do góry. Prawie wszyscy zostali rozstrzelani, najmłodsza z ofiar to czteroletnie dziecko. Uratowało się dwóch mężczyzn – jeden skoczył do wody, drugi udawał zabitego w stercie ciał.

Rozpamiętywanie tej zbrodni wykracza jednak poza temat „stodół śmierci”.

Wracając do tematu: wspomnieć trzeba zbrodnię w **Henrykowie (gm. Iłów)**, popełnioną najprawdopodobniej 18 września. Dokonano jej rów-

niez w zemście – za bohaterską obronę tej miejscowości. Niemcy zapędzili do stodoły co najmniej 76 osób, przeważnie cywilów – w tym grupę uciekinierów z zachodniej Polski. Stodoła została podpalona, próbujących uciekać koszono seriami karabinów maszynowych.

Podobną zbrodnię popełniono między 17 a 20 września w miejscowości **Radziwiłka**, na terenie ginącej już Puszczy Młodzieskiej, gdzie spalono znajdującą się w stodole grupę rannych żołnierzy.

Takiej samej zbrodni – data nie została ustalona – dokonano w miejscowości **Giżyce**, gdzie w stodole spalono 30 jeńców z Wojska Polskiego.

Stodoły śmierci płonęły cały wrzesień. Można i trzeba mówić o holokaucie popełnianym przez Niemców na Polakach w 1939 r. – ale nie był to jeszcze koniec koszmarnego rytuału.

Również po rozpoczęciu wojny z Sowietami Niemcy popełniali takie zbrodnie.

27 czerwca 1941 hitlerowskie bataliony policyjne 309 i 316 spaliły synagogę wraz z około 2000 uwięzionych w niej Żydów. Podobnej zbrodni dokonali 10 lipca w Jedwabnem, gdzie spalili w stodole część żydowskich mieszkańców, dla reszty utwo-

rzyli getto. („Przecieki” z ekshumacji wahały się między 50 a 124 ofiar)¹². Mord w Jedwabnem miał charakter rasistowsko-ideologiczny. Żydzi zostali zmuszeni do maszerowania po miasteczku z pomnikiem Lenina i spaleni w stodole poza miastem. Na miejscu zbrodni znaleziono też łuski pocisków karabinowych, co dowodzi, iż do Żydów również strzelano. Niższa od propagandowej liczba ofiar nie oznacza pomniejszenia zbrodni. Nie zmienia jej potworności fakt, czy cierpienia jednego płonącego człowieka – Husa, Palacha czy Siwca – pomnożymy przez 500 czy tylko przez 50.

Symbolami okupacji dla Europy stały się niemieckie obozy zagłady, także służące wyniszczaniu obozy pracy (*Vernichtung durch Arbeit*)¹³

¹² Możliwa jest wyższa liczba, ekshumację przerwano, ponieważ ze względów propagandowych w czasach III RP zbrodnię zaczęto przypisywać miejscowym Polakom a liczba podawanych ofiar przekroczyła stan żydowskiej populacji miasteczka, co sprawę ośmieszyło. W kilku „przeciekach”, jako dane od uczestników ekshumacji pojawia się uprzednio liczba 122 a nawet – jako najwyższa – 124 czaszek. Niestety, dziennikarze podający te dane, w obawie przed zarzutem antysemitizmu i prześladowaniami nie podają konkretnych źródeł.

¹³ Na rzecz Niemiec pracowało kilkanaście milionów robotników przymusowych, w tym 2,8 mln Polaków pozyskanych meto-

dla Polaków – dodatkowo – zbrodnia popełniona na Warszawie. Powstanie Warszawskie to nie tylko walka Wehrmachtu i SS z powstańcami, to także rzeź ponad 50 tysięcy cywilnych mieszkańców Woli, także – mniej znana, bo dotycząca tylko kilku tysięcy mieszkańców rzeź Mokotowa, także śmierć kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców Starego miasta zabitych w trakcie nalotów, ostrzału z broni ciężkiej i w ulicznych egzekucjach.

W ostatnich dniach wojny Niemcy wracają do swego koszmarnego rytuału. Do rangi symbolu urastają Podgaje (Flederborn) na Wale Pomorskim. Według polskich źródeł, 32 jeńców pojmanyh 31 stycznia 1945 roku, Niemcy związali drutem kolczastym, oblani benzyną i spalili żywcem w stodole. W ostatnich cza-

dą łapanek. To liczba przybliżona. Według szacunków Czesława Łuczaka (Polacy w okupowanych Niemczech 1945-1949", Poznań 1993, z Generalnej guberni wywieziono około 1,3 miliona osób, z ziem bezpośrednio wcielonych do Niemiec około 600 -700 tysięcy, z Kresów (po 1941 roku) od 300 do 600 tysięcy osób. Do prac przymusowych skierowano także 200 – 300 tysięcy żołnierzy – jeńców wojennych poniżej stopnia oficerskiego. Oznacza to, że co dziesiąty Polak pracował na rzecz Rzeszy. Wiele tysięcy Polaków ze Śląska, Poznańskiego i Pomorza zginęło w obozach jako Niemcy.

sach pojawiły się w Niemczech prace, według których liczba zastrzelonych przez „nazistów” jeńców w Podgajach (w tym pojmanyh 31.01.1945 r. wynosiła raczej 160–210, a nie 32 żołnierzy), większość została rozstrzelana. Określenie „naziści” jest tu o tyle usprawiedliwione, że mordu mogli dokonać Holendrzy należący do 48 pułku Waffen SS dowodzonego przez *SS-Hauptsturmführera* Helmuta Trägers. W zbrodni mogli także wziąć udział esesmani łotewscy. Palenie jeńców próbuje się wyjaśniać faktem, że cofające się oddziały nie mogły się obciążać jeńcami.

Ostatnia scena tej tragedii rozegrała się poza Polską: w stodole pod Gardelegen. Nocą 13 na 14 kwietnia 1945 Niemcy spalili ponad 1000 więźniów przywiezionych z innych obozów. Kacetowców zagnano do stodoły majątku Isenschnibbe, za miastem. Był to potężny silos o wymiarach 45 m długości, 18 szerokości, 7 wysokości – więc kilkakrotnie potężniejszy niż stodoła w Jedwabnem. Z niemiecką pedanterią stodołę wypełniono słomą do wysokości kolan, potem polano benzyną, następnie zapędzono więźniów. Wcześniej nieco dokonano selekcji: esesmani pozwolili niemieckim więźniom – ochotnikom – wypchać

do stodoły „politycznych” innych narodowości. Gdy to zrobili – sami zostali wpędzeni do stodoły przez esesmanów. Na wprost wrót ustawiono karabiny maszynowe.

Według zachowanych relacji podpalenia dokonał SS-Untersturmführer Erhard Brauny, organizatorem masakry był partyjny kreisleiter Gerhard Thiele. Płonącej stodoły strzegli wermachtowcy, lotnicy Luftwaffe, chłopcy z Hitlerjugend i starsi panowie z Volkssturmu. Męska przygoda. W Gardelegen Niemcy spalili ponad tysiąc więźniów, w większości Polaków, z podziemnego obozu Mittelbau-Dora, gdzie produkowano rakiety. Musieli zginąć wraz z tajemnicą Wunderwaffe.

5. Żydzi. Pogrom Polaków na Kresach

Zbrodnie popełnione na Polakach przez Żydów nie dorównują niemieckim, przewyższają natomiast czeskie. W stosunkach Polaków z Żydami dobro przeważało nad złem, nasz kraj był przysłowiowym „rajem Żydów” – miejscem wytchnienia wyganianego z całej Europy narodu. Do rangi symbolu urosły postacie Berka Joselewicza i rabina Dow Bera Meiselsa, udział Żydów w Powstaniu Styczniowym a potem w Legionach Piłsudskiego.

Te relacje zostały nadszarpięte przez nacjonalizm szerzący się wśród Żydów w latach trzydziestych a rozbite przez pełen nienawiści komunizm. Uwidoczniło się to po najeździe sowieckim 17 września – entuzjastycznie powitany przez Żydów, zwłaszcza komunistów.

O skali dywersji w odniesieniu do północnej części Kresów pisał prof. Strzembosz: w szesnastu miastach i miasteczkach, na samej tylko tzw. Zachodniej Białorusi, Żydzi wzięli broń do ręki, aby jej użyć przeciwko polskim żołnierzom i policjantom, urzędnikom, uciekinierom z Polski centralnej i zachodniej. Jednym słowem przeciwko współobywatelom, sąsiadom! Przypomnijmy raz jeszcze miejsca zbrodni: Berdówka, Sarny, Grodno, Skidel, Jezioro, Łunna, Wiercielizki, Wielka Brzostowica, Ostryna, Dubna, Dereczyn, Zelwa, Motol, Wołpa, Janów Poleski, Wołkowysk, Drohiczyn Poleski.

W Berdówce *samozwańcza żydowsko-białoruska „czerwona milicja” wymordowała grupę oficerów i żołnierzy KOP przygotowujących się do stawienia oporu bolszewikom*¹⁴

¹⁴ Pisze o tym m. in. K. Krajewski w pracy *Na ziemi nowogródzkiej*. (1976)

W Sarnach Żydzi, uzbrojeni członkowie samozwańczej „milicji” wskazywali Rosjanom polskich urzędników i policjantów, potem pomogli eskortować pojmanych do lasu za Słucz, gdzie dokonana została egzekucja. W innych miejscowościach wydarzenia przebiegały podobnie.

Symbolem wspólnie przeżywanej okupacji była nie tylko polska pomoc dla getta – także trzy nazwy miejscowości będące nazwami zbrodni: Drzewica, Naliboki, Koniuchy.

W Drzewicy, 22 stycznia 1943 grupa Żydów – komunistycznych partyzantów dowodzonych przez „Lwa” – Izraela Ajzema dokonała pogromu mordując 7 mieszkańców.

8 maja 1943 to zagłada miejscowości Naliboki. Tego dnia oddziały sowieckich partyzantów z Brygady Stalina zamordowały co najmniej 128 mieszkańców. Źródła sowieckie podawały nawet liczbę 250 zabitych. Wśród morderców wyróżnili się zwłaszcza żydowscy partyzanci z grupy Bielskiego. Spalono kościół, pocztę, remizę i większość domów mieszkalnych.

W Koniuchach 29 stycznia 1944 oddziały komunistycznej partyzantki zamordowały co najmniej 38 Polaków, także kobiet i dzieci. (Po latach

na pomniku znalazły się 34 nazwiska). Najmłodsza z ofiar miała 2 lata. Gorliwością w mordowaniu odznaczyły się żydowskie oddziały „Śmierć okupantom” Jakuba Prennera i „Ku zwycięstwu” Samuela Kaplińskiego. Według wspomnień jednego z morderców, Chaima Lazara, zabito nawet 300 osób, celem zaś akcji było wybić całą ludność, włącznie z kobietami i dziećmi a to w celu zastraszenia mieszkańców innych miejscowości.

Zbrodnie Żydów zatrudniających się masowo w UB były opisywane po upadku komunizmu na tyle często, że nie musimy ich tu przypominać. Do nazwisk „bestii” (określenie Tadeusza Płuzańskiego) z Ministerstwa Bezpieczeństwa takich jak Różański, Fejgin czy Bristigerowa lata późniejsze dopisały Urbana zwanego Goebbelsem stanu wojennego a historycy przypomnieli że „światowy autorytet” Bauman brał wcześniej udział w polowaniach na Żołnierzy Wyklętych i nawet dostał za to order.

6. Rosja czyli nienawiść w marszu

Nie zrozumie się Rosji, pomijając jej historię. Moskwa nie była „córá” Rusi Kijowskiej z prawego łóża, powstała w wyniku rozpadu stepowego imperium Tatarów i jak pozostałe

chanaty próbowała je odbudować „zbierając” jego dawne ziemie i dołączając nowe. Podbito nie tylko Ruś ale także Polskę, Finlandię, Kraje Bałtyckie. Stalin stworzył imperium sięgające od gór Harzu do Oceanu Spokojnego, które przetrwało prawie pół wieku.

Tak więc historia stosunków polsko – rosyjskich to historia podboju Polski przez Moskwę. Jeśli były w niej okresy pokoju, to służyły Rosjanom przygotowaniu kolejnych napaści. W ich wyniku Moskwa zagarnęła 80 % obszaru i ludności Rzeczypospolitej. Ta wojna trwa także dzisiaj, tyle że jeszcze na poziomie propagandowym i ekonomicznym. Na razie Rosja zakłada, że to wystarczy do podboju, jeśli nie – dorzuci nowe rodzaje broni, te tradycyjne.

Masowe morderstwa i deportacje były elementem walki z konfederatami barskimi i z uczestnikami powstań narodowych. Po 1918 roku, gdy Polska zaczęła wybijać się na niepodległość – nastąpił najazd Rosji bolszewickiej znaczony tysiącami grobów i pożarów. Symbolami wojny 1920 roku pozostaną Leman, Zadwórz, Szydłowo.

Nie jako miejsca bitew.

28 lipca 1920 pod **Lemanem** ra-

dziecki III Korpus Konny Gaj – Chana („Kawkor”) przeprowadził ćwiczenia na żywych manekinach ścinając co najmniej 43 jeńców polskich. Niektórzy mieli poucinane palce u nóg, kawałki pięt, a nawet całe stopy.

22 sierpnia 1920 żołnierze tego samego korpusu zamordowali pod Szydłowem wziętych do niewoli 7 oficerów i 92 szeregowych z 49 pułku. By oszczędzić naboju Rosjanie siekli Polaków sperkami i szablami.

17 sierpnia 1920 pod **Zadwórzem** żołnierze z armii Budionnego zamordowali 300 polskich jeńców. Dla oszczędności amunicji zarzynali ich nożami albo siekli szablami.

Zwycięstwa pod Warszawą i nad Niemnem oraz rajd kawalerii na Koroścień ocaliły naszą niepodległość. Rosjanie jednak dokonali eksterminacji Polaków poza granicą – w ramach operacji polskiej NKWD. Było to pierwsze ludobójstwo tej skali – zapomniany polski holocaust. Co więcej: była to akcja oficjalna, państwowa – na mocy rozkazu nr 00485 z dnia 11 sierpnia 1937, wydanego przez komisarza NKWD, Nikołaja Jeżowa. Według rosyjskich danych aresztowano co najmniej 143 810 Polaków, skazano 139 835, z czego rozstrzelano 111 091 osób. Mordowano najczę-

ściej strzałem w tył głowy, jak wkrótce potem w Katyniu. Podane wyżej liczby zostały skompletowane w 1993 roku na podstawie raportów wydziałów terenowych NKWD do centrali na Łubiance, nie uwzględniają osób pomordowanych podczas aresztowań i w więzieniach.

Potem przyszedł 17 września 1939 – zdraziecka napaść na Polskę. Zajmowanie miejscowości pod pozorem wyzwania, rozstrzeliwanie jeńców na polach bitew, skrytobójcy strzelający w plecy obrońcom napadanych miast. To była pierwsza „wojna hybrydowa” w historii. Po zagarnięciu wschodnich ziem Rzeczypospolitej Rosjanie przeprowadzili cztery deportacje obejmujące 220+320+240+300 tysięcy osób. Większość zginęła w łagrach. Poza deportacjami zamordowano około 150 tysięcy osób, głównie więźniów – np. we lwowskich Brygidkach.

I kolejna zbrodnia – też podstępna: Powstanie Warszawskie. Rosjanie namawiali przez radio Polaków do powstania, z samolotów rozrzucali ulotki. A kiedy wybuchło – stali na drugim brzegu Wisły i czekali aż się wykrwawi.

A potem przyszli by dobić ocalałych z holocaustu powstańców. Nazywali to „wyzwoleniem”. Są współ-

winni zagłady miasta, współwinni śmierci kilkuset tysięcy Polaków.

II. ETYKA JEST JEDNA

*Szaleństwo tak żyć bez uśmiechu
I dwa powtarzać wyrazy
Zwrócone do was, umarli,
Do was, których udziałem
Miało być wesele
Czynów myśli i ciała, pieśni, uczt.
Dwa ocalone wyrazy:
Prawda i sprawiedliwość.*

Czesław Miłosz, W Warszawie

Gdy wymawiamy słowa **prawda i sprawiedliwość** czujemy ich pokrewieństwo. Pierwsze z nich jest chłodniejsze, odsyła do postulatu, który był jednym z fundamentów myśli europejskiej: zgodność sądu z rzeczywistością. Tyle i aż tyle, bo jest to często wymóg ponad siły pokoleń. Drugi z terminów jest miarą ludzkich działań, dotyka dobra i zła, wywołuje z pamięci kolejne ze słów: prawo.

Prawda polega na odwzorowaniu rzeczywistości w słowach. Przypomina to rysowanie map. Oczywiście nie można tego uczynić w skali 1:1, konieczna jest miniaturyzacja. Ważne jednak, by nawet przy zmniejszeniu, nie naruszone zostały ani **fakty**, ani

relacje między nimi, ani **kontekst** w jakim występują. Nie mogą zdarzenia mniejsze, krótkotrwałe zamieniać się na mapie w większe, dłużej trwające, ważniejsze; nie mogą akty samoobrony być traktowane tak samo, jak akty przemocy. Nie wolno też stosować różnych miar do takich samych czynności. Słowo symetria ma również znaczenie etyczne.

Stosując te reguły do współczesnych dyskusji: kto opisuje zbrodnie ukraińskie pomijając rosyjskie, albo poświęca więcej miejsca zbrodniom żydowskim, niż niemieckim – mija się z prawdą, gdyż fałszuje proporcje zdarzeń. Kłamstwem kontekstu jest mówienie o polskich szmalcownikach z pomijaniem szmalcowników żydowskich i ich niemieckich mocodawców, kłamstwem przez przemilczenie jest pomijanie kolaboracji judenratów, udziału policji żydowskiej w eksterminacji Żydów i istnienia takich potworów jak Rumkowski, Gancwajch czy Perechodnik.

Pomijaniem kontekstu jest także **przemilczanie faktów, lub ich okoliczności**. Broniąc Polaków przed zarzutem antysemityzmu, nasi propagandiści podkreślają często, że „u nas nie mordowano Żydów” a incydenty zabójstw czy szmalcow-

nictwa były „normalnymi” przestępstwami i tak były karane przez Państwo Podziemne¹⁵. Powtarzają, że skala pomocy dla Żydów była wielokrotnie wyższa w Polsce, niż w innych krajach Europy, które – jak np. Francja – wysyłały swych Żydów do niemieckich obozów śmierci. A tylko w Polsce groziła za tę pomoc śmierć całej rodziny. To wszystko prawda. Lecz pomija się przy tej okazji zbrodnię popełnioną w grudniu 1942 roku na Żydach w Ludmiłowce, przez oddział „Grzegorza” Korczyńskiego. Oddział komunistów¹⁶, ale przecież Polaków, przeważnie chłopów z Lubelszczyzny.

¹⁵ 18 marca 1943 roku Kierownictwo Walki Cywilnej ogłosiło: „Każdy Polak, który współdziała z ich /Niemców/ morderczą akcją czy to szantażując, czy denuncjując Żydów, czy to wyzyskując ich okrutne położenie lub uczestnicząc w grabieży, popełnia ciężką zbrodnię wobec praw Rzeczypospolitej Polskiej i będzie niezwłocznie ukarany”.

^{Kara} był wyrok śmierci.

¹⁶ Był to oddział GL utworzony w końcu sierpnia 1942 ze zwykłej bandy rabunkowej „Jastrzębia” – Antoniego Palenia. Zginęło około 30 – 40 Żydów, w tym także grupa ponad 20 uciekinierów z obozu jeńców wojennych pochodzenia żydowskiego więzionych w Lublinie. Byli to żołnierze (i kilku oficerów) kampanii wrześniowej, którzy chcieli walczyć w partyzantce z Niemcami. Podawane są także wyższe liczby ofiar, również kobiet i dzieci.

III. SENTYMENTY, BŁĘDY,

ZWYKŁE FAŁSZE

Niektóre z błędów popełnia się nieświadomie, ze względu na uczuciowe nacechowanie nazw. To **relatywizacja**, którą czasami można nazwać **prywatyzacją** a czasami **sentymentalizacją** prawdy. W zależności od własnych doświadczeń i sentymentów inaczej ocenia się zbrodnie Niemców a inaczej np. Rosjan. Dobrze zatem w rozważaniach etycznych używać form uogólnionych, wprowadzając abstrakcyjne zmienne w rodzaju: „żołnierze z X spalili jeńców, policjant Y wydał na śmierć swą rodzinę, generał Z kazał wymordować zbiegów, którzy schronili się pod jego opiekę, władca N napadł na sąsiednie państwo. Gdy uznamy, że te przypadki zasługują na potępienie w konkluzji możemy wrócić do Konkretów: zasługują na potępienie Brauny, Thiele i inni Niemcy, którzy spalili więźniów w Gardelegen, zasługuje na potępienie żydowski policjant Calek Perechodnik, który wysłał do Treblinki żonę i córkę, zasługuje na potępienie generał Korczyński i inni Polacy, którzy wzięli udział w pogromie w Łomżyńcu, zasługują na potępienie Hitler i Putin, którzy dokonali Anschlusu ziem Austrii i Ukrainy.

Odróżnić na koniec trzeba **błąd** od **fałszu**. Błąd kojarzy się z błędzeniem – na tym polega każde docho-dzenie do prawdy; za słowem fałsz widzimy cyniczną twarz fałszerza. Także za przemilczeniem. Dyskusja z ludźmi błędzącymi zakłada wspólne dążenie do prawdy, więc uznanie dla tej wartości – fałszerze gardzą prawdą i swymi dyskutantami. Nie przekona się kłamców powtarzających, iż Katyń był zbrodnią niemiecką, że folkslistę pospisywało się pod przymusem, że w Oświęcimiu nie mordowano Żydów, ale za to w Jedwabnem „polscy sąsiedzi” spalili ich 1600. Fałszerze nie są poszukiwaczami prawdy, są przestępcami i tak winni być traktowani.

IV. SPRAWIEDLIWOŚĆ I ODWET

Odwet nie może zastąpić wymiaru prawa, gdyż nakręca spiralę zła a „prywatyzując” wymierzanie sprawiedliwości – wskazuje następne ofiary i dopuszcza odpowiedzialność zbiorową. Prawo nawet zadając śmierć nadaje jej charakter czegoś anonimowego, jakby zadał ją nieludzki żywioł. Nie można zatem stawiać znaku równości między nalotami na Drezno i Warszawę, czy zabiciem mieszkańców w Głinciszkach a rozstrzeliwaniem w Dubinkach. To jest kłamstwo pomijające kontekst

etyczny tych zdarzeń. Odwet nie jest tym samym co zbrodnia cofa jednak etykę do Starego Testamentu dopuszczającego mordowanie nie tylko przestępców, lecz także ich sąsiadów i potomków. Nie ma „dobrych” odwetów – przykładem wspominany już Szydłów. Ta zbrodnia miała ciąg dalszy. Polacy dognali i wzięli do niewoli zbrodniczy pułk. Na rozkaz Sikorskiego rozstrzelano żołnierzy radzieckich – zwolniono tylko jednego, który ocalał życie polskiego oficera. Był to gest humanitarny (jak rozstrzelanie a nie porąbanie jeńców) – niemniej było to zabicie jeńców. W 1945 roku na polecenie Sowietów w Szydłowie wzniesiono pomnik z napisem *„Żołnierzom sowieckim poległym w walce z państwem burżuazyjnym o nasze wyzwolenie”*. Mimo że był to odwet symboliczny – było to i zwycięstwo nad Polakami i dodatkowe upokorzenie pokonanych – na pokolenia. Taki sam wymiar mają pomniki „wyzwoliciele” na warszawskiej Pradze czy Czerniachowskiego w Pieniężnie. Apel b. polityka i dziennikarza Seweryna Blumsztajna domagającego się przywrócenia Czterech Śpiących ze względów „lirycznych” (randki pod pomnikiem) to przykład kłamstwa kontekstu a dodatkowo sentymentalizacji, lub głupiej manipu-

lacji. Pierwsza świadczyłaby o braku inteligencji, druga o jej nadmiarze, ale wrednym użyciu – i pogardzie dla manipulowanych.

V. PAMIĘĆ, WYBACZENIE

I UZURPACJA

Co możemy zrobić jeśli zna się prawdę to znaczy także rozmiary i konteksty zdarzeń. I jeśli chce się uniknąć etyki odwetu?

Można wciąż przypominać. Można porównywać atak Rusi Jarosława Mądrego (z jednoczesnym atakiem Niemców) – i zabór Grodów Czerwieńskich do traktatu Ribbentrop – Mołotow, można pisać o rzeziach dokonywanych przez czerń Chmielnickiego. Będzie to zgodne z prawdą – choć grozi naruszeniem proporcji między myśleniem o historii dawnej a tej nowej, mówiąc prościej: grozi zamknięciem pamięci w krwawej, zabójczej przeszłości. Grozi przenoszeniem tej przeszłości w przyszłość (bo *de facto* przeszłość już nie istnieje), tworzeniem dla przyszłych pokoleń przyszłości trudnej do życia.

Możemy też po prostu zapomnieć. Przecież w podobnej etycznie i historycznie sytuacji są także inne narody. Czy może być dla nas wskazówką to co robią Rosjanie? Niemcy? Żydzi?

Rosjanie likwidują pamięć. To znaczy likwidują opozycjonistów mówiących prawdę, rehabilitują Stalina, zrywają więzy etyczne które mogłyby ich hamować. Budują postkomunistyczną kulturę z pominięciem prawdy, dobra i wielu innych wartości, które czynią nas ludźmi, a co najmniej cofają nas do moralności hord tatarskich.

Żydzi z kolei dogadali się z Niemcami, za odpowiednie odszkodowania ofiary (a najczęściej ich potomkowie) „wybaczyły” oprawcom. Powstał *holocaust biznes*. (Termin Normana Finkelsteina). Żydzi, którzy odmawiają uczestnictwa w tej zмовie, którzy nie biorą niemieckich odszkodowań, Żydzi, którzy pamiętają kto ich ratował a kto zabijał – należą do rzadkości. Najczęściej i Niemcy i Żydzi zwalają winę za zbrodnie wojenne na mitycznych nazistów i realnych Polaków.

Jeśli Żydzi stworzyli *holocaust biznes* – Niemcy tworzą wciąż nowe oczyszczalnie ścieków. Ostatnio uruchomioną, wędrującą po świecie oczyszczalnią jest film *Unsere Mütter, Unsere Väter*.

Podobnie jak Rosjanie, Żydzi czy Litwini – przechodząc od etyki do praktyki zgubili zarówno prawdę, jak sprawiedliwość.

Nie wolno nam zapomnieć, nie wolno też wpadać w przesadę i stawiać się na cokołach jedynych sprawiedliwych i arbitrow moralnej elegancji. Możemy a nawet musimy pamiętać o pomordowanych matkach i ojcach. Możemy uznać się nie tylko za spadkobierców, lecz nawet za ofiary, bo dzieci ofiar też są ofiarami. Dzieci ofiar niemieckiego czy sowieckiego ludobójstwa były sierotami, żyły w strachu, nie mogły normalnie studiować, ale...

Dotknęliśmy tutaj dwóch bolących, lecz różnych miejsc. Nim rozwinę ten wątek dokończyć muszę poprzedni. Więc: jeśli nie chcemy zamykać się w pokrwawionych kłatkach pamięci – możemy po prostu przebaczyć. Tak postąpili Żydzi – mimo koszmaru Birkenau, tak Czesi – mimo rzezi dokonanej przez Niemców w Lidicach. Na ten gest zdobyli się nasi biskupi wysyłając w końcu 1965 roku *Orędzie zawierające ważną deklarację: Wybaczamy i prosimy o wybaczenie*. Spotkała się ona nie tylko z krytyką władz, także z protestami wielu ofiar i ich dzieci.

I tu wracamy do budzącego niepokój problemu – nazwijmy go problemem uzurpacji. Jego rozstrzygnięcie wymaga odpowiedzi na pytanie: kto

ma prawo wybaczać. Katom mogą przebaczać tylko ofiary – te jednak zostały przecież zabite, lub okaleczone, także duchowo. Na ogół nie mogą już wybaczyć. A wybaczenie w ich imieniu przez dzieci, to już etyczna uzurpacja, to przejaw nie miłosierdzia, lecz pychy. Dzieci ofiar mogą wybaczać swoje krzywdy, swoje ciężkie dzieciństwo, ale nie śmierć, nie tortury ojców. I mogą wybaczać tylko katom, a nie ich spadkobiercom.

Problem nie kończy się na tym.

Wybaczenie narusza jednak sprawiedliwość, jest zgodą na dokonane zło. Czasami jest po prostu pozą, czasami – dowodem naiwności. Bardziej wymagające jest odpuszczenie win. To piękny moralnie, ale trudny wątek wprowadzony do etyki przez chrześcijaństwo. W odróżnieniu od wybaczenia odpuszczenie nie jest warunkowe. Zakłada u winnego i żal i zadośćuczynienie i tylko pod tymi warunkami traktuje obietnicę przyszłej poprawy złooczyńcy jako fakt dzisiejszy.

Za kryterium poprawy można uznać odmowę korzystania z owoców zła. Czy synowie niemieckich zbrodniarzy wyprowadzili się z pożydowskich domów? Co synowie polskich (żydowskich, rosyjskich etc) szmal-

cowników zrobili z wyludzoną biżuterią?

Są jednak sytuacje, w których odpuszczenie może a nawet powinno wyprzedzić żal i naprawę win przez przestępcę. Należy do nich np. wspólna obrona zagrożonego istnienia, walka z wrogiem, który zagraża niepodległości obu zwaśnionych stron.

VI. HIERARCHIA WARTOŚCI, OD KTÓREJ ZALEŻY ICH ISTNIENIE.

Wartości jakiegoś narodu, te które go konstytuują, wyróżniają od innych – istnieją tyle czasu, ile sam naród. (Nawet najbardziej optymistyczni cybernetycy nie zakładają istnienia informacji bez nośników). Podstawową wartością Polaków jest wciąż niepodległość. Nawet jeśli wartością dla jednostki jest wolność, czy praca przynosząca bogactwo – ich gwarantem jest niepodległość zbiorowości. Ta wartość wyznacza hierarchię i kolejność działań. Naruszanie hierarchii wartości to znów naruszanie prawdy – prowadzi w konsekwencji do działań opartych na fałszywych przesłankach. Hasła odzyskania niepodległości poprzez rozwój ekonomii czy oświaty głoszone przez Druckiego–Lubeckiego, Wielopolskiego i innych ugodowców, hasła stanowiące później program po-

zytywistów i ich narodowo-demokratycznych spadkobierców prowadziły do klęski – w zderzeniu z opartą na sile polityczną machiną zaborców.

Dokonany na początku przegląd tragicznych zdarzeń dowodzi, że największym niebezpieczeństwem dla Polski była zaborcza polityka Rosji a także Niemiec. Bieżące wydarzenia polityczne zagrożenie to potwierdzają. Ambicje dominacji mają dziś i Niemcy i Żydzi, widzimy zbrodniczy fanatyzm islamistów i opartą na bogactwie pychę Amerykanów, ale jedynie Rosja dąży do zniewolenia sąsiadów. Wiemy też, że Polska w pojedynkę, ani też jej sąsiedzi nie byli i nie będą w stanie ocalić niepodległości. Narody słabe zagrożone w istnieniu muszą zawierać sojusze – w tej kwestii można przywołać kilka precedensów. Mimo wcześniejszych, krwawych walk z Ukraińcami Piłsudski zawarł porozumienie z Petlurą. Z inicjatywy Benesa zaczęły się rozmowy, których efektem było wcielenie Zaolzia do Polski, a ciągiem dalszym – próba federacji polsko – czechosłowackiej. Tragiczną próbą sojuszu – już tylko w walce o godność – była pomoc Armii Krajowej dla powstańców getta.

To skromne fundamenty, lecz potężniejszych nie mamy. Na nich należy budować.

Powrót do rzeczywistości

Prowadząc „rachunek krzywd” nie wolno wyrywać ich z kontekstu – tak współczesnego, jak historycznego. Bo wtedy, nawet niechcący, popełniamy kłamstwo. Kontekst historyczny jest zarazem kontekstem moralnym zdarzeń.

Nie wolno oceniać sytuacji po linii własnych życzeń, lecz tak, jak ocenia ją przeciwnik. A Rosjanie po prostu toczą wojnę – czy to stosując embargo i niszcząc polskie rolnictwo, czy atakując nas propagandowo, ośmieszając i upokarzając – jak w przypadku „smoleńskiego śledztwa”. Ich wypróbowane metody to kłamstwo (maskowanie ataku), dywersja, akcje V kolumny.

Wyolbrzymianie żalosnych „sankcji” Zachodu, to celowe wprowadzanie w błąd, dodawanie kłamstw do obłudy i tchórzostwa. Przypomina to opowieści propagandzistów Goebbelsa przekonujących Niemców, iż rakiety, które wpadły w morze zniszczyły prawie cały Londyn. Odpowiadanie na apel o pomoc dla Ukrainy wypominaniem Wołynia – to nie tylko manipulowanie kontekstem, to dywersja, rozrywanie sojuszu, ważnego dla tej części Europy, mogącego ocalić jej wolność. Posyłanie broni przy

oszczędzaniu ludzi – to minimum, namiastka etyki, mająca więcej wspólnego z etosem zakłamanych kupców, niż z etosem rycerskim.

Rosji wciąż się udaje odwracać naszą uwagę od skutecznych rodzajów broni i newralgicznych celów, udaje jej się wmawiać, że kamizelki kuloodporne to ofensywna broń, która wywoła odwet. Rosjanie grają na naszych ułomnościach: na tchórzostwie, wygodnictwie, oportunizmie. I na głupocie. Pamiętamy, że Europa zależna jest od Rosji – nie pamiętamy, że Rosja też uzależniła się od Europy, że musi sprzedawać ropę i kupować

żywność. Blokada ekonomiczna, finansowa, zamrożenie finansów i dóbr w Europie – to wystarczy, by sparaliżować Rosję. Na razie.

Rosja nie może – na razie – użyć broni konwencjonalnej, ani masowego rażenia – jest słabsza na tym polu zarówno od Unii, jak od NATO. Na razie.

Na razie można Rosję pokonać – bez krwawych bitew i bez setek tysięcy trupów, prowadząc wojnę będącą wynaturzoną odmianą pokoju, lecz jeszcze nie będącą wojną w najpowszechniejszym sensie tego słowa.

Na razie.

BEZPIECZEŃSTWO POLSKI ZALEŻY OD SZYBKICH DECYZJI W SPRAWIE DONBASU

Mija trzeci miesiąc od II porozumienia z Mińska. Porozumienia, które tak naprawdę nie rozwiązało żadnego istotnego problemu związanego z wojną domową na Ukrainie. Brak naturalnych, bądź administracyjnych granic pomiędzy stronami konfliktu powoduje to, że tej wojny nie da się zamrozić. Jest ona tylko zawieszona na niezbyt odległy czas. Nie da się w Donbasie przeprowadzić wyborów pod dyktando Kijowa, gdyż większość społeczeństwa tego regionu nie uznaje obecnych władz Ukrainy. Nie da się także rozbroić separatystów, gdyż jest to jedyna gwarancja poszanowania praw i pozycji Rosjan w Donbasie oraz prorosyjskich Ukraińców. Można by odnosić się jeszcze do kilku istotnych kwestii porozumienia z Mińska ale powyżej wymienione wystarczają do tego aby uznać nierealność i złudność deklaracji „gwarantów” wspomnianego porozumienia co do jego trwałości.

Obecnie czas działa wyłącznie na korzyść separatystycznych republik. Kijów z każdym miesiącem coraz bardziej pogrąża się w kryzysie ekonomicznym i uzależnieniu od Zachodu. W społeczeństwie narasta bunt i rozczarowanie które „oczekuje” na dogodny czas swego ujścia. Także państwa i społeczeństwa Zachodu są coraz bardziej zmęczone tą wojną, zwłaszcza, iż koszty gospodarcze uwidaczniają jej konsekwencje. Europę zalewają islamscy uchodźcy, którzy otrzymali wolność od tejsze Europy wskutek jej pomocy i inspiracji w likwidowaniu dyktatur, które stabilizowały Afrykę. Państwo Islamskie dobija się do kolejnych państw i eksportuje swoje idee do islamskich społeczności starego kontynentu. W wielu krajach Unii podnoszą się głosy sprzeciwu wobec takiej polityki. Dziś już nieliczni politycy europejscy nawołują do sankcji przeciw Rosji,

widząc w niej szansę na uspokojenie sytuacji na Wschodzie Europy.

Szokiem dla Europy, ale także i dla Stanów Zjednoczonych była informacja potwierdzona przez Chiny, iż Korea Północna posiada broń nuklearną i system rakietowy do jej przenoszenia. To oznacza, iż nie tylko tradycyjni sojusznicy Europy i USA są zagrożeni w rejonie Pacyfiku, ale także istnieje realna możliwość sprzedaży technologii, czy też głowic do państw takich jak Iran czy Wenezuela. To z kolei zapewne wywoła zmianę systemu bezpieczeństwa nie tylko na Bliskim Wschodzie ale także w świecie.

Obecny system bezpieczeństwa światowego powstał w 1945 roku, i pomimo że nie odpowiada już ówczesnemu rozkładowi sił był tolerowany i warunkowo uznawany przez świat. Teraz kiedy nowe kraje, których Zachód nie jest w stanie kontrolować posiadają, bądź będą posiadać broń jądrową doprowadzi w krótkim czasie do deprecjacji obecnego systemu i wzrostu zagrożeń w świecie. Jednym z największych przegranych będzie Izrael, który przez lata przy pomocy sprawnej agentury wpływu, głównie w USA paraliżował zamiary uzyskania broni jądrowej przez państwa trzecie. Teraz to już nie jest możliwe.

To właśnie Tel Awiw jest głównym przegrany wojny o ograniczenie zbrojeń jądrowych. To państwo liczące kilka milionów mieszkańców, otoczone przez kilkaset milionów muzułmanów żądających mu unicestwienia miało możliwość szachowania otoczenia właśnie posiadanym arsenałem nuklearnym. To był podstawowy element odstraszenia a nie sprawna armia lądowa i lotnictwo które było tylko elementem wsparcia podstawowego zasobu odstraszenia. Pytanie co się stanie w rejonie Bliskiego Wschodu jeżeli broń jądrowa stanie się tam towarem, który można kupić?

Obecnie rodzi się pytanie, czy ten proces można zatrzymać? Wydaje się iż do pewnego stopnia tak. Klucz jednakże leży nie w Waszyngtonie czy Brukseli ale w Moskwie i Pekinie. Tego faktu zapewne są świadomi stratedzy amerykańscy i żydowscy. Problem polega na tym w jaki sposób poprowadzić proces normalizacji stosunków z Rosją aby nie utracić twarzy w świecie i aby ponieść jak najmniejsze straty geopolityczne. Ten proces nie jest łatwy ani prosty. Jak wycofać się z sankcji wobec Moskwy i obietnic wobec Kijowa? Jak zneutralizować Rosję w krajach bałtyckich bez demonstracji siły? Czy w końcu jak

wstrzymać Rosję w „odbijaniu” wpływów w Europie Środkowej i Południowej? Te pytania są fundamentalne dla bezpieczeństwa tego regionu.

Istotą bezpieczeństwa Polski na wschodzie jest takie kreowanie rzeczywistości, aby nie stworzył się bezpośredni pas graniczny z Federacją Rosyjską liczący kilkaset kilometrów. Taka linia graniczna umożliwia generowanie zagrożeń i stwarza obszar z którego można wyprowadzić realne uderzenie na Warszawę. Żłudne wspieranie przez Polskę oligarchicznych władz w Kijowie, które przy poparciu nacjonalistów dokonały zamachu konstytucyjnego doprowadziło do pośredniego wejścia Warszawy w zwarcie z Moskwą. Pytanie tylko na co liczono? Do czasu gwarancji USA dla takiego scenariusza i jego wsparciu przez rozbrojoną Brukselę istniała przestrzeń gwarantującą wyparcie wpływów Moskwy z części terytorium Ukrainy. Dla każdego znawcy tematyki było jasne, iż z jednej strony Waszyngton się nie łudził na opanowanie terenów zamieszkałych zwarcie przez ludność Rosyjską, a z drugiej iż jest to stały i trwały punkt polityki USA w tej części świata (zasadniczo był to odwet za sparaliżowanie przewrotu USA w Syrii przez Rosję).

W związku z powyższym rodzi się pytanie? Co się stanie na Ukrainie w przypadku wycofania się politycznego, a zwłaszcza finansowego Waszyngtonu z Ukrainy? Tak naprawdę to ten problem dla Polski stanie się problemem bezpośredniego zagrożenia jej bezpieczeństwa a nie zagrożenie militarne ze strony Rosji. Kraj zrujnowany gospodarczo, społeczeństwo spauperyzowane, armia podzielona według wpływów politycznych i biznesowych, braku odniesienia do wartości, kompletne rozczarowanie społeczne brakiem perspektyw wejścia do UE. To wszystko może doprowadzić do stanu wieloletniej destabilizacji i gwałtownego wzrostu przestępczości w pobliżu Polski ze skutkami trudnymi do przewidzenia.

Czy nie ma możliwości uniknięcia tego scenariusza? Dla Polski najlepszym rozwiązaniem byłoby gdyby Kijów w „ekspresowym” tempie zmienił konstytucję i wprowadziłby w Donbasie głęboką autonomię według granic administracyjnych obwodów Doniecka i Ługańska. Tylko taki ruch wyprzedzający pozwoli na odcięcie tych regionów od promowania nowych „republik”. Oczywiście pozostałe obwody Ukrainy, które zwarcie zamieszkują mniejszości narodowe po-

winni otrzymać także pewien zakres autonomii. Tylko wyjście do przodu pozwoli obecnym władzom na Ukrainie utrzymać się przy władzy. Wydaje się, iż na takie rozwiązanie w większości jest także gotowe społeczeństwo tego państwa.

Co się stanie jeżeli takie rozwiązanie nie zostanie przyjęte? Wydaje się, iż Zachód (negocjując z Rosją i Chinami kwestie geopolityki światowej) będzie mniej wrażliwy na działania na rzecz powołania Charkowskiej, Zaporoskiej i Odeskiej Republiki. Kijów zderzy się z coraz większym problemem opanowania rewolty społecznej na tle socjalnym, zwłaszcza w okresie jesiennym. Takie działania mogą spowodować wzrost nastrojów ukierunkowanych na autonomię Galicji, zwłaszcza iż ta-

kie głosy od dawna dawały się zauważyć wśród inteligencji tego regionu. Problemem otwartym pozostanie także kwestia autonomii Zakarpacia.

Zasadnicze pytanie jakie się pojawia w kontekście przedstawionych scenariuszy – czy nie ma innych, mniej dotkliwych dla Polski? Na pewno są, jednakże należy pamiętać, iż będą one jedynie mutacją tych nakreślonych w powyższym tekście. Obecnie przed Polską stoi zasadnicza konieczność wyciszenia napięć z Rosją i odczekanie na rozwój wypadków. Oczywiście należy robić to rozwijając swoje zdolności obronne oraz relacje z Grupą Wyszehradzką, której członkowie znacznie wcześniej zauważyli, iż gra idzie nie o Ukrainę a o nowy układ bezpieczeństwa w świecie.

KULTURA NN

DRUGI OBIEG NA UCHODŹSTWIE*

Rozmowa z ostatnim premierem Rządu RP na Uchodźstwie prof. Edwardem Szczepanikiem

Piotr Ciompa: Panie Profesorze nie tak nie przybliża człowieka, jak karty jego biografii. Czy mógłby Pan w skrócie nam je przedstawić?

* Od dra Andrzeja Anusza: Latem 1987 roku mój kolega z podziemnej redakcji „Kurier Akademickiego”, Piotr Ciompa, przebywał na wakacyjnej pracy w Londynie. Podczas swojego pobytu nagrał rozmowę z prof. Edwardem Szczepanikiem, ówczesnym Premierem Rządu RP na emigracji. Po powrocie do Polski przekazał mi nagraną kasety. Przepsałem i zredagowałem wywiad, który publikuję. Warto dodać, że Edward Szczepanik urodził się 22 sierpnia 1915 roku w Suwałkach, zmarł 11 października 2005 roku w Worcester w Anglii. Jego prochy zostały złożone na cmentarzu w rodzinnych Suwałkach. Pełną biografię opublikował Adam Sudoł pt. *„Edward Franciszek Szczepanik. Ostatni premier rządu RP na uchodźstwie.”* Wydawnictwo Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, Bydgoszcz 2009.

Edward Szczepanik: Suwalczanin wychowany tamże. Ukończyłem studia ekonomiczne w Warszawie, wtedy przed wojną nazywała się ta szkoła SGH, obecnie SGPiS. Odebrałem kampanię wrześniową jako podchorąży. Zostałem internowany na Litwie, a potem wywieziony po zagarnięciu Litwy przez Sowieców do Rosji sowieckiej. Tam spędziłem prawie dwa lata jako jeńiec wojenny w ciężkich warunkach. Po utworzeniu Armii Polskiej w Rosji sowieckiej pod dowództwem gen. Andersa, poszedłem do 5. Dywizji Kresowej. Już jako oficer artylerii brałem potem udział w szkoleniu mojego oddziału, a po wejściu z korpusu do walk we Włoszech brałem udział we wszystkich działaniach, od Monte Cassino począwszy na Bolonii skończywszy. Po wojnie osiedliłem się w Londynie. Byłem najpierw wykładowcą potem profesorem w tzw. Polskim Collegium Uniwersyteckim, które było

częścią Uniwersytetu Londyńskiego. Potem, gdy ta praca się skończyła, przeniosłem się aż do Hong-Kongu na stanowisko kierownika wydziału ekonomicznego w uniwersytecie tamtejszym. Potem pracowałem przez pewien czas w Pakistanie jako doradca głównej misji planowania gospodarczego. Następnie przez dłuższy okres, blisko 14 lat pracowałem w Organizacji Narodów Zjednoczonych w tzw. FAO – Międzynarodowej Organizacji do spraw Rolnictwa i Wyżywienia. Od blisko 10 lat jestem z powrotem w Anglii. Przez szereg lat pracowałem w Uniwersytecie w Sussex. Teraz jeszcze trochę naukowo pracuję w Polskim Uniwersytecie na obczyźnie, ale większość czasu, zwłaszcza w ciągu ostatniego roku, gdy zostałem prezesem Rady Ministrów poświęcam pracy politycznej.

PC: Panie Profesorze, jakie znaczenie ma rząd, który praktycznie nie może rządzić krajem?

ES: Najważniejsze znaczenie naszego rządu jest kontynuacja idei niepodległej, suwerennej, wolnej Rzeczypospolitej. W tym sensie oczywiście nie aspirujemy do rządzenia krajem, w sensie administracyjnym, gospodarczym,

społecznym, a w sensie ideowym. Nam zależy na tym, aby z jednej strony mobilizować emigrację niepodległościową znajdującą się na obczyźnie na rzecz obrony praw polskich do wolności, a z drugiej strony zależy nam na tym, aby w kraju wiadano, że swego rodzaju kontynuacja idei wolnej, niepodległej Rzeczypospolitej istnieje od 1939 roku, czyli praktycznie już 48 lat.

PC: Czy będąc odcięci od kraju, często z góry 40 lat, sądzicie, że w dalszym ciągu jesteście w stanie wyrobić sobie jakąś wiarygodną opinię o tym jak naprawdę w Polsce wygląda sytuacja polityczna?

ES: Ja myślę, że tą opinię mamy dosyć dobrą, nie chwalać się. Czasami wydaje się nam, że my wiemy więcej niż wielu wybitnych działaczy w kraju. Ze zrozumiałych względów oni pracują w swego rodzaju konspiracji i często nie wiedzą nawet, że obok, nieraz w tym samym mieście, działa inna grupa, o której nic nie słyszeli, bo po prostu ze względów konspiracyjnych tak się rzeczy tam układają. Do nas natomiast dochodzą wiadomości o prawie wszystkich ruchach wolnościowych w kraju, o ośrodkach wydawniczych, o ośrodkach kultural-

nych, naukowych. Do tego dochodzą bardzo dobre reportaże od dziennikarzy zagranicznych, którzy nieraz długie lata w Polsce spędzają, tacy jak Roger Boyes z „Times’a”, czy jak swego czasu Tim Sebastian, który zdobył duże zaufanie nawet wśród Polaków z kraju i inni. To wszystko do nas dochodzi w bardzo łatwy sposób, poprzez telewizję, radio, kontakty osobiste. Jeżdżą delegacje parlamentarne: kanadyjskie, brytyjskie, francuskie, belgijskie, te wiadomości do nas przychodzą. Tak więc, wydaje mi się, że obraz jaki my sobie układamy w odniesieniu do kraju jest obrazem w miarę pewnym. Nie twierdzę, że całkowicie pewnym, bo to jest w obecnej sytuacji niemożliwe. Ale obrazem wystarczającym do tego, żeby na tej podstawie kształtować nasze poczynania.

PC: Czy istnieje jakkolwiek możliwość ze strony rządu emigracyjnego lub agend wolnej Polski przebywających obecnie na Zachodzie pomocy materialnej dla Podziemia w Polsce. I czy Panowie widzą celowość tego?

ES: My tą pomoc stosujemy od szeregu lat. Przynajmniej bardziej aktywnie od 1976 roku. Od kilku lat te nasze wysiłki zostały zcentralizowane

w formie funduszu pomocy krajowi, któremu przewodniczy każdorazowy prezydent Rzeczypospolitej, do którego wchodzi grono wybitniejszych działaczy politycznych znajdujących się w Londynie. Ta pomoc w niektórych wypadkach jest bardzo pokaźna, w niektórych wypadkach może nawet decydująca, dająca możliwości dość intensywnej akcji wydawniczej, nie mówiąc o zwiększonej działalności politycznej. Pomoc dla ofiar prześladowań w kraju, pomoc dla ruchów oświatowych, kulturalnych, w niektórych wypadkach pomoc indywidualna.

PC: Jeśli chodzi o samo funkcjonowanie agend władz Wolnej Polski na obczyźnie, w jaki sposób działalność urzędu prezydenta, rządu RP i innych agend, politycznych, społecznych i kulturalnych jest finansowana?

ES: Właściwie główne organy tej władzy to jak Pan słusznie powiedział jest prezydent, rząd, Rada Narodowa jest jeszcze Najwyższa Izba Kontroli Państwa. Ciało, które praktycznie bez żadnego wynagrodzenia przeprowadza rewizję finansową, okresową naszego skarbu. Finanse na naszą działalność dostarcza społeczeństwo polskie znajdujące się na obczyźnie, głównie po-

przez Skarb Narodowy, który założył blisko 40 lat temu generał Władysław Anders, jego były adiutant. Pan Ludwik Kubowicz jest obecnie przewodniczącym komisji Skarbu Narodowego. To jest główne źródło finansów działalności prezydenta, rządu, Rady Narodowej. Oprócz tego od czasu do czasu rząd dostaje bezpośrednio jakieś dary, zapisy testamentowe, czy drobne przekazy z racji dla przykładu uczczenia śmierci bliskiej osoby albo dla wyrażenia osobistego uznania dla naszej działalności. Wszystkie te źródła są darami przez Polaków dla Polaków. Nie mamy żadnych, innych obcych funduszy, które by finansowały naszą działalność.

PC: Od czasu zerwania przez Watykan na początku lat sześćdziesiątych i wycofania statusu ambasady Rzeczypospolitej przy Watykanie. Rząd RP nie utrzymuje oficjalnych stosunków z żadnym z rządów na świecie sprawujących praktyczną władzę. Czy to w jakiś sposób nie stawia pod znakiem zapytania skuteczność, czy nawet celowości jego pracy?

ES: Oczywiście, że jest to duża trudność w działalności naszego rządu, ale to nie wyklucza możliwości innych

kanałów w szczególności poprzez parlamentarzystów. Dla przykładu tutaj w Parlamencie Brytyjskim w ubiegłym roku mieliśmy tzw. Early Day Motions w sprawie potępienia Jałty. Ten wniosek potępiający podpisało ponad dwustu posłów tzn. prawie 1/3 posłów. To świadczy o możliwościach naszego działania i o naszej prężności. Coś podobnego robi się w Stanach Zjednoczonych, Francji czy też nawet w Parlamencie Europejskim, gdzie jest grupa „Friends of Poland”, gdzie jest jeden Polak, inni to cudzoziemcy, ale działają w interesie pomocy dla Polski.

PC: Czy samo istnienie rządu RP stanowi jakiś fakt, który by tym akcjom pomagał?

ES: Jak najbardziej. Przede wszystkim koordynowałem tę działalność. Jestem nie w bezpośredni sposób to w pośredni. Mając cały szereg komitetów, do których członkowie rządu wchodzi, które są w kontakcie z organami cudzoziemskimi, są takie inicjatywy jak Anglo-Polish Society, czy w Ameryce Kongres Polonii Amerykańskiej, czy podobne instytucje w Szwecji i innych krajach.

PC: Jak duże są uposażenia związane ze sprawowaniem funkcji w rządzie emigracyjnym?

ES: Świetne pytanie. Odpowiedź też bardzo prosta. Zero, żadnych uposażeń nie mamy pracujemy wszyscy honorowo. Jedyne wydatki jakie mamy są to wydatki lokalowe. Musimy opłacić za gaz, elektryczność, za czyszczenie budynku, opłacić telefony, opłacić porta pocztowe, opłacić druki. Wydajemy na przykład „Rzeczpospolitą” raz na miesiąc, która rozchodzi się coraz szerzej również w kraju, przedrukowywana przez najrozmaitsze ośrodki wydawnicze. Oprócz tego wydajemy od czasu do czasu nawet książki, np. dokumenty dotyczące Jałty i okresu pojałtańskiego, która rozeszła się w kilku tysiącach egzemplarzy już całkowicie. Teraz robimy nowe wydanie tej dużej pracy.

PC: Czy rząd RP ma konkretną koncepcję, jak będzie wyglądało miejsce Polski po uzyskaniu niepodległości?

ES: Opcja Polski to opcja bloku państw Europy środkowo – wschodniej tzn. opcja pewnej wspólnoty narodów ujarzmionych obecnie przez Sowiety. Polska, Ukraina, Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Białoruś,

kraje nadbałtyckie to jest olbrzymi potencjał, który przy dobrze postawionej gospodarce może być niemal równy tego co nazywamy „wspólnotą europejską”, która jest praktycznie wspólnotą zachodnio – europejską. Przy tej koncepcji, dalszy krok to współpraca między tymi dwoma wspólnotami. Wspólnotą zachodnio – europejską i wspólnotą wschodnio – europejską. Wtedy następuje ta koncepcja, o której papież często mówi o połączonej Europie w sensie gospodarczym, a nawet tym politycznym, kulturalnym, współpraca narodów całej, wolnej Europy od Atlantyku aż do Uralu.

PC: Na koniec pytanie. Praktycznie biorąc, jak to widać z kraju. Wydawało się, że zarówno władze Rzeczpospolitej na emigracji, jak i fizycznie rzecz biorąc sami emigranci w Anglii nie widzą już pewnej kontynuacji między sobą a tym, co się dzieje w kraju. Jak gdyby rozbiecie przez aparat bezpieczeństwa, a w końcu lat 40. i początku 50. PSL-u i oddziałów leśnych, rozbiło pewną tkankę, nieć niepodległościową. Praktycznie tzw. „odwilż” była widziana w kategoriach przesunąć wewnątrz aparatu komunistycznego, co później

Dubczek określił komunizm z ludzką twarzą? Czy w tej chwili widzicie jakieś nawiązanie pewnej nici z tym co się dzieje w Polsce, jeśli tak to z jaką funkcją tej Polski? Czy widzicie możliwości, że pewne sprawy jeśli chodzi o rozwiązania przyszłości, rozegrają się politycznie i społecznie również w kraju?

ES: Mnie się wydaje, że ta więź, szczególnie w ostatnich latach bardziej się wzmogła, że my mamy o wiele lepszy kontakt między ruchami wolnościowymi w kraju, pod tą nazwą rozumiem również „Solidarność” niż nawet dwa, czy trzy lata temu. Jest zupełnie wyraźne zrozumienie wśród tego młodego pokolenia, że kontynuacją tej ciągłości państwowej, wolnej Rzeczypospolitej, której jest zapewniony niepodległy byt państwowy, podstawowe prawa człowieka, obywatela, że kontynuatorem jest ten nasz skromny rząd polski na uchodźctwie, gdzie nas jest może mało, gdzie może jesteśmy biedni materialnie, ale wydaje mnie się duchowo my jesteśmy bogaci i to z dumą przyznaję. To mówię na podstawie chociażby tego wielkiego wysiłku jaki zrobiłem dwa lata temu: Kongresu Kultury Polski, gdzie około 600 uczonych polskich

z całego świata się zjechało i czuliśmy się wszyscy Polakami. Takimi poważnymi Polakami, dobrymi jak i Polacy w kraju. Ta więź z krajem, powtarzam, powiększa się, zacieśnia się i całą moją nadzieją jest, żeby te związki przybierały coraz bardziej konkretne formy i stawały się coraz bardziej częstotliwe. Bo tylko przez wzajemne kontaktowanie się możemy doprowadzić do jedności poglądów. Jeżeli tego nie ma następuje, oczywiście, brak zrozumienia. Pan wspomina o październiku 1956 roku. To był typowy przykład braku tej więzi. Dlaczego? To było prawie bezpośrednio po okresie stalinowskim, gdzie te kontakty prawie zupełnie były zerwane i niemożliwe. W tej chwili sytuacja jest zupełnie inna. Jeżeli bym mógł zakończyć tę wypowiedź to jest podwójny apel do Polaków w kraju: róbcie wszystko co możecie, bo wy jesteście na czołowej linii frontu w kraju, walczcie o wolną Polskę! My jesteśmy do waszej dyspozycji jako siła pomocnicza. W sensie ideowym, koncepcyjnym nawet i w sensie kulturalnym. Mniej w sensie materialnym, bo nas na to nie stać. Ale pośrednio możemy też o tym myśleć, przez wskazywanie możliwości wykorzystania tych potencjałów finansowych, o których

poprzednio mówiłem. My nie mamy ambicji, jak to się kiedyś mówiło powrotu do Polski na „białych koniach”. Jest to mrzonka, której właściwie nigdy nie mieliśmy, ale o to nas oskarżano. My mamy w naszych wypowiedziach politycznych wyraźnie postawione, że jak tylko wyłoni się w Polsce możliwość utworzenia wol-

nego przedstawicielstwa parlamentu, Sejmu to wszystkie symbole ciągłości Rzeczypospolitej, które są w naszych rękach: pieczęć, sztandar, konstytucja oddajemy w najbardziej powołane ręce tzn. w ręce narodu, który znajduje się w kraju.

PC: Dziękuję bardzo za rozmowę.

KRESOWE WSPOMNIENIA CZ. I

w opracowaniu Adama Ostoi-Owsianego (wnuka)

PROLOG

Ojca mojego ojca nie poznałem. Zmarł miesiąc po moim urodzeniu. Przed śmiercią zamówił dla mnie rymgraf z Matką Boską Częstochowską z wygrawerowanym napisem „*Mojemu Ukochanemu Wnuczkowi – Dziadziuś. Warszawa, 10 marzec 1963.*” Ten jedyny od Niego prezent towarzyszy mi przez cały czas, do dzisiaj. Podobnie sam Dziadek Adam – nieobecny w sensie fizycznym, w niemal magiczny sposób od zawsze uczestniczy w moim życiu. Mieszkanie moich Rodziców wypełniały pamiątki po Nim: ogromny olejny portret Dziadka wisiał w gabinecie mojego Ojca, obok tego biurka, przy którym kiedyś pracował. W bibliotece – przedwojenne książki o tematyce patriotycznej, z dziesięciotomowym wydaniem „*Pism Zbiorowych Józefa Piłsudskiego*” na honorowym miejscu. Ściany zdobiły pamiątki po Dziadku

– jego zdjęcia ze służby w kawalerii, odznaczenia i dyplomy, które dostał za służbę w Wojsku Polskim, a także zdjęcie Józefa Piłsudskiego – prezent od Marszałka z jego odręcznym podpisem. W naszym domu o Dziadku rozmawiano praktycznie codziennie; bardzo szybko stał się dla mnie wzorem i autorytetem. Przede wszystkim też Dziadek obecny był w listach do mojego Taty i innych rękopisach, które, w pewnej części szczęśliwie ocalały z Powstania Warszawskiego; inne są dużo późniejsze.

Latem 2011 roku przeglądałem po przeprowadzce stopy dokumentów – moich prywatnych, sentymentalnych rodzinnych i zupełnych śmieci, które na bieżąco wrzucałem do kominka. Pobieźnie i w pośpiechu przerzucałem sterty starej korespondencji. Jak zawsze był to pretekst, by mimo obiektywnego braku czasu (a może właśnie tym bardziej, że czas

tak uciekał), spojrzeć do tyłu. Na chybił trafił zająrzałem do jednej z kopert. Paradoksalnie trafiłem na list Dziadka z 1957 roku.

(...) Jestem zarżnięty tą przeprawą – pisze w nim Dziadek – i właściwie zmianą całego trybu życia. Uporządkowanie tego domu, to dopasowanie, zmontowanie, ustawienie i doprowadzenie do jakiegoś ładu biblioteki i niezliczonej ilości swoich i obcych resztek z tej niezapomnianej epoki, gdy przychodziła na świat młoda Polska – wymarzona i wywalczona. Grzebałem nad tym cały dzień i jestem pełen smutku. Wszystko to rozdeptał straszny but naszego kolejnego dziejowego przeznaczenia. Zachowało się jeszcze wiele fotografii z Legionów, wojny z Sowietami. A i innych, już z wolnej Polski – zjazdów, uroczystości, defilad, aż do wstrząsającego pogrzebu Marszałka Piłsudskiego, gdy wraz z nim umarła bohaterska epoka, a przyszłość była jeszcze ciemniejsza, niż można to było sobie wyobrazić. Wszystko, co było z tej epoki zniszczyli i zohydzyli nasi straszliwi sąsiedzi. W tym jest i smutek przemijania, i smutek zapomnienia, i smutek przeznaczenia, i smutek starości; ciężar tych lat, z których wychylają się sprawy tak dalekie i ludzie tak bardzo martwi.

Wypełniony jestem tymi wspomnieniami.

Po raz pierwszy widziałem Komendanta w roku 1920 r. przed sierpniową bitwą. Pomachał mi ręką z okien wagonu, na wieczór miałem 40 stopni gorącki – ze wzruszenia i miłości. Potem widziałem Go wiele razy. Pamiętam, jak w błękitnym mundurze klęczał samotnie w b. soborze w Warszawie na purpurowej poduszce. Widziałem Go też w trumnie, gdy generałowie ciągnęli wagon z Jego trumną odjeżdżającą na Wawel, a niebo było ciemne, nadciągała burza i straszny ból ścisnął serce. Ten dom jest jeszcze pełen tych wspomnień bohaterskich i tragicznych. Sam jestem tragiczny, bo przeżyłem klęskę, brałem udział w zagładzie i nic nie zdołałem ocalić. Te szpargały są podeptane obcasami, złane deszczami, postrzelane kulami, głupie szczątki, które jeszcze zbieram i gromadzę według jakichś dat i jakichś miejsc, zamiast spalić to w piecu. Zresztą mnóstwo rzeczy i palę. Człowiek ciągnie za sobą niezliczoną ilość różnych papierków, z którymi nie ma siły się rozstać, są mu drogie, ale przychodzi czas, gdy nie mają już znaczenia. A jeśli nawet i mają, to cóż dalej z nimi robić, z tymi listami, programami, wycinkami, starymi kalendarzami i notatnikami, fotografiami, zaschnię-

tymi kwiatami? W istocie w tym wszystkim, i w samym człowieku, straszna jest znikomość. Nie odstępuję mnie żal. Budzę się w nocy i w głowie kotłują się różne myśli, przychodzą wspomnienia sprzed 40 i 50 lat. Ileż to lat zmarowanych? Dużo przez głupotę, przez złudzenia, przez kobiety. Ale od jesieni 1939 już nic od nas nie zależało.

W ubiegłą niedzielę byłem na Powązkach, na odstąpieniu miejsca na pomnik prezydenta Starzyńskiego. W kwaterze zasłużonych, gdzie zresztą spoczywają ludzie, których prawie wszystkich widziałem lub znałem w życiu, pod wysokim murem stanął czarny, dębowy krzyż, opleciony koroną z drutu kolczastego, a pod nim piękna czarna marmurowa tablica. Było dużo ludzi, ale wszystko starzy, w moim wieku, siwi i zmaltretowani, w marnych ubraniach – prawie każdy przeszedł przez kryminal. To żywi. Umarłych nikt nie liczył. Potem byliśmy na Starym Mieście „Pod Krokodylem”, na kawie. Pułkownik Niepokólczycki bardzo chciał się z Tobą zobaczyć, przypuszczał, że przyjdiesz. Był on, potem drugi pułkownik, jego zastępca. Trudno opowiedzieć, jakie bezmiary bohaterstwa mają ci ludzie za sobą. Następnie był piękny Stefan, jeszcze dwóch ich tylko zostało z tej słynnej „milionowej” akcji na Miodo-

wej. Potem pojawili się niespodziewanie Breyrowie, nasi starzy przyjaciele jeszcze z POW, z Ukrainy. Było wesoło i przyjemnie. Nawoływałem ich, że jeśli mamy się jeszcze spotykać, to trzeba się śpieszyć. Rzeczywiście, jedni dołączą do 60-tki, a inni przez nią przełazą, a to już jest przeważnie kres wędrówki.

Przed kilkoma dniami umarł pułkownik Zygmunt Bargiel, mój dowódca szwadronu z 26 pułku ułanów. Na początku okupacji zaprzysięgał nas wspólnie bohaterski Pilecki, nasz przyjaciel, którego rozwalili rodacy spod znaku Berii i Stalina. Kiedy byłem redaktorem „Biuletynu Wschodniego”, spotykaliśmy się często. Potem omal nie zginął w Powstaniu. Jednak wyżył i żył, aż dotąd. Pamiętam go na koniu, na manewrach i w różowych barwach na balach – w jakimś błękitnym walcu. Należało napisać o tym książkę. Ci ludzie, ostatni Mohikanie. Źle się stało. Nie napisało się. Pracował w jakimś biurze chemicznym, zarabiał 1.000 zł miesięcznie. To było bogate życie. Serdecznie go żegnali koledzy biurowi, a ja stanąłem nad jego trumną i pożegnałem go imieniem pułku – z którego już nikogo prócz mnie nie było na tym pogrzebie – imieniem szwadronów, porpczyków furkocących na lancach, tysiąca ułanów, naszych pułkowników, salw honorowych, pochy-

lającego się sztandaru i tych pól, tych lasów, tych wzgórz podlaskich i nowogródzkich – dalekich, zradowanych.

Umarł też mój przyjaciel, Witold Sopoćko. Kawaler Virtuti i czterokrotnego – Walecznych. Wesoły. Bywał u mnie na wódce. Tak więc wchodzimy w tę strefę huraganowego ognia, z której się nie wyłazi. Maszerują kombatanci, towarzysze broni. Meldują się u Pana Boga (czy może tylko wieczystej nicości). A tymczasem kręci się wszechświat bezgraniczny, poczynają się lub kończą czasy, pędzą na wsze strony rozszerzające się przestrzenie, gasną i powstają Słońca. A jeśli są te fakty, równie cudowne, jak wszelkie inne, to mogą być oczywiście i te inne. Są więc Zaduszki i miliardy naszych zmarłych unoszą się nad nami. Niebawem połączymy się z nimi i będziemy fruwać w zawierusze Słońc i Mgławic.(...)

Naprodukowałem mnóstwo świetnych win – pykają wszystkie gąsiory. Lubię ten głos. Całuję Cię tysiąc razy.

Ojciec

Z bogatej spuścizny literackiej Dziadka Adama niewiele tylko ukazało się drukiem. Można to tłumaczyć oczywistym kontekstem politycznym. Mam jednak wrażenie, że nie do końca wyjaśnia on wszystko. Można się nawet trochę nawet dziwić, że mój

Ociec, który też był literatem, a dziś patronuje Instytutowi Historycznemu, po śmierci Dziadka sfinalizował publikację zaledwie dwóch powieści, napisanych wspólnie.

Jeszcze raz dokonałem przeglądu maszynopisów i rękopisów. Epoka, którą opisywał Dziadek, stanęła mi przed oczami, jakby skończyła się wczoraj. W miarę lektury kolejnych, coraz późniejszych manuskryptów, poznawałem coraz starszego, coraz dojrzalszego Adama, w zmieniających się życiowych sceneriach. Do druku wybrałem trzy przedwojenne teksty wspomnień. Bohaterem pierwszego jest szesnastolatek, który przyjeżdża do domu na letnie wakacje. Drugi daje nam poznać Adama w przedrewolucyjnym Kijowie, kiedy szykuje się do egzaminów na wyższą uczelnię. Trzecie wspomnienie stanowi fragment jego biografii, jako żołnierza w trakcie odwrotu spod Kijowa. Wszystkie urywają się niespodziewanie, jak epoka, w której powstawały (opatrzone lakonicznym wyjaśnieniem Dziadka, że koniec zaginał w czasie wojny).

Adam Ostoja-Owsiany (wnuk)

BIOGRAM

Adam Ostoja-Owsiany urodził się 2 lutego 1898 roku w Kijowie, w ziemiańskiej rodzinie, która z poświęceniem pielęgnowała pamięć polskich zrywów niepodległościowych. Jego ojciec, Bronisław Owsiany (oficer WP, kapitan rezerwy artylerii w Armii Carskiej, absolwent Konserwatorium i Politechniki w Moskwie), zamordowany został przez czerwonoarmistów w Kijowie w lipcu 1920 roku. Z rąk bolszewików zginęła także 20-letnia ukochana siostra cioteczna – Jadwiga Goszczycka (adiutant Komen dy POW w Kijowie) – rozstrzelana w Charkowie w kwietniu 1920 roku. Matka – Zofia, z domu Ostaszewska, zmarła w grudniu 1939 w trakcie przechodzenia sowiecko-niemieckiej linii demarkacyjnej.

Przed rewolucją rodzina Adama gospodarzyła na dwóch majątkach ziemskich na Ukrainie – Owsianowo, w dawnym województwie kijowskim i Lutary – w dawnym województwie braclawskim (okolice Odessy).

Kontynuując tradycje rodzinne, na początku roku 1917 Adam wstąpił do POW w Kijowie. Służył również w III Korpusie Polskim na Ukrainie i w Wojsku Polskim, jako ochotnik od listopada 1918 do lutego 1921

roku. W trakcie wojny polsko-bolszewickiej, z racji biegłej znajomości języka rosyjskiego i ukraińskiego, przydzielono go do Oddziału II 6 Armii WP. Po wojnie studiował na Uniwersytecie Warszawskim i już jako absolwent filozofii (w 1924 roku) ukończył Szkołę Podchorążych Kawalerii w Grudziądzu, gdzie – w lipcu 1925 roku – mianowany został na stopień podporucznika kawalerii. Tego samego roku poślubił o dwa lata młodszą Lucynę Ostrowską, z którą miał jedynego syna – Andrzeja. W latach 1925-1927 służył w 26 Pułku Ułanów Wielkopolskich w Baranowiczach.

Po raz pierwszy Adam zaczyna poważnie wykorzystywać swoje zdolności literackie po przejściu do rezerwy. Zostaje redaktorem Biuletynu Zagranicznego Światowego Związku Polaków z Zagranicy. Drukuje także w „*Podchorążym*” – oryginalne opowiadania z życia kawalerii. W 1936 roku, jako laureat konkursu literackiego „*Polski Zbrojnej*” otrzymuje nagrodę Ministra Spraw Wojskowych. Żywo uczestniczy w życiu literackim i towarzyskim Warszawy. W jego domu bawi między innymi generał Wieniawa – Długoszowski i Stefan Ossowiecki, dla swoich zdolności parapsychicznych ceniony przez Mar-

szalka, bywalec warszawskich salonów. Przyjacielem od serca dla Adama staje się Jan Brzechwa. Kilka lat później Brzechwa przywoła tę przyjaźń wprost w swoim ważnym, rozrachunkowym wierszu „Opacz”.

Wybuch wojny zastaje go w Warszawie. Zgodnie z przydziałem mobilizacyjnym powinien trafić do 26 Pułku Ułanów Nowogródzkiej Brygady Kawalerii. Dzieje się jednak inaczej. Wcześniejszy związek z Oddziałem II sprawił, że z misją wywiadowczą Adam rusza na Wschód. Wówczas jest już porucznikiem – awans otrzymał w imieniny Marszałka, 19 marca 1939 roku. Po agresji sowieckiej trafia do niewoli. Szczęśliwie udaje mu się brawurowa ucieczka z więzienia NKWD w Łoczowie (wszyscy oficerowie, którzy wraz z nim siedzieli w tym więzieniu, zginęli później w Katyniu). Po powrocie do Warszawy odnawia swoje kontakty z Pułkiem i już jesienią 1939 roku, zaprzysiężony zostaje przez swojego przyjaciela, rotmistrza Witolda Pileckiego, jako żołnierz Tajnej Armii Polskiej, a następnie – ZWZ-AK. Tu także wykorzysta swój temperament literacki, redagując m.in. *Biuletyn Wschodni AK* i pisząc do *Biuletynu Informacyjnego*. W sierpniu 1944 otrzymał upragniony stopień rotmistrza.

W szeregach Armii Krajowej walczy w tym czasie cała rodzina: żona Adama, jego syn, a także siostry – Maria, Halina i Jadwiga (Maria i Jadwiga, aresztowane w 1942 roku, cudem przeżyły obóz koncentracyjny w Ravensbrueck i Belsen-Bergen. Halina uczestniczyła w Powstaniu Warszawskim).

Po wojnie, pomimo wielu propozycji ucieczki na Zachód, Adam postanawia zostać w kraju. W latach 1945-1946 włącza się w nurt konspiracyjny Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Współpracuje blisko z pułkownikiem Franciszkiem Niepokólczyckim (w serdecznej przyjaźni pozostał z nim do śmierci). Wstawiennictwu Brzechwy zawdzięcza pierwszą po wojnie pracę – zostaje sekretarzem Związku Literatów Polskich w Łodzi. Później pracował jako lektor języka rosyjskiego na Politechnice Warszawskiej.

W swojej powojennej twórczości literackiej koncentrował się na tłumaczeniach – z języka rosyjskiego (tłumaczył głównie Puszkina) i – angielskiego. Wspólnie ze swoim synem napisał dwie książki – „*Waleczny Domek*” i „*Tirolinkę*”. Wydane zostały także, opracowane przez niego, wspomnienia ocalonego z obozu zagłady w Oświęcimiu, Abrahama Kajzera – „*Za drutami śmierci*”.

Zmarł 12 marca 1963 roku w Warszawie. Pochowany został na cmentarzu Powązkowskim w grobowcu rodziny Starzyńskich (obok ostatniego

premiera rządu II RP, generała Felicjana Sławoj-Składkowskiego).

Odznaczony był, m.in., Krzyżem Niepodległości i Krzyżem Walecznych.

LARISSA

(1914)

Tobie, mój cieniu błękitnooki, tę opowieść poświęcam.

Ad ma szesnaście lat. Przyjechał do domu na wakacje. Na całe wakacje. Przeszedł właśnie do siódmej klasy. Nie za dobrze i nie bardzo źle. Nie będzie się przecież zbyt starał w rosyjskim gimnazjum. Jest Polakiem i to mu daje poczucie wyższości.

W ich domu Rosjanie nie bywają. Najwyżej jakiś „isprawnik” lub „uriadnik” po łapówkę. Dostanie łapówkę i fora ze dwora.

W gimnazjum to samo. Z nikim nie przestaje. Nie ma przyjaciół. Sami przecież Rosjanie, a taki, wiadomo, czym może być – zdrajcą, donosicielem, prowokatorem. A on jest „gordyj poliak”. Nic go nie obchodzą zapijaczeni profesorowie, ograniczeni koledzy. Przychodzi do klasy. Odrabia lekcje. Niechętnie uczy się rosyjskiego i historii Rosji. Ale w razie problemów ojciec przyjedzie, da łapówkę i on z „piątką” przejdzie do następnej klasy. Dni są jednak samotne. Pozostają książki – „Trylogia”, cudowna „Trylogia”, Słowacki, Mickiewicz. Dumnie dzieje.

Co tydzień przyjeżdża do domu. Na niedzielę. Miasteczko gimnazjalne jest niedaleko. Wszystkiego 25 kilometrów. O drugiej zajeżdża powóz. Stary Szymon strzela z bata – i ruszają. Ach, jak dobrze jechać. Konie biegną truchtem, Szymon drzemie na koźle, powóz błyszczy, pachnie dziegiem i juchtem, dymi się droga lekkim, granatowym kurzem, a wokół kotysze się step, bezmierny, zielony step. Ad wszystko wie, wszystko pamięta, każdy zakręt, każdy przydrożny kamień. Wreszcie trzy kurhany. Największy wojewody Romana. Podobno w księżycowe noce stoi on na tym kurhanie, w srebrzystym pancerzu husarskim, na czarnym koniu – i trzyma straż.

Dotąd sięgały niegdyś granice Rzplitej. A teraz tylko te kurhany zostały.

Oto już Boh. Srebrzysta rzeka usiana porohami. Teraz trzeba im ostrojechać w dół. Szymon pracowicie zakręca hamulce. Z pieca na łeb. A zawsze myśli z trwogą i radością, że hamulce się urwą, konie nie strzymają i z rozpędu wpadną do Bohu. To by była historia!

Nareszcie te wakacje. Prawie trzy miesiące. Co będzie robił? Układa sobie plany. Z rana, jak najwcześniej kąpiel w rzece, potem śniadanie, przejażdżka na „Zającu”, spacer po parku i czytanie książek. Obiad. Popołudnie z matką. Wieczne włóczęgi po stepie. A jeszcze są łódki, wędkę, będzie łowił ryby, mnóstwo ryb.

Zjechali już na dół. Mijają stajnie, obory, chlewnie, kurniki, spichlerze. Wszystko rozciągnięte wzdłuż rzeki. Porządne, solidne. Z dala widać gmachy młynów i elewatory. Gdy wieczór nastąpi, zapali się w nich elektryczność i odbije w wodzie, jakby kto złoto rozrucił. Ad stanie przy poręczy i będzie patrzył w wodę.

Otóż i dom. Stary kasztan, kwieciami usiany. Klomby, róże, weranda łopocząca płótnem zasłonięta i lśniąca szyby okien, i obok kuchni, skąd już podwieczorkowy zapach leci. Wie, co będzie zsiadłe mleko, młode kartofle, herbata, kawa, śmietanka, masło, rzodkiewka, jakieś pierożki, ciasteczka, miód, konfitury różane, wiśniowe, agrestowe.

Szymon strzela z bata. Wybiega kozaczek Iwaś i pokojówka Hania. No tak, pewnie, dwie walizki, wszystkie rzeczy, bo to przecież na długo, na trzy miesiące. Oni się śmieją i on się śmieje. Matka już stoi na werandzie. Taka jest śliczna. Ma ciemne, aksamitne oczy i białe ręce. Nie ma śliczniejszej.

– Ad... kochanie moje... mój synuś duży... przyjechał.

Całuje oczy i skronie i policzki i gładzi włosy.

Ad tuli się do niej. Obejmuje. Całuje ręce.

– Mamuś... teraz dopiero będzie... trzy miesiące.

– Pysznie.

– Och, tak się cieszę.

– Ja też.

Rzeczy już zanieśiono do jego mieszkania. Mieszka na dole, tuż nad rzeką. Słychać, jak woda szumi na groblach. Tak zawsze szumi. Dzień i noc.

W mieszkaniu bez zmian. Te same dwa pokoje i alkierzyk. Proste łóżko zasłane kilimem. Piękny dywan na ścianie. Białe ściany pachną wapnem i brudzą ubranie. Matka Boska Ostrobramska – uroczysta, tajemnicza, połyskuje zło-

tem. Na innych ścianach – Grunwald, Kościuszko, Mickiewicz, Polonia – Styki, kilka portretów wąsatych i brodatych panów w pancerzach i szkarłatach.

To przodkowie.

W drugim pokoju – biurko, krzesła, fotel. Książki. Kochane książki. Biblioteka Dzieł Wyborowych. Kłosa. Tygodnik Ilustrowany. Moje Pisemko – z dawnych, szczenięcych lat. Przyjaciel Dzieci. Ach, ile radości! Jakie wspaniałe opowiadania! Z jakim utęsknieniem oczekuje się na tę środę, kiedy nadejdą pisma z Warszawy.

Najukochańsze książki są w oddzielnej szafce. Cudowny, największy ze wszystkich Juliusz Verne. Ad z nim wędruje poprzez lądy i morza. Razem z profesorem Paganelem, z kapitanem Grantem i jego dziećmi, z tajemniczym kapitanem Nemo. Na nieznanne wyspy, do środka ziemi, na księżyc. W niedzielę z rana słysząc, jak z dala biją dzwony w cerkwi. Głos ich to dobiega, to ginie.

W alkierzu błyszczący, niedawno sprawiony przez rodziców rower. Duma Ada i podziw całej okolicy. Flower, z którego strzela do szczurów. Wędk, sieci, haczyki, klatki, zasuszone motyle. Sznurki, gwoździe. Jakieś narzędzia. Połamane zabawki. Mnóstwo wszelakich rupiec bez znaczenia – i bardzo ważnych.

Ad szybko narzuca na siebie płócienne ubranie i pędzi do pływalni. Stary magazynier, żyd Mejer, o siwej brodzie i zaczerwienionych oczach, kręci głową i cmoka.

– Cy... cy... cy... ale też nasz panicz urósł!

Pływalnia unosi się na beczkach, przymocowana łańcuchami do brzegu. Lekkie kołysanie sprawia wrażenie, jakby się jechało na statku. Ad skacze w bulgoczący wir. Wyłazi z wody rześki, szczęśliwy. Słyszy głos pani Zatorskiej.

– Ad... podwieczooooorek... Ad... hop... hop!

– Hop... hop... – drze się – już lecę!

Na werandzie siedzi ojciec w blado-żółtej jedwabnej marynarce. Ma ciemno-zielone, nieruchome oczy i ryżawe włosy. Czyta gazetę. Pali cygaro. Błękitny dymek kołysze mu się nad głową, niby czarodziejska wstążka.

– No, co... przyjechałeś?

– Przyjechałem – odpowiada Ad obojętnie i bez uczucia całuje go w rękę, a on go w czoło.

Nie bardzo się kochają. Dalecy są sobie. Nie rozumieją się. Ojciec jest nawet dobry i sprawiedliwy, ale to nie jest przyjaciel. Ot, Matka... zupełnie co

innego. Wszystko rozumie, wszystko czuje, na wszystko odpowiada. Nie trzeba słów. Tylko zmruży swoje śliczne oczy i już wszystko wie.

Wtacza się pani Zatorska. Jest wielka i gruba ponad wszelkie pojęcie. Dobroci nieopisaną. Drobne oczy utonęły w tłuszczu. Pięć fałd pod szyją – i sama tkliwość, a sama dobrotliwość. Obejmuje Ada i przywala go ogromem gorących piersi.

– Mój aniołeczek... moje biedactwo... już powróciło z tych moskiewskich szkół.

Ojciec krzywi się nieznacznie. Ad również. Nie lubi tych czułości, ale cóż robić? Pani Zatorska jest taka dobra i przyjaciółka matki, jej prawa ręka.

– Masz, moje słoneczko, kawusia biała, śmietanka, maselko... odżywiaj się... nabieraj sił... ta joj – krzyczy rozdzierającym, potężnym głosem i klaszcze w dłonie – Haniu, gdzie jesteś?... nie podała grzybków, a przecież nasz panicz przepada za grzybkami... i wędzonej polędwicy nie podała...

o mój Boże... zaraz przyniosę – wytacza się z niespodziewaną szybkością.

Po podwieczorku Ad leci do parku. Właśnie nie idzie, nie śpieszy się, tylko leci. Jakaś siła gna go naprzód i musi tak lecieć. Pędzi obok elewatorów, tumanów wody wytryskującej spod turbin. Mokra mgła spada mu na twarz. Miga zgrabny domek inżyniera Reymana – i już się zaczynają pierwsze drzewa. Właściwie to nie jest park, już raczej las. Pomiędzy wodą, a skałami znajduje się wąskie pasmo łądu – stara dolina Bohu żłobiona w piaskowcowej podstawie przez miliony lat nieustannego pędu rzeki. Namuły są żyzne – drzewa rosną wielkie, rozłożyste. Nikt ich tutaj nie dogląda, nie przycina. Rosną w dzikim, pierwotnym nieporządku, częstokroć pozwalane przez wichry, upadłe ze starości. Obok nich wyrastają młode, mieszając się z krzewami, zaroślami, pnączami. Istna dżungla, poprzez którą środkiem przebiega ścieżka. Z jednej strony rwie, szumi i błyszczy dzika rzeka, z drugiej narastają pochylone, wyniosłe masywy skał. Nie spotka się tutaj człowieka. Nie ma i żadnych większych zwierząt. Tylko ptaki śpiewają. Kukułka kuka w oddali.

Serce mu bije coraz mocniej i to uderzanie jest pełne rozkoszy. Przyspieszonym oddechem chwyta czyste powietrze. Na czole pojawiają się drobne krople potu, ale Ad przyspiesza.

Wreszcie jest meta. Mostek przerzucony nad sporym strumieniem. Strumień pieni się, warczy, dzwoni, rozpryskami kropel uderza o czarne, błyszczące kamienie, rozrzuca tysiące brylantowych skier.

Ad skręca pod bieg strumienia. Piętrzą się zwały skał. Przejść tego nie można, tylko trzeba się drapać, wspinać, przeskakiwać. Woda spada w strugach, w kaskadach, w siklawach. Z hałasem biją małe i większe wodospady. W połowie drogi znajduje się jezioro. Ze wszystkich stron otoczone głazami jest modre, głębokie, tajemnicze. Mieszkają w nim rozmaite gatunki żab, czerwone trytony, wodne węże. Szeleszczą suchymi liśćmi trzciny, nachylając ku sobie łodygi, jakby jakieś zwierzenia szeptały poufnie.

Zdyszany i zgrzany Ad wspina się zręcznie i szybko, aby wreszcie spocząć na samym szczycie skał. Jest to jego najulubieńsze miejsce. Zbudował sobie tutaj siedzisko z kamieni, a obok, w głębi z dużym mozołem wykuł niewielką grootę. Ileż w tym miejscu chwil zachwycających spędził? Jeszcze pozostały we wnętrzu połamane łuki, stare tomahawki, oszcypy, sokole pióra, drewniane pałasze, szczątki tekturowej zbroi i złotym papierem obciążana korna. Bywał tutaj indianinem i piratem, królem skalnych krasnoludków, szlachetnym rycerzem, który wyzwalał z niewoli piękne damy. Tutaj czytywał Jacka Londona i wówczas był traperem, włóczęgą, poszukiwaczem złota, bokserem, trampem. Tutaj czytał Krzyżaków – bolał nad losem Danusi, zaciskał pięści i zęby, walczył z przemocą, długie rozmowy prowadził ze Zbyszkim. Tutaj też razem z imię panem Paskiem szwedzką kampanię odbywał i wiernym był żołnierzem kasztelana Czarnieckiego.

Daleki stąd jest widok. Ten cypel panuje nad całą okolicą. Niegdyś mieszkali na nim orły. Pod stopami szeroką wstęgą wiję się Boh. Las z tej wysokości wydaje się jak zielony pobałwaniony kobierzec. Siwymi nitkami popielą się drogi. Wisi nad nimi nieruchomy, różowy tuman kurzu, jakby mgła jutrzeńki, ale właśnie słońce już jest na zachodzie i skowronki nad stepem kończą swoją pieśń wieczorną. Za chwilę rozlegną się srebrne dzwonki cykad i tak dzwonić będą, aż do późnej nocy. Step jak morze, nie ma granic. Oko gubi się w odległym horyzoncie, ale tam jest tylko tak samo zielono i tak samo kołyszą się trawy lub faluje pszenica. Bezmiar. Przeźroczyście zielono-błękitny bezmiar.

– Mój – szepce Ad – mój...

Chciałby objąć ten step i cały młody świat i do zdyszanego przytulić piersi, do tętniącego przycisnąć serca. Ledwie oddycha ze zmęczenia, ale tak właśnie jest mu dobrze. Po ciele rozbiega się drętwa. Nogi są ciężkie, ołowiane, a lekki, ciepły i pachnący wiatr, nasycony solą Czarnego Morza, mierzwi mu włosy i pot osusza na czole.

We wsi leżącej naprzeciwko, po drugiej stronie Bohu, majestatycznie uderza dzwon cerkiewny. Chybotliwy, pulsujący głos jednostajnie rozbiega się na wszystkie strony. Z innych wsi zaczynają odpowiadać inne dzwony, niektóre bardzo nawet odległe, ale w czystym powietrzu dźwięk niesie się daleko i Ad czuje, jak tuż nad nim, nad jego głową wszystkie te tony zbiegają się w jeden akord.

Zapada pierwszy, delikatny zmierzch. Słońce ostatkiem złoto-czerwonych promieni ślizga się po stepie i łuną zieloną zaściela cały horyzont. Na dole, nad Bohem wypęłzły już szarawe cienie, ale Boh jeszcze świeci się, jeszcze srebrzy i złoci, a tam, gdzie są cienie fioletowieje, stalowy się staje i zimny. Tam by się teraz zanurzyć, tam pływać, tam rozpalone ciało schłodzić.

Ad ogarnięty tym pragnieniem ześlizguje się ze swego orlego gniazda. Jak dzika koza skacze ze skały na skałę. Nieomylnie zręczny w kilka minut przebywa całą żmudną drogę, pozostawiając po sobie przerażony turkot kurek wodnych. Jeszcze w biegu zrzuca ubranie i w tej samej prawie chwili skacze do wody. Zamyka się nad nim powierzchnia, jednak on niebawem wypływa, parska, kołtuje się w nadmiarze siły i radości.

Odpoczął już po poprzednim zmęczeniu, po swoim biegu szaleńczym. Teraz szerokimi rozmachami ramion, to kurcząc, to prężąc silne ciało wypływa, aż na środek rzeki. Tam kładzie się na plecach i patrzy w gasnące niebo, a słaby w tym miejscu prąd kołuje nim i kręci powoli, znosząc wciąż bliżej do przeciwnego brzegu. Ogromnie lubi tak leżeć nieruchomo na wodzie i dać się unosić falom. Wtedy istnieje tylko on i odległe niebo. Nic więcej i nikogo więcej. Z rozmarzenia budzi go niedaleki głos kobiety. Mocno i głęboko ktoś śpiewa piękną rosyjską pieśń:

– Wychożu odin ja na dorogu, skwoż tuman sriebrystyj put’ blestit.

Przerażony Ad daje nurka, a potem ostrożnie wychyla głowę. Widzi łódkę i w niej trzy osoby. Dwie kobiety i mężczyzna. Mężczyzna wiosłuje. Nawet wie, kto to jest. Dwie córki popa i nauczyciel z ludowej szkoły. Zna ich z widzenia. Obydwie panny ładne i młode. Jedna nieduża, czarna, a druga wyższa, jasna. Nie wolno mu się zadawać z Rosjankami, zresztą sam nigdy by tego nie chciał. Pamięta jednak, że kiedyś spotkał się z nimi na promie, jadąc razem z matką w gości do Karskich. One wtedy stały oparte o poręcz i dość zuchwale spoglądały do wnętrza powozu, a on również nie mógł się powstrzymać od zerkania, aż wreszcie matka powiedziała:

– Ad, wiesz co... patrz ty lepiej w inną stronę.

– Patrzcie... patrzcie... o Boże... topielec! – posłyszał przerażony okrzyk jednej z nich.

Topielec w mgnieniu oka ożył i rozpaczliwie zaszamotał się w wodzie. Co miał czynić? Rzucił się przed siebie w kierunku swojego brzegu i wytężając wszystkie siły, długimi wymachami ramion począł pruć wodę. Że jednak wyruszył na przełaj, prąd zaczął go znosić.

– Mój Boże... kto to... kto to? – słyszał głos za sobą – on utonie... trzeba go ratować... Piotrze Iwanowiczu pływamy... pływamy... prędzej... on utonie... na pewno.

Łódka silnie pchnięta zaczęła się zbliżać, tymczasem prąd ciągle go jeszcze odnosił na bok.

– Ach... to przecież Adik... Adik... śliczny poliaczek... musimy go ratować – krzyknęła jedna z nich.

– Co ty?... Marusia... to wcale nie Adik... to ktoś ze wsi.

– Wszystko jedno... trzeba ratować... jednak mówię ci... że to Adik... stój – krzyknęła – nie ruszaj się... my zaraz dopłyniemy.

Piotr Iwanowicz w milczeniu wioślował. Ad zatrzymał się na chwilę i odwrócił.

– Nie potrzeba mi waszej pomocy – wrzasnął – sam sobie dam radę.
Chwila milczenia.

– Patrzcie... patrzcie – odezwała się Marusia – jaki bohater, ale on przecenia swoje siły... trzeba być w pobliżu Piotrze Iwanowiczu.

– Nie trzeba – krzyczał Ad – brzeg już niedaleko.

Brzeg istotnie zbliżał się z każdym poruszeniem ramion, ale też łódka była coraz bliżej. Ad zwolnił tempa.

– Bardzo dziękuję za pomoc – powiedział dobrze zdyszany głosem – jak się okazuje, była zupełnie zbyteczna.

– Patrz Ola – rzekła Marusia – jaki on jest ładny.

– Tak... zupełnie podobny do dziewczyny... gdyby nie włosy krótkie, to byłabym przekonana, że to dziewczyna.

– A jakie ma białe ramiona...

– Hm... hm... hm – zahuczał Piotr Iwanowicz – czorty przeklęte.

Ad dobił do brzegu. Zanurzony po szyję oparł się nogami o grunt. Czuł się niezmiernie niezręcznie.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję – szepnął i spuścił oczy przed gorącym spojrzeniem Marusi – niech państwo już sobie jadą.

– A dlaczego? – zapytała zuchwale Marusia. Właśnie ta nieduża i czarna, o ciemnych oczach i czerwonych, wywiniętych ustach.

– Bo... bo... bo ja – płątał się – chcę już wyjść z wody.

– No, to co?

Ad czuł w sercu narastającą wściekłość, chociaż z drugiej strony wydawało mu się, że Mausia jest zachwycająca. Jeszcze ładniejsza była, niż wtedy na promie.

– Nic – wstydził się przyznać, że jest nagi – oni na pewno myślą, że ma na sobie kostium kąpielowy – jakże ja tak wyjdę?

– Jak? Chyba zwyczajnie... po brzegu.

– Nie... nie... nie mogę... niech państwo odjadą.

– Cha... cha... cha – zaśmiała się świeżym, dźwięcznym głosem – chodź do nas do łódki... przewieziemy cię.

– Nie...dziękuję... mam własną łódkę.

– To nic... bracie – wtrącił się Piotr Iwanowicz – a ty z nami też możesz, chociaż my chudopachołki, czorty przekłète.

– Nie życzę sobie – krzyknął – proszę odjechać... i już!

– Patrzcie... jaki dumny – powiedziała Ola – dajmy mu spokój... niech sobie tutaj zostanie.

– O nie – nie zgodziła się Marusia – albo niech siada do naszej łódki albo niech wyłazi na brzeg... nie darmośmy go przecież ratowali.

Zapadło ponowne milczenie. Zmierzch zbliżał się szybko. Już pochłonął przeciwległy brzeg Bohu, już granatowymi cieniami docierał do połowy rzeki. Ad zacisnął zęby.

– Dobrze – oświadczył – będę tak tkwił w wodzie, aż się znudzicie i pojedziecie.

– O, my się nie znudzimy – orzekła z uśmiechem Marusia – mamy dość czasu i wieczór jest piękny... będziemy ciebie bawili rozmową.

Ad milczał.

– Ty jesteś taki ładny... taki białutki – mówiła dalej Marusia – czegoż ty się opierasz... chodź do nas... pojedziemy daleko po rzece... będę ci śpiewała piękne pieśni...

– O, czorty! – mruknął Piotr Iwanowicz i uderzeniem wiośła wyprostował łódkę.

– Nie chcę – rzucił Ad twardo.

– Nie chcesz?... to i nie potrzeba... to wyłaż w takim razie i maszeruj do domu – zaproponowała Ola.

– Nie mogę – szepnął zdławionym głosem. Wściekłość dech mu zapierała w piersiach.

– Powiedz wreszcie, dlaczego nie możesz – pytała Marusia – my przecież ciebie nie trzymamy... ale dlaczego nie możesz... czy jesteś może trędowaty?

– Nie – wykrzyknął – nie... tylko jestem nagi.

Wszyscy się roześmiali.

– Ot... tobie sztuka – mruknął Piotr Iwanowicz – wielka mi rzecz.

– Ach, on jest cudowny – mówiła Marusia – więc ty się po prostu wstydzisz i to jest cały powód?

Czuł łzy w oczach.

– Tak – szepnął – wstydzę się... to jest cały powód.

– Czegoż ty się wstydzisz? – pytał Piotr Iwanowicz – u nas nikt się niczego nie wstydzi... chłopcy kąpią się razem z babami i nie wstydzą się... bo nie ciała trzeba się wstydzić... tylko brudnych i grzesznych myśli... ot, ty na pewno takie myśli i masz jeżeli ty się tak wstydzisz.

– A my chcemy popatrzeć – oświadczyła ze śmiechem Marusia – my chcemy popatrzeć... może ty jesteś cały przyszczaty... może tylko buzia u ciebie taka ładna... a może ty masz jakie wrzody albo blizny... kto ciebie wie... a może ty jesteś diabełek... masz ogonek i kopytka... my musimy to wiedzieć.

– Cha... cha... cha... – śmiała się Ola – ja wam mówię, że to jest dziewczyna... i dlatego ona się tak wstydzi... bo nie wiadomo czemu chłopaka udaje... mogę się z wami założyć, że to jest najprawdziwsza na świecie dziewczucha.

Ad pchnięty nagłą mocą determinacji, sprężył się i w kilku susach wyskoczył na brzeg. Nagi stanął nieruchomo na tle pociemniałego już parku.

– Proszę – krzyczał przez łzy – proszę... macie... macie przyszcze, macie wrzody... trędowaty jestem... dziewczyna jestem.

Rozkrzyżował ramiona i odwrócił się.

– Możecie mnie dla pewności i z tyłu obejrzeć... czy diabeł nie jestem... czy ogona i kopyt nie mam.

Potem schylił się błyskawicznie, chwycił wielki kamień i uniósł go obydwoma rękami ponad głowę.

– A teraz precz od mojego brzegu – ryczał – bo wam przedziurawię łódkę i pójdziecie na dno... bezwstydnego kacapy.

Piotr Iwanowicz widocznie widząc, że to nie żarty, zdołał tylko warknąć:

– O, czorty... przeklęte, przeklęte czorty – i mocnym szarpnięciem wiosel oderwał łódkę od brzegu.

– Wariat... wariat... zwariowany „poliaczek” – śmiała się i pischczała Ola.

– Ach, cudny... mocny... dumny – słyszał piękny głos Marusi – przyjdź do nas kiedy chcesz... napisz karteczkę... będę ci zawsze rada.

Mówiła jeszcze coś dalej, ale nie słuchał więcej. Z całym rozmachem rzucił kamień do wody. Byle jak wciągnął na siebie ubranie i biegnąc do domu połykał słone łzy obrazy, zranionej dumy, dotkniętej godności osobistej. Nade wszystko może jednak bolało go to, że Marusia była taka ładna i tak bardzo mu się podobała. Czuł suchość w gardle. Paliły go uszy. Wstyd go dławił.

– Wstrętne... bezecne... ohydne – myślał – jak oni mogli... jak śmieli wystawić go na taką hańbę... moskiewskie wyrodkie. Jednocześnie jakaś inna myśl, słodka i kusząca, szeptała, że mógłby przecież posłać liścik do Marusi, mógłby się z nią spotkać na swojej bezludnej wyspie, nikt by się nawet nie dowiedział... a ona ma takie gorące, czarne oczy i takie grube, wywinięte wargi.

– Nie – zasyczał i zacisnął pięści – nie... prędzej się ziemia zawali... ale z Moskiewką nigdy... przenigdy... za żadne skarby.

— — —

Pędził do domu, jakby go szatan gnał. Podniecony przygodą i myślami, które go oblegały, z łatwością przebiegł blisko trzy kilometry, jakie go od miejsca zdarzenia dzieliły. W ostatnim zmiernianiu minął domek Reymanów i nie zatrzymał się pomimo, że słyszał głos pani Reymanowej:

– Panie Ad... panie Ad... niech pan na chwilę wpadnie do nas.

Przeleciał koło Mejera, który wystraszony odskoczył w bok i krzyknął:

– Uj... myślałem, że to djabał... a to nasz panicz tak gania... cy... cy... cy.

Minął podjazd i schody. Kątem oka dostrzegł, że dom cały i weranda są już odświeżane. Wpadł do siebie i szybko zaczął się przebierać. Nie lubił się spóź-

niać do kolacji, gdyż ojciec, chociaż zwykle nic nie mówił, przecież krzywił się w sposób bardzo nieprzyjemny.

Już prawie był gotowy, gdy zapukał do drzwi kozaczek Iwaś.

– Panyczu... do stołu już podano... pani Zatorska Prosić się pośpieszyć.

Iwaś nie uznawał żadnych autorytetów prócz pani Zatorskiej, ale też bał się jej jak ognia.

Ad zapinając swoją welwetową, białą kurtkę zapytał Iwasia:

– Słuchaj... czy ty znasz popa z Malinówki?

– Pewnie, że znaju paniczu.

– A córki jego znasz?

– Ojoj... piękne pannoczki... Marusia i Ola.

Domyślny uśmiech przebiegł po jego chudym i śniadym obliczu.

– Czego ty się śmiesz... durny?

– Ot... tak sobie – po chwili dodał – ale e pannoczki, to bardzo są ciekawe.

– Ciekawe... dlaczego?

– Już się mnie ze dwa razy o panicza pytały.

Zaskoczony tą wiadomością Ad zastygł na miejscu trzymając rękę na klamce.

– O cóż się one pytały?

– A tam... że jaki, a kiedy bywa w domu, a co lubi, a czy dobry, a czy mądry... czy ja wiem?

– I cóż ty powiedziałeś?

– Co miałem mówić... nic nie powiedziałem.

– Jak to... nic a nic?

– E, tak to nie... powiedziałem, że nie dla psa kiełbasa.

– Och, ty durny... durny!

Ad poszperał po kieszeniach i dał Iwasiowi rubla.

– Masz – powiedział – ale żebyś nikomu o tym nie paplał.

Iwaś mrugnął jednym okiem.

– Czy ja to baba, paniczu, czy co?

Kiedy wszedł na werandę wszyscy już siedzieli przy stole. Ojciec chrząknął i lekko się skrzywił, nic jednak nie powiedział. Pani Zatorska załamała ręce i swoim lwowskim akcentem zaczęła zawodzić:

– Ta dziecko kochane... ta gdzież ty przepadał... leniwe pierożki na nic wystygły... Hania – krzyknęła – Hania... dawaj pierożki dla panicza.

Były to już schyłkowe dni maja, ale kasztany dopiero zaczęły przekwitać i pogoda panowała cudowna. Ciepłe, słoneczne dni. Jasne noce. Dalekie zarnice migocące jak błędne ogniki. Na werandzie płonęła wielka elektryczna lampa przykryta matowym szkłem. Tysiące ciem i nocnych owadów obijało się o nią w dążeniu do światła. Szumiała rzeka i turkotały maszyny w młynach, ale wszyscy tak byli przyzwyczajeni do tych jednostajnych odgłosów, że wcale ich nie zauważali. Z dala słychać było szczekanie psów w okolicznych wsiach, brzęczenia łańcuchów przy promie, porykiwania krów w oborach. Wiał od Morza Czarnego lekki wietrzyk, ciepły i nasycony jedynym na świecie zapachem jakichś wodorostów, ziół, świeżości i odrobiny soli. Nigdy nie ziębił i zawsze był orzeźwiający. Dodawał sił. Niebo granatowe, takie granatowe, jakie bywa tylko na południu Ukrainy, здавало się być blisko, tuż za poruszającymi się leniwie zasłonami werandy. Kolacja była zjedzona. Rozmowa jakoś nie kleiła się. Wszyscy byli zajęci swoimi myślami. Ad z troską spoglądał na matkę. Czuł, że musi mieć jakieś zmartwienie.

– Dzwoniłam dzisiaj do Karskich – mówi matka na odchodnym... pytali się o ciebie... Helena bardzo się cieszy, żeś już rozpoczął wakacje... obiecała, że jutro przyjedzie.

Ach, tak. Helena. To wspaniale. Pojadą jutro konno na spacer. Helena jest właściwie jego jedynym przyjacielem. Chowali się prawie razem. Zawsze byli nierozłączni. Ona jest co prawda starsza o jakieś trzy lata, to nic jednak nie szkodzi. Rozumieją się doskonale. Helena jest jak chłopak. Tak samo lubi ruch, wysiłek, sport. Teraz już jest duża, dorosła panna... ale kiedyś... ile też mieli wspólnych spraw, wspólnych przygód. Ad nie tak dawno podsłuchiwał niechcący rozmowę starego Karskiego z ojcem.

– Dobrze by było – mówił Karski – żebyśmy mogli nasze majątki połączyć... bo i położenie jest dobre... i graniczą ze sobą... i zagadnienia produkcji identyczne... w przeciwnym razie to to się rozlezie, albo konkurować będzie, tak, jak my ze sobą konkurujemy... i wreszcie dojdzie do nieopłacalności... przez połączenie administracja stałaby się tańsza i rentowność większa... można by wprowadzać ulepszenia... nawet w razie czego moją boczną koleją, aż tutaj dociągnąć... bez tego transport do kolei będzie zawsze zarzynał... przez to i robocizna jest wyższa i produkt kosztowniejszy... właściwie w taki sposób doszlibyśmy do mącznego monopolu w całej okolicy i mielibyśmy wyłączny wpływ na kształtowanie ceny, a tym samym dochodowość można by podnieść bez mała dwukrotnie.

Dziwna rzecz, że ojciec z Karskim doskonale się zgadzali, chociaż tworzyli zupełnie odmienne typy, a jako wyłaczni w tej okolicy producenci eksportowej mąki stale ze sobą rywalizowali.

– Hm – mruknął ojciec – jakżeż sobie to połączenie wyobrażacie?

– Bardzo prosto – odrzekł Karski – wasz Ad ma szesnaście lat, moja Helenka dziewiętnaście.

Ojciec się roześmiał.

– Co wy też Panie Michale opowiadacie... przecież A to jeszcze dziecko.

– Dzisiaj dziecko – mówił Karski – ale za kilka lat będzie mężczyzną... a zdaje się, że nie są sobie niemili...

Ojciec nic na to nie powiedział, a może co i mówił, nie wiadomo, gdyż Ad trochę zawstydzony uciekł i końca rozmowy nie słyszał. W każdym razie następnego dnia ojciec bacznie mu się przyglądał i coś musiał kalkulować, bo to się chmurzył, to uśmiechał.

Ad zbiegając po schodach przypomniawszy sobie tę rozmowę. Śmieszne. Ogromnie śmieszne.

Helena. Ileż też ona łez przez niego wylała. Nie rozumiała jego marzeń, nie miała wystarczającej wyobraźni. Walił ją za to często gęsto, a nawet czasami przywiązywał do drzewa i tak pozostawiał. Miewał z tego powodu przykre przejścia z rodzicami. Jej jednak nic nie zrażało. Wybeczy się, wybeczy, a potem na nowo się naraża. Poza tem jednak była do rzeczy. Świetnie jeździła konno, pływała, żeglowała, grała w tenisa, łapała ryby i polowała. Umiała nawet prowadzić auto. Była to sensacja nie lada i tym imponowała Adowi. W okolicy pojawiły się dopiero pierwsze, nieporęczne auta. Samochód Karskich był wielki, otwarty. Dominował nad nim męczennik – szofer zawinięty w olbrzymi kozuch futrem na zewnątrz, pomimo upalnej pogody. Panowało dłaczegoś przekonanie, że pęd powietrza musi niesłychanie ziębić. Pasażerowie – również zakutani – robili wrażenie jakiejś polarnej ekspedycji. Gdy Ad po raz pierwszy zobaczył to dziwowisko, zdawało mu się, że widzi apokaliptyczną bestię. Potwora-maszynę, od widoku której wszelkie bydło rozbiegało się gdzie pieprz rośnie, a konie dostawały białej gorączki – przeraźliwy głos trąbki – łomotanie motoru – jeźdźców w kaskach, okularach, szalach, futrach – tłum ludności stojącej z rozdziawionymi gębami. Później przyzwyczaił się jakoś i skrycie marzył o tym, aby coś takiego posiadać. Nawet delikatnie na ten temat ojcu napomknął, ale ojciec tylko wzruszył ramionami.

– Wariata nie będę z siebie robił.

Po zastanowieniu Ad przyszedł do przekonania, że ojciec miał rację, że koń jest bez porównania piękniejszy i szlachetniejszy. Tym niemniej, gdy zobaczył Helenę prowadzącą samochód, zakłuła go lekka zazdrość. Prędko mu to zresztą minęło, gdyż nie miał w sobie snobizmu. Nic go nie obchodziły zagadnienia zamożności, majątku, dorabiania się. Wiedział, że pieniądze bywają źródłem zła i krzywdy. Myśl, że ze względów majątkowych i pod presją ojca miałby się żenić z Heleną, była mu wstrętną. Czuł, że jest tutaj jakaś zasadzka, coś niemoralnego. Gdyby się zakochał, gdyby mu chociaż Helena tak się podobała jak Marusia, to wtedy za jakie dziesięć lat...

Nie poszedł do siebie. Nie chciało się jeszcze spać. Przygoda na rzece wzburzyła mu krew. Teraz żałował, że tak ostro odezwał się. Po cóż się było unosić? Przecież to były tylko żarty.

Zatrzymał się przy tamie, spodem której płynął wielki i ostry nurt rzeki. Zebrana tutaj w wąskie, głębokie koryto, całym ciężarem spadała na turbiny, które poruszały młyny. Obydwa ich gmachy wysokie, pięciopiętrowe, w tej chwili od góry do dołu oświetlone, huczały i trzęsły się od tej siły wodnej i od rechootliwych maszyn. Trzeci młyn stał w tej chwili ciemny i nieruchomy. Zawsze dwa szły, trzeci odpoczywał. Dzień i noc pędziła woda, dzień i noc pracowały młyny. Trzy razy na dobę zmieniały się brygady robotników, ale młyny szły zawsze, tak cierpliwe i tak wytrwałe jak żywioł, który je napędzał.

Ad oparł się o balustradę i zapatrzył w wodę. Była ciemna, jakby bez dna, jakby otchłań jakaś pomarszczona tysiącami iskier od padającego światła z okien i latarni. Nieuchwytnie, niepewne, marszczyło się to kradzione światło, tańczyło, gasło, przeskakiwało z fali na falę. Fale były wściekłe, stłoczone, popychane. Bulgotały i pieniały się, tworząc niezliczoną ilość wirów, aż przy krańcu ochronnej zapadały się zniecierpliwione, znikwały, uciekały pod ziemię – i tam na głębokości kilku pięter biły z niepojętą siłą o turbiny. Stamtąd dochodził ryk, jazgot, jęk. Ad słyszał zawodzące głosy, słyszał płacz przeraźliwy, wołania o pomoc, walkę i rżenie, wreszcie czyjeś konanie... i ponurą pieśń pogrzebową, stąpanie ciężkich, czarnych koni, dźwięki bębnow i trąb. Z dreszczem przerażenia wyobraził sobie, że mógłby się w tej topieli znaleźć, że rzucany od ściany do ściany tamy obijałby się o kratę, jak ten topielec, którego stąd w zeszłym roku wyciągnięto w postaci jednej krwawej masy. Tutaj nie było już ratunku. Najsprawniejszy pływak nic by nie zdziałał. Pomyślał, że gdyby mu kiedykolwiek

życie zbrzydło, to w tym miejscu mógłby znaleźć szybki koniec. Ta myśl była tak nieprawdopodobna, że roześmiał się głośno i poszedł do domu.

Po drodze spotkał Pompona, który siedział na ostatnim schodku stopniów i zajmował się tualetą. Był to piękny, wielki kot czystej rasy syberyjskiej. Niepokalanie biały, o turkusowych oczach i puszystej sierści. Zgodnie z prawem rasy był zupełnie głuchy, co jednak nie przeszkadzało mu w prowadzeniu całkiem normalnego kociego żywota. Ad wziął go ze sobą i zaniósł do mieszkania. Ogromnie lubił koty. Niezależność ich charakteru, duma i inteligencja wcale nie mniejsza od inteligencji psa lub konia, kocia gracia, delikatność i finezja każdego ruchu, wreszcie męstwo i jakaś odrębność psychiczna od całego pozostałego świata zwierzęcego, zastanawiały go zawsze i pociągały. Z Pomponem żył w wielkiej przyjaźni. Był to zresztą już z rzędu dziewiąty Pompon – tyle już kocich pokoleń przyszło na świat w tym miejscu od słynnego protoplasty Pompona pierwszego, który zginął tragicznie w nierównej walce z wściekłym psem. Zresztą psa tak silnie poranił, że odeszli z tego świata prawie jednocześnie.

Ułożył go na fotelu, gładził i delikatnie drapał za uszami. Pompon mruczał i mrużył cudownie piękne ślepie. Tak doskonałą niebieską barwę spotyka się jeszcze tylko u niektórych kwiatów i niebo miewa czasami podobną.

Rozebrał się szybko, złożył porządnie ubranie i położył się do łóżka. Czuł w sobie lekkie zmęczenie. Bardzo przyjemne, kiedy mięśnie trochę bolały i gdy się mocno wyciągnął, następowało odprężenie, ból znikał, a pozostawała tylko błogość przedsennej, na pół już uśpionej chwili. Starał się jeszcze trochę czytać. Wyciągnął ze swej biblioteki jeden z grubych tomów encyklopedii, подарowanej mu przez ojca i wertował którąś z liter. Była to jego najulubieńsza lektura, którą uprawiał od kilku już lat, a mając dobrą pamięć doszedł do takich wyników, że zadziwiał otoczenie swoimi wiadomościami. Wystarczyło go zapytać, jak się nazywa najwyższy wulkan w Japonii lub na Jawie, ile wynosi angielski yard lub funt, kiedy umarła Joanna d'Arc, co napisał Newton, ile kilometrów liczy Missisipi i jakie ma dopływy, itd. Bawiło go to, że dzięki takiemu prostemu sposobowi posiadał więcej (co prawda niezbyt głębokiej) wiedzy od ojca, który przecież skończył politechnikę i był inżynierem, że w barani róg zapędzał swoich kolegów i pytaniami wprawiał w zakłopotanie profesorów. Prócz tego Ad miał w sobie rzetelne pragnienie wiedzy. Niestęchanie interesowało go zagadnienie, skąd i po co wziął się świat, czym i po co jest życie, jaki jest jego cel, czy jest Bóg, czy dusza istnieje i czy jest nieśmiertelna? Pytania te pozostawały

bez odpowiedzi, a jemu się początkowo wydawało, że ludzie coś przed nim ukrywają, później zaczął się z powątpiewaniem odnosić do ludzkiej mądrości i wyobrażał sobie, że gdy dorośnie sam dojdzie prawdy.

Aby się dostać w step, trzeba było zaraz poza domem wejść na wąską ścieżkę wśród skał i piąć się nią do góry. W niektórych miejscach, bardziej stromych, wykute były w kamieniu stopnie i porobione poręcze. Ad minął kwiatowy ogród matki. Przeszedł obok ukochanego kasztana. Przekwitał właśnie i różowo-białe płatki kwiecia padały pod nogi. Pachniało stężonym, nieruchomym aromatem licznych kwiatów. Prym trzymały róże, których było tutaj mnóstwo. Gdzeniegdzie zaczynały kwitnąć jaśminy, a ich gorzkawy i gęsty zapach był niepokojący. Kwitły również goździki. Dopiero w nocy, przy czystym powietrzu można w całej pełni poznać całą symfonię zapachów. Ad zaciągał się bezwiednie tym powietrzem, jakby w nim był jakiś narkotyk, a narkotyk ten trafiał wprost do krwi, bardziej jeszcze burząc i bez tego już wzburzone serce. Minął kamienny, okrągły stół z kamiennymi ławkami wokół. Dalej altanę spowiniętą błyszczącym bluszczem. Zaszedł nawet do środka. Było tam jednak cicho i pusto, jedynie samotne promienie księżyca pełzały po podłodze. Usiadł na chwilę w plecionym, bujającym się fotelu matki. Zakotysał się lekko. Nie, to nie dawało ulgi. Słychać było dalekie ujadanie psów i dźwięk terkotki nocnego stróża z Malinówki – wsi leżącej po przeciwległym brzegu Bohu. Ogród pachniał i młyny jednostajnie dudniły. Jakąś dumkę zanucił półgłosem robotnik z nocnej zmiany. Zanucił i urwał. Ad poszedł dalej. Świeciły gwiazdy. Wspaniała, jarząca się Wielka Niedźwiedzica galopowała przez całe niebo. Księżyc wisiał prawie nad samą głową. Zielono-srebrny. Nierzeczywisty. Taki sam bywa w bajkach, na obrazkach. Zdawało się, że usnął – i było cicho, spokojne, daleko. Na górze panował już ruch. Księżyc kąpał się tutaj w trawach błyszczących od ciepłej rosy, a znad Czarnego Morza ciągnął ożywczy wiaterek.

Na horyzoncie niebo płonęło szafirową poświatą. bezmierna przestrzeń gubiła się w oddali niepewnie, jakby za nią była druga, inna przestrzeń. lekka mgła unosiła się tuż nad ziemią i chwilami przeźroczyste postacie przesuwały się obok Ada, zmieniając ciągle kształty, chwiejąc się i wydłużając. Stopy bezgłośnie nurzały się w miękkiej, gęstej trawie. Gdzieś zakwiliła przepiórka.

Dzwoniły, brzękały, trzeszczały, ćwierkały cykady. Ich śpiew był pełen smutku i tęsknoty.

Ad szedł w kierunku „harmanów”, olbrzymich stogów słomy wielkości kilkupiętrowych domów. W tej bezleśnej okolicy słoma była magazynowana nie tylko dla celów gospodarczych, ale również służyła do opał. Specjalnie przystosowane piece doskonale się ogrzewały do tego paliwa, które w dużym stopniu zastępowało drzewo i węgiel. Stąd Ad lubił zapach płonącej słomy. Ilekroć poczuł ten zapach, dom rodzinny stawał mu w oczach jak żywy.

Harmany przysuwały się z wolna, urastając do rozmiarów jakichś gór. Ad znalazł wejście i po szeleszczącej słomie, zapadając się często i upadając wdrapał się na sam szczyt. Było to najwyższe miejsce w okolicy. Wyższe były: „Orle Gniazdo” i kurhan Romana, leżały jednak dalej.

Ad położył się na wznak i zarzucił ręce pod głowę. Dalekie niebo – modro-zielone – od księżyca i usypane lśniącymi punktami gwiazd płynęło spokojnie i obojętnie nad jego głową.

– Gdzieś tam musi być raj – pomyślał i wydało mu się, że jest to zapewne miejsce wyjątkowo chłodne i nudne.

Przewrócił się na brzuch, bo nie chciał już patrzeć w niebo, nie chciał, aby księżyc się po nim ślizgał. Zatulił uszy palcami, aby słodki śpiew cykad nie wpadł mu do głowy. Nos wetknął w słomę, by zagłuszyć zapachy stepu.

W tej chwili posłyszał gwizd parowozu. Ogromnie daleki, przeciągły, ale przecież zupełnie wyraźny. Równina stepu głos wydłużała i chociaż przyczyna głosu już dawno się skończyła, echo ciągle jeszcze biegło, słabnąc po drodze w jakiejś bolesnej niemocy, zamierając, aż wreszcie pozostawał dźwięk cieniutki jak nitka, właściwie tylko pozór dźwięku, ledwie dosłyszalny, tchnący ostatecznym wyczerpaniem, kresem, poza którym już mogła być tylko cisza. Martwa, pusta, przerażająca cisza.

Nauka konnej jazdy zaczęła się od tego, że gdy miał siedem lat, ojciec zabrał go ze sobą do stadniny, w stepie, gdzie, za mocnym ogrodzeniem przebywały dzikie, prawie zupełnie nieujężdżone konie „stepniaki” sprowadzane zresztą dla dalszej hodowli, aż gdzieś z Kaukazu. Wybrany został nieduży, mocny koń, który długo nie pozwalał na założenie wędzidla, a później stał przytrzymywany przez dwóch ludzi, drżący ze wściekłości z czerwonymi oczami i rozdętymi chrapami. Na konie takie, które od urodzenia nie były czyszczone, nie nakładano siodeł, tylko zwyczajny worek, ściągnięty poprzęgiem. Można jeszcze

było dodać strzemiona improwizowane z podłużnego kawałka rzemienia. Na ten raz strzemion nie dodano. Ojciec usadowił Ada. Powiedział: „trzymaj się mocno” i koń został puszczony. Stał przez chwilę spokojnie, później poczuwszy swobodę, puścił się przed siebie galopem, a chcąc pozbyć się, chociaż lekkiego, ale nieźnośnego ciężaru, rzucał się jak szczupak w wodzie. Biedaczysko Ad trzymał się worka z całych sił. Nic to jednak nie pomogło, po jakimś potężniejszym wierzgnięciu zleciał na łeb. Niezwłocznie po tym wypadku koń został pojmany, Ad usadowiony po raz drugi... i przykra ta manipulacja była powtarzana tak długo, aż wreszcie, czy to koń się zmęczył, czy Ad zaciął – w każdym razie usiedział, nie spadł – i chociaż zlany potem – bardzo był dumny.

Znów boks. Ojciec przywiózł dwie pary rękawic bokerskich. Jedne mniejsze, drugie większe. Ta większą parą można chyba było byka zabić. Coś niecoś wyjaśnił o pozycji, o ciosach, o unikach. Stanęli w postawie i ojciec powiada: „broń się”. Potem jak mu dowalił raz w piersi i raz w szczękę, to nieszczęśliwy Ad wywinął z dziesięć koziołków, wreszcie oparł się głową o ścianę i był zupełny „groggy”. Ojciec go wyliczył, a później, gdy trochę odpoczął, musiał znów stanąć na placu boju. Na ten raz jednak ze strachu takie bajeczne stosował uniki, że z honorem przetrzymał trzy minuty walki.

Podobnie było z szermierką. Nazbierał ciosów co niemiara. Nie raz miał skórę głęboko przeciętą, ale co się miał nauczyć, tego się nauczył.

Ojciec kiedyś powiada: „będziemy biegali do tej mety”. Doskonale. Pobiegli – i ojciec, oczywiście dobiegł pierwszy.

– Dlaczego nie biegasz prędzej? – pyta

– Kiedy ja nie mogę – odpowiada sześcioletni Ad.

– Możesz.

– Nie, nie mogę.

– Ja ci zaraz udowodnię, że możesz.

Poszli nad rzekę. Ojciec wyciął z wikliny mocną, długą i giętką witkę.

– No, biegaj teraz – powiada.

Ad pędzi, a ojciec z tyłu tnie go po gołych łydkach. Nie żałuje. Z całej siły. Ani się cofnąć, ani upaść, ani płakać. Ad wie, czym to grozi. Pozostaje jedno – uciekać. Skończyło się na tym, że Ad nauczył się świetnie biegać.

Drakońskie metody stosował ojciec także przy nauce pływania. Dzień był upalny. Wyjechali łódką na środek Bohu, tam, gdzie woda była bardzo głęboka.

– Skacz – mówi ojciec.

Ad spojrzał na wodę i struchlał.

– Jak będę skakał, kiedy nie umiem pływać?

– To nic... nauczysz się.

Ad stoi w łódce i nie może się zdecydować.

– No... już!

– Kiedy ja się boję.

– Cooo?... – przeciąga ojciec – to ty mój syn... i będziesz się bał?

Jedno pchnięcie wiosłem i Ad, jak kluska poszedł na dno. Ojciec skoczył za nim i wyciągnął go.

– Skacz.

Ad, co wypił poprzednio wody, to teraz zwymiotował, ale nie było rady, musiał skoczyć. Wiedział, że w razie najmniejszego oporu ojciec go zepchnie. W ten sposób w ciągu jednej „lekcji” nauczył się pływać.

Najważniejsza lekcja miała miejsce przed rokiem. Było to w wakacje, w sierpniu. Ojciec oświadczył, że zamierza wprowadzić Ada w swoje interesy. Ad będzie jego spadkobiercą, więc jest rzeczą zrozumiałą, że już teraz powinien po trosze wchodzić w sedno rozległych spraw rolniczych i handlowych, które kiedyś staną się dziedziną jego pracy.

Ad propozycję przyjął bez entuzjazmu. Nic go to wszystko razem nie obchodziło. Oświadczył to ojcu bez ogródek. Nie interesuje go ani rolnictwo, ani handel, ani przemysł. W ogóle nie ma zamiaru spędzać życia na wsi. Ojciec spochmurniał i zapytał go:

– Czyż więc zamierzasz zostać?

– Nie wiem jeszcze... najchętniej chciałbym być lekarzem.

– Hm... to jest też dobre... ale czemu?

– Lekarz nikogo nie krzywdzi... nikogo nie wyzyskuje... nie dorabia się na cudzej pracy... tylko sam pracuje i cierpiącym ludziom niesie pomoc.

– Więc uważasz, że ja nic nie robię... i do tego jestem krzywdzicielem?

– Nie – powiedział Ad – ty pracujesz dużo i może mniej krzywdzisz ludzi, niż inni, ale mnie taka praca nie odpowiada... ja chciałbym pracować naukowo, być może nawet podróżnikiem... odkrywać nowe prawdy lub nowe ziemie... zobaczyć świat... co mi z tego, że będę tutaj siedział i powtarzał to samo, co już inni przede mną tyle razy robili.

– A czy nie wiesz, że utrzymanie ziemi na Kresach jest świętym obowiązkiem Polaka?

– Doskonale... nie mam zamiaru rujnować tego, co ty i nasi przodkowie pozostawili... niech to będzie w administracji naszej rodziny... ja jednak mam inne zamiary... chcę się kształcić... nie po to, aby się tutaj na wsi zakopać i zbijać pieniądze.

Chodzi o to, że w tym czasie Ad czytał Tolstoja, Brzozowskiego, bodajże Bakunina i Krapotkina. Był zdania, że człowiek powinien poświęcić się służbie ludzkości. Pieniądze o tyle tylko są potrzebne, o ile przy ich pomocy można potrzebującym i biednym przynieść ulgę. Marzył, że gdy zostanie lekarzem, posiadane pieniądze poświęci na wybudowanie wielkich sanatoriów, w których będzie leczył gruźlików i rakowatych. Wyobrażał sobie bardzo plastycznie, gdzie i jakie powstaną gmachy, jak będą wewnątrz urządzone, jaka w nich będzie organizacja. Przede wszystkim zamierzał leczyć chorych Polaków, a później wszystkich innych.

– Więc... jednym słowem, że mi odmawiasz? – zapytał ojciec.

– Nie odmawiam – powiedział Ad – tylko proszę, abys wziął pod uwagę mój pogląd.

– Jesteś za młody i za głupi, aby mieć poglądy.

Ad poczuł się dotknięty. Wzruszył ramionami.

– Jeśli mnie uważasz za głupiego, to nie ma sensu, abym się zaznajamiał ze stanem twych interesów.

Ojciec pochmurnie spojrzał. Palcami zabębnił po biurku jakiegoś marsza.

– Wiesz co – oświadczył – umyвам ręce... nie będę się więcej twoim wychowaniem zajmował... uważasz, że jesteś już tak dorosły, że możesz sam o sobie decydować... niechże tak będzie... tymczasem pokażę ci szkołę życia, abys coś więcej o życiu wiedział... zbieraj się... pojutrze wyjeżdżamy do Odessy.

Ad bardzo był ciekaw tej jakiejś zapowiadanej „szkoły życia”. Chętnie jechał do Odessy – tego białego, nowoczesnego miasta, szeroko rozrzuconego nad morzem.

Po przyjeździe zatrzymali się w eleganckim hotelu. Ojciec gdzieś znikł, a gdy powrócił, kazał mu zapakować do małej walizki najniezbędniejsze rzeczy i przed zmierzchem wyszli z hotelu. Siedli do dorożki. Dość długo trwała podróż i gdy dobili do celu noc już zapadła – cicha i ciepła, a gwiazdy na ciemnym niebie mrugały rzewnie i tajemniczo. Ostatnie domki przedmieścia w tym miejscu kończyły się, a dalej szły jakieś pustkowia. Niedaleko szumiało morze, długimi językami fal ślizgając się po białym piachu plaży. Ojciec gwizdnął. Z domku wyszedł wielki, brodaty, nieco pochylony człowiek. Przywitali się.

– A więc Mitrofanie Iwanowiczu... to jest mój syn – powiedział ojciec.

– Doskonale – odpowiedział Mitrofan Iwanowicz – czekałem... no, chodź przyjacielu.

– To jest teraz twój opiekun i wychowawca – oświadczył ojciec – masz go słuchać i szanować... gdy mi da znać, że dobrze się sprawujesz... przyjadę po ciebie... miej oczy i uszy otwarte... nigdzie nie spotkasz się z życiem bliżej, niż tutaj.

Wsunął kilka banknotów do wielkiej dłoni Mitrofana Iwanowicza, Adowi dał 50 rubli. Szturchnął go w bok, roześmiał się, siadł do dorożki i odjechał.

– Dobry człowiek – mruczał Mitrofan Iwanowicz – dobry kolega... zawsze poratuje... żebyś wiedział – mówił, zwracając się do Ada – że byliśmy razem kolegami na politechnice moskiewskiej... ja bracie, wyżej o rok byłem od niego... i politechnikę skończyłem ze złotym medalem... za jeden taki model... silnika spalinowego... kilka to jeszcze lat było przed Dieslem... ale ty pewnie nie wiesz...

– I owszem... wiem – powiedział Ad. Wyczytał o tym w encyklopedii. Był tylko zdziwiony, że taki oberwaniec o wielkiej i niechlujnej twarzy rosyjskiego „muzyka” mógł być kolegą jego ojca.

– Ho... ho... ho – roześmiał się Mitrofan Iwanowicz potężnym basem i walił z całej siły Ada po ramieniu. Ad, aż przysiadł – młody, ty brat, u mnie... wszystko wiesz pewnie jak i ojciec... wiesz nawet kto to był Diesel... ale kto Makarow tego pewnie nie wiesz?

– Nie.

– To ja, bracie – powiedział z dumą wydymając ogromną pierś – hop, hop – ryknął – Pietia!

Z mroku wynurzyła się jakaś szczupła postać.

– Masz pieniądze – rzekł – ganiaj po wódkę i zakąskę.

Pietia chwycił banknot i w tej chwili rozproszył się w ciemności. Weszli przez jakąś sionkę do małego, brudnego pokoju. Zakopcona naftowa lampka rzucała niepewne światło. Zaduch bił o nos gęstą falą. Około dziesięciu mężczyzn siedziało i stało paląc kręcone z gazety machorkowe papierosy. Na nigdy niemytym stole panował nieporządek. Leżały tam kromki razowego chleba, ogryzki ogórków i kawonów, szklanki, kieliszki, puste butelki po wódce.

– Ten mały będzie u nas na praktyce – oświadczył Mitrofan Iwanowicz wskazując na Ada – no, idź – dodał – przywitaj się z towarzyszami. Ad uściśnął rękę każdemu z brudnych, zasmolonych, nieogolonych ludzi. Była to banda oberwańców. Każdy z nich miał wygląd rzeźmiesza, gdy jednak Ad bliżej im

się przyjrzał, zauważył, że prawie wszyscy mieli jasne, słowiańskie oczy i wyraz dobroduszości na obliczach.

Dziwaczne to były oblicza – oczy przeważnie nieco skośne, nosy karpate, kartoflowe tkwiły w środku twarzy jak guziki, na które cała twarz się zapinała, usta grube, popękane, tytoniem na żółto pobrudzone, policzki wystające, opalone na brąz lub powleczone złotawą barwą starej kości, brody zmierzwiowane, sterczące na wszystkie strony, to samo włosy na głowach, spadające na czoło, na kark, jakby nigdy z nożyczkami fryzjera kontaktu nie miały. Postacie przeważnie potężne, krępe i przysadziste, inne wysokie, wyniosłe, o mięśniach przelewających się pod skórą niby gęsta woda, niby żywe srebro. Spod brunatnych, rozchełstanych koszul lub „kosoworotek” z czarnego i granatowego batystu, przeglądwały piersi jakby z Fidiaszowych wzorów wzięte, obroste gęstymi czarnymi i ryżymi kudłami. Wielka moc fizyczna musiała być w tych ludziach.

– Panowie – powiedział Mitrofon Iwanowicz, który widocznie uchodził tutaj za przywódcę – tylko grzecznie poproszę... ten chłopiec został nam oddany na wychowanie... każdy niech więc poczuwa się do obowiązku.

– Ty co za jeden? – zapytał któryś z olbrzymów. Ad coś bąknął.

– Czytać... pisać... umiesz?

– Umiem.

– To dobrze... to doskonale... znaczy ty piśmienny... a nam trzeba dużo... ho, jak dużo ludzi piśmiennych... w ogóle inteligentnych... nasza ojczyzna wielka... prawie pół świata, tylko porządku w niej nie ma... będziesz ty robił porządek... co?

Ad milczał.

– Nie będzie on robił porządku – oświadczył Mitrofon Iwanowicz – on jest Polak.

– Ach, ty jesteś Polak – powtórzył wielkolud – w takim razie musisz zrobić bunt... jakieś powstanie... rewolucję... bez rewolucji nie bywa, bracie, wolności... no, jak?

– Dobrze – szepnął Ad.

– Nu i młodziak – ryknął olbrzym – będziesz Moskali rznął... co?

– Będę.

Wszyscy się roześmiali.

– Hej, Mitrofan Iwanowicz – huczał olbrzym – jak wy chcecie, żeby jego wychowywać, kiedy on ma zamiar nas rznąć?

– A wy jemu Mikołaju Safronowiczu dajcie spokój... on jeszcze młody jest.

– Gdzie wódka? – zaryczał w odpowiedzi Mikołaj Safronowicz.

W tej chwili wpadł zdyszany Pietia i postawił na stole pięciolitrowe naczynie z wódką zwane „suleją” oraz kilka łokci kielbasy, ogórki i chleb. Zaczęło się pijaństwo, jakkolwiek towarzystwo już i przedtem musiało mieć nieco w czubie, jak zauważył Ad.

Mikołaj Safronowicz nie puszczał Ada od siebie, czemu zresztą ten się nie sprzeciwiał, gdyż od Mikołaja biła siła, dobrotliwość i życzliwość. Coś bardzo ciepłego i przyjaznego. Z góry można było powiedzieć, że umyślnie nikomu nie jest w stanie uczynić krzywdy.

– Papierosy palisz?

Ad potrząsnął głową.

– A wódkę pijesz?

– Nie.

– Za dziewczynkami ganasz?

Ad zarumienił się.

– Nie.

– Kłąć umiesz?

– Nie bardzo.

– A może ty dziewczynka?

– Nie.

– No, to musisz bracie nauczyć się... bez tego nigdy żywy nie będziesz.

Nalał mu trochę wódki do szklanki i dał do wypicia. Ad dławił się, krztusił, parskał, łzy mu z oczów płynęły, ale wypił. Po chwili poczuł mocne ciepło biegnące po żyłach. Zrobiło się czegoś śmiesznie, bardzo przyjemnie, w głowie poczęło się kręcić.

Podszedł Mitrofon Iwanowicz.

– Żebyś ty jemu więcej wódki nie śmiał dawać – powiedział groźnie i wielkim kułakiem pomachał przed nosem Mikołaja Safronowicza.

– Dobrze... dobrze – mruknął Mikołaj Safronowicz – niech próbuje smaku życia... po to ojciec go tutaj i przywiózł.

– Tak... ale ty go nie truj... bo ci mordę rozkwaszę.

– Sam ty pijanica... i ja pijanica... czegoż ty chcesz?

– Ty już wiesz... chłopak ma piętnaście lat.

Mikołaj Safronowicz wypił szklanekę wódki. Podparł wielką, kudłatą głowę ręką. Zasmucił się.

– Ot, wiesz – powiedział do Ada – miałbym ja takiego synka jak ty... ale nie mam.

– Dlaczego?

– Nigdy nie miałem – oświadczył – ani żony nie miałem, ani doli... nic... tak... sam byłem... jakoś nie urodził mi się taki synek jak ty.

– A czym pan się zajmował?

– W wojsku byłem... oficerem... kapitanem... szkołę sztabu generalnego skończyłem... kariera... ale była tam jedna kobieta... żona pułkownika... mojego dowódcy... zakochałem się w niej na śmierć, tylko, że mnie nie chciała... zabiłem w pojedynku jej męża... tego pułkownika... ach, wielkie były awantury... myślałem, że co pomoże... zresztą nie mogłem inaczej... uderzył on mnie kiedyś publicznie po twarzy... zelżył... obraził... tymczasem potem ona mnie znienawidziła... uciekła gdzieś, ślad po niej zaginął... a ja siedziałem w twierdzy... sądzili... skazali na degradację... na więzienie... pamiętaj, przyjacielu... ostrożnie ty bądź z kobietami.

– A teraz co pan robi?

– Jak to – co – zdziwił się – nie wiesz co? Ojciec ci nie mówił?... „bosiakiem” jestem.

– Ach, tak.

Ad wspomniał o tym dziwacznym, typowo rosyjskim zjawisku. Nigdy nie przypuszczał, że zetknie się z „bosiakami” tak blisko. Słyszał, że jest to rodzaj organizacji, jakiegoś klanu, czy sekty, do której mają prawo wstępu wszelakiego rodzaju wykołajeńcy. Dużo było wśród nich inteligentów, ludzi zdolnych i wartościowych, którzy z najrozmaitszych powodów, czasami zupełnie błahych, przekreślali swój życiowy dorobek, łamali kariery, porzucali najbliższych i stawali się „bosiakami”, czyli jakby jakimś śmieciem wyrzuconym poza nurt życia. Byli wtedy już bezimienni, bez znaczenia, bez przyszłości, żyli z dnia na dzień, oddając się pijaństwu, filozofowaniu i nic nierobieniu. Właściwi coś niecoś robili. Pracowali przeważnie w portowych miastach na południu Rosji przy wyładunku i załadunku statków. Gdy tylko zarobili kilkanaście kopiejek, które starczały na kupienie wódki i chleba z ogórkiem lub kawonem, porzucali pracę, wylegiwali się na bezmiernych plażach Morza Czarnego, prowadzili „pryncypialne” rozmowy, spali pod krzakami, czasami bezskutecznie starali się walczyć z wszami.

Było w ich życiu coś wolnego, beztroskiego, nieskrępowanego. Być może była to ucieczka szerokich dusz przed pętami cywilizacji. Nie mieli nad sobą żadnych panów, żadnych przełożonych, prócz „starszyny”, którego sami sobie obierali. Wewnątrz gromad bosiackich obowiązywała pewna dyscyplina, pomoc wzajemna. Każdy z nich przypominał po trosze Diogenesa, jakkolwiek byli tak biedni, że nie posiadali nawet becзки, w której mogliby spać. Zdarzało się niejednokrotnie, że przy większych, a zwłaszcza terminowych rozładunkach zarabiali poważne kwoty. W ciągu najbliższych dni przepijali je w sposób równy i sprawiedliwy. Pod tym względem nikt nie mógł być pokrzywdzony. Tuman idący od alkoholu przynosił im widocznie jakąś ulgę, gdyż garnęli się do wódki wszyscy.

Byli to chroniczni, nieuleczalni alkoholicy, żyjący bez jutra, bez nadziei, bez celu. Przedziwny zakon ludzi, którzy sami siebie skazywali na nicość i którym w tej nicości było dobrze. Nie było wśród nich bandytów, zbrodniarzy, rzeźmieszków, nawet złodzieje zdarzali się rzadko.

W większości byli to ludzie zupełnie przyzwoici, uczciwi, moralni, często religijni, którzy zeszli ze ścieżki życia praktycznego, solidnego, normalnego, w jakiś sposób zwicnęli się, ale nie schodzili na ścieżkę przestępstwa. Zdarzało się, że oszukiwali przy rozrachunkach, kradli kawony, ściągnęli gdzieś jakieś ubranie lub bieliznę – zawsze jednak z myślą o reszcie towarzyszy i nigdy na sprzedaż, na zarobek, tylko dla zaspokojenia swoich najpierwotniejszych życiowych potrzeb.

– A reszta? – zapytał zaciekawiony Ad.

– Ot... ten naprzeciwno... malutki... z siwą bródką w szpic i w okularach... ten kilka lat temu jeszcze był słynnym uczonym... na uniwersytecie kijowskim wykładał filologię klasyczną... wiesz?... o Grekach i o Rzymie... lepiej mówi po grecku i po łacinie, niż po rosyjsku... był taki wypadek na Dnieprze, że parostatek najechał na łódź spacerową... od razu w ten sposób stracił żonę i dwoje dzieci... rzucił wszystko, bo po co już mu było?... tutaj u nas ma coś w rodzaju sanatorium dla nerwowo chorych – zaśmiał się... Ten gruby, jasny, z głową jak świnia... Iwan Iwanowicz Mołojcow... dobrze się nazywa... co?... kupiec znad Wołgi... znad Morza Kaspijskiego... rybą handlował... miał własną flotyllę statków... zaczął grać w karty... przegrał wszystko... nawet zdaje się żonę... jakąś tam krasawicę z Jarosławia, czy Niżniego... teraz jest u nas... a siłę ma taką, że 15 pudów zboża znosi za jednym razem... Ten znów błądy, podobny do Chry-

stusa, profesorem był w gimnazjum... reformy chciał wprowadzać... z uczniów chciał socjalistów robić... wygnali go stamtąd... tułał się po więzieniach... był na zesłaniu na Sybirze i jak powrócił, to wprost do nas... różne mądre książki za na pamięć... Engelsa, Bebela, Kautskyego, Marksa... co chcesz ci powtórzyć, ale siły dużej nie ma... nie raz trzeba się za niego napracować... Ten drugi błąd, ale duży, z tą nalaną głową... to „artielszczyk” bracie Stepan Afanasjewicz Afanasjew... w zbożowych pracował składach... ktoś tam się przekradł, a jego sądzili, po więzieniach włóczyli... obraził się głęboko... nienawiści do ludzi i do państwa nabrał... do nas prędko trafił... Ten pochmurny, co papierosa pali, z ostrzyżonymi wąsami, to elegant, buchalterem był tutaj... w dużej firmie odeskiej... żonę miał podobno cudownie piękną, jakąś grecką i uciekła ona z cyrkowcem, był tutaj kiedyś cyrk Cinisello... dobry cyrk... i ona uciekła... a on się rozpił... pił... pił do „zielonej żmii” no, a później, rozumiesz? Do naszego bosiackiego stanu... bardzo się nam przydaje, bo zna tutaj wszystkich dobrze... i w porcie... i w urzędach.

– No, a Mitrofon Iwanowicz?

– Kto... starosta?... ech, bracie, inżynierem on był w czarnomorskiej flocie handlowej... na okręcie jeździł po dalekich krajach, ale najczęściej do Stambułu, do Konstantynopola zajeżdżali... po korzenie... po tytoń... po dywany... tymczasem wojna wypadła japońska... z admirałem Roźdiestwieńskim z morza Bałtyckiego pojechali aż pod Cuszimę... słyszałeś?... klęska tam była, jakiej świat nie widział... trafił on ze swojego okrętu do niewoli japońskiej, tam nawet z Japonką się ożenił... a jak powrócił nikt go nie chciał uznać... nie nasz ty – powiadali – idźże precz... tułał się tułał... wódkę pił jak smok... no, już wiesz?

– A ten Pietia, co po wódkę biegał?

– Och, Pietia... młody on jeszcze... dwudziestu lat nie ma... na popa on się kształcił... w seminarium był... ale ta dziewczynka sprowadziła go z drogi cnoty... dowiedzieli się... przepędzili... a on się długo nie namyślał... wódkę czort lubi... a pracować nie lubi... przyszedł do nas... w domu go bili, a tutaj najwyżej ode mnie po ucho czasami dostanie.

Mikołaj Safronowicz zamyślił się i odruchowo wypił dwie szklanki wódki.

– Eh, życie przekłete... po co ciebie ojciec tutaj do nas przywiózł?

Ad wzruszył ramionami.

– Nie wiem... mówił mi, że to będzie szkoła życia.

Mikołaj Safronowicz znów się zamyślił.

– Może i miał rację – powiedział – gdzie więcej zobaczysz nieszczęścia ludzkiego i złamanych dusz ludzkich.

Tymczasem „suleja” została wypróżniona. Ze łbów kurzyło się porządnie. Ad nie był pijany. Wszystko wydawało mu się nieprawdziwe. Było mu wesoło i przytulnie.

– Dobry człowiek z twego ojca – mówił Mikołaj Safronowicz – on tu do nas co roku przyjeżdża i przebywa z nami po kilka tygodni... uważamy go za swojego... tak samo wódkę z nami pije... kawony żre... worki ze statków nosi... pod krzakami na piachu śpi...

Teraz Ad zrozumiał, czemu ojciec kilka razy do roku wyjeżdżał za interesami do Odessy. Może jakie interesy przy sposobności i załatwiał, powracał jednak zawsze spalony słońcem na skwarę, wychudzony i z jakimś nowym światłem w oczach.

– Po co mu to? – szepnął.

Mikołaj Iwanowcz ustawił swoje szare, prawie siwe, wielkie oczy.

– No, jak to... nie wiesz?

– Nie wiem.

– Człowiek jest niewolnikiem... twój ojciec też jest niewolnikiem... wszystkiego... całego życia... spraw... interesów... pieniędzy... kobiet... rodziny... społeczeństwa, państwa... policji... Boga... przesądów... konwenansów... form... przepisów... prawa... życie jest więzieniem... a tutaj, cóż?... swoboda... jesteś sobie jakim chcesz... robisz co chcesz... mówisz, co chcesz... zachowujesz się jak chcesz... nikt nad tobą nie stoi, nikt ciebie nie kontroluje, nikt nic nie wymaga, o nic się nie obraża, nie ma pretensji... kilkadziesiąt worków zniesiesz ze statku, niewielka praca... wódki się napijesz... porozmawiasz... a potem leż sobie do góry pępkim i spoglądaj na niebo... błękitne jest... to i dobrze... ale nikt ci tego patrzenia nie zabrania... rozumiesz? A kobiet u nas nie ma... jedyne to ograniczenie... nie ma więc powodu do żadnych swarów... kobieta najbardziej ogranicza swobodę człowieka... zapamiętaj to sobie... bardziej niż prawo, niż państwo i niż Bóg... unikaj kobiet... jeśli nie będziesz ich unikał zgubią ciebie tak samo jak wielu innych zgubiły.

Ad nie znał się na tych sprawach, ale zaczynał rozumieć, że taka niczym nieskrępowana swoboda może mieć swoje uroki. Zaczynały mu się podobać brudne, niemyte, zapijaczone twarze, ochryple głosy, nieporządne ubrania. Ci ludzie są wolni – myślał sobie. Wykolejńcy, wyrzutki społeczeństwa, bez

domu, bez dachu, bez jutra, bez stanowiska społecznego – ale wolni. W tym coś jest. Słuchał rozmów. O czym tylko ci ludzie nie rozmawiali i do tego jak pięknie, jak mądrze. Dziwił się, że w słowa można ująć tyle treści. Mówili o Bogu, o duszy, o nieśmiertelności,

o celowości, o prawach i obowiązkach człowieka, o miłości, o ojczyźnie, o ludziach. Niektóre słowa były dziwne. Coś przypominały. Wywoływały niepokój. Zawsze chodziło o to, czy coś jest, czy czegoś nie ma. Bóg jest, czy go nie ma, wolność, cel świata, wszechświata, człowieka jest, czy nie ma, miłość jest czy nie ma, wolna wola, sumienie, odpowiedzialność, sprawiedliwość, kara, równość, moralność, ach, czego się tam nie poruszało? Ad słuchał z zapartym oddechem. Słowa ciekły niby rwący strumień. Wielkie słowa, hasła, sentencje, wnioski rzucane przez bandę oberwańców, nie posiadających nic prócz tych słów.

Mitrofan Iwanowicz wypił swoje pozostałe pół szklanki wódki. Chrząknął. Uśmiechał się dobrotliwie swoimi grubymi wargami, całą ogromną twarzą. Zdawało się, że jest czegoś zakłopotany, jakiś bezradny.

– Człowiek nie powinien nigdzie dążyć, o nic się starać, nie zabiegać, nie wysilać, nie czynić dobra ani zła. Jedyne słuszne dążenie to do samounicestwienia. Kto posiada dość odwagi i siły woli,

to niech sobie odbierze życie, w ten sposób tylko przyspieszy to, co jest nieuniknione, mianowicie powrót do tej nicości, z której się na świat przyszło. Tam jest wieczysty spokój i odpoczynek. Tam nie ma nic – i to jest stan naturalny tej wielkiej zagadki, która nazywa się bytem, mianowicie – niebytu. Byt zawsze dąży do niebytu i zawsze staje się niebytem. Życie jest złe, niedoskonałe, słabe, tragiczne. W założeniu jego leży śmierć. Kto śmierć uzyskał, ten uzyskał wszystko. Nic bardziej wielkiego, słusznego i mądrego nie można uzyskać. Śmierć jest bramą do nicości, a w nicości już się nie cierpi. Ktokolwiek pragnie uniknąć cierpień niech szuka śmierci, niech dąży do nicości. Śmierć jest jedynym dobrem jakie czeka człowieka. Życie – jest pasmem udręczeń, wyrzeczeń, męki, a wszystko do czego by się doszło będzie zawsze tylko złudą i omamieniem. Z prochu się powstało i prochem się będzie – nie należy o tym zapominać, ani na chwilę, aby uniknąć wszelkich rozczarowań, aby nie mieć w sobie nic fałszywego – ani wiary, ani nadziei, ani miłości, ani dumy, ani pychy, ani jakichkolwiek przywiązań, ani ideałów, ani żadnych dążeń. Jedynym dążeniem godnym człowieka świadomego i prawdziwego filozofa jest dążenie do nicości.

Ad chciał zaoponować. Życie wydawało mu się takie piękne i ciekawe, a śmierć była czymś tak odległym i nieprawdopodobnym, że nie mógł dać wiary tym słowom.

Gdy na znak Mitrofana Iwanowicza wyszli na świeże powietrze, morze szumiało łaskawie, jakoś pieszczotliwie. Noc była ciepła, a gwiazdy tak usiały niebo, że prawie nie było miejsc pozbawionych złocistego światła.

– To ma być nicość? – rozmyślał Ad i chciał zapytać Mitrofana Iwanowicza, dlaczego w naturze człowieka jest ta wielki bunt przeciwko pojęciu nicości, czemu człowiek wszystkimi siłami rwie się do nieśmiertelności, czemu myśli, że jest Bóg? Znał z góry odpowiedź.

– To są złudzenia... to strach człowieka i nic więcej... nic więcej.

Usiedli na kamieniach nad brzegiem morza. Kilkunastu brodatych, niechlujnych, na pół pijanych mężczyzn i chłopak uczący się życia. Śpiewali burłackie pieśni – o bezmiernym wysiłku człowieka, o nędzy, o wyzysku, o niesprawiedliwości. Smutno było Adowi i tęskno i rzewnie. Przytulił się do Mikołaja Safronowicza, ten go objął ręką potężną jak konar dębu.

– No, co mały... smutno... do mamusi chce się?

– Nie – szepnął – ja się z wami dobrze czuję.

– Cierp, bracie – powiedział – ucz się, czuj... atamanem zostaniesz.

Spali, nie rozbierając się, w jakiejś stodole na pachnącym sianie. Ad usypiając słyszał jeszcze jakieś rozmowy o Bogu. Tejże nocy oblażył go wszy.

Następnego dnia nosił worki z pszenicą w przystani – ze statku do magazynów. Ciężko było, pot go oblewał, mięśnie bolały, ale się starał. Zarobił 30 kopiejek, a później z towarzyszami leżał na gorącym piachu nadbrzeżnym. Oni, jak zwykle pili wódkę i rozmawiali, a on przysłuchiwał się leniwie i śledził wzrokiem biegnące po niebie obłoki.

Tak minęły trzy tygodnie. Schudł, zczarniał. Polubił swoich kompanów i życie wolne. Nauczył się wiele. Poznał szeroką, powikłaną, wschodnią duszę rosyjską. Pierwszy to raz spotkał się z prawdziwie uczciwymi Rosjanami i nie miał im nic do zarzucenia. Ale też byli to ludzie wyjątkowi – wyrzuceni własnowolnie poza nawias życia społecznego, bezdomni i nędzarze, żyjący tylko dniem dzisiejszym. Nie mieli w sobie egoizmu, nie mieli więc skłonności do szowinizmu. Wyzuci z namiętności, swoje zainteresowania życiowe sprowadzali do najprostszych spraw: wódki, tytoniu, najmarniejszego dachu nad głową i nie lepszego jedzenia. Wszyscy bez wyjątku byli dobrzy, czuli, wnikliwi i Ad czuł się

wśród nich, jak wśród najbliższych. Polubili go bardzo i gdy ojciec przyjechał i przyszła chwila rozstania – wypito dużo wódki i wylano dużo łez oraz powiedziano wiele tkliwych, dobrych słów. Mitrofan Iwanowicz podarował mu kordzik jaki był używany przez oficerów marynarki, a Mikołaj Safronowicz mały srebrny krzyżyk. Tych dwóch wielkich i mądrych ludzi polubił najwięcej i rozstanie z nimi było prawdziwą przykrością.

W pociągu ojciec prosił go, aby nic o tej całej przygodzie nie wspominał matce. Przedtem już powiedział, że oddał Ada na kilka tygodni do francuskiego pensjonatu w tym celu, aby się trochę poduczył francuskiego. Ad nie chciał mieć przed matką tajemnic, pewne jednak było, że takie metody wychowawcze ojca nie przypadną jej do gustu. Trudno. Trzeba będzie milczeć, tym bardziej, że sam przecież nie żałował tego czasu spędzonego wśród „bosiaków”.

Weszła po cichu pani Zatorska z tacą w rękach. Na tacy była kawa aromatyczna i aż gęsta od śmietanki. Z grubym kożuszkim, na którym błyszcząły żółte oczka tłuszczu. Masło było złotawe, pachniało stepowymi ziołami. Rogaliki przed chwilą upieczone rumieniły się chrupiącą skórką. Drożdżowe ciastka, oblane białym lukrem, miały w sobie nadzienie z masy migdałowej i z różnych konfitur.

Ad przeciągnął się i mruknął coś niewyraźnego. Popielate włosy miał rozrzucone po poduszce. Dziewczęce usta lekko rozchylone. Rumieniec na policzkach. Oddychał równo i spokojnie.

Na białej szyi pulsowała tętnica, równomiernie unosząc skórę. Pani Zatorska zapatrzyła się.

– Aniołek – szepnęła – jak Boga kocham aniołek.

Po cichu postawiła tacę na nocnym stoliku i wyszła. Później wszedł Iwaś. Zabrał obuwie i ubranie do czyszczenia. Przejeżdżały wozy ze zbożem. Skrzypiały osie. Szczekały psy. Przez okno przestonięte moskitierą z cienkiego, młynarskiego jedwabiu wpadało słońce coraz gorętsze, bardziej dokuczliwe. Ad otworzył oczy i od razu się ocknął. Spojrzał na zegarek.

– Dziesiąta... okropnie późno.

Narzucił płaszcz kąpielowy i pobiegł do pływalni. Skoczył pomiędzy beczki, które spełniały rolę pływaków. Zanurzył się w czystym, rwącym prądzie wody,

Naprzód przyjemny chłód, a potem rozkoszne, wewnętrzne ciepło rozlało się po żyłach. Gdy powrócił zastał czekającego przed sienią promowego. Po tutaj-szemu zwany był „promszczykiem”. Był to nieduży, zaniedbany ukraiński chłop, o przymrużonych oczach, niegolonej twarzy, ryżych wąsach spadających na usta. Koszulę, zwyczajem „hadów”, czyli miejscowych chłopów, miał rozchełstana. Wyglądały spod niej skołtunione, również ryże włosy. Powykrzywiane buty nigdy nie były czyszczone. Ubranie porwane. Na głowie, pomimo upału, futrzana czapa. Ukłonił się niezgrabnie i przebiegle uśmiechnął. Podobny był do lisa.

– Szczo skażete Trochyme?

Zmrużył jeszcze więcej oczy. Jednym z nich porozumiewawczo mrugnął. Zrobił tajemniczą minę.

– Zachodyt’ Trochyme – powiedział Ad otwierając przed nim drzwi.

Zdjął czapę. Przesępował z nogi na nogę.

– Ja coś mam dla panicza – powiedział wysokim, skrzypiącym głosem.

– No, cóż takiego masz?... dawaj...

Trochym włożył brudną rękę za pazuchę i znów mrugając jednym okiem, zapytał:

– A mohorycz¹ dostanu panyczu?

– Dawaj... dawaj... jak będzie warto, to dostaniesz.

– Żeby panicz wiedział jaka piękna panienka to mi dała, to nie pożałowałby panicz i całym rublem nagrodził.

– Cóż za panienka? – zapytał zaciekawiony.

Trochym nachylając się tajemniczo i poufale, szepnął:

– Panna Marusia Krestowozdwiżeńska... popówna z Malinówki.

– Dawaj – krzyknął Ad – dostaniesz rubla.

– Tak i wiedziałem – mruknął uszczęśliwiony Trochim – Bohmi².

Była to podłużna, niebieska koperta, pachnąca jakimiś perfumami i zaadresowana drobnymi, trochę tańczącymi literami. Ad kazał zcekać Trochymowi i przeszedł do drugiego pokoju. Podniecony usiadł w fotelu przed biurkiem. Był to pierwszy w jego życiu list otrzymany od kobiety i to do tego od kobiety, o której tyle myślał i która mu się podobała. List był długi, na czterech stronach.

¹ Podarek (przyj.aut.).

² Dalibóg (przyj.aut.).

„Drogi Adik! /Adik – bardzo ładnie, jakoś tak miękko/ Właściwie nie wiem, jak mam ten list pisać? Czy jak do chłopca, czy jak do dorosłego mężczyzny. Raczaj będę pisała jak do mężczyzny, bo na chłopcach nic a nic się nie znam. Muszę Pana przeprosić za moje wczorajsze postępowanie, gdyż to tylko ja byłam winna – i nikt więcej. Nie wiem nawet, co za taka przekora mnie opanowała. Zdarza się tak czasami ze mną i wówczas sama siebie nie rozumiem. Szkoda, że pan nie wie jaki pan był wspaniały z tym kamieniem w rękach. Zupełnie jakiś starożytny posąg grecki. Nawet zdaje się widziałam kiedyś podobną ilustrację. Jestem może śmiała, ale muszę przyznać, że bardzo mi się Pan podobał. Lubię wszystko, co jest piękne i młode. Czasami myślę, że mam w sobie pogańską duszę. Mogłabym chyba ubóstwiać piękno – a poza te niewiele mnie co obchodzi. Wiem, że jestem nierozsądna. Piszę ten list, a nie wiem, jak go pan potraktuje. Nie wiem nawet, czy otrzymam odpowiedź. Pominąwszy to, że jestem dużo starsza od pana, jestem również „bezwstydna kacapką” – właśnie tą, która wczoraj gniew w panu wywołała. Teraz żałuję. Wolałabym znacznie być z panem w zgodzie i o tę zgodę teraz proszę. Nie ma powodu, aby pan się dłużej na mnie gniewał. Wcale nie jestem zła i nie chciałam panu uczynić przykrości. Co najwyżej jestem nierozsądna. Pan przyjechał do domu na wakacje, ja też przyjechałam na wakacje. Nie ma tutaj tak wiele interesujących ludzi – i sądzę, że możemy czasami się spotkać, aby trochę porozmawiać, oderwać się od szarzyzny tych, którzy nas otaczają. Być może zresztą u pana jest inaczej – u mnie jest tylko powszednie, szaro, nudno. Nikt mnie tutaj nie rozumie. Nie mam bliskiej duszy. Nikogo. Bardzo chcę zobaczyć się z panem – i to jak najprędzej, abym mogła porozmawiać i osobiście pana przeprosić za wczorajszy nietakt. Być może dla pana, polskiego szlachcica, towarzystwo popówny nie jest interesujące. Niech pan jednak o tym zapomni. Ważne jest to, że ponad wszystko na świecie pragnę się z panem zobaczyć i – Adik Drogi – czekam na pomyślną odpowiedź, którą mi doręczy promszczyk. Jestem, oczywiście, przekonana, że o moim liście nikt na świecie się nie dowie. Do miłego zobaczenia. Czekam – gdzie i kiedy?”

Ad był szczęśliwy i niesłuchanie dumny z tego listu. Prawdziwy list od prawdziwej kobiety. Wydawało mu się, że nic piękniejszego i mądrzejszego nie może być na świecie. Jaki wspaniały styl, jaka głębia myśli. Imponowało mu to ogromnie, że ta śliczna Marusia nie tylko go przeprosza, ale i o spotkanie prosi. Stało się to, o czym marzył. Sam nigdy by się na podobną śmiałość nie zdobył,

ale w takiej sytuacji, gdy inicjatywa jest w tamtych rękach, jemu pozostaje tylko zgodzić się lub nie zgodzić. Zgodzi się jak najprędzej.

Chwycił za pióro i na papierze wyrwanym z zeszytu wykalgrował jak umiał najładniej:

„Pani Marusiu! /nie napisać „droga”, gdyż obawiał się, że będzie to zbyt poufale/. Wcale się nie gniewam i o wszystkim już dawno zapomniałem. Wiem, że to były żarty. Ja też bardzo pragnę z panią się zobaczyć. Będę dzisiaj na Czerwonej Wyspie o godz. 5 p.p. Będę na Panią czekał na plaży od strony naszego brzegu. Do widzenia – a o liście nikomu nic nie powiem.”

Z trudem wyszperał w swoich szpargałach jakąś kopertę, postanawiając w myśli zaopatrzyć się w przyzwoity papier i koperty. Zaadresował, z radością wypisując jej imię i nazwisko. Wręczył Trochymowi list i pieniądze. Obiecał, że za każdy list będzie płacił rubla. Trochym westchnął.

– Szczob ony zachotyły tilki pysaty... ja wże budu nosyty, a nosyty.

– Dobrze... dobrze... a jak doręczysz ten list?

– Ta onyż czikajut’ przy promi na druhyj storoni.

Czeka?! Bardzo jej widocznie zależy na tych przeprosinach. Gryzą ją wyrzuty sumienia. Czuje teraz, że nieładnie postąpiła. Och, ale Ad przecież wszystko wybaczy. Nawet nie jest tak bardzo obrażony. Co prawda, wstyd trochę, że widziała go nagiego, ale u Rosjan nie ma przecież to wielkiego znaczenia. Mężczyźni i kobiety kąpią się zwykle razem i kostiumów kąpielowych nie znają.

Siada przy biurku i jeszcze raz jej list odczytuje. Teraz chyba jest już dorosły. Do dzieciaków i smarkaczy listów się nie pisuje. Tylko, jak to będzie? No cóż, będą sobie rozmawiali. Myśli o jej czarnych oczach i pulchnych czerwonych ustach. Czuje jak mu ciarki chodzą po skórze. Wie, że są pewne granice nieprzekraczalne. Co innego, gdy tak siedzi i marzy o zgrabnej figurce Marusi, o jej piersiach, o rękach, o nogach, o tych ustach zachęcających, o ciemnej grzywce, która spada na czoło. Tego nikt nie widzi, o tym nikt nie wie. Marusia nie powinna nawet poznać, że podoba mu się tak bardzo. Gdyby się o tym dowiedziała, kto wie jak by było? Może by się wyśmiała, wydrwiła, wyszydziła albo by się z nim bawiła jak kot z myszą. Co można wiedzieć o dorosłych kobietach? Trzeba z nią oczywiście prowadzić inteligentną rozmowę – o książkach, o sztuce, o literaturze, o Puszkynie i Lermontowie, o malarstwie. Można również mówić o krajoznawstwie, o pogodzie, o wycieczkach. Jeśli chodzi o inteligencję, to jakoś da sobie radę – tyle już książek przeczytał i encyklopedie przestudiował

i szkołę życia miał u „bosiaków”, natomiast z tą miłością będzie gorzej. O tym w ogóle chyba nie ma mowy. To trzeba jakoś umieć. O tym w książkach doskonale piszą, ale nic nie piszą, co należy czynić, gdy człowieka wstyd ogarnia i lęk. Miłość jest bezwstydną – trzeba koniecznie całować się i pieścić i ciało musi dotykać ciała. Tymczasem jak to zrobić? I zresztą, czy to jest miłość? Tak kochają się zwierzęta i nic w tym nie ma wysokiego, wzniosłego, idealnego. Już same myśli tego rodzaju są brudne. Co prawda są bardzo przyjemne – i na tym polega grzech. Grzech zawsze jest przyjemny, ale czy należy grzeszyć? Czy takich myśli nie należy od siebie odsuwać? Czy nie trzeba ze sobą walczyć? „Bosiacy” twierdzili, że prawdziwy człowiek tak włada instynktami, że nawet ich nie czuje – zawsze jest panem samego siebie.

Ad podpira się rękami i jeszcze raz odczytuje list. Dużo spraw jest tutaj niejasnych. Pisze Marusia, że kocha piękno i że on jej się tak podobał, gdy stał z tym kamieniem podobny do greckiego posągu. Być może tak i jest. Być może w tym było jakieś piękno. Nigdy co prawda nie przypuszczał, aby wściekły chłopak z kamieniem nad głową mógł być piękny – i pewnie wcale nie o to jej chodzi. Chodzi jej o piękno w ogóle, ale nie o to, że on jest piękny. Raczej skłonny jest przypuszczać, że wcale piękny nie jest. Posiada dziewczęcą urodę, to już mu tysiąc razy mówiono – no, a czy pięknie jest, gdy chłopiec wygląda jak dziewczynka? Zawsze mu jest wstyd tego swojego wyglądu. W gimnazjum za słowo „diewoczka” i „barysznia” walił w feb bez pardonu i niemało krwi wylał z koleżeńskich nosów. Tutaj jednak chodzi o coś innego. W każdym razie traktuje go poważnie. Pomimo tego, że, jak pisze, jest „dużo starsza”, pragnie jego towarzystwa. Ile też ona może mieć lat? Ze dwadzieścia, może dwadzieścia jeden. Pięć, sześć lat różnicy – nic takiego ważnego. Popówna i kacapka, przede wszystkim jednak – kobieta. Tak, nie będzie się z nią przecież żenił. Nie będzie jego narzeczoną. Nie będzie bywała u nich w domu. A przyjaciółką może być chyba popówna i kacapka. Chodzi tylko o to, aby się to zbyt nie rozniósł. Zaraz by wszyscy dokuczali i wyśmiewali się. Ad oczami wyobraźni widzi jej uśmiech, jej usta. Kolorowa sukienka opina jej piersi. Czuje krople potu na czole, ale też dzień jest upalny. Nie wie co zrobić ze sobą. Na bose nogi nakłada białe pantofle. Białe szorty. Biała kurtka z otwartym kołnierzem. Biała okrągła czapeczka. Prędko zjada śniadanie postawione przez panią Zatorską. Zimna kawa smakuje jak lody. Bułeczki i ciastka chrupią w zębach. List Marusi wkłada do kieszeni. Wytacza rower. Dumny jest ze swego roweru. Cały błyszczący srebrem, lśni się. Rama pomalowana na niebiesko. Zamiast wolnego

koła – trybik, który wydaje cichy, terkoczący dźwięk. Niska kierownica. Dwa ręczne hamulce. Trzymacze na stopy. Siada, przyciska pedały i już mknie naprzód po drodze pokrytej kurzem tak lekko, jakby był ptakiem i unosił się w powietrzu. Przepływa koło młynów. Kilku robotników zagapiło się na niego. Kłaniają się ze spóźnieniem. On jest już dalej. Widzi ojca rozmawiającego z inżynierem Reymannem. Ojciec jest w butach, szarych spodniach do konnej jazdy i biało-żółtej czeczunczowej marynarce. Na głowie ma czapkę z daszkiem również z czeczunczy. Za cholewą sterczy krótka, brązowa szpicruta. Widocznie wybiera się lub też powrócił z jakiejś konnej wycieczki. Stoją w cieniu lip rosnących nieco za młynami. Od lip Ada gęsty, krótki cień i w tym cieniu wyglądają jakby byli prześwieceni ciepłem i zielenią. Ad, chcąc się popisać swoją zręcznością, zeskakuje w biegu z roweru. Wita się z ojcem i Reymannem.

– Ho... ho... jak tuszo phan Had dhuros – powiada Reymann z uśmiechem.

Jest to sympatyczny, dość rostry mężczyzna w średnim wieku. Twarz ma pociągłą z ryżymi wąsami i ryżą bródką w szpic. Wesole, niebieskie oczy mają zaczerwienione obwódki od pyłu mącznego. Takie same obwódki posiada magazynier Mejer i większość robotników w młynach. Reyman jest zawsze uśmiechnięty, jakoś tak przez zęby, jakby własnemu uśmiechowi nie dowierzał. Paląc papierosa zaciąga się głęboko, z wyraźnym zachwytem na twarzy. Ma się zawsze wrażenie, że to jest ostatni papieros w jego życiu. Potem długo wypuszcza kłębiący się, niebieskawy dymek nozdrzami i ustami. Z pochodzenia jest Holendrem. Pomimo długiego pobytu w tych stronach, nie zdołał się nauczyć przyzwocie ani polskiego, ani rosyjskiego. Mówiąc przekręca niemożliwie wyrazy, trzeba się dobrze przysłuchać, aby zrozumieć, o co chodzi. Holendrzy są podobno najlepszymi młynarzami, a Reyman wśród nich uchodzi za swojego rodzaju geniusza. Poprzednio pracował u Zatorskiego i ojciec długą walkę prowadził o niego. Wreszcie drogą przekupstwa, wszelakich życiowych wygód, jak również pochlebstwa udało się go skusić. Od tej chwili mąka stała się bezkonkurencyjna. Ojciec bardzo się z nim liczy. Każde jego słowo jest niezwłocznie wykonywane. Często odnosi się wrażenie, że to on jest właściwym kierownikiem całej przemysłowej strony majątku. Ad lubi go bardzo za jego dobroduszość i przyjemne poczucie humoru.

– No tak – odpowiada – urosłem... mam już szesnaście lat.

– Szeba będzie ją szenieć – mówi zwracając się do ojca – ja mieć w Haarlem barso ładny kusynek.

Śmieją się obydwaj.

– Gdzie go żenić znowu – powiada ojciec – takiego smarkacza... niech ta kuzynka zaczeka z dziesięć lat.

– Nie może szekać... bo być wonczas stary panna... cha... cha... cha – śmieje się Reyman – ona mieć już teraz czterdzieści lat.

– Hm... trochę za stara.

– Pefnie, sze stary, ale mieć guldeny jak mak... ona pyły antreprenier, bo lupi wojaż... a on pokser z taki muskuł i zdrowie... pasz pan.

Obmacuje go ze wszystkich stron.

– Pasz pan... taki biceps... taki tryceps... taki telta... taki pierś... i rąk i nóg... szempion sały śfiat.

– Tak – zgadza się ojciec – byczek z niego jest niezły.

– To fitać... to saras fitać... chcesz phan pyć poksera?

– Dobrze – zgadza się Ad – czemu nie?

– Na moja urlopa pojciem do Niderland... tam w Groningen mieć przyjaciel Maksa van Baalboon... on pyć poksera... zrobić Ad szempion śfiata.

– Dobrze – mówi Ad i siada na rower – tymczasem będę trenował na rowerze.

– Kiedy wracasz? – pyta ojciec.

– Na drugą... na obiad.

Dobrze wie, że ojciec sam jest punktualny i od drugiego wymaga punktualności. Zwłaszcza nie lubi spóźniania się do posiłków. Tymczasem poczucie czasu bardzo u Ada szwankuje i ma właściwość różnorakiego przebiegu. Zdarza się, że mija bardzo prędko, zwłaszcza, gdy jest jakieś interesujące zajęcie, zajmująca książka, ciekawa przygoda, albo po prostu Ad się zamyśli, zamarzy, wejdzie w świat swoich rojeń – wtedy czas mija prawie błyskawicznie – nie sposób nadążyć za godzinami. Znow kiedy indziej wlece się jak żółw i nie wiadomo jak go przyspieszyć.

Ad jedzie przez park, tą samą dróżką, którą wczoraj gnał do Orlego Gniazda. Strumień nosi nazwę Rączego Jelenia – tak go nazwał na pamiątkę jednej z postaci londonowskich. Jazda po dróżce tym przyjemniejsza, że pełno w niej niespodzianek. Chociaż Ad zna drogę doskonale i mógłby po niej posuwać się nieomal z zamkniętymi oczami, przecież ciągle spotyka się coś nowego. Drzewa zmieniają swą postać tak samo jak ludzie. Pojawiają się nowe trawy, gęstniej zarośla. Inne kwitną kwiaty – bardziej różowe, bardziej niebieskie,

pachnące nie tak, jak za ubiegłych lat. Co roku rozwierają się oczy szerzej i inny widzą świat.

Rączy Jeleń tak samo rwie po skałach, przeskakuje z kamienia na kamień, śpiewa swą srebrzystą, jednostajną pieśń wodną. Tak samo z drugiej strony Boh śpieszy do morza, przewala bystre fale, omywa zielone brzegi – ale już się zmieniło wiele. Dzień jest nowy, taki jakiego nigdy nie było i woda już płynie inna, nie wczorajsza, tylko dzisiejsza i słońce świeci inaczej, gorące potoki śle światła. I w drzewach, w trawach nowe krążą soki, a maki po drodze, dziewanny, rumianki, łopiany, rozmaryny, różańce świętej Weroniki, pokrzywy, dzikie malwy, pachnące mięty i osty zwane „bodiakami”, a godne pędzla Wyspiańskiego – inne są, niż wczoraj. Coś odmieniło się na świecie i Ad również czuje się odmieniony. Jakby mu przybyło lat, powagi, doświadczenia. Jest przekonany, że tak myśleć, tak czuć może tylko człowiek dorosły i chyba nie bardzo szczęśliwy.

Jak prędko mknie rower, jak cicho, jak sprawnie działa w człowieku zmysł równowagi. Małe pagórki, pagóreczki, potem spadki, zakręty, zygzaki, niby błyskawica – i po tej błyskawicy zupełnie automatycznie ślizga się rower. Tak bardzo jest cicho w tej chwili upalnej, gdy paki odpoczywają wśród drzew. Pachnie zgęstniałą zielenią. Zielony jest czas woół, a zapach jest jego wyrazem. Szemrze Boh i rybitwa czasami krzyknie przeciągle, niby szpadą przecinając spokój.

Ad wie, że w istocie jest mu dobrze. Nie może być lepiej. Świat jest taki piękny, a on jest młody, silny, zdrowy, i oczy ma bystre, którymi patrzy czujnie i uszy, które wszystko słyszą. Spotka się dzisiaj z kobietą. Nie ulega wątpliwości, że jest już dorosły. Jaka szkoda, że ona jest Rosjanką.

Rosjanie podbili jego Ojczyznę, uczynili ją niewolną – i ona jest z tego narodu. Czy on będzie się czuł swobodnie, on, który gardzi Rosjanami i stara się ich nienawidzić? Co powiedziała by na to matka? co ojciec? Co prawda „bo siacy” byli też Rosjanami... A może, może większość Rosjan jest taka, tylko on ich nie zna? Może więc ludzie przede wszystkim są ludźmi, a potem idą narodowości, pozycje? Co należy czynić, jeśli Rosjanka ma piękne oczy i usta i podoba się ogromnie i wszystko do niej ciągnie? Prawda – jest jeszcze Helena. Prawie, że zapomniał o niej od wczoraj. Nie jest to ładne. Obiecała, że dzisiaj przyjedzie. To będzie dopiero historia. Jakże on się wyrwie?

Dróżka łagodnie pnie się do gry. Ujechał już około 12 km. Ciągłe wspinając się, wyjeżdża na górę, na szczyt skał i tutaj już jest równina. Zaczyna się, ta jak wszędzie, gdzie kończą się skały Bohu – step.

Trawa jest soczysta, wysoka, ciemno-zielona. Pachnie macierzanka, hreka, koniczyna. W połączeniu jest to zapach miodu, doprawiony jakimiś korzeniami, niby gałką muszkatołową niby goździkami. W istocie pachnie – piernikiem. Powietrze jest rozgrzane, nieruchome i faluje szklanymi pasmami.

Niespodziewanie wynika wśród trawy polna droga. Dwie koleiny ciemno-szare, a pośrodku rośnie trawa, nieco wydeptana. Rower po tym podścielisku płynie, jakby się unosił na drobnych, elastycznych falach. Ad skręca i zawraca w stronę domu, ale już jedzie nie dołem, tylko tą polną drogą. Jest w takich drogach jakiś smutek samotności i nieskończoności. Właściwie nie wiadomo, skąd się taka droga bierze i dokąd prowadzi. Nie wiadomo nawet kto ją wydeptał. Ad kilka razy próbował wysledzić jej losy nigdy nie zdołał dojechać do końca lub początku. Zawsze jest pusta. Bez przyczyny wiję się przez step, niby wstęga rzucona nierozsądną ręką. Po drodze zawadza o ich ogród owocowy i zamiast zlać się z traktem, który opodal leży, wbrew wszelkim prawidłom logiki, biegnie odrębnie, przecina nawet trakt i zdąża dalej na przetaj, gubiąc się w dalekości.

Po drodze zielenią się łany pszenicy. Młodymi liśćmi szumi kukurydza. Wielkie przestrzenie leżą jednak nieobsiane, czekając na rękę, która rzuci tutaj kiedyś ziarno. Tymczasem tłusty czarnoziem sięga do trzech metrów w głąb i cokolwiek tutaj wyrośnie, to rośnie ponad wszelkie pojęcie bujnie i plony wydaje obfite. Pustka panuje. Gdziekolwiek wzrok sięgnie, tam tylko kołysz się zieleń. Nie widać człowieka. Nie spotyka się wsi. Nad głową dzwonią skowronki, turkawki, przepiórki, kuropatwy przelatują furkoczącymi stadami. Czasami przemkną zajęcy, i z dala mignie siwym futrem niewielki wilk stepowy. Małe orły i jastrzębie zwane szulakami wiszą wysoko i gdy spadają ze zdobyczą świszczą ostro piórami. Pogwizdują chomiki, nad norkami swoimi stając równo, niby małe słupki. Wszystko cokolwiek żeruje posiada tutaj żer obfite, a ponad wszystkim króluje – drop, ptak wielki, podobny do indyka, niesłychanie czujny, którego podejść jest nie lada sztuką łowiecką. W tym celu, po wypatrzeniu stada dropi, trzeba czasami stracić cały dzień. Myśliwi ukrywają się w wozie z sianem, a woźnica musi zręcznie kołować wokół stada w ten sposób, aby się niepostrzeżenie zbliżyć przez ciągłe zacieśnianie koła, aż na odległość strzału. Wartownik stojący na czele stada nie obawia się wozów, chłopów, ludzi z kijami i kosami w rękę, natomiast niech tylko spostrzeże kogoś ze strzelbą – w tej chwili podrywa całe stado i ucieka. Chodzi o to, aby przede wszystkim ustrzelić

wartownika, po czym można wybić pół stada, zaczem ogłupiałe przez pozbawienie przewodnika ptaki zdobędą się na decyzję ucieczki.

Ad już z dala widzi ogród. Każda rzecz nieco wypuklejsza jest widoczna na stepie z dużej odległości. ogród zajmuje prawie z 10 ha. Obrośnięty jest ze wszystkich stron gatunkiem topoli, podobnym do cyprysów. Ad zbliżając się tutaj wyobraża sobie zawsze „Wyspę Umarłych” Böcklina. Być może te topole tak nastrajają, a może białe budynki ogrodnicze. Zresztą step kołyszący się zewsząd wygląda jak morze. Na topolach mieszkają nieprzebrane chmary różnych ptaków z rodziny wron, poczynając od kruków i kończąc na gawronach. Ich nieustanny wrzask jest denerwujący. Ad kiedyś chętnie strzelał do nich z floweru, odkąd jednak w zeszłym roku patrzył na cierpienia postrzelonej gałki, zaprzestał tej zabawy. Nie ma, w istocie, żadnej różnicy pomiędzy cierpieniem ptaka, człowieka i zwierzęcia.

Ad, niezauważony przez nikogo, dojeżdża do domu ogrodnika. Na ten widok wrony zaczynają krzyczeć głośniejsze, ale mały człowieczek, w czerwonej czapeczce podobnej do szlafmicy, jest obrócony tyłem i przykucnięty nad jakimś wazonem. Wokół, jak to zwykle bywa u ogrodników, panuje swoisty nieład. Części inspektów, ramy inspektowe, maty, narzędzia ogrodnicze, jakieś koki, linki, żelastwo. Ad po cichu podjeżdża do człowieczka i nad samym jego uchem krzyczy: „hu-ha”. Wystraszony człowieczek podskakuje dość wysoko, na widok da jednak twarz mu się rozjaśnia szerokim uśmiechem, wyciąga pobrudzoną ziemią rękę:

– Witajcie, paniczku, witajcie... Polinka – krzyczy – panicz przyjechał.

Niezmiernie komiczna figurka. Ogromna, łysawa głowa na malutkim korpusie. Pomarszczone poprzecznymi bruzdami czoło. W ogóle wielka ilość zmarszczek. Olbrzymi, nieco zakrzywiony nos. Tak potężnego nosa Ad jeszcze u nikogo nie widział. Małe, uśmiechnięte oczy bez koloru. Krzaczaste, wypłowiawe brwi. Grube, dobroduszne usta i do tego długa, spiczasta broda również nieokreślonego koloru.

Wydłużony tułów. Małe, krzywe nogi. I potężne, zwisające prawie do ziemi ręce. Coś pośredniego pomiędzy gorylem i krasnoludkiem. Do tego zawsze ubrany w zieloną kapotę, brązowe, aksamitne spodnie, wyrudziałe i wykrzywione buty. Z pochodzenia jest Czechem i nazywa się Jelinek.

Z domu wychodzi również malutka, pulchna, okrągła, podobna do toczącej się kulki kobieta. Jest to pani Jelinkowa.

Śmieje się, szczerząc białe, drobne jak u myszy zęby. Ze swoim ostrym nosem, przymrużonymi oczami, ustami zebranymi w ciup przypomina całą wesołą, dobrze odżywioną mysz. Ad bardzo lubi tę bezdzietną parę. Uważa ich za swoich przyjaciół.

– Dawaj wina matka – krzyczy pan Jelinek.

Idą za dom, gdzie w cieniu lip znajduje się zarośnięta dzikim winem altanka. Po drodze pan Jelinek myje ręce w beczce z wodą. Opadają ich psy – wielkie, żółte i rozbrykane kundysy. Kwitnie dużo malw i różnokolorowych irysów. Zasiadają w altanie przy stole, a słońce poprzez liście tańczy po podłodze złotymi plamami.

– Dobrze poszło paniczu... to już wakacje – mówi Jelinek.

– Tak... nareszcie – odpowiada Ad.

Adowi bardzo podoba się to, że Jelinek posiada młodzieńcze usposobienie, a obcując całe życie z naturą podpatrzył mnóstwo zjawisk, o których umie inserując mówić. Nigdy nie dał odczuć Adowi, że uważa go za smarkacza, jak również nigdy nie zabiegał o jego łaski. Traktuje go jak równego sobie i traktowanie to jest naturalne. Nie ma w nim żadnego przymusu.

Ich przyjaźń zaczęła się przed trzema laty, gdy Jelinek do nich nastał. Jelinek miał dużo roboty, tymczasem Ad kręcił się koło niego i wypytywał o różne rzeczy. Czemu drzewa smaruje się wapnem, a jak się szczepi dziczki, skąd owoce biorą słodycz, dlaczego jedne jabłka są zielone, a inne czerwone, skąd są pestki, co z nich ma wyrósć, co by było, gdyby drzewa nie miały liści, czy nie można wyhodować takiego owocu, żeby do połowy był jabłkiem i do połowy gruszką, itd. Jelinek odpowiadał i odpowiadał, poświstywał swoim wielkim nosem, byстрыm okiem spoglądał na ludzi pracujących w ogrodzie.

– Jak pan umie tak świstać tym nosem? – zapytał Ad.

– Ano – zaczął Jelinek – to było tak... młodym jeszcze wówczas byłem chłopcem, ale już skończyłem praktykę ogrodniczą i chciałem się wybrać w szeroki świat, aby samodzielnego życia zaznać... bo, z ogrodnikiem, to jest tak jak z kataryniarzem... wszędzie da sobie radę... było to jeszcze w Czechach, a tam majątków jest dużo... z ogłoszenia w gazecie przyjęli mnie do majątku jakichś hrabiów... magnatów... nawet pieniądze przystali na drogę i list z zarządu jak trzeba dojechać... dobrze... dojechałem do końcowej stacji z niedużą walizką i tobołkiem... cały tam był mój majątek... pytam się na stacji, jak się do tych hrabiów dostać... okazuje się, że blisko trzydzieści kilometrów... jeśli furman-

kę wynająć, to wyniesie coś 10 koron, a u mnie w ogóle 5 koron w kieszeni. Niedługo myślałem, tylko wypytałem się o drogę... na kij zarzuciłem moje rzeczy i ruszyłem przed siebie. Myślę sobie... za kilka godzin zajdę... co to jest 30 kilometrów na młode nogi. Idę... idę... z początku były pola, później wielkie zaczęły się lasy, a tu już zmierzch zapada i już wieczór, i już noc... a muszę dodać, że kiedyś ze stacji wyruszał, to uprzedzali mnie, że jest niebezpiecznie, bo po drodze podobno grasują bandyci. Zlekceważyłem to ostrzeżenie, a teraz przypomniałem sobie i taki strach mnie ogarnął, że ledwie mogę oddychać. Co spojrzę w lewo, co spojrzę w prawo, to wszędzie ciemne, niewyraźne drzewa, a za nimi cienie, a wśród tych cieni wszelkie kryje się niebezpieczeństwo. Pot mnie począł oblewać, a serce tłucze w piersi jak młotem. Co jednak zrobić? Tyle drogi już uszedłem, że nie ma mowy o zawracaniu. No, idę dalej. Patrzę, stoi przede mną jakaś postać. Pytam – „kto tam”, a ona nic. Krzyczę – „kto tam... u diabła”, a ona nic. Ja stoję, ona stoi. Wreszcie zebrałem się z odwagą, złapał kij w garść, skoczyłem na tę postać, a to nic, tylko krzak jałowca, a następnie drugi jałowiec, trzeci... a później jeden pień, drugi, dziesiąty. Zatrzymuję się, słucham, śledzę, podpełzam, krzyczę, ciągle to samo. Rozpacz mnie ogarnia. Myślę sobie, wylezę na drzewo i tak będę siedział do rana, ale noc chłodna, skostnieję. Wreszcie mówię do siebie: „Wacławku... Wacławku... ty przecież jesteś odważny... wzrok tylko ciebie tak peszy... zamknij oczy... macaj kijem drogę i idź. Zamknąłem oczy i idę. Raz drugi zawadziłem o drzewo. Przewróciłem się kilka razy, ale idę. Idę sobie tak i idę, aż tu ktoś zagwizdał. Stałem jak wryty. Słucham i słucham, a nogi mi drżą. Ale nic. Cicho. Ruszyłem dalej. Ledwie zrobił kilka kroków znów ktoś zagwizdał. Struchlałem. Stoję – spokój. Ruszam – gwizd. Jasne jest, że to bandyci tak się zwołują. Nie ma co... trzeba uciekać. Wziąłem nogi za pas i lecę, a tu gwizd przeraźliwy coraz jest bliższy. Zupełnie zmysły straciłem ze strachu. Pędzę jak szalony. Padam. Obijam się. Fikam koźły. Na głowie już mi guzy jak szyszki powyskakiwały, nogi mam pokaleczone, ręce podrapane... ale pędzę. Czym prędeż lecę, tym mocniejszy słyszę gwizd. Nie mam już sił. Czuję, że zaraz padnę. Tymczasem po drodze był strumień. Nie zauważyłem go i buch... jak długi. Wykąpałem się razem z głową, ostatkiem siły wyczołgałem się a brzeg. Leżę... a tu gwizd jak sto diabłów... Jestem już prawie nieboszczyk, więc nie ruszam się tylko słucham... a niechże cię krew zaleje... to w tym nosie przeklętym tak u mnie gwizdało... i od tego czasu jak się tylko trochę zdenerwuję, to zawsze mi tak gwizdże.

Ad uśmieł się i pyta:

– To pan jest zdenerwowany?

– Trochę jestem.

– A czemu?

– Sam nie wiem... tak sobie.

– To niech mi pan powie... czy pszczoły mieszkają tylko w ulach?

Jelinek podrapał się w głowę.

– Nie, nie tylko... mieszkają również na drzewach.

– Nigdy nie widziałem.

Jelinek przymrużył jedno oko.

– To nietrudno zobaczyć – powiedział – widzi panicz to drzewo... a tam taki jakby wielki szary grzyb... tam mieszkają pszczoły.

– To ja strzelę w to...

– Niech panicz strzela... tylko radzę dobrze celować... w sam środek.

Ad wycelował i strzelił. Tymczasem było to gniazdo Szeszeni i kilkaset wielkich, wściekłych owadów wyleciało przez wszystkie szczeliny.

– Matko Święta... uciekajmy – krzyknął Jelinek.

Zaczęli uciekać w różne strony i Jelinkowi nic się nie stało, natomiast Ada szerszenie szybko dopędziły i kilka z nich silnie go pożądliło. Ad padł na ziemię jak martwy i zeszywniał, a z bólu i od działania jadu prawie omdlał. Jelinek chwycił go na ręce i zaniósł do domu. Tam przez kilka godzin był okładany jakimiś kompresami, aż wreszcie wszystko przeszło. Jelinek nic nie mówił, tylko uważnie spoglądał, Ad też nic nie mówił i nigdy nikomu nie powiedział, że to z winy Jelinka tyle bólu i strachu się najadł. Od tego czasu zaczęła się ich przyjaźń.

Było jednak coś jeszcze bardzo poważnego, co ich łączyło, mianowicie skarby wojewody Romana. Z tym wojewodą Romanem niejasna była historia, bo chociaż niegdyś, przed rozbiorami Polski, był tutaj tego imienia wojewoda Sanguszko, to jednak tego imienia lub może nazwiska używał jakiś watażka ukraiński.

Musiał to być znakomity bandyta, gdyż imię jego nie zaginęło i przez miejscową ludność było opiewane na wszystkie sposoby. Podchodził on Turków i Tatarów, na czajce jeździł do Stambułu, bywał na Krymie, niemało i krwi laskiej upuścił, najchętniej jednak przebywał w swoich rodzinnych stronach, tutaj nad Bohem – i że tędy szedł wielki szlak łączący Zachód ze Wschodem, zasiadał z mołojcami na „bałkach” – przydrożnych wąwozach i łupił kupców ile się

dało, tak, że wreszcie opłacali mu się systematycznym haraczem. Zebrał w ten sposób wielkie bogactwa i miał je schować wśród nadbożańskich skał. Inna gadka znów mówiła, że to nie watażki, lecz wojewody skarby zostały zakopane. Jak było tak było, w każdym razie wszystkie skały w pobliżu Orlego Gniazda i Rączego Jelenia, zresztą na przestrzeni kilku kilometrów poryte były różnymi starymi, a tajemniczymi znakami. W tych znakach był jakiś system – i niejeden łamał sobie głowę, co one mogły znaczyć. Były to wykute w kamieniu strzałki wskazujące w różne strony, trójkąty, kółka, prostokąty, kwadraty. Cała geometria. Że nie było to wszystko razem czczym wymysłem dowodził dokument jaki posiadał w swoim czasie dziad Ada, mający wskazywać, gdzie zostały schowane skarby. Dokument ten dostarczył wnuk jakiegoś starego kozaka, który go oddał na łożu śmierci z odpowiednimi wyjaśnieniami. Nie uchodziło wątpliwości, że mowa była o tych właśnie skałach. Dziad zawarł z tym wnukiem kozaka odpowiednią umowę, że w razie znalezienia skarbu będzie podzielony pomiędzy nimi na dwie połowy. Szukali kilka lat, łamali sobie głowę nad zawiłym dokumentem i nic nie znaleźli. później sprawa ta, to ucichała, to znów nabierała rozgłosu. Przyjeżdżali do ojca jacyś rosyjscy uczeni. Mierzyli, wyliczali, medytowali. Wreszcie, przed kilkunastu laty, gdy Ada jeszcze nie było na świecie, zawiązało się w Odessie konsorcjum, które skarbu poszukiwało. Mnóstwo skał zostało wysadzonych dynamitem w powietrze, duże obszary ziemi skopano. Znów liczono, mierzono, rachowano, biedzono się nad treścią dokumentu – i nic nie znaleziono. Ad, oczywiście, od najmłodszych lat był poszukiwaczem skarbu, a gdy przybył Jelinek, poszukiwali we dwóch. Jelinek na tym tle nawet dostał jakby lekkiego obłądu. Cały swój wolny czas spędzał wśród skał, nieustannie licząc, kując, wysadzając w powietrze. Na środki wybuchowe wydał dużo pieniędzy. Właściwie stał się nawet zdolnym pirotechnikiem. Jak kobold tkwił między głazami. Czynił najrozmaitsze, czasami zupełnie pomyłone, próby. Sprowadzał różdżkarzy i wróżbitów, a tych w Rosji było co niemiara. Wpłynął też w dużej mierze na Ada, że ten wszelkie uciutane od rodziców pieniądze przeznaczał na koszty poszukiwań.

Teraz, gdy siedli w altance, a pani Jelinkowa przyniosła pyszne owocowe wino, zrobione na smak tokaju, pan Jelinek dorwał się do swego ulubionego tematu.

– Trudno opowiedzieć słowami – powiedział – jak się cieszę, że panicz do nas zjechał na dłuższy czas... będziemy szukali?

– Będziemy.

Oczy Jelinkowi rozgorzały. Na czole wystąpiły żyły.

– Cały czas czyniłem przygotowania – mówił – zgromadziłem dynamitu, co się tylko dało... dostałem pierwszorzędne naboje górnicze ze specjalnymi zapłonami... teraz wybuch zawsze nastąpi kiedy zechcemy... studiowałem dniami i nocami ten dokument i mam nowy pogląd na całą sprawę... skarb musi być zakopany w okolicy Czortowych Łap.

Czortowe Łapy była to wielka, płaska skała, na której wyraźnie występowały odciski jakichś olbrzymich stóp i to w takim układzie, jakby te stopy przez nią przeszły.

Ad na koncepcję Jelinka nie bardzo się godził. Miał własny pogląd. Zdaniem jego poszukiwania na ten raz należało zaczynać koło Przełęcz Końskiego Łba, gdzie było największe skupienie znaków i na co by wskazywały niezwykle zresztą mgliste słowa dokumentu. Zaczęli dyskutować i Ad, ani się obejrzał, jak wypili całą butelkę „tokaju”. Trunek ten nie był co prawda mocny, ale, gdy Ad siadał na rower kręciło mu się trochę w głowie, świat wydawał się bardzo radosny, a droga do domu jakby nieco pokołowana. Wcześniej uściśnął serdecznie ręce obojga Jelinków i obiecał wkrótce przybyć na ostateczne omówienie planu poszukiwań. Osobiście nie bardzo wierzył, aby cokolwiek się udało. Był zdania, że skarb od dawna został już przez kogoś znaleziony i wydobyty, ale Jelinek gorzał takim entuzjazmem i pewnością, a poszukiwania skarbu tyle miały w sobie romantycznego uroku, że bez względu na wynik postanowił dotrzymać Jelinkowi towarzystwa.

Ad zdążył się jeszcze rozebrać i punktualnie o 2-ej wszedł do stołowego. Właśnie duży, gdański zegar stojący w rogu pokoju, poważnym basem wybił godzinę. Wszyscy już prawie byli zebrani, jednak Ad miał jeszcze czas na przywitanie się z babką, ciotką Stefanią, panem Antonim, matką, panną Magdą, panią Zatorską i jeszcze kilkoma osobami. Ogółem siadało do stołu 16 osób. Byli tam jeszcze praktykanci biurowi i młynarscy. Pewien młody inżynier – krupczatnik. Pan Feluś – pomocnik buchaltera. Dwóch malarzy z Moskwy – przyjaciół ojca. Prócz tego przybyły również obie panie Karskie – matka z córką. Ad serdecznie się z nimi przywitał. Helenka prawie się nie zmieniła od

czasu, gdy ostatni raz ją widział. Była w pięknej blado-różowej sukience, wykładanej jakimiś koronkami. Okrasą jej urody były cudownie piękne włosy o odcieniu najczystszej złota, gęste, ciężkie, w obfitych falach opinające głowę. Oczy miała ciemno-niebieskie – żywe i wesołe, nieco skośne. Dość wystające policzki. Nos nieprawidłowy, gruby i mięsisty przy końcu, ale nie szpetny. Usta pełne, apetycznie wyrzeźbione, z wyrazem pewnej przekory i czasami goryczy. Na policzkach – dołeczki. Nie była to uroda rzucająca się w oczy. Nie można jej zresztą było nazwać ładną. Miała jednak w sobie dużo wdzięku, lekkości, elegancji. Mogła się bardzo podobać.

Siadł przy stole obok Heleny. Choć cieszył się bardzo z jej obecności, jednocześnie – myśląc o spotkaniu z Marusią, już teraz szukał jakichś pretekstów, które by mu umożliwiły porzucenie towarzystwa. Jeśli ma zdążyć na czas pozostaje mu wszystkiego niecałe dwie godziny na obiad i na wszystkie rozmowy.

Ręka Helenki niby niechcący, a przecież umyślnie często dotykała jego ręki pod stołem. Odpowiadał jej od czasu do czasu mocnym uściskiem, bo przecież lubił ją bardzo.

Podano jakieś przekąski. Sery, masło, ogórki, litewskie wędliny, jakieś sosy, kawior. Ad częstował Helenkę i siedzącego z drugiej strony pana Antoniego. Był to siwy jak gołąb, czysty i cichy starzec – weteran z 1863 roku. Blisko trzydzieści lat życia spędził w katordze, na Syberii. Wąsa nosił sumiastego, siwe brwi miał schmurzone, orli nos, o szlachetnej linii zdawał się świadczyć o dumie i wysokim urodzeniu. Ubrany był w brązową czamarę z czarnymi szamowaniami, ciemno-szare spodnie i miękkie buty z długimi cholewami. Żywa pamięćka ostatniego porywu na jaki się zdobyła umęczona Ojczyzna. Ad bardzo go szanował, jakkolwiek nie miał z nim zbyt wiele styczności, gdyż pan Antoni był odludkiem. Zwykle samotnie siedział w swoim pokoju w tej samej oficynie, w której mieszkał i Ad, tylko wejście było z innej strony. Chodził tam z kąta w kąt, coś mrucał, wertował jakieś szpargały, czasami coś pisał. Małomówny był ogromnie i zdarzało się, że w ciągu całych tygodni nie wypowiedział jednego słowa, prócz zdawkowych „Dzień dobry”, „do widzenia” i „dziękuję”. Ad mówił do niego „dziadziu”, jakkolwiek nie łączyło ich żadne pokrewieństwo. Dziadek Ada, już od dawna nieżyjący, przywiózł z jakiejś podróży trzech starych powstańców na dożywocie. Dwóch umarło i leżeli na małym, rodzinnym cmentarzyku wśród stepu, a trzeci – pan Antoni – pozostał.

Helenka entuzjazmowała się wakacjami Ada.

– Ad... kochany – mówiła po cichu, korzystając z gwaru przy stole i gładząc jego rękę – nie będziemy się rozstawali... dobrze.

Ad miał napchane usta, więc tylko kiwał głową.

– Dobrze... rzecz prosta, że dobrze... po cóż się mamy rozstawać?

Jednocześnie jednak chciał trochę użyć swobody; miał już nieco swoich spraw męskich, do których nikogo nie zamierzał dopuszczać.

– Taka jestem stęskniona za tobą... ciągle o tobie myślę i śniesz mi się nocami.

Ad, aby zmienić ten krępujący go do pewnego stopnia temat, zapytywał o foksterierka Dżeka, którego jej w ubiegłym roku podarował. Również interesowały go sprawy kota Pompona XI. Kot ten też był jego darem.

W tym czasie podano barszcz małosyjski, suto zabieleny śmietaną. Do tego były pampuchy zalewane sosem czosnkowym i hreczana kasza rumianymi kraszona skwarkami. Kuchnia na Ukrainie była prosta, zdrowa, smaczna i obfita. Lepszej być może nie było na świecie, toteż wszyscy zjadali, Asię trzęsły uszy.

Ad bez specjalnej sympatii oglądał pokój jadalny. Nie lubił tego pokoju. Nie był to zresztą pokój lecz raczej sala. Pięćdziesiąt osób mogło tutaj zasiadać przy stole i nieraz się takie okazje zdarzały.

Cały wykładany był ciemny drzewem. W tym samym kolorze były kredense, stół, krzesła ciężkie, potężne, wyściełane skórą. Na ścianach wisiały zaciemnione przez czas obrazy, wyrażające różnego rodzaju martwą naturę, fajansowe talerze pięknie wypalane. Świeczniki z brązu były również na ścianach, a takież kandelabr nad głową. Ad nie lubił ciemnych kolorów. Do tego okna tej sali wychodziły na północną stronę i prawie przylegały do ściany skalnej. Toteż zawsze panował tutaj półmrok. W jednym z rogów znajdowały się dwa obfite snopy pszenicy, przybrane wstęgami, z ostatnich dożyneków. Stały one na pięknie rzeźbionym, drewnianym, dużym talerzu. Na tym talerzu bywał zwykle chleb i sól, gdy witano dożynekowych żniwiarzy. Poza tem salka ta posiadała dość przyjemny zapach przeszłości. Był to zapach apetyczny. Pachniało minionymi świętami, ucztami, obiadami. Widocznie każdy posiłek pozostawiał jakąś cząstkę swojego zapachu.

Ojciec ze swoimi malarzami, z których jeden był bardzo sławny, a drugi miał zostać sławnym, prowadził dyskusję na tematy wojenne.

– Sytuacja polityczna jest tak napięta – mówił – że przypomina beczkę z dynamitem na której postawiono dopalającą się świecę... sprawa wybuchu wojny jest kwestią jeśli nie tygodni, to w każdym razie najbliższych miesięcy... la-

tem lub jesienią tego roku musi dojść do katastrofy... następstwa tej katastrofy będą nieobliczalne... będzie to wojna światowa, która przemieni oblicze świata i być może ten świat przewróci do góry nogami.

Słowa te wywołały ciszę przy stole. Cień ponurej przyszłości zamajaczył przed oczami.

Odezwał się pan Antoni. Twarz miał poważną. Prawą rękę szczupłą i długą uniośł do góry.

– Wojna będzie – rzekł wysokim, starczym głosem, który drżał i łamał się – wojna będzie taka, jak Apokalipsa o niej mówi... bestia wyjdzie na świat, szatan będzie nią kierował... kotłować się będzie i walić w gruzy stary porządek rzeczy, a z nowego wyniknie wolna Polska... to wam mówię i mówię jeszcze, że Moskwa tę wojnę przegra.

W tych słowach było dużo nadziei. Może nigdzie tak nie marzono o wolności jak na Kresach i nigdzie nie było takich ofiarnych i miłujących serc.

– Całe szczęście – odezwał się jeden z malarzy – że wojna ta będzie krótko trwała i stąd może nie poczyni zbyt wielkich spustoszeń... przy dzisiejszych środkach technicznych, wielkich miastach ludzkich jakie wezmą udział w wojnie... zagadnieniach produkcji wojennej i zdobywania surowców... wyżywienia tych mas... nie może to trwać długo... nastąpi kolosalny wybuch i potem spali się wszystko, co złe, lub niepotrzebne... z tych popiołów być może naprawdę Polska powstanie, jak Feniks.

Pan Antoni uśmiechnął się.

– Że Polska powstanie, to jest zupełnie pewne – powiedział – o tym mówią wszystkie znaki na ziemi i na niebie... tak jest powiedziane we wszystkich przepowiedniach... tak jest zapisane w księgach pielgrzymstwa polskiego i w tych księgach męki, które spisuje Bóg... ale wojna nie będzie krótko trwać, tylko długo, bo zbyt wiele zgromadziło się zła na świecie i równe przeciwko sobie wystąpią siły... ja tych czasów zmartwychwstania już nie dożyję, ale wielu z nas dożyje.

Powiódł po zebranych mrocznymi, siwymi oczami. Ad w tej chwili spojrzął na panią Karską. Siedziała blada, usta miała zaciśnięte, w rękach kurczowo zaciskała serwetkę, w jej dużych, orzechowych oczach był wyraz nieopisanego bólu. Spoglądała na ojca. Wszystko to trwało tylko chwilę jedną, właściwie ułamek chwili. Po czym twarz jej rozpozodziła się i przybrała na nowo swój zwykły wyraz.

– Jeśli powróci nam wolna Ojczyzna, to nie szkoda będzie i zginąć – powiedział ojciec wesoło. Nalał wódki sobie i innym, aby można było wypić za pomyślność idącej wolności. Malarze i młody inżynier młynarski, którzy już poprzednio nie żalowali sobie alkoholu, zaczęli wznosić jakieś toasty. W tej chwili ukazało się drugie danie w postaci pięknie upieczonej, zarumienionej gęsi w aromatycznym sosie. Dodano do niej podsmażane kartofle, czerwoną kapustę, kompot z jabłek, borówki. Ad otrzymał oddzielnie mamałygę z mlekiem. Od najmłodszych lat, prócz ryby, nie jadał żadnego mięsa.

– Oj... ludzi jest jak drzew w lesie – mówił pan Antoni – był las i będzie las.

Ad spotkał się ze wzrokiem matki. Spoglądała na niego z troską. Uśmiechnął się z lekceważeniem i wzruszył ramionami. Wojna o Polskę przemawiała mu do uczucia; a że będą się biły drapieżne, zaborcze państwa, to przecież tylko lepiej dla wszystkich.

– Mam wiadomości – odezwał się ojciec – że w Krakowie organizuje się nasze wojsko... ruch patriotyczny obejmuje całą Galicję... a na czele tego ruchu stoi człowiek znakomity, niezawodny i wypróbowany, który porywa za sobą ludzi, a zwłaszcza młodzież.

Wiadomość ta była rewelacją. na tych dalekich Kresach marzono, tęskniono, śpiewano. Tradycja Polski walczącej żyła we wszystkich sercach, więc wieść o tym, że zaczął się ruch zbrojny zelektryzowała wszystkich.

– Kto to jest? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedział ojciec – słyszałem, że jest to dawny działacz z polskiej Partii Socjalistycznej... nazywają go towarzyszem Ziukiem.

– Socjalista? – zapytała z przekąsem ciotka Stefania.

Ciotka Stefania była starą panną, dziwaczką, osobą wybitnie ekscentryczną, przy tem zaliczała się do najbogatszych chyba dziedziczek w Czernichowszczyźnie. Znacznie starsza od matki, bardzo ją kochała, uważała za konieczne roztaczanie nad nią nieustannej opieki, toteż w rezultacie majątkami jej zarządzał jakiś plenipotent, a na prawie stale zamieszkiwała razem z matką.

Twarz miała szczupłą, pomarszczoną. Nosila okulary. Ubierała się krzyżaco i niegustownie. Bardzo sprzyjała ruchowi sufrażystek, nawet miała z nimi jakieś stosunki. matkę uważała za dziecko, często pouczała ją i strofowała. Posiadała szerokie zainteresowania i nieprzeciętną inteligencję. Chętnie występowała w roli arbitra we wszystkich sprawach rodzinnych. Wtrącała się również w interesy ojca, co ten znosił z niezachwianym, lekko znudzonym spokojem. próbo-

wała wpływać umoralniającą na Ada, na ogół jednak bez skutku. Ad bardzo ją lubił, gdyż pod maską zgryźliwości kryła dobre serce. Od czasu, gdy w 1907 roku wybuchły w jej powiecie rozruchy agrarne inspirowane ponoć przez socjalistów rosyjskich, miała do nich wiele urazy.

– Tego również nie wiem – odpowiedział ojciec – gdyby zresztą i tak było, to cóż z tego... każdy kto wyprowadzi sprawę polską na forum międzynarodowe, godny jest poparcia.

Ciotka uśmiechnęła się nieufnie i drwiąco.

– Socjaliści zgubią świat – rzekła – wspomnicie kiedyś moje słowa.

– Idzie nowe, nieznane czasy – dodał pan Antoni – a to wszystko, co jest – zginie... z tego, co zginie powstanie Ojczyzna nasado nowego życia.

– Pójdziemy po obiedzie na spacer? – zapytała nagle Helenka.

Ad, który każdej chwili spodziewał się tego pytania i na próżno gorączkowo poszukiwał w głowie jakichś wykrętów, chwycił się pierwszego, co mu przyszło do głowy.

– Nie mogę – rzekł – na piątą umówiłem się z Tadzkiem Tchórzewskim

Tchórzewscy mieli niewielki majątek w odległości 15 km od nich. Tadzio Tchórzewski był silnym, dużym, ponurym chłopcem o nachmurzonych brwiach, zmarszczonym czole i twarzy usypanej pryszczami. Nic go nie obchodziło prócz psów, polowania i łapania ryb. Nie chciał się uczyć, nikogo nie słuchał, włóczył się wiecznie po polach z dubeltówką lub zastawiał sieci. Stosunki między nim i Adem były bardzo powierzchowne, być może nawet oparte na wzajemnej antypatii. Łączył ich tylko wiek. Od czasu do czasu spotykali się dość niechętnie i rozstawali z zadowoleniem. Tadzio umiał mówić tylko o zwierzynie i rybach, a nie był to temat nieograniczony. Natomiast tego, co mówił Ad, Tadzio w ogóle nie rozumiał. Nie interesowały go książki, przygody, marzenia. Gdy się o takich rzeczach mówiło marszczył brwi z takim wysiłkiem, jakby mu głowa miała pęknąć, potem wykrzykiwał grube wargi i śmiał się ironicznie nieprzyjemnym wewnętrznym śmiechem, nie wydając żadnego odgłosu. Robiło to wrażenie, że o wszystkim wie najlepiej, nie zajmuje jednak stanowiska, bo ma do czynienia z głępszymi od siebie. Helenka, jak inni, nie darzyła Tadzia sympatią.

– Też coś takiego – powiedziała – i po cóż żeś się z nim umawiał?

Ad wzruszył ramionami.

– Nie wiem... ma coś bardzo pilnego... ogromnie mnie prosił, więc nie mogłem mu odmówić.

Po wypitym uprzednio winie u Jelinka i obecnie przy stole, czuł się zuhowato i kłamstwo przyszło mu bez wysiłku.

W tej chwili pojawiły się na stole bliny oraz pierogi z serem, widocznie z tego względu, że nie wszyscy bliny jadali. Do blinów podano czarny i czerwony kawior, kilka gatunków śledzi, masło topione z bułeczką oraz oddzielnie z siekanymi drobno jajkami, ser zwyczajny, biały, szwajcarski tarty, zielony, pachnący ziołami oraz jeszcze jakiś inny, podobny do rokforu, o nieprzyjemnym wyglądzie i zapachu, następnie topioną słoninę, z rumianymi skwarkami, które jeszcze gotowały się i parślały. Do blinów obowiązkowo musiały być mocno rozgrzane talerze i odpowiednia ilość wódki, którą panowie często-gęsto popijali.

Dość duże pierogi z serem pływały w maśle. Ab dobrze smakowały, po nałożeniu na talerz, trzeba je było oblać gęstą śmietaną tak obficie, aby całkiem w niej się skryły. Ad nie mógł pojąć, jak można takich potraw nie lubić – tymczasem babka nie uznawała blinów, a znów ciotka Stefania pierogów. Nie miały te kobiety pojęcia o smacznych rzeczach. Ad ze współczuciem na nie spoglądał, nakładając sobie po kilka razy te smakowite potrawy. Wreszcie, jakkolwiek nie był żartakiem, tak się objadał, że ledwie mógł oddychać, oddając w ten sposób dziękczynienie należne kucharzowi.

– Cóż to może być z tym Tadiem? – dopytywała się bardzo niezadowolona Helenka – co taki idiota może mieć za jakieś tajemnicze, a gwałtowne sprawy?

– Zdaje się, że chodzi o pojedynek – mruknął A.

Ta wiadomość bardzo poruszyła Helenkę.

– Pojedynek – powtórzyła niedowierzającym tonem – to chyba niemożliwe... o cóż to?

– Poróżnił się z jakimś Moskałem... sam nie wiem dobrze.

Przy sposobności postanowił jak najprędzej spotkać się z Tadiem i jakoś tę sprawę załatwić. Za nic w świecie nie chciał w oczach Helenki wyglądać na kłamcę.

– A kiedy wrócisz?

– No, pewnie późno... o jakiejś siódmej... ósmej.

– To już nas nie będzie tutaj.

– Bardzo żałuję... ale przecież widzisz... taka sprawa wypadła.

– Tak... trudno... umówmy się na jutro.

– Jak chcesz... ty do nas... czy ja do was.

– Dobrze... przyjadę jutro konno.

– Doskonale... nie mów nikomu, gdzie się wybrałem, bo nie chcę, żeby się z tym Tadziem rozniosło... to jest tajemnica.

– Dobrze.

Ukazały się na stole lody śmietankowe i owocowe oraz kruche ciasteczka. Zaraz potem podano kawę czarną, herbatę, konfitury, tort, oddzielnie w dzbanuszkach śmietankę i mleko. Ad żałował, że już tak niewiele w nim zostało miejsca na te smakołyki, a zwłaszcza lody, które lubił pasjami. Zbliżała się pół do czwartej i poczuł w sobie niepokój. Musi jeszcze przebrać się, wyporządzić łódź, ustawić maszt z żaglami. Tymczasem rozmowy zamierały przy stole. Mówiono jeszcze trochę o polityce, o zbliżającej się wojnie, o spodziewanych urodzajach, które, jak zwykle, miały być znakomite, o światowych cenach na zboże i na mąkę. Głównym odbiorcą tutejszej mąki była Ameryka Północna, niestety w ostatnich latach zaczynała poważnie konkurować Kanada. W związku z tym projektowano, w zależności od urodzaju zniżyć cen. Wszystko wydawało się proste, a przeszkody nietrudne do pokonania. Ludzie o pełnych żołądkach skłonni są rozumować optymistycznie, a proces trawienia jest zbyt miłym zajęciem, aby go sobie zatruwać myślami o niepowodzeniach i kłękach. Wreszcie rozmowa zacichła. Słońce na zewnątrz mocno paliło. Białe w granatowe pasy markizy werandy poruszały się leniwie od ciepłego wiatru. Za oknami przesłoniętymi oski terami brzęczały jakieś owady. Oczy kleiły się do snu. Matka spojrzała na ojca i dała znak do powstania. Zaczął się szmer odsuwanych krzesel i załatwiano szybko jakieś niedokończone słowa. Ad ucałował ręce matki, pożegnał się po kryjomu z Helenką i prędko wybiegł z domu.

Objęła go pożoga słoneczna. Przez chwilę stał oślepiiony. Trzeba się było śpieszyć, bo część towarzystwa wyjdzie na werandę, inni pójdą do kwiatowego ogrodu i ktoś może zobaczyć, jak on się będzie przemyskać do grobli. Niby nic takiego, ale rad by uniknąć wszelkich pytań.

Szybko naciągnął długie, białe spodnie, marynarską bluzę, białą z granatowym, marynarską czapkę z dwiema granatowymi wstążkami. Z alkiejryka wywlókł długi i cienki pal masztowy, do którego przymocowana była reja oraz obydwie żagle – prosty i skośny razem z olinowaniem. Prędko przebiegł przez drogę oraz po mostku przez kanał doprowadzający wodę do młynów. Dalej

była tama, drugi mostek i zaczynały się groble częściowo porośłe szuwarami. Między tymi szuwarami i w miejscu, gdzie grobla tworzyła jakby małą zatoczkę, miał swoją przystań. Stała tam jedna duża łódź sześciowiosłowa, druga mniejsza czterowiosłowa, trzecia dwuwiosłowa, zgrabna, z kilem, nazwana przez Ada „Mewą”, prócz tego jeszcze kilka małych łódek rybackich, podobnych do kajaków, a zwanych „duszegubkami”. Do tych łódeczek trzeba było mieć niezłe umiejętności, gdyż były bardzo wywrotne. Ad wsadził wiosła do gniazd, umocował maszt, prosty żagiel przywiązał do burty, linkę od skośnego pozostawił wolną, tak, aby później mógł nią manipulować, odbił od małego drewnianego mola przy pomocy wiosła i jakiś czas płynął na wiosłach, aż żagle poczęły chwytać wiatr, wówczas przesiadł się do steru.

O tej porze zwykle doliną Bohu wiała lekka morka biegnąca od morza w górę rzeki. Posłuszne żagle wydęły się głęboko, a łódź szarpnięta ich siłą zachybotała się kilka razy, ugięła jak niespokojny koń i później zadrżała nabierając pędu. Wiatr załopotał skośnym żaglem, Ad przyciągnął go ku sobie, poprawiając kierunek sterem i w tej chwili zaszumiała woda pod sterem, pieniać się i bulgocząc. Boh szklił się i srebrzył, przemijając niby taśma szyta złotogłowie. Brzegi powoli, majestatycznie ruszyły z miejsca i zaczęły się obracać. Leniwie poruszały się drzewa, krzaki, nadbrzeżne trzciny, a droga biegnąca wybrzeżem żółto-srebrna zdawało się że również płynie. Z prawej strony zbliżały się nieco i zaraz potem uciekały bielone chaty Malinówki. Rozrzucone na wyniosłym płaskowzgórzu z tej odległości wyglądały jak ilustracje do bajki o krasnoludkach, z lewej strony mijały kamienne budynki stajen i obór, potem zbiorowe domy robotników i służby folwarcznej, podobne do miejskich kamienic, następnie stojący na wzgórzu, do połowy skryty w zaroślach zgrabny domek buchaltera, pana Skordelli. Przez chwilę było widać stąd panią Skordelli leżącą na leżaku z książką w rękach. Uniosła rękę i kiwnęła nią kilka razy. Ad w odpowiedzi pomachał swoją marynarską czapkę. Potem przepłynął rząd wierzb pochylonych nad wodą i już widać było chatę „promszczyka”.

Wielki, czworokątny prom z poręczami stał przy brzegu. Przez całą szerokość rzeki biegła stalowa lina, po której prom się poruszał. W miejscu tym trzeba było zwinąć żagle i maszt położyć na łódce, aby się móc przemknąć pod liną. Ad jakiś czas wiosłował i później na nowo rozpiął żagle. Od tego miejsca zaczynały się czerwone granity. Z początku niedbale rozrzucone na lewym brzegu, szybko narastały, piętrzyły się i idąc wciąż do góry urastały do kilkudziesięciu

metrów wysokości. Woda przepływała koło nich spokojna, lśniąca i gdy się w niej odbijały, wydawały się jeszcze większe.

Z jednej strony brzeg był tak zielony, że aż szmaragdowy, a z drugiej rubinowy. W promieniach słońca skały wyglądały jakby purpurową zarzucone zasłoną i błyski od nich padały podobne kropłom krwi. Przede wszystkim jednak ta głęboka cisza, pustka pełna i woda czerwono-ciemna, nie posiadająca dna.

Ad skręcił w prawo i płynie pod skałami. Łódź wodę pruje i pozostawia długą, chyboczną smugę, niby tren czerwono-srebrny. Widać już z dala samotną wyspę. Wygląda jak zielone pasmo rzucone pomiędzy srebrną wodę i wyglądem swoim nie usprawiedliwia nazwy „Czerwona”. Zresztą jeszcze jest dość daleko. Tymczasem między skałami bliżej jest przesmyk, wodna szczelina szerokości jakichś siedemdziesięciu metrów. Jeśli wjechać w nią, to czerwone głązy nawisają z obydwu stron niebotycznie, tak, że nawet zadartszy głowę nie widać ich krańca, tylko niebo przegląda niebieskie, jakby przez poszarpaną oglądane lunetę. Woda tutaj jest spokojna, szklista, prawie nieruchoma. W zatoce nie ma wiatru, a jeśli jest to przelata kędys górką. Trzeba jechać na wiosłach – i można wtedy śpiewać, a przedziwne echo rozciąga głos i ustokrotnie i odbija od swoich krańców, aż wydaje się, że to nie ludzkie głosy, tylko może anielskie, a może i szatańskie, bo coś melodyjnie zawodzi, jakby śpiewa, ale równocześnie grzmi i zgrzyta i jęczy. Gdy głos przemija, to pozostaje po nim smutek i na sercu jest ciężko. Czemu, ach, czemu wszystko przemija? Przez tę wodę prawie szkarłatną i przestrzeń różową po kilkuset metrach wyjeżdża się na szmaragdowe jezioro. Całe zarośnięte, lśniące, zamysłone. Ptaki pokrzykują i trzcina szumi, a szumi. Najlepiej teraz rzucić wiosła, zapatrzyć się przed siebie, myśleć o takich rzeczach, które nie mają imienia. Nieuchwytny wiatr zniesie łódkę do samych szuwarów i będzie tam szumiała pieśń wieczystego przemijania, które czasami rwa w takim spokoju i takiej zadumie.

Przy końcu jeziora jest znów wąski przesmyk i jeśli pojechać dalej, widać na brzegu wielkie koło irygacyjne, które porusza mały, siwy osiołek. Obok stoi kilka chat i koło nich biegają ciemne, małe dzieci, na pół nagie, podobne do Cyganiątek. Mieszka tutaj Bułgar Nazarov, zdolny ogrodnik. Słynie na całą okolicę z wyjątkowo smacznych melonów i kawonów. Przyjemnie jest z nim porozmawiać, kiedy kręci się i skrzypi wielkie koło., a małe dzieci stoją obok i spoglądają zdziwionymi, ciemnymi i wypukłymi jak śliwki oczami. Nazarov mówi łamanym rosyjskim i zwykle opowiada o dziejach nieskończonych wo-

jen, jakie Bułgaria prowadziła z Turcją. Jest w tych opowiadaniach dużo już z legendy. Krew leje się strumieniami, bohaterscy wojowie wyrastają spod ziemi, słowiańska ziemia cierpi i wreszcie pogański Turek jest pobity. We wszystkich tych czynach Nazarow bierze wybitny udział, sprawia się dzielnie i mógłby zostać nawet generałem, ale woli być ogrodnikiem.

Na ten raz Ad szybko mija ten przesmyk i pośpiesza do „Czerwonej Wyspy”. Spogląda na zegarek, zostało jeszcze około pół godziny, więc zdąży na pewno. Widać już rozległą, różowawą plażę i pierwsze drzewa stają się wyraziste. Wyspa leży akurat w połowie rzeki. Brzegi ma nawet dość wysokie, zarośnięte bujną i obfitą roślinnością. Przebywają tutaj, jak rok długi, niezliczone ilości ptactwa wodnego. Wyspa liczy około trzystu metrów długości i jakieś sto szerokości. Wzdłuż, od plaży aż do końca wyspy prowadzi kręta między drzewami ścieżka. Pośrodku, na małej polanie, w cieniu płaczących brzoź stoi altana, obrosnięta błyszczącym bluszczem. Aby się w poprzek dostać do któregoś z brzegów, trzeba się przedzierać przez gęste zarośla dzikich malin, jeżyn, głogu, tarniny. Rosną tutaj również wielkie paprocie, a konwalii jest tak dużo, że na wiosnę całą powierzchnia wyspy wydaje się być przysypana śniegiem. Z drzew najwięcej jest lip, dębów, brzoź i jaworów. Nigdy nie wyrębywane rosną potężne, rozłożyste i, jeśli któreś umiera, to tylko ze starości, podmuchem wichrów zwalone i leży tam, gdzie upadło, a na nim wnet wyrasta nowe, młode życie. Nieopodal polany znajduje się źródło. Wytryska z niego woda czysta i zimna; gdy dzień jest upalny smakuje nadzwyczajnie. Ad na tej wyspie spędził wiele miłych chwil. Tutaj czytał, tutaj marzył, tutaj wcielały się w mgliste kształty jego imaginowane postacie: czarownik, rycerz i uśpione królowny.

Teraz przybił do małej zatoczki łódkę wyciągnął na brzeg i przywiązał łańcuchem do pnia wierzby, zwinął żagle i zdjął maszt. Słońce odbijało się milio-
nem błysków w wodzie, a ogromnie daleko, gdzieś na wysokości promu dojrzał mały, biały punkcik. Osłonił dłonią oczy. Tak, to była łódka, z jednym trójkąt-
nym żaglem.

Ad czuł suchość w ustach i policzki paliły go żywym ogniem. Niecierpliwość porywała go do jakiegoś ruchu, ale stał nieruchomo, z oczami utkwionymi w płynącą łódkę. Teraz już mógł dojrzeć Marusię. Siedziała przy sterze w jasno-
niebieskiej sukience. Głowę miała nieco w bok pochyloną i lewą ręką rozgar-
niała wodę poza burtą. Gdy się zbliżyła, wszedł ze swoich krzaków i krzyknął:

– Hop... hop... dzień dobry.

Uśmiechał się i powiewał marynarską czapkę. Podniosłą głowę i roześmiała się również.

– Ach... Adik... jak to ładnie, że pan już czeka... gdzie przybić?

– Tutaj... za szuwarami.

Podciągnął łódkę i podał jej rękę. Jak to ładnie było, że jego większa i jej mniejsza łódka stały obok siebie. Pochylił się i pocałował jej rękę. Spoglądała na niego z rozbawionym zdziwieniem.

– U nas rączki całują tylko bardzo dobrych znajomych.

– Będziemy chyba dobrymi znajomymi?

– Na pewno... na pewno.

Wyszli na brzeg i szli w kierunku polany. Ad w zadumie spoglądał przed siebie.

– Wie pani... to jest niepowetowana strata dla literatury, że Lermontow zginął tak młodo.

Przyjrzała mu się bacznie, potem parsknęła śmiechem.

– Co też pan... co też pan?

Ad poczerwieniał tak okropnie, że zdawało się jakby mu nawet włosy poczerwieniały.

– Nic – bąkał – nic... chciałem tylko wiedzieć... ach, wreszcie – machnął ręką – chciałem być poważny.

Wzięła go pod ramię. Przez cienki rękaw bluzy marynarskiej spłynął na niego prąd podobny do elektrycznego.

– Po cóż pan ma być poważny?... niech pan będzie tylko naturalny... cały pański urok, to szczerść.

– Przecież ja jestem szczery.

– No tak... wiem doskonale, że możemy również porozmawiać o Lermontowie.

– Tak... temat poważny – zaśmiał się – co prawda na ten raz nawet bez powagi mogę powiedzieć, że ubóstwiam jego wiersze.

– Pieczalnym diemon, duch izgnania leżał na griesznoju ziemloj – zaczęła deklamować Marusia.

– Właśnie. I często myślę...

Zaciął się. Niewygodnie było iść po wąskiej ścieżce we dwoje. Co i raz biodro Marusi dotykało jego biodra. Nic sobie z tego nie robiła. Być może nie dochodziło to do jej świadomości, natomiast na Ada uderzały płomienie.

– Cóż pan myśli?

– Myślę, że każdy z ludzi ma w sobie trochę z tego demona.

Znów przyjrzała mu się i znów wybuchnęła śmiechem.

– Pan jest okropnie pocieszny... naprawdę... coż pan ma w sobie z demona? Skonfundował się do reszty.

– Nie chodzi mnie o wygląd... tylko o smutek... o ten smutek – bąkał.

– Tak – powiedziała spoglądając spod oka – wyglądu demonicznego to pan rzeczywiście nie ma... a na smutnego również pan nie wygląda. – delikatnie i tylko na chwilę przytuliła się do niego.

– Miły, a może pan jest naprawdę smutny... może pan ma jakieś smutki... proszę powiedzieć.

Minęła chwila milczenia.

– Nie gniewa się pan już na mnie?

– Nie – powiedział – ani chwili nie gniewałem się... tylko było mi trochę przykro.

– No, tak... byłem taka dokuczliwa?

– Nie... to był tylko żart... rozumiem doskonale... ale, że musiałem nagi stać przed wami.

Spoglądała bokiem spod długich, ciemnych rzęs.

– Pan jest chyba bardzo wstydlivy?

Nic nie mówił. Zastanawiał się nad tym, czy naprawdę jest wstydlivy, czy może raczej tylko bojaźliwy. Siadają w altanie. Jest dosyć niewygodnie, gdyż ławki nie posiadają poręczy. Dzieli ich stół. Na blacie stołu drżą płamy słoneczne. Słychać jak brzęczą owady, a nad stołem pośrodku kilka zielonych muszek odbywa zagmatwany taniec, pełen zygzaków, niespodziewanych poruszeń i pozornego spokoju.

Ad jest trochę zdyszany, nie tyle od słów, które go emocjonują, ile od wysiłku myśli. Chciałby jej wszystko powiedzieć dokładnie i wyraźnie, tak jak się mówi przyjacielowi. Zresztą nie czuje się swobodnie. Krępuje go nieco jej uważne i jakby rozbawione spojrzenie.

Rosyjski jest pięknym językiem. Nie ustępuje w niczym włoskiemu. Marusia umiała mówić miękko i delikatnie. Zdawało się, że przesypuje perły. Ad nie zauważył nawet, kiedy z formy „per wy” przeszła na „per ty”. Postusznie usiadł obok.

– Za co ty mnie lubisz? – zapytała.

Zastanowił się. Właściwie nie wiedział czemu ją lubi. Coś go do niej ciągnęło. Uśmiechnął się.

– I znów nie wiem – powiedział – podoba mi się pani... sądzę, że pani jest pewnie bardzo mądra... jestem zachwycony pani listem... chciałbym mieć takich tysięcy.

– Bardzo dziękuję... jesteś prawdziwie uprzejmy, tylko zdaje się, że to wszystko nieprawda... czyż dziewczyna o takich chłopskich rumieńcach, o oczach jak dwie tarki i zadartym nosie może być ładna?... mądra?... mój Boże... chciała-bym być bardzo mądra... już trzy lata studiuje na Wyższych Żeńskich kursach... i żebym chociaż wiedziała, czy jestem mądra?

– Co pani studiuje?

– Historię... już wiem wszystko o królach, o wojnach, rewolucjach, o rozbojach, o podstępach, o fałszach, o wielkich oszustwach, o ciemieniu, o znęcaniu się... i co mi z tego?... nie czuję, abym była mądrzejsza.

Ad kącikiem oczów spoglądał na Marusię. Zachwycony był, że rozmowa przybiera taki wyraz o jakim myślał poprzednio.

– Jeśli pani to wszystko wie, to pani jest mądra – powiedział.

– O, to nie jest mądrość – zaprzeczyła – to tylko wiedza... nic ważnego... tego się każdy może nauczyć... ty też.

– Nie – rzekł – historia mnie nie interesuje... nie interesuje mnie to, co już było, chciałbym raczej wiedzieć o tym, co jest lub co będzie... w ogóle chciałbym być lekarzem.

– Nieźle – orzekła – czemuż to?

– Chciałbym – ciągnął – leczyć ludzi, chciałbym być pożytecznym.

– Miły – odparła, gładząc jego rękę – czy ty wiesz, że ja tak samo myślę?... ach, ścierpieć nie mogę niesprawiedliwości... marzę, aby wszyscy byli jednakowo szczęśliwi... zresztą, nie tylko marzę... tam w Moskwie dużo pracujemy w różnych kółkach studenckich i organizacjach... tutaj we wsi też nie marnuję czasu.

– Nie zdaje mi się, żeby wszyscy mogli być równi – powiedział Ad niepewnie – będą zawsze przecież mądrzy i głupi, pracowici i leniwi, dobrzy i źli, zapobiegliwi i rozrzutni...nie chodzi chyba o to, aby ludzie byli równi, tylko o to, aby każdy miał tyle szczęścia, ile mu się należy i na ile zasłuży.

– Och.. nie... nie... ty tak mówisz, bo jesteś naszpikowany przesądami klasowymi, ale to jest nieprawda... wszyscy są równi wobec przyrody, wobec cier-

pienia, choroby, głodu, śmierci... każdy jest jednakowo nieszczęśliwy i każdemu się należy ten sam udział w życiu... szczęście powinno być podzielone po równo i każdy powinien swój okrucuch dostać... nie może być takiej niesprawiedliwości, takich różnic... jedni nie wiedzą, co czynić z pieniędzmi, a drudzy giną z głodu, jedni mają wykształcenie, bo dla nich są szkoły i uniwersytety, a inni ciemni i niepiśmienni, dlaczego jedni mają umierać od byle pryszczu nieleczzonego, a inni leczyć urojone choroby po kurortach i sanatoriach... dlaczego jedni mają wyzyskiwać pracę ludzką, dorabiać się majątków, pękać od nadmiaru dóbr, a drudzy całe życie muszą harować jak niewolnicy, jak bydło... czy słońce nie jednako dla wszystkich świeci i czy nie tym samym oddychamy powietrzem?

Marusia była zachwycająca z ogniem w oczach i z namiętnością w głosie, pomimo wszystko Ad czuł, że w rozumowaniu jej jest dużo słabych miejsc, nie umiał jednak myśli swoich sformułować.

– Więc pani chciałaby, aby wszyscy byli pani równi... jakże to zrobić?

– Ustrój trzeba przede wszystkim u nas zmienić... przepędzić cara i całą jego klikę... następnie bogatym trzeba odebrać ich majątki i posiadłości i oddać to biednym, tak, żeby wszyscy mieli równo. I trzeba stworzyć parlament, żeby naród sam sobą rządził przez swoich przedstawicieli... otworzyć szkoły dla wszystkich, żeby każdy miał dostęp do nauki, do wiedzy... i wszystko musi być wspólne...

– Ja nie wiem – nieśmiało przerwał jej Ad. – Pewnie ma pani dużo racji. Ja na tych sprawach nie znam się. Wiem, że dużo jest zła na świecie... tak piszą we wszystkich poważnych książkach. Dlatego... mówiłem pani, chcę zostać lekarzem, aby ludziom pomagać... Tylko, pani chce, aby wszyscy byli równi, a mnie to się wydaje niemożliwe. Słuszne jest dążenie do sprawiedliwości; ludzie nie powinni być krzywdzeni... Ale równość? Tego nigdzie nie ma. Nawet w przyrodzie ... niedawno czytałem Darwina i Haeckla ... Życie jest walką i zawsze zwycięża najsilniejszy. Gdzież tu jest równość, gdy słaby musi zginąć, bo tak każą prawa przyrody?

– Zamiast Darwina niech pan lepiej poczyta Marksa i Kautsky'ego, to się Pan dowie, kto jest silny i kto musi zwyciężyć. Ten przybity, zahukany, ciemny człowiek zwycięży! Zobacz Pan, powtórzy się rewolucja francuska i kto był wywyższony, będzie poniżony.

– Chociaż jest pani starsza ode mnie i więcej się uczyła, to jednak myli się pani – odparował Ad oburzony. – Dopóki będą mądrzy i głupi na świecie, nie

będzie równości. Budować i tworzyć będą mądrzy I mądrzy będą władać głupimi.

– Nie zawsze jest winą głupich, że są głupi – powiedziała Marysia bardzo cicho. – Dla biednych wrota do wiedzy są zamknięte.

– Och, nie, ja nie o tym myślałem. Tylko na to wszystko trzeba czasu. Dam tylko pani przykład. U nas hoduje się zboże. Jest to pszenica najwyższego gatunku... Iluż trzeba było wysiłków i prób, aby takie ziarno powstało?... hoduje się również kury, krowy i konie... mija dużo lat i dużo bywa niepowodzeń, zazwyczaj wychoduje się ten najlepszy typ, najwyższy gatunek... trzeba dać odpowiednie warunki, odpowiednio krzyżować, odżywiać, wychowywać po prostu w pewnym środowisku, w pewnym otoczeniu... i w ten sposób powstaje rasa... różne cechy się dziedziczą, przez odpowiedni dobór, powstaje nadwyżka cech dodatnich lub jakichś właściwości... i to jest rasa... czyż nie tak samo jest z ludźmi?... Ja na przykład pochodzę ze środowiska rolników i hodowców... przez pokolenia moi przodkowie rozwijali się, przeobrażali i dlatego myślę, że ja się nadaję na kierownika również... natomiast chłopci mieli inne warunki... oni byli ci podwładni i niewolni... czy pani sądzi, że teraz od jednej jakiejś zmiany chłopci mogą stać się panami, a panowie chłopami?... te różne cechy, te uzdolnienia po prostu się dziedziczy.

– Bardzo wygodna teoria rasy – zaśmiała się Marusia – ciekawam, co mam powiedzieć o sobie, gdy ja jestem panna Krestowozdwiżeńska?

– No, to co z tego? – zapytał Ad.

– To właśnie, że w mojej rodzinie, odkąd tylko sięga pamięć, zawsze byli duchowni... najrozmaitsi... zwyczajne popy i „preoświaszczenni” i jakieś diaki i diakony i archymandrycy i „prepodobni” i nawet zakonnicy, jacyś „posłusznicy” i nawet przeorowie.

Zamyśliła się, zerwała listek bluszczu i machinalnie obracała go w palcach.

– Co ja pamiętam?... probostwo duże... ciche... wieś wielka... naprzeciwko cerkiew... zawsze biją dzwony... z rana, w południe i wieczorem, a przed oknami ogródek i dużo kwiatów... ojciec gruby, potężny, brodaty, podobny do któregoś z apostołów... do świętego Pawła... tak... tak... przerzuca kartki pisma świętego... ślini palce... mówi basem. A matki nie pamiętam... dawno umarła... wejdiesz do cerkwi, a tam półmrok... błyszczą złotem „wrota cesarskie” spoglądają z obrazów zaciemnione twarze świętych... i pachnie... ach, czym to pachnie... chłopskim potem, kożuchami, dziegiem... pachnie też kadzidłem...

ojciec zawsze stoi w takim błękitnym obłoku kadzidła z kadzielnicą w rękach... cienkie świece palą się na ołtarzu przed świętym Andrzejem... migocą... jarzą się... jedne gasną... drugie zapalają się... tak... tak... ojciec śpiewa: „Boże zmiłuj się... Boże zlituj się”... wszyscy żegnają się i biją pokłony... a w domu modlimy się dużo... dużo jemy, dużo śpimy... barszcz, kasza, bliny, kwas chlebowy z rodzynkami... to lato, to zima... niewesoło... gimnazjum kończę... do Moskwy jadę na kursy... ojciec chce, żebym wyszła za mąż za popa... tak musi być w naszej rodzinie... a ja się rwę... rwę... coś mi majaczy... szukam... uczę się... płaczę... ach, na próżno wszystko... przecież jasne jest, że Boga nie ma... a ty mówisz dziedziczność!

Ad jest zaskoczony. Co się stało, jak to, dlaczego nie ma Boga? Skąd jej to przyszło do głowy?

Tymczasem ona pochyła swoją czarną głowę, aż grzywka spada całkiem na oczy.

– Tak... tak... nie ma Boga, ani dobroci, ani sprawiedliwości... wiedziałabym przecież... jest tylko zło i szatan rządzi światem... on ma, oczywiście, rację... nigdy nie będzie równości ani braterstwa, bo diabeł włada duszą człowieka... nie będzie zgody nigdy... ani żadnego porozumienia... tylko nienawiść i tylko cierpienie... bo nienawiść jest motorem życia, a nie miłość... miłość... to dobre dla dzieci... to kłamstwo... to największa z bujd, jakimi człowiek siebie oszukuje... A ty wierzysz w Boga? – pyta niespodziewanie.

Ad jest zaskoczony. Jąka się. Nie wie, co odpowiedzieć.

– Jak to? – mówi i mruga oczami. Zresztą już tyle razy o tym myślał. Tyle razy stawiał sobie to samo pytanie.

– Któż by stworzył świat... i to wszystko... i człowieka, a przede wszystkim ten ład jakiś... harmonię... przecież byłby chaos.

Marusia śmieje się gorzko.

– Tak... tak... ład... chaos... może jest chaos, a nam się wydaje, że jest ład?... to jest przyroda... samo się tak ułożyło... przypadek... a może jest inaczej... jest Bóg... tylko nie dobry, ale zły... tak zły jak szatan... i to jest właśnie szatan, a nie Bóg... bo skąd by było tyle zła, gdyby Bóg nie chciał?

– Co za zło? – pyta Ad – gdzie jest to zło?... jest pani młoda... taka śliczna... mądra... zdrowa... ile jeszcze szczęścia przed panią... a pani zło i zło.

– Mylisz się mój miły... jest tylko zło... i urodzenie i to życie i wszelkie cierpienie i rodzenie dziecka i starość i całą przyrodę... niedoskonałość... niena-

wieść... zawiść... pycha... to, że jest się zwierzęciem... te siły nieobliczalne... i wojny i choroby i klęski... i śmierć sama... wszystko zło... ale ja pluję na to... napluć i więcej nic... trochę pożyć... trochę poradować się... tak było... tak będzie... Poczytaj historię... zawsze to samo... i wiem, że nic nie można zmienić... czasami chcę, a czasami nie chcę, ach, żeby to wszystko przepadło... i ten dzień, kiedy przyszedł na świat... taka słaba, taka bezsilna... ty tego nie wiesz, bo ty jesteś zdrowy, mocny chłopak... a ja jestem popówna z Malinówki... ani pies, ani wydra... cha... cha... cha... i nudzę się i będę się i sama nie wiem czego chcę... i ten Bóg chrześcijański brodaty, pochmurny co dzień koło mnie przechodzi... a ja nie chcę... nie chcę... rozumiesz, nie chcę takiego Boga... nie godzę się z Nim, ani na chwilę... ja chcę Boga dobrego, słodkiego, młodego, pięknego... ty wiesz... takiego, jak w Grecji bogowie bywali... ja chcę kochać.

Ad był prawdziwie zmartwiony. Cóż mógł pomóc na te wszystkie strapienia? Pierwszy raz mu się zdarzyło, aby kobieta czyniła przed nim zwierzenia i nie wiedział, ani o co chodzi, ani jak powinien się zachować.

Podniosła oczy, uśmiechnęła się łagodnie i jednocześnie leniwie i dziwnie słodko. Przeciągnęła się. Ręce jej rozkrzyżowały się niby dwa białe skrzydła, a piersi sprężyły i uwypukliły.

– Duszno jest tutaj – powiedziała – chodźmy na polanę.

Poszli. Słońce zaczynało już lekko różowieć. W tym oświetleniu rzucanym na zieleni była radość i jakby jakiś taniec. Zdawało się, że wiruje powietrze, a w nim wszystkie przedmioty. I Marusia stała się od razu jaśniejsza. Jej niebieska sukienka nabrała uśmiechniętej barwy.

– Ad... ty jesteś bardzo miły chłopak – powiedziała Marusia – tak łatwo się z tobą rozmawia... i tak w ogóle jest jakoś... jakby to nie była prawda... właśnie dlatego może to jest prawda... ta wyspa, to źródło, ten dzień prawie wiosenny... i ty.

Uniosła się na jednym łokciu, zerwała żdźbło trawy i zaczęła łechtać Aa. Było bardzo przyjemnie i jednocześnie nie można było wytrzymać. Zupełnie jakby mucha błąkała się po twarzy.

– Nie marszcz się tak strasznie – śmiała się.

– Kiedy nie mogę – śmiał się również.

– Mój miły... mój maleńki... mój śliczny syneczek... chcesz, zaśpiewam ci naszą studencką piosenkę:

„Szybkie jak fale dni życia naszego...

Z każdym dniem wciąż krótszy do grobu nasz szlak...

Ach, nalej przyjacielu dzban wina starego...

Modlić się będziemy do Stwórcy dobrego...

Na naszej przyjaźni znak...

Wódka z ogórkiem pójdzie nam w smak."

Śpiewa półgłosem. Jej mocny, piersiowy, niski głos wibruje i wydaje się, że strumieniami, że w jakichś kaskadach rozlewa się po trawie i niknie wśród brzoź. Smutna i jednocześnie beztroska pieśń rosyjskich studentów mówi o tym, że życie szybko przemija, że nie ma się czym przejmować, nie ma o co dbać, zawsze jednak kres czeka – mogiła i nicość. Brać z życia trzeba, co się da. Posmakować, wypić je do dna. Nasycić się urokiem życia – miłością, winem, rozkoszą – a później bez żalu opuścić ten niepewny przybytek złudzeń i cieni. Przemienie wszystko. Wszyscy zapomną – i nic nie pozostanie z człowieka, który niegdyś cierpiał, kochał i ufał.

Jest jeszcze wcześniej i Ad śpi jak zabity. Uśmiecha się do przedrannych, smacznych marzeń. Jedno nagie ramię zarzucił pod głowę, drugie bezwładnie opuścił wzdłuż ciała. Przez moskitierę i firanki, znalazłszy szparę w zasłonie, wślizguje się wąski promień słońca i wędruje po pokoju. W poświacie jego wibrują miliardy pyłków, których nie obowiązuje prawo grawitacji. Ze względu na swą małość nie podlegają procesom ciężenia i nie opadają na dół.

Ta promienista smuga pada akurat na twarz cudownie pięknej, a być może przez malarza wyidealizowanej prababki Krystyny. Głębokie fiołkowe oczy zdają się żyć w tym oświeceniu, nabierają wyrazu. Cienkie brwi, dwiema nitczkami wzniesione do góry. Prosty, szczupły nos o wyraźnych chrapach. Wargi czerwone, wilgotne, pełne słodyczy. W kącikach ust jakaś zadzierzystość, jakby trochę ironii. Na wysmukłej blado-różowej szyi naszyjnik z turkusów. W bujnych włosach błyszczących miejscami jasną miedzią z lewej strony półksiężyc również z turkusów. Lekka, fiołkowa suknia ówczesną modą wysoko na piersiach spięta. Pośrodku dołeczek rozdzielający piersi. Prześwieca przez materię lekka nagość ciała. Jest tam i jędrność i wypukłość i świeżość. Spod krótkich, bufiastych rękawów sukni wypływa para rąk w miarę okrągłych i szczupłych i jakichś bezbronnych, a jednocześnie silnych. Piękne, różowe dłonie o długich,

zgrabnych palcach trzymają naręcze fiołków i na serdecznym palcu lewej ręki widać pierścień z podłużnym turkusem i diamentami. Ciekawe jest to, że portret ten, być może tworzony wzorem Giocondy, posiada niepewny, nieuchwytny uśmiech. Prawdopodobnie w zależności od oświetlenia czasami uśmiechu tego nie ma, czasami jest bardzo nikły, prawie niezauważalny, czasami zaś nieomal wyraźny. Nigdy jednak nie zdarza się, aby był zupełnie wyraźny. Podobnie dzieje się z oczami. Bywają uśmiechnięte, zamyśnione, nawet smutne. Przeważnie są rozmarzone, jakby żyło w nich przypomnienie jakiejś bardzo miłej chwili.

Portret ten niegdyś wisiał wraz z innymi w długiej, portretowej sali. Sala ta z jednej strony była prawie całkowicie oszklona. Na przeciwległej ścianie znajdował się cały szereg wizerunków przodków. Obok prababki Krystyny wisiał pradziadek Bohusław – mąż niestary, o podgolonej czuprynie, smagłe cerze, orlim wejrzeniu, zawieszistym wąsie, pięknych, łagodnych ustach. Ukrainny ten pan brał udział w Konfederacji Barskiej. Tułał się wraz z Pułaskim po szerokim świecie. Później, po powrocie do kraju, pojmany przez Moskali, został zesłany na Syberię, gdzie bujnego swego żywota dokonał. Prababka, choć w sile wieku, wdziawszy raz strój żałobny, już nigdy go nie zrzuciła. Na konterfekcie jednak była przedstawiona jeszcze z tych jasnych, szczęśliwych lat, gdy troski nie padły kirem na barki. Obok, z jednej i z drugiej strony wisiały inne portrety. Było ich dość wiele. Niektóre z nich zaliczyć można było do prawdziwych dzieł sztuki, większość jednak były to prace albo bardzo przeciętne, albo całkiem bohomazy, naprędce zapewne malowane przez wędrownych malarzy, przeważnie „monachów” biegłych w sztuce malowania cerkiewnych kiczów lub też przez jakieś nieznane, domorośle talenty. Przedstawieni tam byli przeważnie panowie w najrozmaitszym wieku. Twarze były zarośnięte, brodate i wąsate, brwi nachmurzone, wejrzenie marsowe. Niewiele co było z nich poznać, chyba że z tarcz herbowych i napisów łacińskich sławiących czyny i wymieniających stanowiska lub posiadłości. Właściwie byli podobni jedni do drugich. Wielu z nich przyciemnionych ostatecznie przez czas w ogóle było nie do poznania. Raczej tylko pewne znaki, symbole, niby jakieś równania matematyczne z dalekiej przeszłości, gdzie zgubił się już wątek czasu i przestrzeni, przestało obowiązywać poczucie rzeczywistości, a to, co pozostało było tylko – legendą. Przybrani byli, w zależności od epoki, w czamary, żupany, kontusze, delie, francuskie fraczki i białe peruczki, przeważały jednak pancerze. Pancerzy, przyłbic, hełmów, koncerzy, buzdyganów, buńczuków – było najwięcej. Niespokojny, kresowy ród, to

za pługiem chodził, to z mieczem po polach uganiał. Wiecznie płonąca granica wymagała nieustannej czujności i stąd może były te chmurne, groźne wejrzenia. Całe życie upływało im w pochodzie i w obozowisku. Oczywiście były przeziwne zapiski rodowe, podania, pożółkłe pergaminy – i legenda. Był jeden taki, który na czele jedenastu synów poległ przy oblężeniu Kamieńca, kiedy to twierdza Kamieniecka przed Turczyńm prochami została wysadzona. Inny znów, na pół rycerz, na pół watażka, gdy wrócił z wyprawy do Siedmiogrodu, to w rodzinnym Humaniu na rynku, w atłasy przybrany i karmazyny, w beczce z miodem się wykąpał i później utarzał w pierzu wyprutym z żydowskich pierzyn, poczem tańczył przy blasku pochodni hopaka, aż skry z kamieni leciały. Duża domieszka krwi ruskiej w tym czasie, gdy nie było żadnych różnic pomiędzy Polską a Ukrainą, nic nie przeszkadzała – owszem, dodawała ognia, rozmachu i sentymentu. Kochali się też niemało, wzdychali, na teorbanach grywali. Zawsze murem przy Polscze Ojczyźnie stali – i nie było zdrajców ani renegatów, chociaż długie lata do obrządku grecko-katolickiego należeli. Przy różnych królach, w najrozmaitszych potrzebach, z niezliczonymi wrogami walczyli. Łupy niejednokrotnie obfite przywozili, a i kondemnatkę niejedną miewali i gardłowali i na sejmikach bigosowali i zajazdy czynili, ale sejmów nie zrywali, przeciw praworządności nie występowali, a gdy zaszła okoliczność, głowy swe na tym pograniczu chętnie kładli. Byli też dowódcami grodów kresowych, stanic, kaszteli, garnizonów. Czego nie złupili Tatarzy, Turcy, Kozacy, Moskale – to mieli, ale i sami często łupili. O jednym z przodków, który Turków aż w Stambule podchodził chodziła gadka, że skarby niezmierzone w swym dworze zebrał, a gdy go Kozacy oblegać mieli, w baryłki te doba swoje zapakował i w Dnieprze utopił. Później męczono go i torturowano przez całe miesiące, by wyznał, gdzie te bogactwa schował. On jednak tylko przeklinał i kiedy już w Boga ufność stracił, diabła na pomoc przyzywał, ale słowa jednego nie powiedział. gdy przyszły czasy niewoli pod Napoleonem bywali i pod Dąbrowskim i pod Kościuszką; w powstaniach i na emigracji, i często-gęsto na dalekim szlaku syberyjskim. Żołnierze z nich byli dobrzy i wierni, ziemię kochali ponad wszystko na świecie, a ślubów raz zawartych z Ojczyzną-Matką nigdy nie łamali.

Byliby też może w swojej szklanej sali tak długo w spokoju wisieli, aż by przyszła rewolucja, która pożarem i mordem resztki ukraińskich kaszteli z powierzchni ziemi zmiotła, gdyby nie to, że ojciec Ada pewnego pięknego poranka postanowił tę salę na oranżerię przerobić. Przepojony dość swoistym du-

chem demokracji nie miał żadnego kultu dla przeszłości i gdzie mógł tępił swoich antenatów. Nie miał ich za grosz i twierdził, że ci wszyscy zbrojni i zarośnięci mężowie nie mają dla niego żadnego znaczenia. Znaczenie ma tylko człowiek, jego pięć palców, jego głowa, jego wysiłek i osobista zasługa. Co minęło, to nie ma już żadnej wagi. Trzeba ciągle tworzyć nowe życie i nie dbać o to, co umarło. Należy nawet niszczyć przeszłość, aby nie obciążała teraźniejszości. Jest to nikomu niepotrzebny balast i tylko zawada w życiu lub swojego rodzaju hańba. Błękitna krew, herby, szlachetne urodzenie, tytuły – to śmieszności, obciążenia płynące z tytułu dziedziczności, takie same błyskotki, jakimi cieszą się dzicy Botokudzi. Człowiek zaczyna się zawsze od samego siebie, swoją samotność przez życie niesie i samym sobą pozostaje. Nic nie ma w tym ważnego, że Abraham spłodził Izaak, czy też odwrotnie. Z przeszłości trzeba brać doświadczenie pokoleń, wiedzę, praktyczne wskazówki, ale nie takie urojone wielkości, jak szlachectwo, rycerstwo, żołnierstwo. Wiadomo czym byli, jakie przywary mieli, a razem z tym grzechy, błędy, swawolę, destrukcję, anarchię. Nic nie stworzyli, umieli tylko bohatersko umierać.

Zawezwał kiedyś Ada do siebie i pyta:

– Chcesz postrzelać do celu?

– Chcę.

– To ganiaj po flower.

Sam również zjawił się z jakąś flintą w sali portretowej i powiada:

– Oni strzelali... czas wielki, abyśmy do nich postrzelali... do którego chcesz łupnąć?

Ad wtedy był mały i głupi. Zachwycił się pomysłem ojca. Wybrał sobie jakiegoś grubego i starożytnego kasztelana, czy wojewodę i powiada:

– Do tego z brodą.

– To wał synu!

Sam też wygarnął ze swojej strzelby.

Zrobił się huk, dym, rwetes. Wpadła przerażona matka. Widząc, co się dzieje załamała ręce, gdyż w wielkim poważaniu miała te chwalebne znaki przeszłości. Wyrzuciła ojca razem z Adem za drzwi, ale skończyło się na tym, że przodkowie zostali eksmitowani z sali i rozparcelowani, gdzie się dało. W ten sposób prababka Krystyna trafiła do pokoju Ada.

Ad przeciąga się i w półsennym marzeniu, zamglonymi oczami spogląda na portret, oświetlony wciąż jeszcze wędrującym promieniem słońca.

Widzi uśmiechającą się twarz, usta jakby trochę rozchylone i szelmowski błysk w oczach. Tak, tak, dzisiaj prababka jest widocznie czegoś zadowolona. Ad wspomniał jej listy pisane z zagranicznej podróży do kogoś z rodziny. Listy te znajdowały się w orzechowym sekretarzyku matki. Wytwornym, zamaszystym pismem, bladymi już w tej chwili zupełnie literami i na wyblakłym, zbutwiałym papierze donosiła o swoich zabawach, przygodach i sukcesach w Paryżu, Londynie, Madrycie. Przedstawiona była jakimś królem, poznała ministrów, pisarzy i generałów, tańczyła menueta z markizami, słuchała włoskiej opery, jakiś ciemnowłosy duk hiszpański ofiarowywał jej skarby Golcondy, angielscy lordowie tracili przy niej spokój, a smutny hrabia francuski pisywał romantyczne wiersze, które przy każdym liście były załączane wraz z zapachem werbeny. Syta hołdów i wrażeń powróciła do kraju, aby wyjść za mąż za człowieka w kontuszu i o podgolonym czubie, przed którym leżała tułaczka, kajdany i tajgi syberyjskie.

— — —

W przeciwległym pokoju słyszeć jakiś hałas. Właściwie hałas ten się odbywa w dużym przedpokoju, a raczej sieni, która łączy obydwa pokoje. Są tutaj schody prowadzące na górę. Na ścianach wiszą jakieś obrazki. Rogi jelenie. Wypchane ptaki. Ad słyszy głosy kozaczka Iwasia i pokojówki Nastki. Coś widocznie wnoszą i śmieją się przy tem. Jest godzina szósta. Pewnie ktoś przyjechał i będzie ulokowany w gościnnym pokoju. O tej porze zwykle przyjeżdżają goście z nocnego pociągu.

Puka do drzwi Iwaś.

— Wstawajcie paniczku – powiada – prychały graf Mostowskyj.

Ad jest ucieszony. Śmieje się wesoło.

— Deż ony? – pyta.

— Piszły kupatysia.

No tak, oczywiście. Pierwsza rzecz poleciał do rzeki. Ten człowiek wiecznie moknie w wodzie. Ad myśli o nim z radosnym uczuciem. Dopieroż to będzie uciecha – zacznie się wielkie rybołówstwo, nocne wyjazdy łodzią, ciche rozmowy zaprawione rubasznym humorem, niesamowite opowieści.

Pan Mostowski ma około 60 lat, chociaż wygląda nieco młodziej ze względu na zdrową cerę i wieczną opaleniznę na twarzy. Przez słońce i wiatry spalony

jest tak mocno, że nikt by się nie domyślił prawdziwego koloru jego skóry. Coś pośredniego pomiędzy Hindusem i Indianinem. Prócz tego przedziwna figura. Średniego wzrostu, nieco naprzód pochylony o szerokich ramionach i żelaznych mięśniach. Nie posiada ani żdźbła tłuszczu – same tylko mięśnie, kości i ścięgna. Byłby znakomitym obiektem do jakiegoś studium anatomicznego. Twarz? Twarz znów nadawałaby się jako model dla takiego malarza, który maluje satyrów i faunów. Ad często myśli, że gdyby go okryć kozłą skórą, dorobić małe Różki i dać w ręce fletnię, niczym nie różniłby się od Sylena. Na łysawej głowie o dużej, wypukłej czaszce kępki siwiejących włosów, małe, niebieskie oczy o szelmowskim wyrazie schowane wśród zmarszczek i przymrużeń, zawsze uśmiechnięte i skore do psoty, duży, zagięty ku dołowi nos, szerokie usta zadarte od stałego śmiechu do góry, wystające policzki i prócz tego obwisły wąs i kozła, szpakowata broda. Długie, żylaste ręce. Wykrzywione pałkowate nogi. Gdy idzie, jakby się śmiał wszystkimi ruchami ciała – podskakuje i podryguje, ręce lecą mu we wszystkie strony, ramiona chyboczą się, głowa kiwa się. I jest w tych ruchach jakaś bez troska.

Człowiek ten posiada w sąsiedniej guberni piękny majątek, którym się nie zajmuje i o który zupełnie nie dba. Administrują tam jego żona i pięć pięknych córek. Przy takiej gospodarce wszystko idzie, oczywiście, kulawo, ale jakoś trzyma się kupy, gdyż ziemia jest urodzajna, a prócz tego nieźle prosperują gorzelnia i cukrownia.

Pan Michał bywa w domu tylko w okresie 3 – 4 zimowych miesięcy i to przez cały prawie czas zajęty jest swoimi sprawami. Przygotowuje sieci, wędziska, wędkę, kompletuje haczyki. Po uszy zagłębia się we francuskie i angielskie czasopisma traktujące o rybołówstwie. Drugiego takiego znawcy ryb i ich obyczajów trzeba by szukać ze świecą. Gdy tylko nastaną pierwsze cieplejsze dni wiosenne pan Michał objucza się prymitywnym sprzętem turystycznym, zabiera swoje przyrządy wędkarskie i rusza w świat. Powraca do domu dopiero późną jesienią, gdy już liście z drzew opadną. Pieniądzy bierze ze sobą zwykle bardzo niewiele i nie używa żadnych środków lokomocji. Pieszko przemierza nieogarnione stepy ukraińskie i w swych wędrówkach dociera nad Don, a nawet na równiny nadwołżańskie. Bywa wszędzie tam, gdzie jest woda i ryba. Ad podejrzewa, że ryby są dla niego pretekstem, by oddawać się niezaspokojonej potrzebie włóczęgostwa. Ubiera się jak chłop i rozmawia jak chłop, a duszę „hada”, albo jak powiada „hadiuki” zgłębił na wylot. Chłopi mają go za swego,

nie przypuszczając, że jest to pan i „graf”. Sypia w czasie takiej wędrówki poważnie gdzieś na trawie, w stogach, a gdy jest niepogoda – w stodołach. Jada to, co sam sobie ugotuje. Utrzymuje się głównie ze sprzedaży ryb; sprzedaje też chłopom haczyki, żyłki, wędkarskie włosie, jedwabne nitki, sztuczne muchy i robi na tym ponoć doskonałe interesy.

Trzymają się go kawały. pewnego razu ponoć nabierał kilkaset kolorowych papierków od cukierków z wyobrażeniami różnych dziewic, aktorek, rycerzy, generałów, ponaklejał te papierki na własnoręcznie wyciosane klocki i na jakimś odpuszcie rozprzedał je chłopom jako wizerunki różnych świętych i męczenników pańskich. Podobno niejedna wieś wielkiego Cesarstwa Rosyjskiego zaopatrzyła się w tego rodzaju „ikony”.

Znakomity narrator zmyślonych, a często i niezmyślonych historyj, mógłby prawdopodobnie w barani róg zapędzić Münchhausena i szkoda wielka, że nikt się nie znalazł kto by jego opowiadania spisał. Łgał bez zająknięcia, a opowiadał z taką swadą, z takim ogniem, z taką mocą przekonania, że oczarowani słuchacze, wbrew poczuciu prawdy, najbardziej zuchwałe jego kłamstwa brali za dobrą monetę.

Ad przypomniał sobie zdarzenie sprzed dwóch lat. Matka wybrała się z nim na Nowy Rok do Mostowskich. Długo jechali pociągiem, później chyba nie krócej w szerokich saniach „rozwalniach”, zawinięci w futra, kożuchy i baranice. Kraj lekko falował, „kuczer” podśpiewywał smętne szumki i droga była przyjemna – biała i trochę mroźna. Dwór Mostowskich był ogromnym, jednopiętrowym budynkiem budowanym bodajże z modrzewia. Mnóstwo przedsionków, korytarzy, przedpokojów, wszelakich pokoiów i pokoików, jakichś alkierzyków, spiżarek, schowków, strychów i stryszków. Można się było błąkać całymi dniami. Nieprawdopodobna mieszanina gratów – biedermeiery, renesansy, ludwiki pierwsze i drugie cesarstwo, neoklasycyzm obok niezdatnych szaf i krzesel pewnie ręką wioskowego stolarza robionych. Szpinety, klawikordy, serwantki, sekretarzyki, ciężkie gdańskie meble, a dalej kulawe Soły, gięte fotele, biurka na kucych nóżkach, kotary i gipsowe figury w stylu końca XIX stulecia. Były, rzecz prosta, i pancerze i husarskie skrzydła i wyblakłe ryciny oraz pociemniałe obrazy na ścianach. Pachniało melonami, jabłkami, świeżym chlebem, ziołami, skórą. Potrzaskiwały ściany i podłoga. Skądś z dala, z góry, z dołu, zewsząd słychać było głosy.

Pani Mostowska – nieduża, energiczna, starsza dama na czarno ubrana niby kapitan na okręcie podczas burzliwej pogody oraz pięć panien Mostow-

szych w charakterze załogi – kierowało bezpiecznym biegiem tego ruchliwego domu. Do stołu zasiadało co najmniej pięćdziesiąt osób. Pełno tutaj było jakichś krewnych i krewniaków i kuzynów i przyjaciół i znajomków i totumfac-kich. Jedni drugich często nie znali. Niektórzy przybywali na kilka dni i pozostawali kilka lat. Sąsiedzi, gdy przyjeżdżali w gościnę, to często gościli całymi tygodniami. Gdy wybijał dzwon, na posiłek pojawiały się postacie z minionej epoki – staruszczeni siwe jak gołębie, staruszkowie w czamarach lub surdutach starożytnego kroju, ciotki i wujowie, stryjenki i stryjaszkowie, młodzież w postaci różnych bratanic, siostrzeńców, synów, córeczek, wnucząt i prawnucząt. Obsłużyć taki hotel zapewne nie było łatwo ale ziemia ta w owych czasach mlekiem i miodem płynęła, wszystkich dóbr ziemskich istniał nadmiar, nie wiadomo było co czynić z jajami, śmietaną, serami, cukrem, jarzynami, owocami, a nawet z mięsem, z szynkami, z rybami, bo w sprzedaży dostawało się za to grosze. Pościeli i pokojów nie brakło, służby było co niemiara – i dużo radości, i dużo gościnności. Pani Mostowska musiała się na kuchni znać wyśmienicie, bo wędliny i sery były litewskie, barszcze i hreczane pierogi – ukraińskie, zrazy i bigosy oraz flaki – polskie, kulebiaki i bliny – rosyjskie, a to już zupełnie wystarczało. Niepotrzebne były frykasy francuskie, ani sosy angielskie.

Ad, błakając się po dworze, pozawierał dużo różnych znajomości. Po kryjomu zachwycał się pannami Mostowskimi, z których jedna od drugiej była piękniejsza, a wszystkie wysokie, dorodne, czarnookie i czarnobrewy, o orlich nosach i karminowych ustach, aż dziw brał, że to były córki takiego ojca. Słuchał gry na fortepianie i śpiewu panienek i pań. Śpiewano chóralnie pieśni patriotyczne z epoki powstania, a zwłaszcza: „Szumny wiatr wionął po pustym stepie”, „Tam na górze jawor stoi”, „Walecznych Tysiąc”, „Ostatni Mazur”. Deklamowano płomienne wiersze Mickiewicza, Godebskiego, Zaleskiego. Bawiono się w gry towarzyskie dość idiotyczne w rodzaju „cenzurowanego”. Starsi grali w karty, plotkowali, polowali, wyjeżdżali kuligiem do sąsiedztwa. Młodzież hasała po polach i chaszczach, trochę tańczyła, obżerała się niemożliwie i z bólem brzucha szła spać.

W wielkim pokoju pana Mostowskiego panował niesamowity nieład, w którym gospodarz orientował się z podziwu godną łatwością. Niezliczone ilości wędek od najpiękniejszych angielskich z automatycznym zwijaczem do najprostszych. Strzelby wszelkiego rodzaju od kunsztownych drylingów i dubeltówek angielskich z damasceńskimi lufami do ordynarnych, jednostrzało-

wych rosyjskich „berdanek”. Stoły zawałone mnóstwem przedmiotów. Patrony myśliwskie, maszynki do obciążania patronów, miarki do prochu, pudełka z prochem, śrut, pakunki i pakuły, szydła, dratwa, smoła, haczyki, popławki, pilniki, imadełka, angielskie pudełka z tytoniem fajkowym oraz fajki, popiół, zagraniczne czasopisma, kołnierzyki, krawaty. Groch z kapustą. Na jednej ze ścian zbrojownia różnymi bułatami, jataganami, kindżałami, oszczepami, berdyszami, kordelasami, a nawet egzotyczną bronią w rodzaju łuków malajskich, dzid, tarcz, strzał w kołczanach. Wielkie mahoniowe łóże z baldachimem, zdobne w złote inkrustacje. Piękna makata na ścianie i na niej stary, złoty ryngraf.

– Nie mów do mnie „panie” ani „wuju”, mów mi „ty” – powiedział do Ada – wyczytałem u Niesieckiego, że nie tylko jesteśmy blisko spokrewnieni, ale, że przez koligacje rodzinne twoja matka wypada mi babką, a tym samym ty byś właściwie powinien być moim wujem... ze względu jednak na twój młodociany wiek musisz mnie traktować tak, jakbym był twoim bratem ciotecznym.

Z początku Ad był zażenowany, z czasem jednak przełamał się i zaczął zwracać się do niego „per ty”.

– Czy ty wierzysz w duchy? – zapytał go kiedyś, gdy zajęci byli splataniem włosów.

– Wierzyć nie ma po co – oświadczył poważnie pan Michał – ale bać się trzeba obowiązkowo... wszyscy się boją duchów... a ty?

Ad musiał przyznać, że istotnie boi się trochę duchów.

– Co byś zrobił, jakby duch oblał cię zimną wodą albo kopnął albo huknął przez głowę kijem?

– Umarłbym ze strachu.

Odpowiedź ta bardzo ucieszyła pana Mostowskiego.

– Trzeba ci wiedzieć – zakomunikował – że ja z duchami jestem za pan brat... kiedyś przed laty byłem w bliskich stosunkach z pewną czarownicą, którą za zasługi dla piekła diabli żywcem zabrali z ego świata... i ona nauczyła mnie różnych sposobów... do tego doszło, że czasami opędzić się nie mogę... zwłaszcza nieszczęście jest, gdy się spotkają u mnie Cezar z Aleksandrem Macedońskim, Hannibal ze Scypionem, Alaryk z Bajazetem, a Napoleon z Aleksandrem I i na to wszystko nadleci pani Koziradzka.

– Któż to jest pani Koziradzka?

– A to właśnie ta czarownica... zwykle kominem lubi wpaść, aż pełno iskieł wypuści i sadzy i od razu miotłą w łeb.

– Kogo w łeb?

– No, tych moich wojowników... zaczyna od Cezara i wszystkich wali po kolei, Az pierze im się z czubów sypie.

– Za coś ona ich bije?

– Antymilitarystka jest... rozumiesz... występuje przeciwko wojnie i podejrzewa, że oni tutaj się zmawiają na jakąś nową wojnę.

– Przecież to nieprawda?

– O, nie... wszystko jest prawdą... tylko nie trzeba być ślepym.

Poczem wtajemniczył go, że na Trzech Króli spodziewany jest większy zjazd sąsiadów z okolicy i zamierzają urządzić seans spirytystyczny. Otóż on będzie prowadzącym seans i głównym medium, a Ad będzie jego pomocnikiem, przy czym nikomu o tym ani pary z ust.

Ad z radością zgodził się na ten projekt. Pachniało to niezłą przygodą. Seans miał się odbyć w wielkim salonie. W jednym z rogów stał tam olbrzymi czarny fortepian. Starożytna posadzka układana w ciemno-żółtą mozaikę ugięła się pod nogami i skrzypiała. Meble utrzymane były w kolorze orzechowo-niebieskim, mianowicie liczne krzeselka, kozetki kanapki, taborety obite były błękitnym, deseniowym jedwabiem, który dawno już jednak wypłowił i w niektórych miejscach popękał. Pośrodku sali znajdował się potężny, okrągły stół o nierozsądnie powyginanych nogach i naokoło dwanaście krzeseł z tego samego garnituru, obciążniętych skórą i tak samo pogiętych. Pod oknami w mniejszych i większych wazonach rosły różne egzotyczne rośliny jak palmy, oleandry, agawy uzbrojone w niebezpieczne kolce, araukarie. Okna wychodziły na owocowy ogród. Spały tam wśród białej przestrzeni drzewa pokryte śniegiem i zdawało się zamarła wśród nich niebieskawa, zimowa cisza.

W przeddzień pan Michał ze złośliwie rozbawioną twarzą mieszał w salaterce jakieś chemikalia, poczem na jednej ze ścian sali naszkicował węglem wcale udanego diabła o przerażającym wyglądzie i przy pomocy pędzla pokrył ten szkic płynem z salaterki. Następnie węgiel został starannie wytarty, a miejsce to zasłonięte kunsztownie upiętą, niebieską kotarą, w taki jednak sposób, aby za pociągnięciem sznurka kotarę można było odsunąć. Uzgodnili obydwaj cały szereg sposobów wzajemnego porozumiewania się i Ad za fortepianem zgromadził różne przedmioty niezbędne dla seansu.

Zjazd gości przekroczył najśmielsze oczekiwania. Przybyło pewnie ze sto osób, tak, że ogromny dwór wreszcie wydawał się wypełniony. Wobec tego,

że jadalnia tylu ludzi nie mogła zmieścić, poustawiano stoły również w innych pokojach. Ta wieczerza przypominała zapewne inne, jakie się tutaj odbyły, także te dawniejsze, kiedy szlachta z podgolonymi chodziła czubami, a na ramionach nosiła lśniące kolorowymi jedwabiami kontusze. Pozostały z tych czasów sumiaste jeszcze wąsy, pozostały pociągłe, smagłe twarze, głęboko osadzone oczy, przeważnie jasne, pozostał uśmiech rubaszny, ochota do wypitki i do wybitki. Bądź co bądź kresowa szlachta obarczona była najlepszą tradycją rycerską, ale również i przywarami, wśród których obżarstwo i pijaństwo nie na ostatnim znajdowały się miejscu.

Ad, który od najmłodszych lat jadał mało, z przerażeniem stwierdzał, ile można zjeść i wypić. Niebawem też z czupryn zaczęło się kurzyć i biegły poprzez stoły buńczuczne toasty, wśród których imię Polski często było wspominane.

Po kolacji pan Michał zapowiedział, że do seansu zostaną dopuszczeni tylko wierzący. Obecność niedowiarków i cyników może całą rzecz popsuć. Duchy muszą mieć ciepłą i przyjazną atmosferę, w przeciwnym razie albo wcale się nie stawiają, albo przyjdą upiory, sukkuby, wilkołaki, a nawet i same diabły, aby nieufnych namacalnie przekonać o swej egzystencji.

Oświadczenie to wywołało u niektórych pobożne westchnienie, jakaś starsza pani w sukni z czarnych cekinów przeżegnała się z przerażeniem, inni znów uśmiechali się z powątpiewaniem, nie dając jednak innego wyrazu swoim uczuciom, dopiero gruby pan Teleżyński zakrzyknął:

– A ja taki jakem żyw tak duchów nie widziałem, to jest zawracanie głowy.

Zaraz przyłączyło się do niego kilku śmielszych, a w tej liczbie i pani Siemiradzka, która szkoły skończyła za granicą i tak dale była postępową, że ośmiewała się publicznie palić papierosy oraz na balach tańczyła z nieznanymi panami.

– Racja – odezwała się również stara pani Ogińska, jednakowo gruba ze wszystkich stron, tak, że podobna była do dwóch worków mąki – raz jeden wydawało mi się, że widzę ducha, a i to był mój mąż nieboszczyk, świeć Panie nad jego duszą, który po pijanemu chodził w jednej koszuli po korytarzach.

– Duchów nie ma – oświadczył uczony pan Mastelski, mąż w sile wieku, z czarną brodą, w czarnym tużurku i fantazyjnie zawiązanym krawacie – jest to dowiedzione naukowo... wszystkie zjawiska przyrody mieszczą się w zakresie praw naturalnych i mogą być stwierdzone na drodze doświadczenia... zresztą

kościół katolicki również jest zdania, że duchy mogą istnieć w niebie lub w piekle, ale nie tu... na ziemi... nawet zabronione są tego rodzaju eksperymenty jako przeciwne zarówno nauce jak i religii.

Okazało się jednak, że większość święcie w duchy wierzy i każdy nieomal miał jakieś spotkanie z duchami. Były tam ostrzeżenia i sny prorocze i zjawy i domy ze strachami i przenoszenie myśli. Do niektórych przychodzili przyjaciele, do innych cała zmarła dalsza i bliższa rodzina, a był nawet taki jeden, który polował z duchem, czy zjawą dawno zdechłego psa.

– Jak można nie wierzyć – dowodziła bardzo wiekowa pani marszałkowa Bohusz-Siemaszko, trzęsąc głową przybraną w aksamitny czepiec – wszyscy będziemy kiedyś duchami i nie oderwiemy się łatwo od ziemi, bo tutaj był nasz raj i nasze piekło... jestem w tym wieku, gdy już sprawy ziemskie niewiele mnie interesują... obcuję też więcej z duchami, niż z żywymi i mogę stwierdzić jedno, że – duchy są.

Stańto na tym, że wierzący czy niewierzący, wszyscy mogą się udać na seans. Toteż zebrało się w sali balowej ponad pięćdziesiąt osób. Pan Mostowski w roli przewodniczącego bardzo był uroczysty. Rozdzielił miejsca i kazał wziąć się za ręce, aby stworzyć spirytystyczny łańcuch, poczem zgaszono światło. Ad, jako nie biorący udziału w seansie z powodu młodocianego wieku, stał skromnie w kątku przy palmach.

Panowała cisza. Wreszcie rozległ się stentorowy głos pana Michała:

– Duchu, czy jesteś?... daj jakiś znak swej obecności.

Ad, jak było umówione, strzelił palcami.

– Jest... o Boże... jest.

– Duchu... czy z nieba do nas przychodzisz?

Cisza.

– Duchu... czy z czyśćca do nas przychodzisz?

Cisza.

– Duchu, czy nabożną byłeś duszą?

Cisza.

Wówczas zagrzemiał pan Michał:

– Duchu... czy z piekła do nas przychodzisz?

– Tak! – Ad strzelił palcami.

W sali panowała niezwykła cisza. Słyszać tylko było przyśpieszone oddechy.

– Ktoś jest?

Teraz zaczynała się najtrudniejsza część pracy Ada. Uderzeniami gęsiego pióra po szylkretowej tabakierce zaczął wypukiwać dialog.

– A....r....i....e....l

– Co to?... kto to?... co to jest? – ktoś szepnął zduszonym głosem – to diabeł.

– Cisza – syknął pan Michał.

– Czy wolno pytać? – ktoś szepnął.

– Ja sam będę pytał.

– Czy w dobrych do nas przychodzisz zamiarach?

– T....a....k

– Jakie są twe zamiary?

– Obejrzyć... wasze... dusze...

To oświadczenie wywołało dużą konsternację. Słysząc było zdenerwowane szepty.

– Milczeć – ryknął pan Michał – Duchu, i co powiesz o naszych duszach? – zapytał.

– Moje są – wypukał Ad.

Przepłynęła fala szeptów i zacichła. W powietrzu wyczuwało się duże napięcie.

– Czy możesz nam jakoś okazać swoją siłę?

– M...o...g...ę

– Prosimy... okaż.

Ad, jak cię, przysunął się do fortepianu i jednym palcem wygrał zwrotkę: „Włazł kotek na płótek”.

– Jest – biegły szepty – gra... gra.

– Słyszymy ciebie, ale nie czujemy – powiedział pan Michał.

Ad ze swojej rekwizytorni chwycił sztywny japoński wachlarz, a zapamiętawszy przedtem gdzie kto siedzi, przesunął się obok siedzących i poruszał wachlarzem.

– Dotknął mnie – ktoś powiedział zdenerwowanym tonem.

– O, Jezu... dmucha... dmucha – rozlegały się głosy – jakie zimne powietrze.

– Spokój – huknął pan Michał – bo nic nie będzie z seansu. – Duchu ciemności – mówił – za mało ciebie czujemy... może byś nam mocniej okazał swą obecność.

Ad chwycił cienki, giętki pręcik i na oślep wymierzył kilkanaście ciosów. Wywołało to dość duży zamęt.

– A niechże cię diabli – ryknął gruby pan Teleżyński – uderzył mnie drągiem po głowie.

– Zabił mnie... zabił mnie... – piszczała pani Ogińska.

– Nie mam ucha – jęczał pan Mastelski – rąbnął mnie szablą.

– Wszelki duch Pana Boga chwali – modliła się pani Siemiradzka szczękając zębami – pod Twoją obronę uciekamy się... zlituj się nad nami.

Pan Michał miał poważne trudności z przywróceniem spokoju. Wreszcie jakoś mu się udało.

– Wielka jest siła w tym duchu – powiedział wzruszonym tonem i nie wątpię, że to musi być Ariel we własnej osobie... czego państwo jeszcze sobie życzy.

– Przerwać... przerwać... ktoś proponował.

– Ja bym chciała zapytać się o moją babkę – odezwała się jakaś niewiasta.

– Nie... nie – mówił ktoś widocznie odporniejszy nerwowo – niech nam się pokaże, niech się zmaterializuje.

– Duchu ciemności – zapytał pan Mostowski – czy możesz się nam ukazać?

Ad wypukał:

– M...o...g...ę

Napięcie wśród zebranych wzrosło do ostatecznych granic. Zdawało się, że słychać było, jak biją serca.

– Prosimy... pokaż się nam.

Ad, prześlizgując się w stronę kotary, zaczepił nogą o dywan i rozciągnął się jak długi.

– Zdaje się, że ktoś upadł – szepnęła jakaś pani.

– Nie... warknął pan Michał – to są normalne dźwięki, gdy ciało astralne przyjmuje materialną postać.

– Zbaw nas Panie ode złego – rozległ się cichy głos.

Ad, pocierając sobie kolano, uchwycił za sznurek, który ściągał na bok kotarę i powoli zaczął pociągać.

– Patrzcie... patrzcie... coś się świeci na ścianie – powiedział pan Mostowski.

– Rzeczywiście coś się świeci – stwierdził pan Maciesza, olbrzymi szlachcic o hetmańskiej twarzy.

– To ślepie wilka – wyjaśnił jakiś głos.

– Ojej... ojej – pisnęła któraś z panien.

Tymczasem Ad powoli odsuwał kotarę i w ślad za tym ukazywała się nafosforyzowana postać diabła.

– Wilkołak – ktoś krzyknął zduszonym głosem.

– Didko – ktoś inny dodał z ukraińska.

– To chyba jakiś odbłask.

W tym momencie Ad szarpnął za sznurek i ukazała się nadnaturalnie wielka i wystarczająco straszliwa zjawa szatana. Zdawało się, że idzie na obecnych. Jedną nogę z kopytem miał podniesioną, a psi pysk utkany zębiskami, krwiozerczo rozwarty.

Na ten widok łańcuch został momentalnie rozerwany. Co silniejsi rzucili się do drzwi, inni pochowali się pod stoły i kanapy, a kilka par zemdłało. Podniósł się nieopisany gwałt i rwetes. Towarzystwo przy drzwiach odbyło krótką, ale skuteczną walkę na pięści. Parę osób zostało podeptanych. Wreszcie wniesiono światło i zajęto się cuceniem par. Postać diabła przy świetle, oczywiście, znikła.

Pan Michał krzątał się niby to przy ratowaniu gości, bardzo zaaferowany, a w istocie niesłychanie rozbawiony. Drwiącym, satyrycznym okiem pomrugiwał w stronę Ada i śmiał się w kułak.

W ciągu najbliższych dni rozniosła się o nim fama w okolicy jako o niesłychanie potężnym medium, a nawet czarowniku. Niektórzy chłopci żegnali się na jego widok, a on chodził w tej sławie dumny i napuszony, jednak pomimo gorących zaproszeń nie chciał więcej urządzać seansów spirytystycznych.

To zdarzenie – wspólna tajemnica i wspólna uciecha – związała z nim Ada mocno, tym bardziej, że na tym się nie skończyło. W kilka dni później rozsypali „kichający” proszek w czasie kolacji, tak, że nieszczęśliwi biesiadnicy omal nie podusili się od kichania. Nikomu nie przyszło jednak do głowy, że sprawcami są poważny pan domu i młody chłopiec – jego współlnik.

Znów kiedy indziej pan Mostowski skądś wydobyl, czy też sam skonstruował jakiś biały proszek, który w połączeniu z płynem dawał niezwykle obfitą pianę. Przed nocą obeszlą wszystkie sypialne pokoje, których było bez liku, a zwłaszcza panieńskie i nasypali tego proszku do nocników. W rezultacie do późna rozlegały się zewsząd wystraszone okrzyki, jakaś bieranina, przyśpieszone szept, zwierzenia i ogólna konsternacja. Przy śniadaniu dużo było twarzy niewyspanych i z podkrążonymi oczami.

Ad wspominając te niedawne czasy narzucił na siebie płaszcz kąpielowy i pobiegł do pływalni. Zastał tam pana Mostowskiego całkiem zanurzonego wśród wirów wodnych, tak, że tylko wyglądało błyszczące od kropel wody opalone oblicze z rozwichrzoną koźlą brodą. Obok zażywał kąpeli pan Skordeli, naczelny buchalter, na pół Polak, na pół Grek. Z polskiej zapewne strony posiadał sztywne jasnoblond włosy, natomiast z greckiej – cielące, rozmarzone oczy i grube, zmysłowe usta, przykryte mefistofelowską, ciemną bródką w szpic. Bardzo był dobrego wyobrażenia o swojej urodzie i starał się uchodzić za groźnego uwodziciela. W istocie był to człowiek dobronudzny, łatwowierny, nie grzeszący nadmiarem inteligencji. Natomiast, zawdzięczając to widocznie swojej krwi greckiej, miał wielkie uzdolnienia handlowe i z tego powodu bardzo był przez ojca ceniony. Nie było takiego interesu, z którego by nie potrafił wyciągnąć zysku, a zwłaszcza wówczas, kiedy się wydawało, że nie ma już żadnych szans. Najbardziej odpowiadały mu sprawy, w których trzeba było obchodzić prawo i stąd był u ojca specjalistą od różnych zagadnień podatkowych. Kto wie nawet, czy nie prowadził podwójnego księgowania, z których jedno przeznaczone było dla rosyjskich władz skarbowych.

Po radosnych przywitaniach Ad skoczył do wody i zaczęli rozmowę przerywaną pluskaniem się, nurkowaniem i pływaniem.

– Chodź. – powiedział pan Michał – Ten Papandupolos tak się tutaj rzuca, że nie można rozmawiać.

W istocie Skordeli usiadł na łańcuchu, którym były beczki powiązane i starał się ramionami wytwarzać jak najwięcej bałwanów. Zaśmiał się z przekorą, pokazując bardzo ładne zęby.

– Ach, ty... chałwą karmiona gąbko w sardynkach moczona... koralami twoja głowa faszzerowana... i pomyśleć, że to może być daleki krewniak Platona lub Arystotelesa... zresztą małpy są też naszymi krewniakami, ale przez to jeszcze praw ludzkich nie nabyły.

– Co pan mówić – powiedział Skordeli ze śmiechem – ja się dlatego wstydić.

Jako typowy mieszaniec żadnego języka nie znał dobrze, ale po trosze znał ich coś z dziesięć.

– Jakbym miał twoją głowę, to bym chodził tyłem jak rak ze wstydu – rzekł oburzony pan Michał, który zresztą prawie nie używał formy „per pan”.

– Jak ja być rak, to pan być ryba – odgryzał się Sardeli.

– Ryba rakowi nie równa – wrzasnął pan Michał i z udanym gniewem strącił Sordelego z łańcucha. Ten dał nurka, a że pływał znakomicie, chwycił ich oboje za nogi i przewrócił, poczem wypłynął wśród parskania już poza obrębem pływalni. Starali się go jeszcze opryskać, lecz odpłynął szybko w stronę oczeretów. Ubrali się więc i poszli na kwaterę do pana Michała. W ogromny, bielonym pokoju o niskim suficie pachniało, jak zwykle, dymem ze słomy. Był to zapach zastarzały, którym przeszły wszystkie ściany. W jednym z rogów znajdował się wielki, podłużny piec zwany „hrubą”, specjalnie przystosowany do opalania słomą. Pod jednym z okien stało akwarium Ada z najrozmaitszymi pokojowymi rybkami, oraz drugie puste, w którym urządził walki skorpionów z tarantulami i skolopendrami. Pośrodku, pod lampą, stał okrągły stół otoczony krzesłami. Była tutaj również wysłużona otomana o zielonym pokryciu. W rogu pokoju, koło jednego z okien widać było duże, wygodne łóżko, z kołdrą i Matką Boską nad nim. Niedawno kładziona dębowa podłoga pachniała jeszcze świeżym drzewem. Na ścianach zawisły portrety kilkunastu niewyraźnych, zaciemnionych przodków wygnanych z sali portretowej. Pan Michał zawsze ich uważnie oglądał i coś chrząkał.

– Kozacy to byli, jak mi Bóg miły – mówił – spójrz na te oblicza... te oczy... te policzki... te usta... ryzuny to byli i zaprzańcy... banici i odszczepieńcy... zdradzili cara dla Polsszczy, zdradzili baćkę Chmielnickiego... pogrzebali sprawę ukraińską... i co im z tego przyszło? Nawet obrządek zdradzili, z greckiego na rzymski przeszli... żupany na kontusze zamienili... czarnobrewa młodocice na pannoczeki białoruczki... bułał na karabelę... bahmata na araba... siczowy kosz na sejmy w Warszawie... cur ich znaję.

Ad w takich wypadkach stawał w obronie swoich antenatów.

– Po pierwsze nie kozacki to ród, ani ukraiński, ani rusiński, tylko ruski... ruski... trzeba to odróżnić... z tych skandynawskich rycerzy, tych Waregów, którzy z Rurykiem nad Ładogę przybyli... bojarowie to byli i kniaziewie, a nie tłuszcza kozacka... woleli też widać Polsszczę niż Moskwę i Ukrainę... A następnie, z nich to powstałi Sanguszkowie i Ogińscy

i Wiśniowieccy i Kisielowie i Pużynowie i Mirscy i Chodkiewiczowie... Nie ma się kogo wstydzić.

Pan Michał w zdumieniu podnosił brwi podobne do posępionych nawiasów.

– Patrzcie... patrzcie – mówił – ale ty jesteś mocny w historii... a ja nawet nie przypuszczałem, że z tak znakomitym rodem jestem spowinowacony.

– Jak to?

– No, mówiłem ci już... przez twoją matkę... w Niesieckim wyczytałem...

I odbywał długi wywód na temat tego powinowactwa.

Później się okazało, że przywiózł piękne gościńce dla Ada w postaci angielskich wędek i haczyków oraz jakiejś patentowanej przynęty, na którą miały specjalnie dobrze brać liny i sumy.

– Dodasz to do podsmażonej mamałygi... porobisz okrągłe kulki i przez trzy dni będziesz rzucał w jedno głębsze miejsce na środku rzeki... potem każdego suma na byle haczyk złapiesz... trzeba tylko przedtem trzy razy splunąć na przynętę.

Łowienie sumów uchodziło za specjalnie wytworny i interesujący rybacki wyczyn – coś jak w myślistwie polowanie na wilki lub niedźwiedzie. W Bohu, w owych czasach, roіło się od sumów. Niektóre z nich były z nich olbrzymie, waga ich dochodziła do kilkudziesięciu kilogramów i trzeba było nie lada talentu łowieckiego, aby takiego potwora wyciągnąć na brzeg lub wciągnąć do łódki. Często całe godziny potężna ryba mocowała się z rybakiem i zostawała zwycięzcą, urywając haczyk lub przegryzając wędkę.

Gdy szli na śniadanie, wybiła na zegarze fabrycznym siódma i słońce mocno już grzało.

W tych szczęśliwych stronach wiosna była wiosną i lato latem. Jeśli przychodziły deszcze, to były ulewne i krótkotrwałe, wystarczające jednak, aby wspaniale odżywiać roślinność. Kwitło też wszystko, zieleniało, pachniało, plonowało. Słońce od wschodu do zachodu nie przestawało ogrzewać ziemi, zawsze jasne i ciepłe, aż do późnej jesieni.

Na werandzie było już kilka osób. Tu spożywano wszystkie posiłki, jeśli tylko dopisywała pogoda. Był to rodzaj hallu, niedawno zresztą przez ojca do frontu domu dobudowany i zajmował połowę długości frontu. Składał się z wysmukłych drewnianych kolumnien, na których opierał się izolowany od słońca dach. Przestrzenie między kolumnami wypełniały markizy z szarego, żaglowego płótna. Podłoga zrobiona była z kolorowych szaro-niebieskich kafli. Stał tutaj wielki, podłużny stół, zawsze przykryty obrusem i obstawiony odpowiednią ilością biało lakierowanych, giętych krzesel. Wobec tego, że weranda była przedłużeniem kwiatowego ogrodu, skrzydło przylegające do ogrodu wypełniały leżaki

i bujane fotele, stoliki ogrodowe, plecione krzesła i kanapki. Miejsce to przypominało fragment jakiejś eleganckiej kawiarni, czy restauracji. Odbýwały się tutaj sjeŝty poobiednie i matka podejmowała goŝci czarna kawą, konfiturami i ciastkami.

O tej wczesnej porze przy stole jest jeszcze doŝć pusto, ale wszystkie nakrycia są juŝ na swoim miejscu. Ojciec siedzi w lekkiej, alpagowej marynarce i czyta „Kuriera Warszawskiego”. Jest to ta sama gazeta, na której Ad niegdyŝ nauczył się czytać, z czego sam najbardziej był zdumiony. Miał wtedy pięć lat. Z rana, przy ŝniadaniu gramolił się na kolana matki, która akurat była zajęta przegłądaniem gazety i wodząc wskazującym palcem, zapytywał „Jaka to litera?... a ta... a ta?. Wybierał litery największe, gdyŝ te były najwyraźniejsze i pewnie najłatwiejsze do ŝpamiętania. Składane liter przyszło juŝ jakoŝ samo sobą i nikt przez cały czas jeszcze przez rok nie zauwaŝył, ŝe Ad umie czytać, a on się tym nie chwalił, tylko ŝadał gdzieŝ w kąciku i czytał wszystko, co mu do rąk trafiło, nie rozumiejąc treści, ale zachwycając się samym procesem czytania.

Pani Zatorska na widok pana Mostowskiego podnosi niebywałą wrzawę i zaraz rozsyła służbę po jakieŝ dodatkowe dania. Bardzo lubi go, a prócz tego w najbliŝszym czasie ma przyjechać ze Lwowa jej jedyna córka Jadzia. Studiuje grę na fortepianie w konserwatorium i przybywa na wakacje.

Obecna jest równieŝ ciotka Stefania, zagłębiona w jakąŝ angielską książkę. Musi być czegoŝ niezadowolona, gdyŝ długi jej i suchy nos wydłuŝył się jeszcze więcej, a na twarzy zastęł sarkastyczny uŝmiech.

Pan Mostowski witany jest jak członek rodziny. Z ojcem całuje się trzykrotnie. Paniom całuje ręce.

– Niech będzie z dzieŝciu jajek, pani dobrodziko – mówi do Zatorskiej – i wystarczy pół funta boczku.

To niby taka ma być jajecznicza na pierwsze ŝniadanie. Tymczasem na stole jest litewska wędlina, są sery, ŝwieŝe, chrupiące bułeczki, masło, ŝółte od tłuŝczu, ŝmietanka w małych dzbaneczkach, kolorowe rzodkiewki i inspekto-we ogórki – chluba pana Jelinka.

Zaczyna się rozmowa przerywana ŝuciem i tykaniem.

– Co to pani dobrodzika czyta? – pyta ciotki Stefania.

– Smiles’a „Samokŝtałcenie” – odpowiada ciotka z wyrazem wyŝŝoŝci.

– A czy pani dobrodzika jeszcze się kŝtałci?

– Kŝtałcić się trzeba zawsze... nigdy doŝć mądrym człowiek nie bywa.

– To zależy... to zależy. – mówi pan Michał – Jak byłem w Cambridge całymi dniami graliśmy w golfa.

– Zaraz też to i widać – odgryza się ciotka.

– Czy pani dobrodzika uważa, że nie jestem dość wykształcony?

Ciotka wzrusza ramionami uśmiecha się z politowaniem.

– O ile mi wiadomo drogi nasz pan hrabia jest rybakiem, włóczęgą i chłopomanem... skąd mogę wiedzieć, czy hrabia jest wykształcony?

– E, bo pani dobrodzika miesza dwa pojęcia – mądry i wykształcony. Jako wykształcony mogę z panią pogadać po francusku lub po angielsku o astronomii, o literaturze, o historii... nie znaczy to wcale, abym był mądry. Natomiast ma pani rację... jako mądry jestem rybakiem, włóczęgą i nawet chłopomanem.

– Nie rozumiem, dlaczego to ma świadczyć o mądrości?

– Świat składa się z zamętu i niepokoju... sprawy ludzkie, nawet te najważniejsze, są jak dym... rozwiewają się i nie mają znaczenia większego, niż wszystko, co przemija... mądry będzie ten, kto od zgiełku ucieknie do spokoju natury i zamiast z ksiąg będzie się uczył mądrości od niemych zwierząt i prostych ludzi... tam, gdzie język przyrody nie został jeszcze spaczony kulturą człowieka...

W tym momencie wtrącił się ojciec, który tej rozmowy słuchał z uśmiechem.

– E, co tam będziemy deliberować... lepiej niech pan Michał opowie coś ze swoich ostatnich przygód.

Pan Michał łypnął małymi oczami w stronę ciotki Stefanii.

– Dobrze – rzekł – opowiem pewne zdarzenie, jakie miałem w czasie polowania na niedźwiedzie w Omskiej guberni – To dawne dzieje... młodym, dwudziestoletnim byłem chłopcem... zamieszkałem we wsi u syberyjskich chłopów, chata ze złotych bierwion sosnowych, czysto, zamożnie, lampka się świeci przed ikonami, pieróg z kapustą, pelmeni, ryby... lasy pierwotne w śniegu... wyjdiesz, zabłądzisz... wokół pustka, pustynia... słońce zachodzi wraz czerwonym oparem na mróz Czekam kilka dni... miały być niedźwiedzie, a tym „czasem nic nie słysząc... chłopci pilnują... po lasach śledzą... nic. Nudzę się, czytam u sołtysa „Birżewyje wiadomości” sprzed dwóch miesięcy, piję wódkę z chłopami... Nie urażając szanownej pani dobrodziki... chodzę do bani... a tam się kąpią wszyscy razem... para dusi... walą mnie brzozowym wiennikiem, co się zmieści... sypiam na ciepłym piecu... znów „szczy” jadam z kaszą i jeszcze raz ryby, bo tam ryb tyle, że nie wiadomo, co z nimi robić... do cerkwi już nawet

zachodzę... zaprzyjaźniłem się z batiuszką... w „faraona” skórę z niego łupię, aż tu przybiega pisarz z gminy i powiada: „jest”. „Gdzie jest?” Okazuje się w takim miejscu, które znam. Tam chłopci na drzewach mają barci, a że to już ku wiośnie się miało, wylazł więc zaspany mis z barłogu, aby miodu popróbować. Łapię się za kozuch, za czapę, za rękawice, za „walonki”, za flintę. A srogą miałem flintę... była to raczej rusznica, pistonówka od przodu nabijana. No, nabijam obydwie lufy jak należy... podwójne porcje czarnego prochu, bo bezdymny nie był jeszcze wtedy znany... przybijam... na to pakuły... potem w jedną lufę ołowianą kulę, a w drugą siekańce i stempluję wojłokowym pakunkiem... z tego jak dmuchnę, to się las obali... a lufy? nie takie jak tam teraz dwunastka lub szesnastka tylko otwory jak u garłacza... pół kwarty prochu do każdej... i waży taki muszkiet nie mało... trzeba się dobrze nadźwigać... za to strzał niezawodny... nie ma mowy, żeby z czegoś takiego nie trafić, a trafiwszy nie zabić... idę do lasu... przez śnieg w tym kierunku człapię, co mi wskazali, a nikt mi oczywiście nie towarzyszy, bo tam ludzie nie interesują się niedźwiedziami. Słyszę „stuk, puk”, „stuk, puk”. Jest. A tuś mi, panie dobrodzieju. Włazł sobie na drzewo taki kudłaty, wielki, prawie czarny. No, nie niedźwiedź, ale niedźwiedzisko i kosmatą łapą w pień stuka uwieszony na linie. A ten pień jest po to, aby bronił wejścia do uli. Co machnie łapą to pień odleci, a potem powróci i bęc niedźwiedzia po głowie. dawno już widać tak się mociuje, bo widzę, całkiem jest ogłupiały. Bez trudu dostaniesz się w moje ręce. Tymczasem serce mi drży z radości, bo sto lat można polować i takiej wielkiej sztuki nie spotkać. Stanąłem pod drzewem, rozkraczyłem się dla lepszego strzału dobrze... wycelowałem, a potem jak nie łupnę z obydwoch luf... naprzód kulą, a potem siekańcami. Koniec świata się uczynił... dym zasnuł pół lasu... ja siłą odrzutu przewróciłem się i nawet czas jakiś leżałem zamroczony... myślałem, że mi głowę urwało... wreszcie dźwigam się, podnoszę, rozglądam. Wszystko w porządku... las stoi jak stał... śnieg się sypie z gałęzi od wstrząsu powietrza... i fuzja stoi przyparta do pnia drzewa... a misia nigdzie nie widać. Zadzieram głowę do góry, ale tam pusto... rozglądam się w prawo, w lewo, gdzie tam... nic nie ma... do nieba frunął czy pod ziemię się zapadł? Obchodzę najbliższe drzewo naokoło, myślę sobie: może go rozniosło... ale zostałyby przecież jakieś ślady farby, strzępy futra... tymczasem nic. Stoję tak, gapię się, namyślam, nawet strach mnie obleciał. Siromacha, myślę sobie, nieczysty, czy co takiego? Przeżegnałem się ze trzy razy i trzy razy splunąłem przez lewe ramię. Nic nie pomogło. gdzie jednak może się podziać

olbrzymi niedźwiedź trafiony z obydwóch luf. Może uciekł w chwili mojego zamroczenia? Ale jego tropy idą tylko do drzewa, od drzewa nie ma żadnych śladów. Może uległem halucynacji? Westchnąłem, zakląłem, czapę na uszy naciśnąłem, strzelbę na ramię zarzuciłem i niespokojny i zmartwiony idę do domu. Od myślenia rozklekotały mi się widocznie nerwy... wszystko mi ciąży... ledwie powłóczę nogami i flinta mało mi ramienia nie oberwie. Musiała mi się zła krew rzucić na wątrobę, bo ledwie powrócił do chaty, zaraz dostałem gorączki i moi poczcwi gospodarze dosyć mieli ze mną zajęcia – to wywarem z malin pojąc, to nogi psim sadłem nacierając, to pijawki do skroni przystawiając. Tak minęły trzy dni. Zwlokłem się wreszcie z łóżka i, jak to u myśliwego, pierwsza myśl o strzelbie. Przygotowałem oliwy, szmat, pakuł. Mam wyrzuty sumienia, że trzy dni stała nieczyszczona. Przewlec kłem przez stempel gałgan. Wkładam stempel do lufy. Nie idzie. Coś przeszkadza. Pcham mocniej. Nie idzie. Zatkano się. Masz babo kaftan. Od strzału lufy się pogięły, czy co takiego? Zaglądam do środka. Coś tam jest. Odwróciłem lufami do dołu i zaczynam potrząsać... i co państwo myślicie. Coś wielkiego się wysuwa na ziemię. Patrzę. Niedźwiedź. To on... ta bestia wpadł mi do lufy, a tylem się go naszukał. Co państwo myślicie... skórę z niego miałem do ostatnich lat. Największa chyba skóra na świecie.

Toczy po wszystkich triumfującym spojrzeniem. Ad dusi się ze śmiechu nad swoim talerzem. Ojciec uśmiecha się lekko, ale na ogół zachowuje powagę. Pani Zatorska klasnęła w dłonie.

– Ajoj – mówi. – Ta też coś takiego wymyślił.

Ciotka Stefania, ze swoim krytycznym umysłem, powątpiewa.

– Jak to? – rzecze. – To niedźwiedź panu wpadł do lufy?

– A wpadł.

– I pan go przyniósł do domu nic o tym nie wiedząc?

– A przyniosłem.

– Przecież to niemożliwe... to nieprawda.

Pan Mostowski zajada akurat wielki talerz jajecznicy, która pływa w tłuszczu. Od słów ciotki czerwienieje na twarzy i przymrużone oczy poczynają złośliwie mrugać.

– A czy pani dobrodzika ma jakie takie pojęcie o astronomii?

– No, mam.

– A czy pani dobrodzika teorię Kopernika zna?

– Chyba znam – odpowiada ciotka dość niepewnie.

– No, to od niego okazało się, że ziemia krąży koło słońca... przedtem było przez tysiąc lat odwrotnie... i niechby pani dobrodzika ośmieliła się zaprotestować, to by panią spalono na stosie.

– Cóż z tego?

– A to, że prawda bywa czasami nieprawdą, a nieprawda prawdą.

Ciotkę na taką argumentację gruntownie zatkało i nawet zadławiła się z lekka rzodkiewką.

W tej chwili weszła matka w towarzystwie Magdzi. W kilka chwil potem przybyli obydwaj malarze, którzy mieszkali w małym, zielonym domku, nieopodal domu Reymanów. Przyszedł również pan Antoni i rozmowa stała się ogólniejszą. Stało na tym, że Ad jednemu z malarzy będzie pozował do rodzinnego portretu, drugiemu zaś do wielkiego obrazu na temat biblijny, mianowicie: „Niewiasty przy studni w Kanie Galilejskiej”. Miał tam odegrać rolę pacholęcia pomagającego przy wydobywaniu wody.

Ad z wyrzutem spojrzał na Magdzię. Spojrzenia ich spotkały się i obydwójgu rumieńce oblały policzki. Magdzia była jego rówieśnicą i pochodziła z dobrej, kresowej rodziny. Niestety, rodzice odumarli ją, gdy była jeszcze dzieckiem, toteż matka Ada roztoczyła nad nią opiekę. Kształciła ją i wychowywała – i teraz Magdzia przyjechała z pensji, z Odessy, tak samo jak Ad, na wakacje. W przeszłości łączył ich bardzo miły, przyjazny stosunek, jakkolwiek nie udzielali się sobie zbyt dużo, gdyż Magdzia wolała zajmować się gospodarstwem, spiżarnią, mleczarnią, kurami, nawet szyciem, niż przeżywać razem z Adem pirackie i cowboyskie przygody. Tymczasem w tym roku, zimą, zdarzyła się rzecz drobna, ale bardzo przykra. Zbliżyły się akurat święta Bożego Narodzenia i bliska była gwiazdka. Na kilka dni przed tą datą Magdzia spotyka Ada w salonie, gdzie akurat zajęty był czytaniem „Tygodnika Ilustrowanego” i pokazując mu mały, wyszywany, aksamitny pantofelek przeznaczony do wieszania zegarka, pyta:

– Jak ci się ta rzecz podoba?

Ad niezadowolony, że go oderwano od lektury, pobieżnie obejrzał pantofelek. Czarny, aksamitny, kolorowymi paciorkami w jakieś desenie wyszyty. Nawet niebrzydki. Nie wiadomo jednak, co mu do głowy strzeliło i powiada:

– Podobnego świństwa w życiu nie widziałem.

Patrzy, a niebieskie oczy Madzi całe są we łzach i usta drżą.

– Chciałam ci to ofiarować na gwiazdkę – mówi przerywanym głosem – własnoręcznie zrobiłam i wyszyłam.

Ad chciał się zapaść pod ziemię. Tłumaczył się i wykręcał, i o przebaczenie błagał i wkrótce potem przywiózł jej pudło czekoladek. Nic nie pomogło. Powstał pomiędzy nimi jakiś cień. Oboje nie mogli zapomnieć o tym zdarzeniu. Boczyli się na siebie i obco czuli w swoim towarzystwie. Wreszcie zaczęli siebie unikać. Ada na samo wspomnienie zawsze wstyd palił, a już najgorzej było, gdy się z Magdzą spotykał.

Raz jeszcze Ad spojrzał na nią. Nie patrzyła już w jego stronę. Apetyczna była z niej dziewczyna. Świeża, opalona, na zadartym nosku piegi, oczy o ślicznej niebieskiej barwie, bujne włosy. Była w lekkiej sukience i jędrna szyja wypływała z małego dekolciku niby łodyga jakiegoś kwiatu. Ad westchnął. Stanowczo był niepoprawny. Czuł, że podoba mu się każda kobieta, chociaż ta przecież była jak siostra prawie.

Zaterkotał lekki, żółty wolancik i konie z fantazją zatrzymane stanęły jak wryte. Przyjechał pełnomocnik ojca, pan Klonowski, który prowadził biura młynów w miasteczku, gdzie było również gimnazjum Ada i załatwiał tam transakcje związane z zakupem pszenicy i sprzedażą mąki. Przywiózł pocztę, po którą codziennie wyjeżdżał posłaniec konny. Ze skórzanej wielkiej teki, zamkniętej zwykle na kłódkę, wysypał stos listów oraz gazet. Okazało się, że wiadomości są niepomysłne. Napięcie polityczne pomiędzy wielkimi państwami Europy wzrastało z dnia na dzień i wojna rzeczywiście wisiała w powietrzu.

Ojciec głośno odczytał kilka komunikatów telegraficznych oraz jeden, czy dwa artykuły. Płynęło z nich rozdrażnienie i dużo pogroźek.

– No, chwalić Boga jatki zdaje się są coraz bliższe – odezwał się pan Mostowski.

Ojciec kiwnął głową.

– Tak... zdaje się, że niedalekie.

– Podziękujemy Opatrzności, gdy chwila ta nadejdzie.

– A czemu to panie hrabio – zapytał pan Klonowski i wybałuszył bezmyślne, rybie oczy.

Był to szlachcic w sile wieku, o wspaniałych sarmackich wusach, lekko szpakowatych, krótkim nosie, wypukłych ustach. Niedużego wzrostu, gruby, brzuchaty, ramiona miał nadmiernie rozrośnięte i siłę tura. Na rozlanej jego twarzy i w niebieskich, okrągłych oczach stale tkwił wyraz zdziwienia.

– Zawsze trzeba Panu Bogu dziękować, gdy nadchodzi wojna – rzekł pan Mostowski bardzo poważnie. – Wojna jest wielkim prawem natury i momen-

tem odnawiającym i odświeżającym... z krwi przychodzi nowy porządek rzeczy i ten porządek rzeczy znów krew kiedyś obala.

Pan Klonowski, który właśnie zaczął popijać kawę, na chwilę rozdziawił usta i jeszcze bardziej wybałuszył oczy, nawet zamrugał nimi szybko, ale nic nie odpowiedział.

– Wojna to zło... to klęska i nie ma czego chwalić – odezwała się ciotka Stefania.

– O, to pani dobrodzika nie ma racji – zaśmiał się pan Michał. – Widzę, że dobrodzika nie zna teorii Malthusa. Teoria ta mówi, że ludzie prędzej się rozmnażają, niż narasta możliwość ich wyżywienia... ludzie lubią się kochać i płodzić, tymczasem ziemi przecież nie przybywa... nie ma nadmiaru zboża, ale jest nadmiar ludzi i cóż będzie? jedni drugich wygryzą, jak to bywa u szczurów.

– To jest straszne, co pan mówi.

– Straszne, bo pani ma czułe serce, bo pani oczy zamyka... tymczasem świat się gryzie od początku swoich dni i co chwila ktoś kogoś zagryza... czy to żal pani dobrodzice tych zagryzionych czy tych gryzących... bo mnie to tam jest wszystko jedno... niech zaraza wydusi jednych i drugich.

– Panie hrabio, pan ma w sobie jakąś nienawiść do świata i do ludzi... cóż by jednak świat był wart bez człowieka?

– To samo, co i z nim. Mianowicie – nic... czy pani naprawdę sobie wyobraża, że ten cały ludzki galimatias jest coś wart?... przecież to cienie tylko wirują, tak samo jak jętki nad rzeką, gdy się wyroją na jedyny dzień swojego życia.

– Po cóż w takim razie i gdziekolwiek dążyć?

Pan Michał wzruszył ramionami uśmiechając się drwiąco. Widać ciotkę już wystarczająco pogrążył.

– Wojna przyniesie nam wyzwolenie – odezwał się pan Antoni, podobny ze swą siwą głową do Wernyhory – a żyć warto, po to, aby walczyć, cierpieć, wierzyć, mieć nadzieję, cieszyć się z piękności świata i umierać w spokoju.

Ojciec w tym czasie szybko przeglądał korespondencję handlową w towarzystwie pana Felusia – pomocnika buchaltera, który nadszedł po przyjeździe pana Klonowskiego. Był to wysoli, szczupły młodzieniec, o ciemnych oczach i małym wąsiku. Bardzo dbał swoją urodę i na noc nacierał twarz jakimś kremami, co bardzo bawiło Ada. Usta miał kapryśnie wygięte i czerwone, tak, że Ad niejednokrotnie podejrzewał go o to, że musi używać karminu. Bardzo mu w oko wpadła Helenka. Rżał przy niej, wyginał się i mizdrzył, czarując swoim

smętnawym uśmiechem i zawsze zbyt wytwornym ubraniem. Śmieszne były te zaloty, o które nikt absolutnie nie dbał, prócz niego samego. Zwierzał się często Adowi ze swoich sukcesów wśród okolicznych dziewczuch. Czasami, podchmielony, nad ranem dopiero powracał z nocnych przygód. Podobno chłopcy mieli się nawet odgrażać, że mu połamią ręce i nogi, z czego bardzo był dumny. Namawiał kilkakrotnie Ada, aby się z nim razem wybrał, jednak bez skutku. Prócz tego w Malinówce u bogatego kupca Szmula odbywały się co niedziela towarzyskie zebrania, na których pito wódkę i grano w „dziewiąty wał”. Feluś miał tam nawet kiedyś wygrać pięćset rubli, co świadczyło o tym, że tyleż mógł przegrać. Umiał dobrze tańczyć, flirtować w małomiasteczkowy sposób przy chwytności się za serce, wywracaniu oczów, westchnieniach, przyklekiwaniach i prowadzeniu banalnej, niemądrej rozmowy. Poza tem był to chłopak niezły i pracownik dobry, toteż wszyscy go lubili.

– Zamówień mamy tyle, że i na dziesięć lat starczy, ale wywóz został wstrzymany – powiedział ojciec – trzeba depeszować do Ameryki do naszych odbiorców.

– A my z Adem ryby sobie łąpać zaczniemy i zobaczymy co będzie dalej... nieprawdaż?

– Tak – odpowiedział Ad. – Chyba wieczorem.

– A teraz?

– Teraz jadę do Karskich... Czekają tam na mnie Helenka i przejażdżka.

Pan Mostowski chytrze przymrużył jedno oko. Ad ucałował matkę i zapowiedział, że prawdopodobnie wróci po obiedzie.

Stajnie znajdowały się naprzeciw Bohu, przy drodze prowadzącej w kierunku promu. Dalej ciągnęły się obory, chlewy i kurniki. Stajnie zbudowane były z wielkich, ciosanych bloków kamiennych, spojonych cementem, tak, że wyglądały jak pocętkowane.

Ad przebrał się u siebie w mieszkaniu. Dumny był ze swego kostiumu do konnej jazdy i długich, błyszczących butów z cholewami. Niedawny ten dar rodziców sprawił mu wiele radości, jakkolwiek do ubrania nigdy nie przywiązywał większej wagi. Po prostu wydawało mu się, że w ten sposób jest doroslejszy. Idąc do stajen spotkał stado krów u wodopoju. W pełni oświetlenia

słonecznego, na tle rozsrebrzonej wody, gdy rozgrzane powietrze drgało nad ich głowami, a one zamaryły w leniwym bezruchu, wydawało się, że nie jest to rzeczywistość, która za chwilę ożyje, tylko obraz namalowany przez jakiegoś realistycznego malarza, który dorzucił jednak coś niecoś fioletu i ultramaryny, aby rzeczywistość nie była zbyt jaskrawą.

Ad wszedł do stajni i poszedł od razu do boksu, gdzie stał jego „Zajac”, pełnej krwi arab. Koni było dużo. Odwracały powoli łby swoje od żłobów i spoglądały ciemnymi oczami. Znajdowała się tutaj tylko część stadniny. Konie robocze i wyjazdowe stały w sąsiedniej stajni, prócz tego pewna część, tak zwane „stepniaki” przebywały na górze, w stepie, za wielkim ogrodzeniem. Konie te były dostarczane do rosyjskiej kawalerii, specjalnie do pułków kozackich. Jakkolwiek małe i niepozorne, słynęły z siły i wytrzymałości. Wiele przegród było pustych, gdyż większość koni została już wyprowadzona w step, na pastwiska. Stajnia pachniała tym podniecającym zapachem moczu, siana, potu i nawozu, który jest miły chyba każdemu Polakowi. Dochodziły jeszcze i inne zapachy – skóry, uprzęży, dziegiu, smoły. Stajnie niedawno na nowo budowane nowocześnie były urządzone. Miały dużo światła i powietrza. Podłoga cementowa ze ściekami. Konie posiadały wygodne przegrody. Cicho było. Brzęczały łańcuszki kantarowe. Przy drugim końcu śpiewali chłopcy stajenni. Dawno już było po pierwszym obrokowaniu.

Gdy Ad wszedł do boksu, „Zajac” przechylił swoją piękną, małą głowę o rozdętych chrapach i płonących oczach. Cały był siwy, prawie biały, w niezauważalne jabłka, wspaniała kita ogonowa była nieco ciemniejszej barwy. Potrząsnął grzywą i cicho zarżał. Ad przytulił się do jego ciepłej szyi i z ręki częstował cukrem, którego przyniósł pełną kieszeń. Delikatne aksamitne wargi chwytwały kawałki cukru, pieszcząc jednocześnie dłoń, pachnący ziołami oddech sływał na twarz Ada.

– Moja kosia... moja jedyna... moja cudna... moja kochana – mówił Ad przez zaciśnięte zęby, klepiąc i gładząc kona po szyi. Przeżywał podobne do rozkoszy wzruszenie. Była w nim miłość i przyjaźń i namiętność. Po matce, kochał „Zajac” chyba najwięcej ze wszystkiego na świecie. Jego uroda – szeroka pierś, długa łopatka, krótki krzyż i mocne nogi, skóra powleczone siecią nerwowych żyłek były niczem w porównaniu z zaletami charakteru. Znakomita pamięć, odwaga, pragnienie pędu o przeszkód, przywiązanie – i jeszcze coś rycerskiego, co mogą posiadać tylko konie najlepszej krwi. Ta krew Wschodu,

która przecież i w żyłach Ada płynęła, łączyła ich i zespaląca, jakby upodabniając namiętności i pragnienia. Bywało tak, że Ad budził się w nocy lub o świcie i opanowany niepojętym wzruszeniem, biegł ledwie ubrany i boso do stajni, a tam nie mając już czasu na kulbaczenie, dosiadał „Zająca”. Ten tak samo przejęty, jakby wszystko rozumiejący gnał pod górę w step, bez wędzidła, bez kantarów nawet, kierowany tylko dotykiem kolan i łydek i gdy byli z sobą tak złączeni, jakby tworzyli jedno ciało, coś centaurycznego, a blade słońce pierwszymi blaskami opromieniało step... pędzili przed siebie, przeciwko słońcu, na spotkanie, jakby runąć chcieli w coraz złocistszą kulę, jakby tam był szczyt radości trwania i pędu. Ad wtedy rozkrzyżował ramiona i krzyczał. Krzyczał coś bez słów, bez jakiegokolwiek treści, ale coś głębokiego i dla konia zrozumiałego. „Zajac” tulił wówczas uszy, brzuchem przypadał do traw, zamieniał się w lecącą strzałę, w biały płomień śmigający po stepie. Ledwie kopytami dotykał ziemi – i nic wokół nie istniało, tylko ta szybkość upajająca, ta miękkość rozkołysanego grzbietu, ta zieleń nie mająca kresu i to słońce, w które się miało wpaść, niby lecący pocisk.

Gdy byli u kresu sił, ani koń, ani chłopiec nie mogli złapać tchu, gdy z obydwoh pot spływał strumieniami, a Ad miał wrażenie, że serce mu pęknie z wysiłku i z rozkoszy – koń zwalniał pędu i Ad na wpół żywy walił się na trawę i leżał, aż mu siły wróciły. W tym czasie „Zajac” stał obok cierpliwie i czekał. Potem wracali powoli, uspokojeni, szczęśliwi.

Ad wyszedł z boksu i gwizdnął na chłopca. Kazał przynieść siodło i ogłowie. W tym czasie nadszedł starszy bereiter, który był jednocześnie nadzorcą stadniny – Siemion, zwany Sienią, były podoficer kawalerii, nieduży człowieczek o krzywych nogach, łysej czaszce i przystrzyżonych wąsikach. On to był prawdziwym nauczycielem Ada, potem, jak ojciec uczył go jazdy na „stepniakach”. On wtajemniczył go w zawiłe i często nawet magiczne arkana sztuki jeździeckiej, gdzie sposób ujęcia i każdy ruch wodzy, byle dotyk kolanem lub łydka, użycie ostróg lub palcata, a przede wszystkim, to coś niepojętego, co nazywa się dosiadem – stanowi o kunszcie, o zdolnościach, o tym, czy ktoś będzie dobrym kawalerzystą, czy nie będzie. Gdy Ad ćwiczył na maneżu, gdy objął sobie pośladki godzinami całymi klusując bez strzemion, gdy odbywał woltyżerkę na nieosiodłanym koniu, upadał waląc głową o ziemię, rozumiał, że trzeba ćwiczyć, ćwiczyć, i uczyć się. Nade wszystko jednak, gdy chodzi o kształcenie i ujeżdżanie konia, szkolenie na lince i kawecanie, wydobywanie chodów, zwrotów

i wolt, wreszcie naskakiwanie – jest to coś w rodzaju wyższej matematyki. Nie-wtajemniczony nigdy tego nie zrozumie. Tutaj konie były ujeżdżane przez zwykłych chłopców stajennych, a nad każdym czuwało światłe oko Sienia.

Przywitali się ze sobą poważnie, przez uściśnienie ręki. Sienia wydobył tombakową papierośnicę i poczęstował Ada papierosem. Ad po smutnych doświadczeniach z cygarami ojca na ogół niechętnie palił. Przez grzeczność jednak wziął, rozumiejąc, że Sienia w ten sposób chce podkreślić zażyły stosunek, jaki ich łączy oraz, że traktuje go jak dorosłego. Stało się to już zresztą w zeszłym roku, gdy Ad gładko wziął trudny triple-bar i później wał z kamieni.

– Nu co, paniczu – mówił jakąś gwarą polsko-ukraińską – jak znajdujecie „Zająca”?

– Zdaje się, że jest w doskonałej formie... czy aby się tylko nie zastał?

Sienia uśmiechnął się pobłażliwie. Wypuścił kłąb dymu nozdrzami i splunął przez zęby.

– Co dzień go osobiście objeżdżałem.

Ad wiedział o staranności, z jaką Sienia odnosił się w ogóle do koni, a w szczególności do „Zająca”, pytał też raczej pro forma.

– Dobry koń... zawsze o nim myślę.

Sienia ustawił się wyblakłymi, niebieskimi oczami w pułap.

– Jeśli chcecie wiedzieć paniczu, to jest to jeden z najlepszych koni, jakie widziałem w życiu... a widziałem niemało.

– Tak... zdaje mi się, że jest piękny.

– On jest jak pannoczka – mówił Sienia – ale to jeszcze nic... zwróćcie uwagę paniczu jaki musi być arab... otóż czoło, piersi, zad i nogi musi mieć szerokie... i tak właśnie jest... następnie szyję, łopatki, brzuch i lędźwie musi mieć długie... tak też jest... potem krzyż, pęciny, uszy i ogon powinien mieć krótkie... wszystko się zgadza.

Ad czuł, jak go rozsadza zadowolenie.

– To jeszcze nie wszystko, panie Sienia – powiedział – nic pan nie mówi o jego charakterze.

Sienia znów wydmuchnął wielką strugę dymu. Dym w świetle słonecznym padającym przez okno, zakłębił się, zakołował i ułożył w siwo-niebieską smugę. Małym palcem strącił popiół.

– Takim powinien być prawdziwy mężczyzna i takim też on jest... dzielny, dumny i wytrzymały... nic więcej nie potrzeba.

Chłopak stajenny tymczasem okiełznał „Zajacę” tylko na wędzidło, gdyż Ad, nauczony przez Sienię, żałując konia, nie używał munsztuka. Nałożył lekkie, angielskie siodło i podciągnął popręgi. „Zajacę” strzygł uszami i wydawał się bardzo zadowolony.

Ad dosiadł go jeszcze w stajni i wyjechał, gdy koń wesóło dzwonił podkowami po kamiennej podłodze. Wpadł od razu w ulewę słoneczną i musiał mrużyć oczy.

Ze szczekaniem wypadły dwa foksteriery przyuczone do duszenia szczurów – Dżek i Dżon. Bardzo to była ruchliwa i hałaśliwa pareczka. Chciały mu towarzyszyć, ale zapędził je z powrotem do stajni.

Jechał stępem. Nowe siodło, bladożółte przyjemnie pod nim skrzypiało, „Zajacę” parskął. Długi, rączy stęp kołysał Ada niby taniec, a świat wokół zieleń, jarzył się, słoneczniał i obfitością letnich kształtów bił w oczy.

— — —

Prom podobny był do wielkiego, niezgranego pudła osmarowanego ze wszystkich stron smołą. W dni targowe, kiedy chłopci przejeżdżali z jednej strony Bohu na drugą, mógł pomieścić około piętnastu zwykłych wozów lub dziesięć wielkich „harb” wyładowanych sianem lub słomą. Biała chatka „promszczyka”, ukryta wśród drzew wiśniowych i malw, znajdowała się opodal. Droga skręcała pod prostym kątem i gdy promu nie było przy brzegu wydawało się, że dalej prowadzi już rzeką. Konie, ludzie i wozy znikną, aby wynurzyć się z drugiej strony, ociekając wodą.

Trochym, zobaczywszy Ada, wyszedł ze swego ogródka jak zwykle zaspany, z rozchełstaną koszulą i baranią, stożkową czapką na głowie. Ad zeskoczył z „Zajacę” itrzymał go w wodzach.

— Poidymo, paniczu?

— Poidymo, Trochyme.

— Na tu storonu?

— Ehe... do państwa Karskich.

— O, ce dobre — nie wiadomo dlaczego pochwalił.

Przerzucił deskę trapową. Weszli na prom, który się lekko zakołysał. „Zajacę” nastawiał to jedno, to drugie ucho. Trochym odrzucił deskę, zakołatał łańcuchami, wziął się do korby, której urządzenie ślizgało się po stalowej linie

i prom niezauważalnie, bardzo lekko ruszył, rozsnuwając podłużne i powolne bruzdy fal.

Od rzeki pachniało rzeźwą świeżością i zapachem traw. Łagodny wietrzyk ślizgał się po wodzie, dmuchając chwilami w twarz ciepłą pieszczotą. Różowo-błękitna powierzchnia Bohu pokrywała się od tych dotyków szybko biegnącymi zmarszczkami. Kilka czajek polatywało kwiląc. Poza tem cisza panowała i nieopisany spokój. Z obydwóch stron, od promu, droga wznosiła się do góry, prowadząc w stępy, do dalekich osiedli i ginęła gdzieś za przełęczami, ale nikogo nie było widać. Dalekie, osamotnione przestrzenie i horyzont niknący na krańcu świata niby szklana, na niebiesko pomalowana kopuła. Porfirowe i granitowe skały wspinały się z lewej strony biegu rzeki niby przedpotopowe potwory. Hen, daleko, zieleniał „Czerwona Wyspa”. Ad, spoglądając w tamtą stronę, wspomniął Marusię.

– Trochyme – powiedział – pannoczki z Malinówki nie baczyły?

Lisia twarz Trochyma ułożyła się w przymilny wyraz. Poruszył rudymi wąsami.

– Oj, ni paniczu... tilki wczora baczył jak jichała Czetnom... żuryłysia czohoś.. duże smutna buła. Ate harna cja pannoczka... ho, ho jaka harneńka – mówił dalej Trochym – ta jaka żwawa i wesela... kożyj raz smijet’sia ta ruczkoj maszyt.

Ad milczał.

– Jakby wy paniczu pyśmo napisały, to ja mygom snesu – powiedział przebiegle mrugając oczami.

– Dobre... dobre – mruknął Ad – pobaczymo.

Nie chciał na ten temat więcej z nim rozmawiać, tym bardziej, że daleko od strony Malinówki zobaczył małą łódkę z trójkątnym żaglem.

– Pospiszajte Trochyme – powiedział, a to ja czasu ne maju.

Tymczasem nieporęczny prom pełtł jak ślimak, a łódeczka wyraźnie wzięła kierunek w jego stronę. Ad czym prędzej przerzucił wodze przez poręcz i chwycił za korbę, aby pomóc Trochymowi.

– Ne zduszajete paniczu... zamuczyteś – szepnął Trochym.

– Nyczoho – odpowiedział – dwoim bude skoriszczce.

Rzeczywiście prom poruszał się teraz prędzej, a Ad co chwila ze strachem zerkał w stronę łódki. Zbliżała się szybko, ale postaci w niej siedzącej nie można było jeszcze rozeznąć.

Jakiś czas prom szedł siłą rozpędu. Trochym przygotował już deskę trapową

i łańcuch do zaczepienia o nadbrzeżny słup. Gdy tylko dotknęli lądu, Ad skoczył na „Zająca”, „buwajcie zdrowy” – krzyknął do Trochyma i galopem pognął pod górę.

Dzień był piękny, wiatr hasał wśród rozkołysanych pól i falowały niezmierzone przestrzenie traw, a gdzie indziej pszenicy i kukurydzy. Skowronki wisały wysoko nad głową – ich dźwięczny śpiew dzwonił srebrem. Szeroki stęp „Zająca” kołysał miękko. Strzygł uszami i poparskiwał, wyginając szyję niby łabędź. Ad zapatrzył się w niezmierzoną dal stepów. Biegł wzrokiem tam, gdzie step upodabniał się do zamarłego oceanu. Czuł ulewę promieni słonecznych, które go przenikały, i tam, gdzieś wewnątrz, w żyłach i w sercu, łączyły się z jego krwią młodość. Chciało mu się śmiać i krzyzczeć. Chętnie by teraz zeskoczył

z konia i biegł obok. Chciałby fikać koziołki i chodzić na głowie. Przeskakiwałby tańcząc przez kamieni i przydrożne bodiaki. Szerokolistne łopiany. Wypuścił „Zająca: w klusa.

Od razu ciało rozkołysało się innym rytmem. Wyrzucił nogi ze strzemion, powoli przeszedł w galop. „Zając” wiedział, że to zabawa tylko i sam chciał użyć tej zabawy, więc podskakiwał i spinał się, udawał przerażonego, przeskakiwał przez jakieś urojone przeszkody, a chwilami udawał, że chce Ada zrzucić, rzucał się niespodzianie w bok, pochylał głowę, zmieniał tempo. Później jednak, gdy zasmakował w biegu, szedł równym, wspaniałym ruchem, to z prawej, to z lewej nogi, z rozwianą grzywą, z rozdętymi chrapami, z błyszczącymi oczami. Galop – ten najprawdziwszy i najdoskonalszy z chodów konia, miał tak płynny i harmonijny, że siedziało się na nim, jak w lekko rozbujanym fotelu, a on le dwie nogami ziemi dotykał, gdy tymczasem obok przemijał pośpiesznie świat młody, świat roześmiany.

Po drodze spotkali karawanę wozów z mąką idącą od młynów medejskich. W „kołymadze” przejechał chłop z warzywami, nie wiadomo po co ubrany w kozuch i futrzaną czapkę. Długo oglądał się za Adem, widocznie nie mogąc pojąć, gdzie on tak śpieszy. Później minął bryczkę z jakimiś urzędnikami rosyjskimi. Ubrani byli w uniformy ze świecącymi guzikami i czapki z godłami.

To mu przypomniało, że ta ziemia, te stepy wspaniałe, te przestrzenie należały do Moskali, tych niebezpiecznych mieszańców Mongoła i Słowianina, który podbił jego ojczyznę. On jest obywatelem drugiego rzędu, każdej chwili narażonym na wszelkiego rodzaju szykany. Jeśli tych szykan nie było, to należało to zawdzięczać przypadkowi, dobroduszości miejscowych władz, a przede

wszystkim łapówkom, na które Rosjanie byli niesłuchanie łasi. Sfery rządzące były doszczętnie skorumpowane. Tak było w gimnazjum, tak było w urzędach, we wszystkich stosunkach z władzami. Gdy ojciec załatwiał jakąkolwiek transakcję, gdzie zgoda lub udział władz był konieczny, pierwsze pytanie zawsze brzmiało: „ile będzie kosztować łapówka?” W księgach handlowych było specjalne konto przeznaczone na zapis łapówek, oczywiście pod jakąś zamaskowaną nazwą. Haracz ten było dodatkiem do normalnych podatków, ale, trzeba przyznać, ogromnie ułatwiał życie – i żyło się dostatnio, zamożnie, szeroko. Jednak, nie było, ani tutaj, ani tam – w Polsce – wolności.

Ad, znów jadąc stępem, rzucił okiem w lewa stronę, poza Boh. Znajdował się akurat na wzgórzu i daleko widać było linię kurhanów. Wielkie te kopce od setek lat zaorywane i rozmywane przez deszcze, trwały ciągle jeszcze dumnie i wyniośle, świadcząc, że ongiś przechodziła tędy granica pomiędzy Rzeczpospolitą a ziemiami tatarskimi. Wszystko, co tutaj zostało polskiego, to „niedobitki”. Trzymała ich ziemia, ale, kto raz wyzbył się ziemi, ten już do niej nie powracał. Niegdyś wszystka ziemia była tutaj polska, dzisiaj pozostali tylko najbardziej uparci. Tych nieugiętych pozostawało jeszcze stosunkowo wielu, jakkolwiek niektórzy zbiednieli i siedzieli na „futorach”, inni znów rozproszyli się po majątkach jako administracja i rolna służba dozorcza. Robotnikiem i „czarnoroboczym” był tutejszy „had”, chłop ukraiński, od niedawna tutaj osiadły; od czasów, gdy Katarzyna i Aleksander I, chcąc te stepy zaludnić, przymusowo przesiedlali tutaj ludność z okolic naddnieprzańskich, też i katorżników, więźniów, „zsylnych” i najrozmaitszy element niespokojny. Dworów takich jak w środkowej Ukrainie, czyli średniego stanu posiadania, tutaj nie było, natomiast byli albo obszarnicy, wielcy posiadacze ziemscy, albo całkiem drobni.

Nie było też takich stosunków, jakie gdzie indziej istniały pomiędzy dworem i wsią, tych stosunków sielskich pomiędzy panem i chłopem. Uprzemysłowione majątki zatrudniały tysiące robotników; ziemie uprawiano przy pomocy maszyn, a jej płody przetwarzano w fabrykach. Nie było ani możliwości, ani zapewne chęci do jakiegokolwiek zbliżenia z chłopami. Tereny te zaludnione zresztą były ciągle jeszcze słabo i robotników trzeba było nieraz sprowadzać z odległych okolic. Tacy „przybysze” zamieszkiwali w koszarach i koszarowy tryb życia pędzili, mając zagwarantowany dach nad głową i wyżywienie. Nieliczne tylko wsie były zamożne. Przeciętnie chłop posiadał tutaj od 20 do 100 ha ziemi i, oprócz robót sezonowych, na ogół niechętnie szedł na służbę do

majątków. Potomkowie wolnych Kozaków lub różnego rodzaju złoczyńców mieli we krwi poczucie swobody, w ostateczności tylko godząc się na uległość i posłuszeństwo. Łatwo budziły się w nich instynkty „ryzunów” i bandytów.

Niegdyś dochodziły do tej strony Czarnego Morza kolonie starożytnych Greków i być może Medea była jedną z nich. W każdym razie żadnych wspomnień z tych czasów tutaj nie pozostało, natomiast Medea była zupełnie nowoczesnym miasteczkiem, które powstało przed kilkunastu laty na sposób amerykański z małej wioski. Wszystko w tym miasteczku, liczącym około siedmiu tysięcy mieszkańców, było własnością Karskich – każdy dom, cerkiew i kościół, każdy skrawek ziemi, każde drzewo, miejski park i każdy chodnik, latarnie uliczne, sklepy, restauracja, cukiernia i hotel. Ziemia od dawna znajdowała się w posiadaniu rodziny Karskich i było tej ziemi około stu tysięcy morgów. Jednak dopiero ojciec obecnego Karskiego, mający zmysł do bussinesu, wykorzystał głębokie kolano Bohu i zatokę, pobudował tamy i groble, sprowadził inżynierów, którzy wystawili, jeden przy drugim, szereg młynów turbinowych i najbardziej nowoczesnych urządzeń młynarskich. Piękna, stepowa pszenica szła rzeką i drogami, a nawet dojeżdżała wąskotorową boczną koleją. Rok po roku przybywały urzędnicy, rozrastało się miasteczko, powstawały nowe ulice, zamieszkane wyłącznie przez młynarzy i pracowników młynarskich.

Mąka, najlepszego gatunku, zdobywała rynki, rozlewała się po Rosji i Kongresówce, po całej Europie, przenikała do Ameryki i wreszcie Ameryka stała się głównym odbiorcą.

Pod tym względem dzieje rodziny Ada i Karskich były do siebie zbliżone. Już dziadek Ada wyczuł tę złotą żyłę, która ze stepów i wody płynęła. Nie miał jednak tego rozmachu, ani tych potrzeb, ani tych chęci. Wystarczało, że interes sam przez się rozrastał się i dochody przynosił. Dopiero ojciec Ada zaczął w to wszystko więcej inicjatywy i wysiłku wkładać, ale nigdy nie zdołał Karskiego dopędzić.

Nemejusz Karski, niewielki człowieczek nieopisanej brzydoty, zawsze się wstydził swojego imienia i miał z tego powodu zadawnione pretensje do swoich rodziców. Szeroka, kanciasta broda, porośła kępkami zarostu nieokreślonego koloru znamionowała upór i siłę woli. Dumne, wydatne, wąskie, blade i zaciśnięte usta mówiły o ambicji i poczuciu własnej godności. Zresztą był poważny i nadęty, jak wszyscy ludzie małego wzrostu i tak samo zadzierał głowę do góry. W małych, ukrytych wśród napuchniętych powiek oczu, czała się złośliwość

i podejrzliwość. Bezbarwna, pergaminowa cera o godzinach spędzanych przy biurku, a być może i o skłonności do różnych niezdrowych uciech życia. Rzeczywiście, rozległymi swoimi interesami kierował z ukrycia swojego gabinetu, rzadko kiedy na światło dzienne wysuwając nieforemnego, przytłuszczonego nosa. Wybitny zmysł organizacyjny i kupiecka inicjatywa pozwalały mu trzymać rękę na najmniejszym trybiku swojej skomplikowanej maszyny przemysłowo-handlowej oraz przewidywać koniunkturę. Był to magnat. Prawdziwy król mąki w pojęciu amerykańskim. Utrzymywał swoje biura lub agencje we wszystkich większych portach Rosji. W Odessie jego przedstawicielstwo zajmowało ogromny dom, zatrudniając kilkudziesięciu urzędników. Posiadał całą flotyllę statków na Czarnym Morzu. Ile miał milionów zapewne wiedział tylko on sam. W każdym razie musiało ich być dużo. Ad słyszał o tym, że czasami lubił pograć w karty. Grał zwykle wysoko i szczęśliwie. Dochodziły również słuchy o zabawach, jakie urządzał w Odessie i Kijowie, na których szampan lał się strumieniami, a nagie kobiety tańczyły między butelkami. Fama głosiła również, że pewna piękna panna, którą Ad znał ze swego miasta gimnazjalnego, była jego kochanką. Na imię miała Maryla i była jedną z siedmiu córek maszynisty kolejowego z miasteczka, Polaka zresztą i zubożałego szlachcica. Mogła mieć ze dwadzieścia lat lub cokolwiek ponadto i była prawie w wieku Heleny. Ad znał ją z widzenia i nawet się kłaniał, zawsze z podziwem spoglądając na jej dorodną postać. Nigdy nie mógł pojąć w jaki sposób taka śliczna dziewczyna, o królewskiej postawie, złoto-brązowych oczach, zachwycających ustach i cerze, może mieć cokolwiek wspólnego z brzydkim panem Nemezjuszem. Nie wiedział wówczas jeszcze o wielkiej władzy pieniądza.

Pałac Karskich leżał nad Bohem, poza wielkim, murowanym ogrodzeniem, którym pan Nemezjusz oddzielił się od świata. Wejścia broniła artystycznie wykonana brama z kutego żelaza z herbami i jakimiś emblematami oraz dewizą: Vive ut vivas. Obok domek odzwiernego w styl tyrolskim ukryty wśród drzew. Brodaty odzwierny w granatowej liberii z żółtymi wyłogami i wypustkami oraz lśniącymi guzami, otworzył bramę i Ad wjechał do parku. Zanurzył się w gesty cień lip, klonów, wiązów, brzoź, ale i najrozmaitszych drzew egzotycznych, rzadkich w tym klimacie. Park prowadzony był na modę francuską. Wszędzie strzyżone żywopłoty, zielone i równe trawniki, rozległe perspektywy, dobrze utrzymane, zwirowane aleje i dróżki. Dużo ławek, altanek, niespodziewanych strumieni i jeziorzek ze sztucznymi wodospadami, mostków, antycznych figur,

martwo stojących na swoich cokołach Wszędzie była widoczna dbała ręka człowieka, naginająca przyrodę do swoich gustów.

Ad jednak bez porównania wołał ich własny park – dziki, niepielegnowany, pierwotny, gdzie nie zagubił się jeszcze szczerzy głos natury. Sam pałac, biały, robił wesołe wrażenie, przybrany niezliczona ilością wymyślnych sztukaterii, wszelakich ozdób i ornamentów znamionujących styl rokoko. Przed pałacem leżał ogromny gazon cały w kwiatach i kwietniki bieły wzdłuż obydwóch dróg podjazdowych. Przed frontem znajdował się duży taras, ogrodzony marmurową balustradą, na której rosły czerwone kwiaty. Dalej, niby kolorowe grzyby, barwiły się wielkie parasole, pod którymi poustawiane były stoliki i leżaki.

Gdy Ad podjeżdżał zauważył, że na tarasie znajduje się kilka osób. Groom, tak samo jak odźwierny, w granatowej liberii z żółtymi wypustkami, przeprowadzał konia Heleny „Sokoła”, rośłego pół krwi huntera, karo-gniadej maści. Widocznie czekali już tutaj na niego, jakkolwiek pora ze względu na upał nie bardzo nadawała się do spaceru konnego. Oddał „Zajęca” groomowi i wszedł na taras z uczuciem skrępowania, jakie zawsze odczuwał wobec Karskich. Przywitał się z panią Marią Karską, piękną czterdziestoletnią kobietą, matką Heleny, następnie z Heleną, która uśmiechała się radośnie, z panną Marylą – właśnie tą samą, o której krążyły gadki, że jest kochanka Karskiego i wreszcie z samym Karskim. Oboje Karscy odnosili się do niego z wyraźną sympatią. Karska, która prowadziła życie światowej damy, większą część roku spędzając w modnych zagranicznych kurortach i badach, przesiadując w Biarritz, w Mentonie, w Monte Carlo lub gdzieś na Capri, widziała w nim przystojnego chłopca, przypominającego być może innych chłopców z lat jej młodości. Kaski, zapewne przez kontrast, niejednokrotnie zachwycał się urodą Ada i jego sportową postawą, żałując, że Helenka nie ma jego wyglądu. Prawdopodobnie szczerze też myślał o ewentualnym małżeństwie Ada z Helenką, nie tyle ze względu na interes, gdyż Helena jako najbogatsza jedynaczka w okolicy mogła liczyć na lepszą partię, ile ze względu na marzenie o poprawieniu rasy. Obarczony dużym poczuciem własności, pragnął swoje miliony przelać nie tylko na Helenkę, której albo nie kochał wcale, albo kochał zimnym, egoistycznym uczuciem, ale i na dalszych następcom, i chciałby, aby okazali się oni godnymi tych milionów. Stąd od wielu lat interesowała go sprawa małżeństwa Helenki, jako coś nierozzerwalnie związanego z jego bogactwem. Przebierając różnych kandydatów do jej ręki, zatrzymał się na Adzie, który co prawda kandydatem nie był, ale

mógł nim być, w zależności od tego, jak on tymi sprawami pokieruje. Miał go na oku od najmłodszych lat, gdy jeszcze jako dziecko biegał z Helenką po rozległych komnatach pałacu, strącając z serwantek saską porcelanę na podłogę i później, gdy często Helena powracała do domu zapłakana i podrapana po wyprawach zbójceckich. Nie mógł tylko nigdy pojąć marzycielstwa Ada. Zgorzszony był również bardzo, gdy się dowiedział, że Ad nie ma zamiaru zajmować się gospodarstwem i interesami, lecz pragnie szukać szczęścia w jakimś innym zawodzie. Zresztą składał te poglądy na karb młodości, będąc przekonany, że później wszystko się odmieni.

Z przyjemnością w tej chwili spoglądał na Ada, który stał szczupły i zgrabny ze szpicrutą w ręku, postukując ostrogami. Lokaj przyniósł lody, mrożone wino i kruche ciastka. Ad ubóstwiał lody, lecz przez wstydlivość nałożył sobie małą porcję, jak również z ociąganiem wziął jedno ciastko.

– Zaraz pojedziecie? – zapytał Karski.

Ad z powątpiewaniem spojrzał na słońce. Była akurat godzina dwunasta i żar buchał z nieba.

– Zdaje mi się, że jest trochę za gorąco... lepiej chyba później.

– Tak – zgodził się Karski – pojedziecie po obiedzie, a teraz odpocznij sobie... pospacerujcie razem z panna Marylą po parku lub pograjcie w krokieta.

Skinął na grooma i kazał konie odprowadzić do stajni. W oczach Helenki odbił się zawód.

– Sądziłam, że pojedziemy do pustelni – rzekła.

– Och, zdążymy i po obiedzie – odpowiedział Ad.

– Jak się miewa ojciec? – zapytała pani Karska.

– Dobrze – odpowiedział Ad z uśmiechem – pracuje, pływa, jeździ konno i rozmawia o wojnie.

– Wszyscy mówią o tej wojnie – rzekła panna Maryla, marząco przyzymkając swoje złote, piękne oczy – ale to chyba nieprawda?

– Oj, wygląda, niestety, na prawdę – odpowiedział Karski – świat jest wystarczająco uzbrojony... międzynarodowe konflikty wystarczająco nabrzmiały... nie obejdzie się to wszystko bez wybuchu.

– A czy nam może co grozić? – zapytała pani Karska.

– Skądże znowu – zaśmiał się pan Karski. – Tak daleko jesteśmy od ewentualnego teatru wojny i Rosja reprezentuje taką potęgę, że ledwie to wszystko będzie nas dotyczyć.

– A długo może wojna potrwać?

– Najwyżej pół roku... nowoczesna wojna nie może trwać długo, gdyż nie starczy zapasów i groziłoby to ogólnym bankructwem.

– Rozumiem – odezwał się Ad – że wszyscy słabi, pokrzywdzeni, obrabowani, kiedy już nie ma innego sposobu, muszą walczyć, aby odzyskać to, co utracili... i do nich my należymy... ale ludzie, te wszystkie narody... no, ludzkość całą, czy nie może uniknąć wojny przez jakieś porozumienie... przez wybranie drogi zgody i braterstwa, zamiast zagłady, nędzy i tego strasznego zniszczenia, które przynosi wojna. Jeśli to jest walka, to dlaczego w tej walce nie wybrać rozumniejszych sposobów, zapewniających szczęście i dobrobyt. Nie rozumiem, dlaczego tyle pieniędzy musi iść w armaty, w pancerniki, w pociski... w różne straszne narzędzia mordowania i kaleczenia, w utrzymywanie takich wielkich armii, które nic dobrego ludzkości nie przynoszą...

Zaciął się, stracił wątek, nie wiedział, co dalej mówić i zawstydził się, spuszczając oczy na talerzyk, w którym lody gwałtownie się rozpuszczały. Dostrzegł już przedtem ciekawie w sobie utkwione spojrzenia pań – złoto-brązowe pani Maryli, zielono-piwnie pani Karskiej i niebieskie Helenki.

Pan Karski wyjął nowego papierosa z pięknej, złotej papierośnicy i trzymał go niedbale.

– Skąd ci takie myśli przychodzą do głowy? – zapytał. – O ile mi wiadomo, chłopcy w twoim wieku rwą się do szabli i konika, a wojna jest ich marzeniem jako wielka, jako największa przygoda.

W spojrzeniu pana Karskiego była życzliwość pomieszana z odrobiną ironii.

– Otóż mogę ci powiedzieć, co o tym myślę – rzekł. – Gdzieś w dalekiej przyszłości, gdy ludzie wyjdą z epoki barbarzyństwa, być może niepotrzebnym stanie się rozstrzyganie sporów z bronią w rękę i wtedy ustaną wojny. Tymczasem musimy wojnę traktować jako zło konieczne. Zresztą my osobiście tylko możemy na niej wygrać.

– W jaki sposób?

– Jako Polacy możemy mieć nadzieję, że coś nam się uszczknie, jakaś autonomia, jakaś odrobina wolności, czy ja wiem... a jako fabrykanci i kupcy zarobimy mnóstwo pieniędzy na dostawach dla wojska.

– Słyszałem – powiedział Ad – że w Krakowie podobno gotuje się jakaś nasza siła zbrojna i na czele stoi człowiek mający wielkie poważanie wśród społeczeństwa.

Pan Karski niechętnie machnął ręką.

– Głupcy – rzekł – szaleńcy. To właśnie ci, co najbardziej będą polską sprawę psuli, wzorem naszych różnych powstańców i rewolucjonistów. Na tej drodze nic się nie da zrobić... jest to porywanie się z motyką na słońce. Rosja jest dzisiaj taką potęgą, że tylko idąc z nią i przy niej, ręka w rękę... i to szczerze, bez fałszu. Możemy coś wygrać... trzeba realnie patrzeć na rzeczy. Przeciwnicy Rosji przegrają, a jeśli my się opowiemy po tamtej stronie, musimy i my przegrać.

Ad nie czuł się dość silnym, by polemizować z panem Karskim.

– Walczyliśmy zawsze o wolność naszą i cudzą – powiedział tylko.

Pan Karski się skrzywił. Miał taki wyraz twarzy, jakby się napił octu.

– Mrzonki – syknął – wszystko mrzonki. Brak praktycznego zmysłu, brak realizmu politycznego. Musimy się oprzeć o silniejszego... jeśli Rosja nas nie wybawi, nikt nas nie wybawi.

Ad na ten raz już milczał, z żalem spoglądając na całkowicie rozpuszczone lody. Pan Nemejusz nalał wszystkim po kielichu ciemno-złotego wina. Był to stary tokaj. Ad trochę wypił, smakując z rozkoszą gęstą, jakby trochę grzybową, słodycz. Przyjemne ciepło rozlało mu się po żyłach.

– Ty mówisz, że ta wojna nikomu z nas niczym nie grozi, ale przecież będą tacy, którzy muszą iść wojować – powiedziała pani Karska.

Pan Karski zaśmiał się suchym śmiechem, ukazując żółte, nierówne zęby.

– Z nas tu obecnych nikt na wojnę nie pójdzie. Ja jestem za stary... Ad jest za młody, no, a kobiety nie będą brane – rzucił z uśmiechem spoglądając na pannę Marylę. – Chyba, że bardzo ładne pójdą na siostry miłosierdzia, aby biednym rannym umilać życie – dodał.

– Tak – rzekła pani Karska z przekąsem – są jednak i młodszy od ciebie i bardziej ze sztuką wojenną obeznani.

– Na przykład kto?

– Choćby hrabia Kohler albo ojciec Ada, który jest oficerem rezerwy.

Pan Nemejusz nie przejął się tą sprawą.

– Kohlera mogą wziąć diabli i im prędzej, tym lepiej, a z ojcem Ada też będzie spokój... dostanie odroczenie jako dostawca mąki dla armii. Tymczasem wojna się skończy.

– Och, ty masz w sobie tyle poczucia bezpieczeństwa! – mówiła pani Karska z tym samym przekąsem.

– Nie ma się czym przejmować – powiedział powstając. – Grunt to pieniądze, a pieniędzy nam ta wojna przysporzy niemało. Idę teraz do biura, a wy sobie róbcie, co chcecie.

Przechodząc chwycił Ada za ucho.

– Ty smyku – powiedział – jeśli cię nie powiesz, to pewnie utoniesz. Masz zadatki na reformatora.

Był to objaw łaski, Ad jednak nic nie powiedział, tylko chrząknął i trochę poczerwieniał. Nie z radości, oczywiście, tylko raczej ze złości. Dzisiaj, w swoim pięknym kostiumie do konnej jazdy, czuł się zupełnie jak dorosły, a zwłaszcza po tej poważnej rozmowie, którą przed chwilą odbył.

— — —

Helenka pobiegła do siebie, aby zmienić amazonkę. Pani Karska powstając powiedziała:

– Przed odjazdem do domu zajdź do mnie na chwilę. Czuję się niezdrowa i nie wiem, czy wyjdę do obiadu.

Ad skinął głową. Spojrzał w ciemno-zielone oczy pani Karskiej, o zmiennym kolorze. Były jak zwykle głęboko podkrążone, a cera białoróżowa, delikatna jakąś sztuczną delikatnością. Zawsze wyglądała, jakby była trochę niezdrowa. Skinął głową. Pozostali we dwoje z panną Marylą. Czuł się zażenowany. Milczał i ona milczała.

– Pani na długo tutaj? – zapytał, chociaż pytanie takie nie miało sensu.

Przechyliła na bok swoją pięknie osadzoną głowę. Rudawe włosy zapaliły się w zgięciach płomieniem.

– Nie wiem – powiedziała lekceważąco. – Może na całe lato, może na tydzień, może na dzień.

– Od czegoż to zależy?

Zaśmiała się, ukazując oślepiająco białe, równe, dość duże zęby. Kapryśnie poruszyła ręką.

– Nie wiem... od nastroju... od życzenia... od kaprysu... od fantazji.

– Tutaj jest ładnie – mówił Ad, aby podtrzymać rozmowę.

– Ach, tak – zgodziła się niechętnie – dosyć... ale świat nie kończy się na Medei.

Zdawało mu się, że jest czegoś rozdrażniona.

– Właściwie... niczego tutaj nie brak, aby było dobrze i przyjemnie.

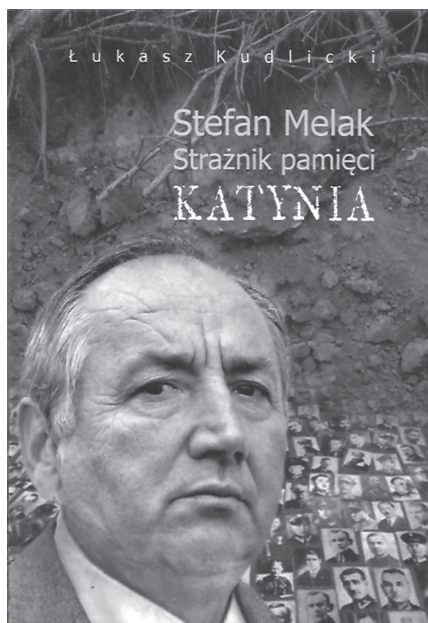
Przechyliła jeszcze głębiej głowę i spojrzała na niego z ukosa.

– Hm – tak pan myśli?

Milczał.

POLECAMY...

STEFAN MELAK – KSIĄŻĘ PAMIĘCI NARODOWEJ



I nie płaczymy już. To nas musi uczynić silniejszymi, abyśmy wiedzieli, na co jest stać naszych wrogów. Musimy dbać o propagowanie prawdy historycznej – tak brzmi fragment artykułu Stefana Melaka Zamarzali po drodze opublikowanego 12 lutego 2010 roku w Super Expressie. Te sło-

wa stanowią motto pracy biograficznej Łukasza Kudlickiego pt. **Stefan Melak. Strażnik pamięci Katynia**, a zarazem znakomicie oddają postać Ś.P. Stefana Melaka, Jego filozofię życia i codziennej, uporczywej walki o Imponderabilia. Bo też był Stefan Melak postacią wybitną, wielką, choć stroniącą od zaszczytów doczesnych i pogrążoną w codzienności, to trudno znaleźć wśród współczesnych mu Polaków kogoś równie zasłużonego dla Pamięci Narodowej. Był też przez wielu uznawany za Księcia Pamięci Narodowej, z dystynkcją właściwą arystokratom ducha przyjmującym trudy i przejściowe niepowodzenia, ale też przełamującym powszechną niemoc i bierność i zdolnym do skutecznej walki o Sprawę Zasadnicze.

Biografia Stefana Melaka, poległego pod Smoleńskiem w trakcie pielgrzymki do grobów pomordowanych polskich elit niepodległościowych,

tego pełnego symboliki *ostatniego transportu do Katynia*, była pracą oczekiwaną nie tylko przez nasze środowisko. Na tę pracę czekali wszyscy, dla których był On Przyjacielem, Kolegą, Wychowawcą, ale też Legendą niezłomności, konsekwencji, upor...

Praca Łukasza Kudlickiego ma ciekawy układ wewnętrzny, bo nie jest on ani ściśle chronologiczny, ani ściśle tematyczny. Trochę przypomina opowieść – gawędę szlachecką o Bohaterze, z tą może różnicą, że Bohaterem jest postać dojmująco prawdziwa, a autorem „gawędy” – solidny, dociekliwy historyk-praktyk, pełen pasji badawczej, opierający się w swej pracy na dokumentach, relacjach, źródłach naukowych, umiejętnie posługujący się zarówno archiwaliami, jak i źródłami osobowymi.

Można powiedzieć, że układ tematyczny pracy stanowią zadania-dzieła Stefana Melaka, które On sam świadomie wybrał. Pamięć Powstania Listopadowego – Aleja Chwały Olszyny Grochowskiej. Upamiętnienie duchowego dorobku tamtego Powstania – detronizacji cara (rosyjskiej władzy nad Polską). Ustanowienie Orderu Gwiazdy Wytrwałości – jako wypełnienie testamentu Powstania Listopadowego. Pamięć Powstania Styczniowego –

przywracanie chwały i znaczenia zryw. Praca polityczna – współtworzenie i działalność w Konfederacji Polski Niepodległej. Pamięć Katynia – walka o prawdę historyczną, o upamiętnienie i upublicznienie. Tworzenie instytucji pamięci – Krąg Pamięci Narodowej, Stowarzyszenie Olszynka grochowska, Muzeum Katyńskie...

Przy każdym z tych dzieł – szeroki krąg zaangażowanych ludzi i realizowanych przedsięwzięć. W centrum – energia, upór, niezłomność: Stefan Melak. Tak było choćby przy powstawaniu Alei Chwały Olszyny Grochowskiej. Zaczęło się od przywracania pamięci, organizacji nieoficjalnych obchodów rocznicowych. *Milicjanci [...] i esbecy [...] obstawiali teren* – pisał Stefan Melak – [ale] *na niewiele to się zdało*. Obchody rocznicowe powtarzano, przybywały inicjatywy, rosła liczba uczestników, bez względu na represje, na szykany. Włączyły się instytucje naukowe, historycy, aktorzy, od początku działania wspierał też Kościół. Stefan Melak narzucał dynamikę działań, tworzył fakty dokonane, poszerzał przestrzeń wolności. Gdy został internowany, działania wyhamowały, w 1982 roku uroczystości w Olszynie nie odbyły się. Gdy wyszedł na wolność – prace ruszy-

ły z nową energią, z coraz większym oddźwiękiem społecznym. Minęło ćwierć wieku, w tym 20 lat III RP. Powstała z inicjatywy Stefana Melaka Aleja Chwały Olszynki Grochowskiej prowadzi od ul. Chełmżyńskiej do Mogiły Powstańczej. Po 2010 nosi imię swojego inicjatora...

Dzieł Stefana Meleka powstało bardzo wiele, nie tylko tych materialnych. Łukasz Kudlicki pisze szeroko o Jego talentach wychowawczych, o umiejętności przyciągania ludzi, budowaniu pomostów pomiędzy ludźmi i środowiskami. Z kart pracy powstaje wyobrażenie o człowieku *myśli i czynu*, o *pragmatyku idei*, który potrafi nadać formy pozytywistyczne romantycznym celom i czyni to z sukcesem.

Ma też zresztą szczęście Stefan Melak do autora, bo jest nim Jego wielo-

letni współpracownik i w jakiejś mierze duchowy wychowanek, doskonale poruszający się zarówno w sprawach idei, czy faktów historycznych, ale również posiadający głębokie rozeznanie w sferze relacji osobistych i organizacyjnych Stefana Melaka i rzeszy Jego bliskich oraz współpracowników. Co więcej, do współpracy przy opracowywaniu książki dał się namówić Andrzej Melak, starszy brat Stefana i jeden z Jego najbliższych współtowarzyszy.

Jest zatem to praca, którą przeczytać warto, praca o człowieku *nurtu niepodległościowego*, człowieku walecznym, niezłomnym, wytrwałym. O człowieku, który przyjął na siebie Zadanie i wykonał je z sukcesem.

(mal)

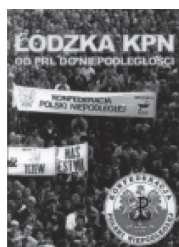
POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



JAK Z PIERWSZEJ BRYGADY
Biografia Andrzeja Ostoja - Owsianego
autorstwa Łukasza Perzyny



POETA NA URZĘDZIE
Biografia Tomasza Merty
autorstwa Łukasza Perzyny i Beaty Mikluszki



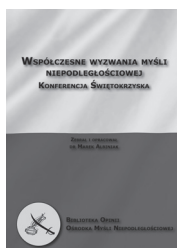
ŁÓDZKA KPN. OD PRL DO NIEPODLEGŁOŚCI
Historia łódzkiej KPN
autorstwa Karola Chylaka i Marka Michalika



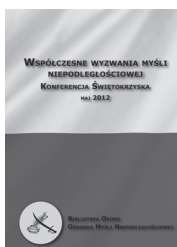
SKRZYPEK. JEDEN Z POKOLENIA NIEPOKORNYCH
Biografia polityczna Sławomira Skrzypka
autorstwa Sebastiana Reńcy

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl

POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



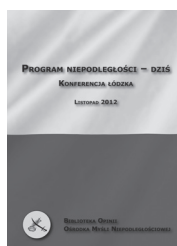
WSPÓŁCZESNE DYLEMATY MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ
autorstwa Marka Albinia



WSPÓŁCZESNE WYZWANIA IDEI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ.
KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA



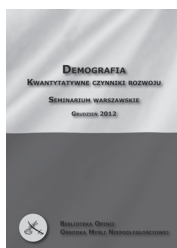
MOŁOCH
Państwo jako przedsiębiorstwo,
społeczeństwo jako siła robocza
autorstwa Leszka Moczulskiego



PROGRAM NIEPODLEGŁOŚCI – DZIŚ
KONFERENCJA ŁÓDZKA

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl

POZYCJE
WYDANE PRZEZ WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



DEMOGRAFIA
KWANTYTATYWNE CZYNNIKI ROZWOJU
seminarium warszawskie



PIERŚCIEŃ GYGESA
autorstwa Bohdana Urbankowskiego



NZS NA ATK
autorstwa Andrzeja Anuszczyka i Łukasza Perzyny



OPINIA
kwartalnik Ośrodka Myśli Niepodległościowej

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl

POZYCJE
WYDANE PRZEWYDAWNICTWO POLSKIE IHOO
INSTYTUTU HISTORYCZNEGO NN IM. ANDRZEJA OSTOJA OWSIANEGO:



**BEZPIECZEŃSTWO POLSKI W ASPEKcie PROCESÓW
GEOPOLITYCZNYCH NA UKRAINIE I POZOSTAŁYCH
OBSZARACH EUROPY ŚRODKOWO WSCHODNIEJ
III KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA**

Szczegóły na stronie www.ihoo.pl